

Bernard Clive
Guy Maillard
GODZINA DIABŁA


AMBER

Wstrząsający thriller, który odkrywa
kulisy polityki odprężenia między USA i ZSRR

miarce władz kaukaskich...
tych Afganistanu odbędą w ramach wy-
wsze bezpośrednie negocjacje. Przypuszczalnie między-
spotkania będą w Genewie. Rządy Iranu i Pakistanu
z poparciem dla inicjatywy ONZ, a niektóre ugrupowa-
nia opozycji afgańskiej zadeklarowały już gotowość wzię-
cia udziału w rozmowach pokojowych. (AFP, Reuters)

niny obawiają się szpiegów

Prasa chińska ostrzegła „naukowych obywateli” przed za-
mierzonymi szpiegami, którzy „szukają tajemnic państw-
nie nawet w koszach od śmieci”. Gazeta „Yunnan Fazhi
sh” pisze, że szpiegowie przybywają do Chin jako turyści,
zrzesmeni i naukowcy. Jako jeden z przykładów zdoby-
cia tajemnic gazeta podaje przypadek zakupu przez
tajspiega tajwańskiego w składzie makulatury 12 kg śmieci taj-
skich dokumentów za niecałe 2 dolary. Na ponad stu stro-
nach znajdowały się tam poufne informacje o życiu gospo-
darczym, partyjnym i wojskowym. (Reuters)

Laboratorium śmierci

Rewelacje sowieckiego generała

Ostatnio wyszła na światło dzienne jedna z najciężiej strzeżo-
nych tajemnic armii sowieckiej. Dotyczy produkcji broni bak-
teriologicznej pod postacią zarazków węgla. Ujawnił ją na-
lamach dziennika „Izwestia” emerytowany oficer kontrwywia-
du gen. Andriej Mironiuk. W 1979 r. okolice Swerdłowa
nawidzila niespodziewanie epidemia węgla. Zaczęło masowo
padać bydło. Ofiary były również wśród ludzi... Dopiero teraz
gen. Mironiuk ujawnił, że na Uralu faktycznie doszło do
wypadku w jednym z tamtejszych tajnych laboratoriów broni
bakteriologicznej. Przypisuje on, że w wyniku zakażenia bak-
teriami poniosło śmierć 60 cywilów i nieznaną liczbę żołnierzy,
wielu też trafiło do szpitala... Wkrótce po incydencie „fabrykę
śmierci” zamknięto i przenieziono ją w okolice Irkucka na
Syberii. W rok potem kazono gen. Mironiukowi spalić wszystkie
kompromitujące dokumenty...

Izrael: wzrost zachorowań na AIDS

Liczba nosicieli wirusa HIV potroiła się w Izraelu w cią-
gu roku i wyniosła pod koniec ubiegłego roku 867. Zjawi-
sko to przypisuje się masowemu napływowi imigrantów. W
latach 1983-1991 na AIDS zmarły w tym kraju 132 oso-
by. Burmistrz Tel Awiwu oświadczył w poniedziałek w wy-
wiadzie radiowym, że jego zdaniem w liceach powinno się
umieścić dystrybutory prezerwatyw. Pomysł ten nie podo-
ba się jednak ortodoksyjnym środowiskom żydowskim. (AFP)

WNP a nieprolifracja broni „A”

Większość krajów WNP i kraje bałtyckie będą musiały — jako
warunek przystąpienia do układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej — przystąpić do ukła-
du o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, a tym samym pod-
porządkować swe urządzenia atomowe dla potrzeb cywilnych
kontrolli ze strony Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej
w Wiedniu — oświadczył w poniedziałek dyrektor tej agenc-
ji Hans Blix. Nie będzie też problemów z Rosją, która może w da-
szym ciągu należeć do układu o nierozprzestrzenianiu jako kr-
posiadający broń atomową. Inaczej ma się rzecz z Ukrainą, Bi-
lorusią i Kazachstanem, które mają na swym terytorium str-
tegię broni jądrowej. Sposób, w jaki broń ta będzie kontrol-
owana, przesądzi o ich ewentualnym przystąpieniu do układu...
...decyzji o przystąpieniu do układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej



New D
to pro

Bryt
P

Ma

W

mer

ko

tha

wy

my

zy

m

80

do

b

n

i

e

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

o

GODZINA DIABŁA



Jest rok 1992. Nad światem
wisi groźba wojny biologicz-
nej. Między Stanami Zjedno-
czonymi a Związkiem Radzie-
ckim trwa wyścig o wypro-
dowanie najbardziej śmierno-
ściowego wirusa. Oba mocar-
stwa przeprowadzają ekspe-
rymety na własnych obywa-
telach. W Stanach Zjednoczo-
nych wybucha tajemnicza epi-
demia. Zasięgiem przypomina
średniowieczne zarazy...



AMBER

ISBN 83-7082-019-0

Cena det. zł. 36 000,-

Bernard Ollie
Guy Maillard

GODZINA DIABŁA

Przełożyła:
KRYSTYNA SZEŻYŃSKA-MAĆKOWIAK



Tytuł oryginału:
L'HEURE DU DIABLE

Ilustracja na okładce:
JEFF POTTER

Opracowanie graficzne:
ADAM OLCHOWIK

Redaktor: HANNA
MACHLEJD-MOŚCICKA

Redaktor techniczny:
JANUSZ FESTUR

Copyright © 1990 by Editions Stock/Edition 1.

For the Polish edition
Copyright © by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.
Warszawa 1992

ISBN 83-7082-019-0

*Dedykujemy Profesorom Boyer,
Marcovich i Mollaret, którzy już w
roku 1980 przewidzieli...*

*Fragmenty dziennika Sahadore Armaveldego, genueńskiego
kupca, zaokrętowanego na pokład „Karola V” w Kaffie na
Krymie podczas epidemii Czarnej Śmierci.*

Dnia tego roku tysiąc trzysta czterdziestego siódmego złe wiatry niosą zatrute i śmiercionośne powietrze nad statek... Marynarzy i kupców, biednych i bogatych śmierć kosi jednak...

Powiadają niektórzy, iż wśród nocnych ciemności, gdy wybić ma dwunasta, Diabeł sieje pomór, mieszając swą krew z krwią tych spośród nas, którzy zwątpili w Pana... Truchła są sine, języki obrzmiały krwią, zęby ruszają się w ustach, a czarna posoka wypływa z ich trzewi... Wielką litość wzbudza widok tych spojrzeń, pełnych trwogi... Bóg mi świadkiem, że nawet szczury i padlinożerne ptaki omijają tych zmarłych, którym pisane było poznać Godzinę Diabła...

1.

Nadciąga burza

Ludzkość stanęła w obliczu bezprecedensowych zadań i jeśli nie zostaną one wspólnie rozwiązane, jej przyszłość znajdzie się pod znakiem zapytania (...) Nagromadzenie broni, zwłaszcza raketowo-jądrowej, sprawia, że coraz bardziej prawdopodobny jest wybuch wojny światowej, chociażby nie zamierzony, przypadkowy (...) Ofiarą padną wszystkie żywe istoty na ziemi.

Michaił Gorbaczow,

Przebudowa i nowe myślenie

Twarz mężczyzny była zasłonięta. Wstrząsający szczegół: w białej płócienną torbie, która służyła mu za maskę, wycięto jedną tylko dziurę — z prawej strony. Łatwo nasuwał się wniosek, że mężczyzna ów był jednooki, nikt jednak, nikt i nigdy, nie widział jego twarzy w świetle dnia. Być może była twarzą potwora? Zresztą oddychał jak potwór: z jego płuc i gardła wydobywało się długie syczenie, przerywane bulgotaniem. Dokładnie taki dźwięk wydaje nie dokręcony kran.

Z niewzruszoną powolnością mężczyzna szedł po schodach, które prowadziły do sypialni na górze. W domu panowała cisza. Czasem tylko łagodne i dające poczucie bezpieczeństwa odgłosy mąciły spokój. Pomruk lodówki, skomlenie psa poruszonego senną wizją, ciche postukiwanie jakiejś okiennicy.

Mężczyzna był wysoki i masywny. Miał pewnie blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył niewiele poniżej stu dwudziestu kilogramów. Drewniane stopnie skrzypiały pod jego nogami.

Nosił rękawiczki z czarnej skóry. U lewej dwa palce zwisały luźno, puste.

Skrzypienie drewna brzmiało teraz inaczej. Z suchego przemieniło się w przytłumione. Mężczyzna wszedł na chodnik wyścielający piętro, na którym mieściły się sypialnie. Jego obrzydliwy, bulgocący oddech spowolnił i stał się ledwie słyszalny.

Zdawał się znać miejsce. Bez wahania skierował się ku pierwszym drzwiom na prawo. Były uchylone, więc pchnął je tylko lekko.

W odpowiedzi na jego wejście w półmroku rozległo się głucho warczenie. Mężczyzna postąpił krok w głąb pokoju. Warczenie zabrzmiało groźniej.

W blasku księżycy, który kładł się białą plamą na dywanie, pojawił

się pies. Był to wilczur. Sierść na grzbiecie miał zjeżoną. W księżycowej poświacie połyskiwały obnażone kły.

Pies był potężny i silny. Mimo to nie szczekał. Warczał tylko cicho i regularnie, jak dobrze ustawiony silnik. Gdy mężczyzna postąpił krok do przodu, pies cofnął się i spał, gotów w każdej chwili do skoku.

Wtedy mężczyzna wykonał zaskakujący gest. Powoli ściągnął maskę. To, co pies ujrzał lub co poczuł, wywołało w ciągu paru sekund ogromną zmianę: przestał warczeć, spuścił uszy i podwinął ogon pod siebie.

Z potulnością młodego psiaka zaczął skomleć i przyczołgał się do mężczyzny, który żelaznym uściskiem zamknął mu pysk. Lewą rękę, tę bez dwóch palców, zanurzył w kieszeni spodni i wy dostał z niej nóż, który przytknął do gardła zwierzęcia.

Zdecydowanym gestem zakreślił nożem łuk. Chlusnął strumień lepkiej krwi. Zwierzę nie bronilo się nawet. Przez parę chwil jego ciałem wstrząsały nerwowe spazmy, potem znieruchomiało ze stężałymi członkami. Wtedy mężczyzna wstał, włożył maskę i wyszedł z pokoju, cicho zamykając drzwi.

Wszystkich mieszkańców domu czekał los psa.

Ostatnia scena filmu przedstawiała w zbliżeniu przesączoną krwią maskę mężczyzny. Oko, widoczne w otworze po prawej stronie, okrągłe i żółte, mrugało jak oko nocnego ptaka.

Na tle tej przerażającej sceny pojawiły się białe litery, ułożone w słowo:

KONIEC.

Stopniowo zapalały się światła w sali „Romance Theater”, jednego z największych kin Filadelfii. Tłum dzieci wstał z miejsc. Było ich prawdopodobnie około pięciuset. Najstarsze nie miały jeszcze piętnastu lat.

Wychodziły z sali poszturchując się, śmiejąc i krzycząc. Niektóre naśladowały oddech i chód zabójcy z filmu *Man With No Face* — Człowiek bez twarzy.

Ich podniecenie było zupełnie zrozumiałe. Spędziły sześć godzin w ogromnej klimatyzowanej sali, do której zaprosił je na „swój seans”, jak każdego lata, burmistrz Filadelfii, Andrew Simson. W programie — obfitość ich ulubionych filmów: *Toxic*, *Massacre*, *Evil Dead* i *Man With No Face*.

Dzieci przepadają za horrorami.

Właśnie zachodziło słońce. Powietrze na dworze wydało się

dzieciom gorące i parne w porównaniu z tym, którym oddychały przez całe popołudnie w klimatyzowanej sali.

Siedząc w zaparkowanej na wprost kina toyocie, Terry i Linda Williams wypatrywali w radosnej gromadzie dzieciaków jasnej, prawie białej czupryny syna

Chłopiec dostrzegł ich pierwszy. Trzeba przyznać, że nie mógł nie zauważyć dużego białego pikapa, dźwigającego na platformie dwa jeszcze wilgotne kajaki — zielony i czerwony.

W pierwszym odruchu chciał rzucić się biegiem do rodziców. Opanował się jednak szybko i zdobył na zachowanie, które uchodziło za bardziej honorowe w oczach kolegów. Spokojnie wysączył do ostatniej kropli mleczny koktajl jagodowy i nonszalanckim krokiem starego kowboja ruszył w stronę pikapa.

Linda z dumą i czułością zarazem patrzyła, jak nadchodzi. Siedmioletni Brad był wyjątkowo duży i silny jak na swój wiek, ale jego spojrzenie pozostało wciąż jeszcze spojrzeniem dziecka. Jej „mały Brad”, jej „dzidziuś...”

Wychyliła się przez okno i zapytała:

— No jak? Dobre filmy?

— Ekstra! — odpowiedział z uśmiechem na upačkanej jagodami buzi.

Patrząc na niewinną twarz synka, Linda pomyślała, że dzieci nie są już takie jak dawniej. Brad pochłonał dopiero co, bez chwili przerwy, sześciogodziną porcję krwawych zbrodni i trudnych do zniesienia horrorów. Skutek? Na jego twarzy nie pojawił się wyraz najłżejszego napięcia. Matka nie dopatrzyła się też bladości, świadczącej o przeżyciu chwil silnego strachu. Nic. Zupełnie, jakby... jakby spędził popołudnie grając z kolegami w baseball.

Brad okrążył pikapa i zręcznie wskoczył na platformę. Stojąc między kajakami uderzył płasko dłonią w dach kabiny. To był umówiony znak dla ojca: mogli ruszać.

Williamsowie mieszkali w dzielnicy willowej, w górze Diamond Street, wśród starych drzew parku Fairmount. Na przejazd 20 kilometrów dzielących ich od centrum miasta potrzebowali zwykle pół godziny.

To wydarzyło się ledwie o parę minut drogi od domu.

Terry już od dobrej chwili nie widział syna w lusterku wstecznym. Wychylił się, chcąc poprosić go, żeby nie bawił się w kajakach: mógłby jeszcze uszkodzić ich dna.

— Brad! Wyłaż z kajaka! — krzyknął.

Cisza.

Terry zatrzymał pikap, wysiadł z kabiny i wdrapał się na platformę. Brad leżał między kajakami, nieruchomy, z woskową twarzą. Struzka krwi wypływała z jego uchylonych ust.

* * *

Czterysta sześćdziesięcioro dwoje dzieci w wieku od sześciu do piętnastu lat oglądało „spektakl burmistrza” w „Romance Theater”, w Filadelfii. Trzydzieścioro jeden umarło tej samej nocy.

Działo się to 5 sierpnia 1992 roku. Prezydent Bush w Waszyngtonie został powiadomiony o 19.30 czasu lokalnego.

* * *

W tej samej chwili w Tokio była 9.30 i już 6 sierpnia 1992 — czternastogodzinna różnica czasu dzieli bowiem Waszyngton i stolicę Japonii.

Mika Siergiejewicz Wasiljew wyszedł z jednej z wind ze szkła i stali do głównego hallu japońskiego Ministerstwa Handlu i Przemysłu, wszechwładnego MITI. Przed chwilą odbył dwugodzinną rozmowę z dyrektorem wydziału wyrobów chemicznych określanych mianem „produkcji o szczególnym znaczeniu”.

Lekko utykał na lewą nogę. Była to pierwsza jego cecha, jaka rzuciła się w oczy. Uwagę zwracała też cienka biała szrama, przecinająca jego brodę i będąca podobnie jak chromanie śladem po zasadzce, w którą wpadł wraz ze swymi ludźmi w górskim wąwozie w Afganistanie pewnego lutowego wieczoru 1986 roku. Odłamek pocisku artyleryjskiego rozerwał mu wówczas brzuch i biodra.

Innym uderzającym szczegółem wyglądu Miki były jego oczy. Ciemnoszare, żywe i niezwykle czujne, sprawiały wrażenie, że bezustannie rejestrują wszystko, co widzą. Precyzyjne jak komputer.

Poza tymi trzema cechami szczególnymi nic w nim nie przykuwało uwagi. Był stosunkowo wysoki, lekko przygarbiony, raczej blady. Miał na sobie antracytowszary garnitur o prostym kroju. W sumie — banalna postać.

A jednak Mika Siergiejewicz Wasiljew był prawdziwym fenomenem. Cudowne chłopię ery Gorbaczowa. W wieku trzydziestu pięciu lat został zastępcą dyrektora 3 Zarządu, najtajniejszej wśród tajnych służb radzieckich: GRU.

I z tego względu znaczna część odpowiedzialności za powodzenie

restrukturyzacji ekonomicznej Związku Radzieckiego — sławetnej pierestrojki — spoczywała na jego barkach.

W rzeczywistości pierestrojka Gorbaczowa powieść się mogła pod jednym jedynym warunkiem — przyspieszenia modernizacji kraju. A gdzie zdobyć szybko i minimalnym kosztem niezbędne do tej modernizacji technologie? U źródła, naturalnie. Na Zachodzie.

To właśnie było zadanie GRU: poszukiwanie i kradzież zachodnich technologii przy użyciu wszelkich możliwych środków.

Odbывała się prawdziwa gonitwa za technologiami, regularna obława; chwymano wszystko, co się dało. Z grubsza biorąc: tajne hasło dostępu do danych komputerowych NASA, Pentagonu i centrum badawczego w Los Alamos; hełm z optoelektronicznym systemem celowania — „Oko orła”; amerykańskie rakiety; norweskie boje badawcze, japońskie i norweskie frezarki ze sterowaniem cyfrowym typu MBP-110 do budowy bezszmerowej śruby napędowej do okrętów podwodnych; suche doki pływające i szwedzki system nawigacji bezwładnościowej. Długo by można jeszcze wyliczać...

Tropienie technologii przez GRU wymagało dwóch typów bohaterów. „Myśliwych wywiadu”, do których należał Mika, i „Ofiar”.

„Ofiary” rekrutowały się przede wszystkim spośród ludzi interesu, inżynierów i oficerów z Zachodu. Tych wabiono klasyczną „przynętą”: pieniędzmi, narkotykami, zaspokajaniem anormalnych potrzeb seksualnych.

Jeżeli idzie o „Myśliwych wywiadu” — agentów GRU — tworzyli oni na całym świecie rozbudowaną siatkę, w której współdziałali przedstawiciele radzieckich misji, zwanych dyplomatycznymi, kierownicy biur Aeroflotu i attache wojskowi. Wszyscy starannie dobrani i wyselekcjonowani z zachowaniem pełnej dyskrecji.

Tak właśnie było z Miką. „Odkryty” przez oficerów GRU podczas kampanii w Afganistanie, został pewnego pięknego dnia wezwany do „Akwarium” — moskiewskiego mózgu GRU.

Pierwszy wiceminister obrony, sam marszałek Achromiejew, przyjął go i przedstawił mu bogate perspektywy, które pierestrojka otwierała przed ludźmi tak młodymi i błyskotliwymi, jak on. Propozycja została przyjęta.

Po ukończeniu trzyletnich studiów w Wojskowej Szkole Dyplomacji, na wydziale służb specjalnych, i wielogodzinnych rozmowach z marszałkiem Achromiejewem Mika znalazł się w gronie czołowych „Myśliwych wywiadu”. Był najmłodszym wśród dowódców GRU. To była jawna część jego działalności.

Mika miał także inną funkcję, nieoficjalną. Towarzyszył marszałkowi

przy podejmowaniu wszelkich decyzji o charakterze strategicznym. W pewnym sensie był tajnym doradcą.

Obecnie wykonywał swe oficjalne zadania. 3 Zarząd GRU, za który odpowiadał, obejmował całą Azję, gdzie główny obiekt, ze względu na wysoki rozwój technologiczny w wielu dziedzinach, stanowiła Japonia.

Misja w Tokio powinna zająć mu dwa dni. Cel: wznowienie działalności tutejszych agentów, a przede wszystkim — uzyskanie, dzięki najwyższej rangi kontaktowi w MITI, licencji na eksport biotechnologii opracowanych przez spółki Tokyo Soda, Yamasa Shoyu i Yuki Gosei Kogyo.

Szklane drzwi w hallu MITI otwarły się przed Miką z lekkim szmerem. Na zewnątrz szarawe, wilgotne i smętne światło otulało miasto. Nad Tokio wisały gęste, ciemne chmury. Nadciągała burza monsunowa.

Przed budynkiem MITI, po chodniku alei Sakurada-dori, pośpiesznie przesuwał się tłum zagonionych „mrówek”. Niebieskie identyczne garnitury, spojrzenia wbite w ziemię. Mały mrówczy ludek pędzący do pracy.

Szybkim spojrzeniem odszukał oczekującą na niego limuzynę. Utorował sobie drogę wśród ludzkiego strumienia i rozsiadł się na tylnym siedzeniu wozu, który ruszył cicho i pojechał aleją Sakurada-dori w kierunku pałacu cesarza Japonii, Akihito, następcy Syna Słońca, Hirohito, 125 Potomka Nieba.

Mika odchylił głowę w tył, opierając ją o złotą skórę siedzenia. To spotkanie wykończyło go.

Od czasu skandalu Toshiba, który wstrząsnął archipelagiem, nic nie było łatwe w Japonii. Nawet wizyta towarzysza Gorbaczowa w 1990 roku w rzeczywistości nie poprawiła sytuacji. A konwencje podpisane na Malcie w 1989 roku, choć stanowiły oficjalne przypieczętowanie rozluźnienia między Wschodem a Zachodem, nie wpłynęły w pozytywny sposób na sytuację. COCOM, Zachodnia Organizacja Kontroli Eksportu Technologii do krajów wschodnich, jest ciągle równie nieustępliwa. Mice przypomniały się słowa Nikołaja Gusjewa, szefa biura Aeroflotu w Tokio, jednego z jego najbardziej zaufanych agentów. Gusjew miał rację: japońscy biznesmeni stali się bardzo ostrożni i nieufni. Żądali dyskrecji i... rekompensat.

Podczas dopiero co odbytego spotkania Mika zdołał ich usatysfakcjonować. Wymagało to wiele taktu, cierpliwości, a przede wszystkim — rozdysponowania sporych środków. Jak powiedział już w 1921 Lenin — wizjoner: „Kapitaliści gotowi są sprzedać nam nawet sznur, na którym ich powiesimy!”

W sumie było to raczej pocieszające. „Myśliwi wywiadu” mieli przed sobą jeszcze piękne dni. Myśląc o tym, Mika przymknął oczy. a lekki uśmiech zadowolenia pojawił się na jego ustach.

* * *

Rozmyślenia Miki przerwały przekleństwa miotane przez kierowcę, chwilę później samochód gwałtownie się zatrzymał. Otworzył oczy.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, był kościotrup wpatrujący się w niego pustymi oczodołami przez przyciemnioną szybę limuzyny.

Wyprostował się gwałtownie na siedzeniu i rozejrzał wokół. Kościotrupa otaczało dziesięć innych. Trzymały je w wyciągniętych rękach dzieciaki o umalowanych czarnym tuszem oczach i czołach przewiązanych białymi opaskami.

Limuzyna toczyła się teraz wolniutko wśród gromady dzieci.

— Co to takiego? — zapytał kierowcę Mika.

— Hiroszima, towarzyszu — padła odpowiedź.

— Co, Hiroszima?

— Dziś jest rocznica Hiroszimy.

„Rzeczywiście, uzmysłowił sobie Mika, jest 6 sierpnia. Bomba jądrowa, która zniszczyła Hiroszimą, wybuchła 6 sierpnia 1945 roku”.

Japonia nieprędko zapomni o trzynastokilatonowej bombie, która położyła kres II wojnie, unicestwiając w sekundę 70 tysięcy istnień ludzkich.

Pacyfistyczna manifestacja zbierała się w alei Sakurada-dori, przed obsadzonym cedrami i wypełnionym zapachem rzadkich olejków eterycznych parkiem otaczającym pałac Tenno.

Manifestanci defilowali wznosząc okrzyki „Gembaku!” — bomba atomowa, i „Pikadon!” — zagłada nuklearna. Ogromny, wypełniony helem balon o średnicy dwudziestu metrów unosił się nad ich głowami. Przedstawiał on żółto-czerwony Kinoko Gumo — grzyb atomowy.

Mika przez chwilę spoglądał w zamyśleniu na manifestację. Zastanawiał się nad ironią losu, która sprawiła, że dokładnie w 47 lat po zagładzie Hiroszimy świat stanął znów wobec groźby kryzysu o bezprecedensowych rozmiarach. Ludzie nie zapamiętali udzielonej im przez historię lekcji.

Wydostawszy się wreszcie z tłumu, limuzyna skierowała się w stronę Azabu-dori, do dzielnicy, w której mieściła się ambasada radziecka.

Mika wydal kierowcy krótkie polecenie:

— Nie wracamy do ambasady.

A w każdym razie, nie od razu. Przedtem musiał spełnić obietnicę.

Szło o przysięgę, którą złożył właśnie tu, w Tokio, przed dwudziestu dwu laty: o spotkanie wspomnień i przyjaźni. Dwadzieścia dwa lata!... Upłynęły dwadzieścia dwa lata nim nadarzyła się okazja, by powrócić do stolicy Japonii. Jego sprawy mogły trochę poczekać.

Limuzyna skręciła z alei Shinjuku-dori na prawo, wjeżdżając do Kabuchi-cho, „gorącej” dzielnicy Tokio, pełnej barów, kin porno, sex-shopów, teatrów erotycznych, sal gry w paczinko — japoński bilard elektryczny. Opuścili Kabuchi-cho i jechali jeszcze około dziesięciu minut, nim zatrzymali się w głębi ślepej uliczki.

Kierowca zwrócił ku Mice czerwoną, przekrwioną twarz bałtyckiego rybaka i powiedział z niepokojem w głosie:

— Dalej nie można jechać!

— Jesteśmy na miejscu.

Mika zabrał z tylnej półki kwadratową paczkę i pospiesznie wysiadł z wozu.

— Będę w trzecim domu po prawej — powiedział przechodząc obok kierowcy. — Czekaj tu... ale w razie jakichkolwiek problemów, powiadom mnie natychmiast.

Limuzyna wyposażona była w doskonały system telekomunikacji, pozwalający Mice na utrzymanie stałej łączności z ambasadą radziecką.

Kierowca widział, jak Mika utykając idzie po starych, zniszczonych schodach i znika w półmroku z paczką pod pachą. W okamgnieniu chmara brudnych i usmarkanych dzieciaków ze śmiechem otoczyła samochód. Powściągnął dreszcz odrazy i zablokował wszystkie drzwiczki.

Zszedłszy ze schodów, Mika zamknął oczy. Ujrzał siebie sprzed dwudziestu dwóch lat. Miał trzynaście lat... Wysokie, jęklive dźwięki shamizen* mieszały się z krzykami dziećmi. Charakterystyczny zapach ulicy, w którym czuło się pieprz, szafran, ryszotok i zgniłe owoce, zawładnął jego pamięcią.

Otworzył oczy stwierdził z przykrością, że realia bardzo się zmieniły. To, co przed dwudziestu dwu laty — w roku 1970 — było tradycyjną dzielnicą starego Tokio, przeobraziło się w dzielnicę nędzy, zbiorowisko byle jakich baraków, tekturowych pudeł i gruzu.

Mika zastukał w zardzewiałą blachę, służącą za drzwi w trzecim od schodów domu. Otworzyło mu dziecko, które uciekło natychmiast do środka, krzycząc z przerażenia. W chwilę później w drzwiach

*Rodzaj instrumentu przypominającego gitarę, o zróżnicowanej wielkości i szerokiej gamie dźwięków, bardzo popularny w Japonii. (Przyp. tłum.)

pojawiła się młoda, dwudziestoletnia kobieta. Po krótkiej rozmowie z Miką poprosiła go, żeby wszedł.

W izbie oddzielonej od innych pomieszczeń cienką, brązową zasłonką drzemał na macie starzec. Miał długie, przetłuszczone, siwe włosy, splecione w warkocz na plecach, i białą, rzadką bródkę. Kobieta wzięła paczkę z rąk Miki i położyła ją na kolanach starca, który drgnął i otworzył oczy. Ich spojrzenie było wyblakłe i puste jak spojrzenie martwej ryby.

Mika ukląkł i ujął jego dłoń. Zaskoczony starzec gładził białą, zadbaną rękę, badając w milczeniu każdą linię, każdy palec. Jego broda poczęła drgać.

— Kuma — powiedział patrząc prosto przed siebie. Z jego niewidzących oczu popłynęły łzy.

— Mistrzu Iwashi — odezwał się Mika. — Przecież obiecałem. Mika rozpakował paczkę spoczywającą na kolanach mistrza Iwashi, ujął dłoń starego nauczyciela i poprowadził ją po delikatnej płaszczyźnie z hebanowego drewna łączonego z macicą perłową. Była to plansza do gry go.

Go jest jedną z najstarszych gier planszowych. Legenda głosi, że pojawiła się ona w Chinach ponad 4000 lat temu. Niektórzy przypisują wymyślenie jej cesarzowi Shun. Inni uważają, że stanowi dziedzictwo zaginionej cywilizacji hinduskiej.

W każdym razie hipoteza o chińskim rodowodzie gry wydaje się najbardziej prawdopodobna, tak silnie przywołuje ona wszelkie symbole tradycyjnej filozofii chińskiej. Najpierw pionki: czarne i białe przedstawiają odpowiednio Jang i Jin, ciepło i zimno, pierwiastek męski i żeński. Potem cyfry, które odnaleźć można na planszy: są cztery rogi, jak cztery pory roku, siedemdziesiąt dwie linie przecięcia na obrzeżach, jak tyleż lat dobrze wypełnionego życia mędrca, i trzysta sześćdziesiąt jeden pól dzielących powierzchnię, jak trzysta sześćdziesiąt jeden dni roku księżycowego.

Z Chin gra przywędrowała w VII wieku po narodzeniu Chrystusa do Japonii, gdzie odniosła ogromny sukces na dworze cesarskim. Została nawet uznana za „grę cesarską” wraz z Malarstwem, Kaligrafią i Grą na harfie.

Według Honinbo Sansy, pierwszego wielkiego mistrza *go*, zmarłego w 1623 roku, jest to „gra idealna”. Cechują ją proste reguły, kamienie o identycznej wartości, głębia myślowa, bezsporna elegancja i liczne

kombinacje, których liczbę mistrz Sansa uważał za nieskończoną. Prawdą jest, iż liczba możliwych w tej grze konfiguracji jest imponująca: 10 do potęgi 761! 10 z 761 zerami!

Jak podkreślał mistrz Sansa, zasada *go* jest niezwykle prosta. Gra dwóch graczy na planszy *go-ban*, podzielonej dziewiętnastoma liniami pionowymi i tylomaż poziomymi.

Na początku gry *go-ban* jest pusta. Każdy z graczy kolejno kładzie na przecięciu linii jeden kamień — odpowiednio biały lub czarny.

Raz umieszczony kamień pozostaje na miejscu. Nie można go przemieszczać z jednego punktu przecięcia na drugi. W tym tkwi istotna różnica między *go* a pozostałymi grami planszowymi — szachami i warcabami.

W ten sposób kamienie układają się powoli w łańcuchy i wyznaczają zdobyte terytoria.

Go jest w swej istocie grą o terytoria. Każdy z graczy usiłuje otoczyć wolną przestrzeń, która staje się wówczas jego własnym terytorium, lub wszystkie punkty przecięcia wokół zajętych już przez kamienie przeciwnika. W ten sposób działałaby policja, chcąc zamknąć w okrążeniu złodzieja na skrzyżowaniu.

Sytuacja policjantów i złodzieja pozwala łatwiej zrozumieć na czym polega uwięzienie kamieni w grze *go*.

Każdy kamień porównać można z człowiekiem stojącym na środku skrzyżowania. Człowiek ten widzi najwyżej cztery ulice wokół siebie. Nazwijmy te cztery ulice jego „wolnościami”. Jeżeli człowiek ów tropiony jest przez policję, pozostaje wolnym i ma możliwość ucieczki tak długo, jak długo jedna z dróg jest wolna. Skoro jednak policja zablokuje wszystkie cztery wyjścia, jest więźniem.

Uwięzione w ten sposób kamienie uważane są za martwe. Zostają usunięte z *go-banu*.

Schwytanie jednak nie jest głównym celem gry. Podstawową zasadę stanowi okrążenie, jak wskazuje przekład chińskiej nazwy *go*. *Wei-chi*: leci dla okrążenia.

Partię *go* uważa się za zakończoną, gdy żaden z graczy nie może już wyznaczyć terytorium ani brać nowych więźniów. Zwycięzcą jest ten, kto zdobył większe teryt

Wojna jest grą go, której reguły niepotrzebnie skomplikowano.

Który z wielkich mistrzów wypowiedział te słowa? Nie dziwiłoby, gdyby był nim dwunasty oficjalny wielki mistrz w historii *go*, który tchnął w grę ducha walki.

Kimkolwiek był jej ojciec, sentencja ta ujawnia bezdyskusyjne więzi, które zawsze łączyły *go* z władzą i walką. *Go* pomagało samurajowi na polu walki, a w Chinach uważano je za formę nauczania sztuki rządzenia oraz zasad wojny.

Znacznie później, około roku 1950, *go* podbiło Europę i Zachód. Najpierw ograniczało się do wąskich kręgów wtajemniczonych, jak koło Roubauda i Pereca we Francji, ale od początku lat osiemdziesiątych robi prawdziwą furorę w środowiskach rządzących, wśród polityków, strategów przemysłowych, w uniwersytetach, jak Berkeley i California, a także w kołach dyrektorskich handlu i finansów.

Go bowiem, poprzez różnorodność sytuacyjną, przez nieustanny ruch, przez nieoczekiwane zwroty sytuacji, przez tysiąc jeden forteli, do użycia których zmusza, poprzez równość szans, jakie daje przeciwnikom na początku, tworzy niemal idealny model symulacji i treningu dla wszystkich aktorów niepewnej walki o władzę i

Czy to przelotny kaprys, czy autentyczna potrzeba — ludzie stojący u steru władzy i przedsiębiorstw coraz częściej zapewniają sobie usługi mistrza *go*, jak czynili to niegdyś wódzowie feudalnych wojsk chińskich.

Oto czemu, uwiedziony przez oryginalną, nieco wizjonerską osobowość Miki, marszałek Achromiejew uczynił go osobistym doradcą.

Nie będąc obecnie gwiazdą *go*, Mika posiadał jednak ósmy *dan*, przedostatni stopień w hierarchii graczy. Zdobywał najświetniejsze tytuły: mistrza Europy w 1976, wicemistrza i mistrza świata amatorów w 1978 roku.

I gdyby wojna afgańska nie oderwała go od oficjalnych rozgrywek, byłby pierwszym Rosjaninem, który wszedł do historii jako zwycięzca Meidżin, najbardziej prestiżowych zawodów *go*.

Zresztą w koreańskich, chińskich i japońskich kręgach graczy *go* doskonale pamiętano Rosjanina, którego nazywano „Komputerem”, zdolnego zarejestrować w pamięci dziesiątki tysięcy partii i miliony rozmaitych kombinacji. Ten dar umożliwił mu określenie jednym rzutem oka fazy gry i przyszłych posunięć przeciwnika. Na tym poziomie zakrawało to na czystą intuicję.

Owa niezwykła zdolność zwróciła uwagę Milana Zapotockiego z Pragi, sponsora Go Organisation Committee, składającego przyjacielską wizytę w ryskiej szkole sportowej, gdzie dwunastoletni Mika uznawany był za ogromną nadzieję szachową.

Go natychmiast przypadło do gustu małemu Mice.

W 1970 Zapotocky wysłał chłopca do Tokio na sześciomiesięczny

staż u największego żyjącego mistrza — Honinbo Iwashi, mistrza gry kosmicznej, który zrewolucjonizował początek rozgrywki.

Iwashi był niewątpliwie najbardziej uzdolnionym graczem XX wieku.

* * *

Mistrz Iwashi przedstawił Mikę młodej kobiecie i śmiejąc się dźwięcznie dodał:

— Wiesz, Takado, to mój najlepszy uczeń. Najlepszy, ale i najdzikszy spośród wszystkich... Przypominam sobie, że niemal nigdy się nie odzywał. Godzinami zajmował się wyłącznie grą. Nigdy się nie uśmiechnął. Wiesz, jak nazywali go inni uczniowie? Kuma, niedźwiedź.

Porównanie człowieka z niedźwiedziem rozbawiło Takado. Roześmiała się lekko, przysłaniając ręką usta.

Mika-Kuma siadł na leżącej na podłodze podziurawionej macie i postawił szachownicę do gry w *go* między sobą a mistrzem Iwashi.

Dwaj najlepsi na świecie gracze *go* — mistrz i uczeń — mieli zmierzyć się w walce przyjacielskiej, lecz nieustępliwej. Od dwudziestu dwóch lat w sercach pieścili jak najdroższy sekret myśl o tej partii, którą rozegrają, gdy dane im będzie ponownie się spotkać.

— Kumo, czy chcesz handicap pięciu kamieni? — zadając to pytanie mistrz Iwashi nie mógł powstrzymać cichego chichotu.

Ironiczna uwaga starego mistrza wywołała uśmiech na twarzy Miki. System handicapów pozwalał parze nierównorzędnych graczy stoczyć sprawiedliwą i ciekawą

Zanurzył rękę w miseczce wypełnionej białymi kamieniami. Mistrz oznajmił:

— Ścieżka nieparzystą!

Układając kamienie parami Mika szybko przeliczył je na dłoni. Miał ich trzydzieści pięć. A więc liczbę nieparzystą. Mistrz odgadł trafnie, to on miał zacząć. Czarnymi kamieniami.

Grali przez cztery godziny bez przerwy. Mika informował o swych posunięciach mistrza, ten zaś rejestrował w pamięci przebieg rozgrywki. Znajdowali się poza czasem i przestrzenią, bez reszty pochłonięci wspólną pasją. Powiadają, że jeden z pierwszych wielkich mistrzów koreańskich oraz jego uczeń ponieśli śmierć w płomieniach, zajęci grą w *go*. Podanie głosi, że ani nie spostrzegli płomieni, które ogarniały ściany, ani nie usłyszeli krzyków sąsiadów.

Go to narkotyk dla duszy.

— Uważaj, Kumo — odezwał się nagle mistrz. — Ruch, który wykonałeś, niegodny jest posiadacza ósmego *dana*. Zmarnowałeś dwa posunięcia, aby zacieśnić obronę. Nie pozostaje to we właściwej relacji do przeprowadzonego przeze mnie ataku.

Mika nie odpowiedział.

— Nie przywykłem u ciebie do takiego braku rozważli. Co się dzieje, Kumo?

— Nic, mistrzu. To wzruszenie.

— Nie, Kumo. To coś innego.

— Tak, to coś innego — odrzekł Mika unosząc głowę. — Świat stanął nad przepaścią. Dwaj wielcy zmierzają wprost do starcia. A to już nie gra na *go-banie*, tam niestety pionkami są ludzie.

Mistrz milczał. Westchnął i poprosił Mikę o umieszczenie za niego czarnego kamienia w jednym z punktów *go-banu*.

Po serii ruchów wykonanych w absolutnej ciszy rozbrzmiał ponownie głos mistrza.

— Dobrze, Miko. Poczyniłeś dalsze postępy. Twoje poświęcenie pozwoliło przemienić grupę martwych pionków w fortecę nie do zdobycia. — Wypił łyk herbaty i dodał: — Wiesz, Miko, pewnego dnia uczynię jak moje oczy, obrócę się w proch. Mogę cię jednak zapewnić, że odejdę szczęśliwy. Żaden gracz w świecie nie wzbudzi w tobie lęku.

Mika uśmiechnął się po raz pierwszy od początku partii. Ufność starego mistrza wzruszała go do głębi serca. Wiedział jednak, że istnieją lepsi od niego gracze. Zwłaszcza jeden, Afgańczyk, mieszkający gdzieś w Libii. Graczem tym był Golbudin

Niegdyś, w Moskwie, ów młody Afgańczyk był jego przyjacielem, uczniem, prawie bratem. Uczył go, podobnie jak jego przed blisko piętnastu laty uczył mistrz Iwashii.

Los nie pozwolił nigdy Golbudinowi przekroczyć szczebla szóstego *dana*, Mika jednak wiedział, że Afgańczykowi należy się miejsce w dziesiątce najlepszych graczy świata. Niezwykle uzdolniony, błyskotliwy, twórczy i nieobliczalny Golbudin lepiej niż ktokolwiek inny potrafił zaskoczyć i zbić z tropu przeciwnika genialnymi posunięciami.

Rozmyślenia Miki przerwał głuchy odgłos natarczywego dobijania się do blaszanych drzwi. Kobieta poszła otworzyć. Za drzwiami stał gruby kierowca limuzyny. Wszedł do pokoju rozglądając się wokół z dezaprobatą i podał Mice kartkę z wiadomością.

Skrepowany wtargnięciem swego kierowcy Mika wziął kartkę i wyraźnie rozdrażniony przebiegł ją wzrokiem. Gdy czytał, krew uciekła mu z twarzy.

— Mistrzu, muszę natychmiast wyjść — powiedział głosem zdradzającym napięcie.

— Ależ, Kumo, dopiero co zaczęliśmy...

Mika z czułością popatrzył na twarz starego mistrza, jakby chciał utrwalić jej obraz w pamięci. Pochylił się i uściśnął starca. Potem podał kobiecie plik jenów, które miał w kieszeni płaszcza, i wyszedł pośpiesznie. Kierowca ruszył w ślad za nim.

Na zewnątrz raz jeszcze przeczytał wiadomość z kartki. Zapisano na niej szyfr: „G*3517”.

Dla Miki równało się to natychmiastowemu powrotowi do Moskwy. Marszałek Achromiejew potrzebował go, i to szybko. W obecnej sytuacji oznaczało to, że wybuch konfliktu między Dwoma Wielkimi był bliski — gorzej — nieunikniony.

Jeden po drugim rozległo się kilka grzmotów, zupełnie jakby tokijskie niebo na swój sposób chciało zasygnalizować kryzys ogarniający świat. Monsun. Burza była nad nimi. Nagle niebo nad miastem rozdarło się. Mika wznosił twarz, chcąc poczuć tropikalną ulewę. Duże krople spadły na kartkę, zmywając druk teleksu. Mika zmiął ją i rzucił pod nogi do rynsztoka, który wezbrał nagle strugami czarnej wody.

Stał przez chwilę w zamyśleniu spoglądając na unoszącą się wśród odpadków kulkę papieru. Wojna stała się faktem, a on nie umiał pogodzić się z myślą o tym.

Skinął wreszcie głową na przemoczonego od stóp do głów kierowcę, żałośnie sterczącego w pozycji na baczność. Biegiem pokonali schody, u stóp których stała limuzyna.

2

Broń pierestrojki

Wiemy już, że nie możemy zniszczyć ich maszyn; musimy więc zniszczyć ich samych.

H.G. Wells, *Wojna światów*

Moskwa, Kreml, dokładnie sześć miesięcy wcześniej — 6 marca 1992

Przekraczając szybkim krokiem szeroką bramę Wieży Borowickiej w kształcie piramidy zwieńczonej rubinową gwiazdą, Mika nigdy nie pomyślałby, że w wyniku niespodziewanego zebrania, na które został wezwany, świat przemieni się w beczkę prochu grożącą wybuchem w parę miesięcy później.

Stadko kawek tkwiących na czubkach nagich drzew niczym czarne kule obserwowało go, gdy szedł ku Wielkiemu Pałacowi Kremlowskiemu. Pod jego stopami skrzypiał śnieg.

Myśli Miki zaprzętały dwie sprawy. Przede wszystkim spóźnił się, a nie znosił tego. Poza tym tajemnica, jaką otaczano zebranie, budziła w nim niepokój. Nie potrafił wytłumaczyć sobie, czemu marszałek Achromiejew, którego osobistym doradcą był od roku, nie poinformował go wcześniej. Nie zwykł tak postępować.

Gdy przechodził przed potężną sylwetą Spasskiej Wieży, Wieży Zbawiciela, uderzyły dzwony. Była siedemnasta. Mika miał już piętnaście minut spóźnienia. Przyspieszył kroku i niemal wbiegł do wnętrza Wielkiego Pałacu, siedziby Rady Najwyższej ZSRS i Rady Najwyższej Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Jego kroki odbiły się echem w labiryncie korytarzy, których barokowy, mistyczny wystrój był dziełem niemieckiego architekta Constantina Thona.

Zatrzymawszy się przed masywnymi, drewnianymi drzwiami Sali Gorkiego zacerpnął tchu, śledzony baczny okiem dwóch zaintrygowanych pretorianów, i

Sala Gorkiego była ogromną, o wymiarach dziesięć na dwadzieścia metrów, wystawną salą, w charakterystycznym, przeładowanym stylu, szczególnie cenionym przez starą wiarę partyjną — czy jak powiedziałby Gogol — „martwe dusze”.

Salę Gorkiego przeobrażono tymczasowo w salę konferencyjną. Na środku ustawiono duży, nakryty purpurowym sukrem stół. Mika zauważył, że nie zapalono świateł. Twarze zebranych tonęły w mroku zapadającej właśnie zimowej nocy.

Jednym rzutem oka odnalazł potężną sylwetkę marszałka Achromiejewa, wiceministra obrony i szefa sztabu. Próbował także twarzom innych zasiadających wokół stołu przyporządkować nazwiska.

„Ten to Dołżyk, sekretarz Politbiura, odnotował w myśli Mika. Ten z siwą głową to generał armii Jewgienij, dyrektor wojskowego laboratorium badawczego w Swierdłowsku. Spotykam go po raz drugi. A ten ostatni, tam, to Iwanow, szef KGB. Nie przedstawiono nas sobie nigdy, ale marszałek Achromiejew wystarczająco często mnie przed nim przestrzegał. Jego niechęć do GRU jest legendarna”.

Wokół stołu zasiadły cztery najważniejsze osobistości w państwie. W półmroku Mika natrafił na pełne wyrzutu spojrzenie Achromiejewa. Szybko zajął miejsce na wprost Iwanowa.

Marszałek odchrząknął i wstał.

— Towarzysze... — powiedział tonem poważnym, ale łagodnym.

Zawiesił głos chcąc, by słowo dłużej brzmiało w dużej sali, jakby miał nadzieję, że w komunistycznym kraju ma ono jeszcze dla kogokolwiek znaczenie.

— Towarzysze — podjął — pragnę zwrócić waszą uwagę na szczególny charakter tego zebrania. Żadne ze słów, które padną w tej sali, nie może wydostać się poza jej ściany. Żądam zachowania pełnej tajemnicy. W przeciwnym razie...

Marszałek nie dokończył zdania, wszyscy jednak zrozumieli aluzję.

— Towarzysze — powiedział po raz trzeci — projekt, który dzisiaj przedstawię, stanowi część strategii prowadzonej już od siedmiu lat przez towarzysza sekretarza generalnego, prezydenta Gorbaczowa, przywódcę Związku Sowieckiego.

Mika uśmiechnął się w głębi ducha. Sześćdziesięcioośmioletni marszałek Achromiejew należał do garstki wiernych, którzy bez wytchnienia wspierali Gorbaczowa w walce o władzę. Odczuwał wobec kremlowskiego wodza iście religijną cześć i nie tracił najmniejszej okazji, by mu ją okazać.

— Proszę pozwolić mi przypomnieć kontekst polityczny i ekonomiczny tego projektu. Naszej pierestrojce zagrażają trzy zasadnicze

niebezpieczeństwa. Przede wszystkim konflikty społeczne i strajki, czego dowodzą zaistniałe ostatnio problemy z kopalniami. Następna kwestia to podniesienie poziomu naszej deficytowej gospodarki cierpiącej na ciągłą niewydolność. I wreszcie ostatnia groźba, która zawisała nad integralnością Związku Sowieckiego, to problem mniejszości narodowościowych, od Uzbekistanu po Azerbejdżan oznajmiający upadek ślepej i archaicznej biurokracji.

Zapadła nabrzmiała, pełna zakłopotania cisza. Wyjąwszy Mikę wszyscy uczestnicy zaznali władzy już w latach drewnianej mowy, przede wszystkim w czasach breżniewowskich. Nie umieli pogodzić się z surowością i realizmem używanego przez marszałka języka głośności. Po rosyjsku głośność oznacza „mówić pełnym głosem”, podawać do publicznej wiadomości”. Była to kwestia przyzwyczajenia...

— Są to zagrożenia wewnętrzne — ciągnął marszałek. — I jest na nie tylko jedno lekarstwo, jedno jedyne. — Pieniądze.

Dreszcz przebiegł zebranych. Marszałek przełamał kolejną barierę. Teraz godził w fundamenty komunizmu. Wziął na celownik samego Marksa.

— Tak, właśnie, pieniądze — powtórzył. — Rozwiązują wiele problemów: od braków w zaopatrzeniu sklepów spożywczych po Walkę z alkoholizmem w wielkich miastach. Nasz kraj nie może DŁUŻEJ poświęcać jednej piątej swego budżetu na zbrojenia. To za dużo. Dlatego też przywódca Kremla, towarzysz Gorbaczow, prowadzi zdecydowaną politykę rozbrojenia. Zachowaliśmy wszyscy w pamięci sukcesy tej polityki: od wycofania naszych oddziałów z Afganistanu po destrukcję SS 20 w wyniku podpisania ze Stanami Zjednoczonymi dwustronnego traktatu o rozbrojeniu. Do tego dodać należy, że obecne odprężenie sprzyja transferowi technologii, organizowanemu przez towarzyszy z GRU. — Marszałek przesłał Mice porozumiewawcze spojrzenie. — Ale rozbrojenie jako takie ma w sobie zarodki ogromnego niebezpieczeństwa: demoralizacji kraju, a co za tym idzie — osłabienia naszych sił w stosunku do sił zachodnich.

W półmroku rozległ się wibrujący śmiech Iwanowa.

— To oczywiste. Ten, kto się rozbraja, staje się wcześniej czy później słabszy od wroga!

— Doskonale rozumiem, towarzyszu Iwanow — odpowiedział Micho marszałek. — Wiemy jednak, jak zapobiec narastaniu spirali rozbrojenia. Mamy broń zastępczą, którą niedawno nauczyliśmy się doskonale władać. To broń, która nie może być wykryta, mimo wzmoczonych w okresie rozbrojenia kontroli. Ponadto broń ta nic nie

kosztuje i jej użycie nie stanowi najmniejszego zagrożenia dla atakującego. Poza tym nikt nie będzie w stanie ustalić, kto jej użył...

— Po prostu idealna broń! — parsknął śmiechem Iwanow. — To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. — Szef KGB podejrzliwie spojrzął na Mikę. — Załóżmy jednak, że tak jest. Czy my, tu zebrani, godni jesteśmy zaufania?

Marszałek zrozumiał insynuację i zwracając się przede wszystkim do Iwanowa powiedział:

— Oto towarzysz Wasiljew. Obarczyłem go „repatriacją” technologii, które będą niezbędne, by doprowadzić projekt do fazy końcowej. Chodzi przede wszystkim o komputery, oprogramowanie symulacyjne, inżynierię molekularną, a także o eksperymentalne patenty. Agenci towarzysza Wasiljewa rozpoczęli już pracę w Japonii, która osiągnęła w tej dziedzinie zdecydowanie najwyższy poziom. Towarzysz Wasiljew jest już od miesiąca zastępcą szefa 3 Zarządu GRU.

Wzmianka o GRU wystarczyła, by Iwanow natychmiast ujrzał w Mice wroga.

Anton J. Iwanow — sześćdziesięcioczeroletni tęgi mężczyzna, fanatyk pracy i amator hawańskich cygar — od czasu gdy w 1987 roku stanął na czele KGB, bez chwili wytchnienia dążył do przejścia wywiadowczych funkcji GRU, przede wszystkim poprzez wzmocnienie sławetnego X Wydziału KGB, zajmującego się szpiegostwem przemysłowym. (Zaznaczyć należy, że opracował metody walki „pod Andropowem”, będąc przez szesnaście lat szefem wywiadu za granicą).

Prowadził prawdziwą walkę o władzę. I prowadził ją z tym większą gwałtownością, że uprawnienia KGB znalazły się pod ostrzałem Gorbaczowa. Przywódca Rady Najwyższej nie chciał już tego „państwa w państwie”, jakim stało się KGB.

Iwanow stawiał czoło wszelkim przeciwnościom, chcąc utrzymać potęgę swego imperium. GRU było jego wrogiem numer jeden... GRU, które rozszerzało zasięg swej władzy z każdym dniem, aż po objęcie kontroli nad osławionym Specnazem, owymi elitarnymi jednostkami, które w razie kryzysu zająć się miały likwidacją newralgicznych ośrodków państw zachodnich, z zastosowaniem sabotażu i terroryzmu.

— Czy są pytania do towarzysza Wasiljewa? — zapytał marszałek Achromiejew.

Generał Jewgienij przecząco pokręcił głową, a sekretarz Politbiura jak zwykle milczał. Mimo panującego w sali półmroku Mika spostrzegł, że ostatni z zebranych, Iwanow, spuścił oczy.

— Dobrze — powiedział marszałek Achromiejew. — Powód obecności wśród nas towarzysza Wasiljewa został wyjaśniony.

Mika uśmiechnął się w duchu. Marszałek nie powiedział wszystkiego. Prawdziwym powodem jego obecności przy stole konferencyjnym była funkcja doradcy marszałka do spraw strategii.

Mimo swych sześćdziesięciu siedmiu lat, mimo wieloletnich poświęceń dla partii i bezkompromisowej postawy, marszałek zachował niezwykłą żywość umysłu. Po krótkich objaśnieniach Miki szybko pojął strategiczne znaczenie gry w *go*. Gra ta stanowiła w istocie jedyny poważny wzór do analizy sytuacji Wschód—Zachód w epoce odprężenia i rozbrojenia. Wraz z rozpadem bloku socjalistycznego, otwarciem granic, ożywieniem wymiany, a także wobec nieustannych badań globu ziemskiego przez satelity, szachownica świata uległa zmianie. Toczyła się na niej gra precyzyjnych informacji, gra, podczas której każdy z uczestników w każdym momencie dokładnie znał pozycję przeciwnika.

Wysłuchawszy wyjaśnień Miki marszałek szybko zorientował się, że Związek Sowiecki od wielu lat stosuje — nie zdając sobie z tego sprawy — reguły *go*.

„To musi być dziedzictwo mentalności wschodniej” — stwierdził w rozmowie z Miką. „To kwestia przestrzeni” — odpowiedział Mika. Według niego ogromne, bagniste równiny i wielkie obszary imperium radzieckiego pchnęły człowieka do myślenia raczej o zdobywanej przestrzeni aniżeli o liczbie żołnierzy.

Związek Sowiecki przyjmował zawsze, czy to spontanicznie, czy intuicyjnie, strategię wzorowaną na *go* — dążył do stworzenia pośrednio lub bezpośrednio stref wpływu poza granicami.

Przykłady? Nękanie potęg zachodnich przez grupy terrorystyczne, które Związek Sowiecki uzbrajał, dążenie do zafascynowania społeczeństw zachodnich ruchami pacyfistycznymi, które finansował, podsycanie gorbionian w USA, sterowany upadek dyktatur socjalistycznych, jak w Rumunii itp. Aż po objęcie władzy przez Gorbaczowa, czyli szczególnie interesującą partię *go*, rozegraną z finezją i brawurą. Rosnący wpływ Gorbaczowa w Politbiurze? Grupa czarnych kamieni, jego ludzi, których zręczne rozstawienie równoważyło potęgę „martwych dusz” — partyjnych konserwatystów. Uchylenie artykułu 6 konstytucji, gwarantującego monopol polityczny KPZR? Nawiazano W sprzyjającym momencie łączność między najwierniejszymi spośród czarnych kamieni. Wołanie o pomoc w ratowaniu pierestrojki skierowane do zachodnich demokracji? Sposób powściągnięcia zapędów Całych kamieni — Zachodu — które wciskały się trochę za bardzo W wyrwy powstałe po zburzeniu muru berlińskiego i w rezultacie sukcesywnej „demokratyzacji” Polski, Czechosłowacji, Rumunii itd.

Wytyczono więc krajom zachodnim granicę, którą stanowić miała groźba: „Jeżeli Gorbaczow zostanie odsunięty od władzy, nastąpi upadek pierestrojki. A w razie wojny domowej w bloku socjalistycznym. Zachód może wiele stracić. A więc uwaga — żadnych gwałtownych »ruchów«„

Czarne kamienie utworzyły prawdziwy bastion w centrum szachownicy. Kolejne posunięcia wydawać się mogły mało spójne i pozbawione głębszego związku. Tymczasem utkały między newralgicznymi punktami gęstą sieć, którą w każdej chwili można było uczynnić, by porazić wroga.

W *go* takie punkty nazywa się „Oczyma”. Zachód absolutnie nie zrozumiał tej strategii. Trwał jeszcze ciągle przy zliczaniu klasycznych punktów starcia: człowiek przeciw człowiekowi, rakietą przeciw rakiecie, czołg przeciw czołgowi. Potęgi zachodnie spały spokojnie, myśląc o swych oddziałach i liczbie rakiet.

Tymczasem reguły gry uległy zmianie. Zwycięzać oznaczało teraz zająć na szachownicy świata więcej pól. Można to było osiągnąć jedynie w wyniku długiej rozgrywki i wytrwałego oblężenia.

Ta „rewolucyjna” wizja walki i polityki to był Mao, Wielki Sternik, który zastosał je jako pierwszy podczas Długiego Marszu w 1935 roku. I nic naturalniejszego — *go* wywodziło się z Chin. Tradycja pozostawała nadal żywa. Wszyscy pamiętają długie manewry oskrzydłujące przeprowadzone przez chińskich przywódców dla zdławienia rewolty studentów w 1989 roku. Plac Tien-an-Men przeobraził się wówczas w gigantyczny *go-ban*...

Marszałek Achromiejew włączył trzy ogromne żyrandole Sali Gorkiego. Czarne, blisko osadzone oczy Iwanowa skorzystały z tego, by przy świetle szybko, ale dokładnie zlustrować Mikę, potem zaś zwróciły się ku marszałkowi, który ciągnął:

— Raz jeszcze podkreślam, że konieczne jest utrzymanie w ścisłej tajemnicy tego projektu. Jakikolwiek przeciek informacji zniweczyłby wysiłki towarzysza Gorbaczowa wobec Stanów Zjednoczonych. Ostatnia rada: ponieważ nie wszyscy członkowie Politbiura popierają pracę nad tą nową bronią, proszę o zachowanie czujności wobec najbliższych współpracowników.

Achromiejew kolejno spoglądał na twarze wszystkich zebranych, jakby chciał zamknąć krąg milczenia. Po chwili podjął:

— Opanowanie tej broni, niezbędne w dzisiejszych czasach, pozwoli nam uzyskać decydującą przewagę nad Zachodem. Według informacji pochodzących z naszych najlepszych źródeł Zachód, a szczególnie Stany, nie pracuje już nad doskonaleniem tego rodzaju broni. Trzeba

powiedzieć, że potęga ich środków przekazu stanowi poważną przeszkodę w badaniach. Gdyby zachodnie media dowiedziały się, nad czym pracuje się w amerykańskich laboratoriach, wybuchłoby bez wątpienia drugie Watergate. Ale dość już powiedziałem... Marszałek zwrócił się do generała Jewgienija.

— Pragnę przedstawić prawdziwego bohatera dnia, generała Jewgienija, dyrektora tajnego laboratorium P4 w Swierdłowsku.

Generał Jewgienij podniósł się powoli. Mika zauważył, że lewy rękaw jego wojskowej marynarki zwisał pusty.

Rana i amputacja ramienia w okresie wydarzeń 1957 roku, podczas których uciekano się także do przemocy, by przywieść do rozsądku przeciwników Chruszczowa — nie przeszkodziły generałowi w chlubnej służbie przez półwiecze historii ZSRS i w osiągnięciu poufnego, lecz poważanego stanowiska.

— Drodzy towarzysze — powiedział chropowatym głosem, kontrastującym z wyważonym tonem Achromiejewa — jak oznajmił wam marszałek, władamy od niedawna bronią, którą nazwaliśmy B 01. Musimy teraz wypróbować ją w naturalnych warunkach, na ludności cywilnej. Odbędzie się to w miasteczku Podorsk, koło Urgienczu w Uzbekistanie.

W sali zapanowała dziwna cisza. Nikt z siedzących wokół stołu nie wymazał jeszcze z pamięci katastrofy w Czarnobylu ani wstrząsu, jakiego doznało wówczas radzieckie społeczeństwo. Widząc pełne wątpliwości spojrzenia słuchaczy, którym aż trudno było uwierzyć w coś równie niewyobraźnego, Jewgienij ciągnął:

— Ten test w naturalnych warunkach jest niezwykle istotny dla poznania B 01. Musimy bezwzględnie wypróbować nasze środki rozprzestrzeniania broni i... wiele innych rzeczy.

Mice wydawało się, że śni. Jak to? Jewgienij chciał ich przyzwolenia na wyprobowanie broni — niechby szło nawet o broń przyszłości — na obywatelach radzieckich? Z humanitarnego punktu widzenia było to potwornością. Z politycznego — nieobliczalnym w skutkach błędem: kresem pierestrojki. Oznaczało podburzenie całego Uzbekistanu! Gorbaczow w żadnym razie nie mógł pozwolić sobie na drugi Czarnobyl, tym razem w dodatku spowodowany świadomie!

— Przepraszam, towarzyszu Jewgienij — zapytał — ale jeśli dobrze zrozumiałem, ma pan na myśli... zgładzenie ludności cywilnej?

— Ależ skąd! — wykrzyknął generał potrząsając grzywą siwych Włosów. Gestowi temu towarzyszył brzęk dwunastu odznaczeń i ośmiu Medali przypiętych do jego piersi. — Proszę wziąć pod uwagę, że w pełni panujemy nad tą bronią. Zastosujemy... jak by to powiedzieć,

symulator, zupełnie niegroźny, pozwalający ocenić wrażliwość cywilnej populacji na tego typu atak. Idzie o znacznie osłabiony wariant B 01, nazwany przez nas B 02, który wywołuje tylko... nieznaczne skutki.

Marszałek Achromiejew podziękował Jewgienijowi i zwrócił się do Iwanowa. Na tym etapie realizacji projektu żadna poważna decyzja nie mogła zapaść bez poparcia KGB.

— Czy zastosowano wszelkie środki ostrożności, Iwanow?

— Absolutnie wszystkie — odpowiedział Iwanow. — Dla całkowitej pewności dokonaliśmy nawet narzucających się zmian.

Szef KGB podtrzymywał w ten sposób tradycję.

W Partii nie używano słowa „dymisja”. Osoba zostawała zastąpiona lub zmieniała się. Marszałek Achromiejew spuścił wzrok wobec cynizmu Iwanowa. Zbyt dobrze wiedział, jakich spustoszeń potrafi dokonać szef KGB. Trzeba było jednak przez to przejść — od tego zawisło zachowanie projektu B 01 w tajemnicy.

— Towarzysz Jewgienij — powiedział marszałek — omówi teraz techniczne warunki stosowania broni B 01 oraz test osłabionej wersji B 02.

I Jewgienij rozpoczął zagmatwane i przerażające wywody.

Libia, uniwersytet w Benghazi

Marzec 1992 roku był wyjątkowo ciepły. Temperatura opadała nieznacznie tylko późną nocą. I wówczas jednak słupek rtęci wskazywał nie mniej niż 35°C.

Nawet nocne świerszcze, zwykle tak hałaśliwe, zamilkły, udrećzone upałem. Na uniwersytecie panowała cisza — do wnętrza solidnych gmachów z epoki Mussoliniego nie docierał żaden hałas.

Była trzecia nad ranem.

Jak zawsze od pięciu już lat o tej właśnie porze, Golbudin Kalzai obudził się i poderwał złany potem, ze ściśniętym gardłem. Przyśnił mu się ten dziwny koszmar, który dręczył go noc w noc — wydma koloru i wielkości wydm otaczających uniwersytet zasypywała na jego oczach całą jego rodzinę: ojca, matkę i dwie siostry. Aby odpędzić nocne zjawy, wstał, podszedł do okna swego małego pokoiku i oparł się łokciami o parapet.

Golbudin przypominał nieco nawiedzzonego, średniowiecznego uczonego: był mały i krępy, nosił okulary o dwuogniskowych szklach, a przedwczesną łysinę z dwu stron okalały kępki czarnych, najeżonych włosów. Miał trzydzieści pięć lat, wyglądał jednak o dziesięć lat starzej.

Wciągnął haust wilgotnego, przesyconego solą powietrza, na-

plywającego od pobliskich lagun. W mroku bezksiężycowej nocy przed jego oczyma rysowały się nieruchome wierzchołki eukaliptusów uniwersyteckiego parku. Stał tak przez długą chwilę, próbując otrząsnąć się z koszmaru, potem wrócił do łóżka, uniół materac i wyciągnął beżową, papierową kopertę nadszarpniętą zębem czasu.

Koperta zawierała dziesięć fotografii. Wyjął dziewięć z nich i rozłożył na łóżku. Pamiątki szczęśliwych lat w Kabulu...

W kopercie pozostało jedno zdjęcie. Nigdy go nie oglądał, ale nie mógł też zdobyć się, by je wyrzucić. Zdjęcie przedstawiało jego, Golbudina, w moskiewskim mieszkaniu Miki przy Arbacie. Siedzieli na wprost siebie, wpatrzeni w szachownicę, złączeni wspólną pasją, która zbliżyła Rosjanina i Afgańczyka — *go*.

Na samą myśl, że zdjęcie to znajduje się w kopercie, o kilka centymetrów od jego ręki, Golbudin doznawał sprzecznych uczuć: przyjaźni i nienawiści. Pod przymkniętymi powiekami przesunął mu się wierny w najdrobniejszych szczegółach obraz ich ostatniego spotkania przed pięciu laty.

Mika, czy raczej lejtant Mika Siergiejewicz Wasiljew, stał ze spuszczoneymi oczyma pod minaretem meczetu Poul-e-Kiszti. Był wczesny ranek.

Nie mając odwagi spojrzeć Golbudinowi w twarz, spuścił daszek wojskowej czapki ku ziemi i opowiadał mu o tragedii, która unicestwiła jego rodzinę.

„Wszystko zaczęło się przed trzema tygodniami, kiedy twój ojciec, Abdul Hai, został zidentyfikowany jako jeden z głównych szpiegów mudzahedińskich partyzantów. Khad (afgańska policja polityczna) twierdzi, że od wielu miesięcy dostarczał informacji Islamskiemu Dżamiatowi, jednej z afgańskich partii walczących przeciwko Armii Golbudin słuchał. I on miał spuszczone oczy. Mika ciągnął makabryczną opowieść.

„Informacje dostarczane przez twojego ojca dotyczyły głównie ruchów oddziałów radzieckich w Dolinie Panshir, która stała się w efekcie teatrem wielkich zwycięstw afgańskiej partyzantki. I prawdziwym cmentarzyskiem radzieckich czołgów...”

Golbudin nie potrafił powściągnąć dumy, jaką rodziły w nim poświęcenie i bohaterstwo ojca. Ojciec Golbudina — potomek rodu afgańskich wojowników, którego korzenie sięgały roku 808, niezwykle inteligentny erudyta — Abdul Hai Kalzai był jedną z najważniejszych osób w okupowanym Afganistanie — ministrem deputowanym, doradcą

w Ministerstwie Planowania, sekretarzem generalnym Afgańskiego Banku Narodowego i członkiem Prezydium Rady Rewolucyjnej.

Dość powiedzieć, że cieszył się niemal ślepym zaufaniem prosowieckich władz w Kabulu. To z pewnością pozwoliło mu zdobyć informacje tak cenne dla afgańskiego ruchu oporu.

Działalność ta wiązała się jednak z ogromnym ryzykiem. Stając się szpiegiem Islamskiego Dżamiatu rzucił na szalę życie własne i swej rodziny — żony i dwóch córek, Ufry i Farah. A zwłaszcza życie najstarszego syna, od trzech lat studiującego biologię w Moskwie i zdanego na łaskę Sowieców.

„Jego aresztowanie narobiło hałasu, rozumiesz — mówił Mika. — Wyjaśniło serię porażek, jakie poniosła w licznych potyczkach Armia Czerwona w górskiej Dolinie Panshir. Wiadomość dotarła do mnie, kiedy znajdowałem się w Ghazni, gdzie stacjonował mój batalion, w 201 dywizji piechoty zmechanizowanej. Przyjechałem do Kabulu możliwie najszybciej, ale było...”

Mika zamilkł. „Było za późno” — dokończył w myśli Golbudin.

Za późno. Abdul Hai Kalzai, jego żona i jedna z córek, Ufra, zostali zabici. Kulą w usta. Jak zwierzęta w rzeźni.

Mika zdołał ocalić od śmierci tylko małą Farah. Dał znać Golbudinowi do Moskwy. Przesłał wiadomość niezrozumiałą dla nie obeznanych z regułami go.

„Jeden kamień zachował wolność. Trzy pozostałe są otoczone”. Mówiąc po prostu: jedna osoba żyje. Inni umarli.

W dwa dni potem Golbudin był na miejscu. Przekroczył granicę w Kunduzie z sowieckim konwojem, do którego Mika załatwił mu przepustkę.

Tak doszło do ich spotkania szarym świtem w Kabulu. Dla Golbudina nie był to już ten sam Mika. Stał się wrogiem „Nikołajem”, sowieckim żołdakiem, jednym z tych, którzy dokonali masakry jego rodziny.

Pozostała Farah. Mika trzymał ją opatuloną w szary pled. Podał ją Golbudinowi.

— Weź ją i wyjeżdżajcie szybko! — powiedział, wskazując stojącą za nimi ciężarówkę z plandeką. — Jutro będziecie w Berlinie Wschodnim, a stamtąd przyjaciele wywiozą cię do Libii, do Benghazi. Na uniwersytecie czeka na ciebie stanowisko

Nie spojrzawszy na Mikę, Golbudin wsiadł do ciężarówki. Nie spotkali się więcej. Farah zmarła z rozpacz w kilka miesięcy po przybyciu do Benghazi...

Pod wpływem wspomnień Golbudina ogarnął nieopisany zamęt. Schował zdjęcia do koperty, którą wsunął pod materac, i usiadł na łóżku.

Długo trwał w tej pozycji, przybity, z zaczerwienionymi z niewyspania oczyma.

Kiedy w ciszy rozbrzmiało *Allah o akbar* porannej modlitwy muezzina, drgnął, a potem rozplakał się.

Na dworze czerwono wschodziło słońce zalewając krwawym blaskiem wydmy i budynki uniwersytetu w Benghazi. Zapowiadał się upalny dzień.

Kilka godzin później w centrum Benghazi

Doktor Rilke na pożegnanie lekko poklepał Golbudina po ramieniu, potem żurawim krokiem wrócił do mahoniowego biurka.

Jego upstrzone piegami dłonie wysunęły powoli szufladę biurka i wydostały z niej kartę. Rilke włożył okrągłe okulary w stalowej oprawie i przebiegł ją wzrokiem. Szybko odłożył ją. Silne światło wpadające przez okno przeszkodziło mu w czytaniu. Jasne oczy rudzielca nie zdołały przyzwyczać się do oślepiającego blasku śródziemnomorskiego słońca.

Wstał i poszedł zaciągnąć story w oknie wychodzącym na dwuhektarowy ogród — rzadki luksus w Benghazi. Ogromny, zbudowany w stylu kolonialnym dom doktora Rilkego stanowił prawdziwą oazę zieleni, odizolowaną od kurzu i spiekoty miasta ścianą palm, masywnych ketmii i bugenwilli. Był to jeden z nielicznych domów w centrum Benghazi, które ocalały podczas nalotu bombowców amerykańskich F-111 w 1986 roku.

Ironia losu — doktorowi Rilke po raz drugi udało się ująć z życiem z amerykańskiego bombardowania. Po raz pierwszy zdarzyło się to w 1945 roku. Miał wówczas siedem lat i jako jedyny z całej rodziny przeżył zmasowany nalot amerykański.

Od czasu tych dwóch bombardowań żywił głęboką nienawiść do Ameryki. A jego obecność w Benghazi była logiczną konsekwencją tej nienawiści. Mathias Rilke, pięćdziesięcioletni obywatel NRD, psycholog, był w rzeczywistości jednym z głównych instruktorów „Ręki Świętej Wojny”, obozu szkoleniowego dla terrorystów, mieszczącego się w Dolinie Śmierci, w sercu Pustyni Libijskiej, o 130 kilometrów na południe od Trypolisu. Był odpowiedzialny za psychiczną równowagę terrorystów.

Doprowadziła go tu kariera przebiegająca pod znakiem badania możliwości mózgu ludzkiego. A przecież początkowo nic nie wskazywało,

że zajmie się tą dziedziną. Rilke był z wykształcenia położnikiem. Jako położnik zresztą skierowany został w 1963 roku do przeprowadzania porodów w wodzie na oddziale położniczym głównego szpitala w Karl-Marx-Stadt. Jego pionierskie badania w tej dziedzinie dały początek całej szkole w krajach bloku wschodniego.

Sz szczególnie w ZSRS, gdzie specjalistyczne kliniki w Biełdiansku i Kerczu, na wybrzeżu Morza Azowskiego, doprowadziły eksperyment aż do wychowywania dzieci głównie pod wodą. Uzyskane rezultaty okazały się zdumiewające. Rozwój owych „wodnych” dzieci przebiegał półtora do dwóch razy szybciej aniżeli rozwój dzieci wychowywanych „normalnie”.

Właśnie podczas wizyty w Kerczu, u generacji „wodnych dzieci”, w 1984 doktor Rilke odkrył swe prawdziwe powołanie. Wówczas zrodził się projekt zwiększenia sprawności umysłowej dorosłych, poprzez myślowy powrót do właściwego dla embrionu środowiska wodnego, a to przy użyciu technik relaksacyjnych, takich jak somno-logia, czyli sugestia w stanie hipnozy.

Kiedy pojawiła się najpopularniejsza z jego książek o terapeutycznym zastosowaniu hipnozy (*Leczenie hipnozą*, napisana we współpracy z doktorem Weinstorfferem), zwrócili na niego uwagę wschodnio-niemieccy psycholodzy wojskowi. W 1985 został zrekrutowany. W ten to sposób w 1986 roku, w ramach licznej wymiany między NRD a Libią, doktor Rilke został „wypożyczony” Libii, podobnie jak pięć tysięcy doradców ze Związku Sowieckiego i bloku wschodnioeuropejskiego.

Jego zadanie w obozie w Dolinie Śmierci, gdzie był instruktorem, polegało na przeprowadzeniu grup terrorystycznych od szczebla grupy „młodych ludzi zafascynowanych kulturą przemocy do szczebla skutecznej, niezrównanej Armii Wyzwolenia”, jak zwykł mawiać. Doktor Rilke dumny był ze swej misji.

W obozie w Dolinie Śmierci szczegółowo analizowano słabe strony zachodniej demokracji i opracowywano stosowne metody — serię precyzyjnie dobranych akcji terrorystycznych. Ich wachlarz był szeroki — od zdalnie sterowanych bomb, umieszczanych na lotniskach, w samochodach i w szczególnie uczęszczanych miejscach publicznych, poprzez inteligentne użycie mediów, owych wspaniałych „sprzymierzeńców wbrew sobie”, jakimi stawały się w przypadku prób szantażu.

Poza akcjami profesjonalnym terrorystom należało dać także ideologiczne podstawy i równowagę emocjonalną.

Ideologia była prosta — antyimperialistyczna i wspierana bezpośrednio przez radzieckiego ministra finansów, często zamaskowanego,

lecz zawsze obecnego. Puste, nienawistne słowa, takie jak „imperialistyczne psy”, „zgnity Zachód” czy „wrogowie Allacha” znajdowały szczególnie silny oddźwięk wśród młodych ludzi. Skłonni byli nawet do poświęceń w imię tych haseł.

Porządek i równowagę emocjonalną w Dolinie Śmierci starał się zapewnić im właśnie doktor Mathias Rilke dzięki trwającym przez tydzień w miesiącu seansom somnologii i zbiorowej hipnozy. W Dolinie Śmierci uczył terrorystów zabijać z zimną krwią. Tu, w Benghazi, leczył...

Do biura wszedł Libijczyk Harun, asystent doktora Rilkego.

— Panie doktorze, jakiś młody człowiek chce się z panem zobaczyć.

— Czy był umówiony? — zapytał doktor.

Harun pokręcił głową.

— Więc niech poczeka, skończę za dziesięć minut. Muszę zastanowić się nad przypadkiem Golbudina Kalzai.

Doktor zagłębił się w skórzanym fotelu, czytając zapiski w leżącej przed nim karcie. W prawym górnym rogu widoczne było czarno-białe zdjęcie Golbudina. Pod spodem doktor zapisał czarnym długopisem:

Golbudin Kalzai. Lat trzydzieści pięć. Kawaler. Od 1987 wykładowca mikrobiologii na uniwersytecie w Benghazi.

Skłonności epileptoidalne manifestujące się poprzez:

1. Postawę zamknięcia i zagłębienia w sobie. Obsesyjne opowiadanie o kraju rodzinnym (Afganistan) i wymordowaniu rodziny. Znamienne przywiązanie do gry w *go*. Częste stany
2. Serię gwałtownych reakcji i impulsywnych zachowań, których pacjent już nie kontroluje. Po napadzie epileptycznym nie pozostaje żadne wspomnienie. Leczenie rozpoczęto 12 grudnia 1990. Seansy co dwa tygodnie.

Wyniki leczenia: Doskonała reakcja na seanse hipnotyczne. Duże podporządkowanie autorytetowi lekarza. ALE szczególnie wyraźna i szybko postępująca degradacja poziomu psychicznego i umysłowego pacjenta, mimo bardzo wysokiego stopnia sprawności umysłowej (test miejski) i doskonałego opanowania dziedziny zawodowej.

Doktor odwrócił kartę i zapisał nierównym, kanciastym pismem:

Następny seans: przejść do drugiego etapu relaksacji; myślowe przeniesienie w środowisko wodne.

Przeczytawszy swój zapis, doktor zdjął okulary i przez chwilę rozmyślał nad pacjentem. Mówił sobie, że Afgańczyk stanowi niemal doskonały wzór podmiotu podatnego na hipnozę i sugestię, a to Zarówno ze względu na osobiste losy, jak i predyspozycje umysłowe.

Klasyczny przypadek... Schował kartę do szuflady, a potem poprosił Haruna, by wprowadził oczekującego.

W wąłym chłopaku, który wszedł do biura, rozpoznał natychmiast jednego z terrorystów z obozu w Dolinie Śmierci.

Młodzieńca ubranego nieodmiennie w sprane dżinsy i czarną koszulkę tym łatwiej można było *poznać*, że delikatne rysy i drobna sylwetka kontrastowały z wyglądem jego kolegów z obozu. Nazywał się Najm Hawadi, a żywej inteligencji i sprytowi zawdzięczał przydomek „Lis Pustyni”.

Zaintrygowany niespodziewaną wizytą, doktor wskazał „Lisowi” krzesło przed biurkiem. Nie domyślał się powodu, który sprowadził chłopaka do niego.

— Otóż — zaczął Najm spokojnym głosem — przyszedłem do pana w sprawie pacjenta, który właśnie wyszedł od pana, Golbudina Kalzai... — Najm zamilkł na chwilę, oceniając efekt, jaki wywarły jego słowa. — Tak się składa, że ten człowiek jest również moim wykładowcą biologii na uniwersytecie w Benghazi. Znam go więc dobrze... nawet bardzo dobrze.

Doktor splótł ręce przed twarzą, wspierając kciukami podbródek. Lekko przyspieszony oddech zdradzał, że niecierpliwie czeka na wyjaśnienie, czego też może chcieć od niego „Lis’..

— Zastanawia się pan pewnie, jaki jest cel mojej wizyty, doktorze. To proste... Otóż przed dwoma tygodniami dowiedziałem się z ust profesora Kalzai, że potrafi programować mikroorganizmy, nad którymi pracujemy na zajęciach, w taki sposób, by uczynić z nich broń doskonałą. Czyż nie jest to w pewnym sensie ideał dla nas, terrorystów, doktorze?

Doktor nie odpowiedział. Nie tolerował porównań z terrorystami. Zresztą jedynie przez zwykły snobizm, nosił bowiem w sobie zarodki najtwardszego terroryzmu — zwierzęcą nienawiść do amerykańskiego wroga, spotęgowaną przez zimną i ostrą inteligencję.

— Nie odpowiada pan, doktorze?

Doktor Rilke uniósł głowę i po raz pierwszy natrafił na spojrzenie czarnych, bystrych oczu Najma.

— Czego właściwie pan chce?

— Pańskich umiejętności, doktorze.

— To znaczy?

— Zaraz pan zrozumie. Kiedy poprosiłem profesora Kalzai o wyjawienie mi technik manipulowania mikroorganizmami, bym mógł uczynić z nich broń, kategorycznie odmówił. Pan nasunął mi się wówczas jako osoba mogąca nakłonić go przy użyciu hipnozy.

Doktor rozmyślał przez chwilę, bawiąc się długopisem z laki. Wreszcie powiedział:
— To niemożliwe.
Żrenice „Lisa” zwęziły się, ale nie odezwał się.
— To niemożliwe — powtórzył doktor. — Nic by to panu nie dało.
— A to dlaczego?
— Dlaczego? — powiedział doktor podnosząc się z fotela z długopisem w ręce. — Nie zna pan tego człowieka tak dobrze, jak pan twierdzi, Najm. Kalzai jest na skraju szaleństwa. To czyni z niego wyjątkowo wrażliwą istotę. Najmniejsza presja wywarta na jego umysł może pogrążyć go w obłądnie. Czy to się panu na coś przyda? Wątpię... Szalony Kalzai nie przyda się już na nic. Lepiej będzie, jeżeli użyje pan mniej... brutalnych środków perswazji.

Najm bacznie wpatrywał się w oczy doktora. Po długiej chwili, przez którą Rilke usiłował wytrzymać nieme przesłuchanie, Najm wstał, podszedł do drzwi i powiedział:
— Ufam panu, doktorze Rilke. Mam jednak nadzieję, że ta chwilowa niemożność udzielenia nam pomocy nie wynika z braku dobrej woli. Moi bracia z Armii Wyzwolenia byliby bardzo rozczarowani...

Przed wyjściem dodał jeszcze:
— Proszę nie zapominać o mnie, gdy Kalzai będzie już w stanie znieść seans hipnotyczny.

Doktor zamknął za Najmem drzwi. W tej właśnie chwili uświadomił sobie, że jego czoło zrosił pot.

Kontakty z terrorystami nie sprzyjają wypoczynkowi.
Doktor podszedł do regulatora klimatyzacji i przełączył go na „Freeze”.

Nowy Jork, 28 marca 1992, skrzyżowanie 69 Ulicy i Piątej Avenue

Nad Central Park szalała zamieć śnieżna. Ogromna, oszklona ściana na dziesiątym piętrze sąsiadującego z nim budynku mieszkalnego parowała całą powierzchnią, co świadczyło o znacznej różnicy temperatur na dworze i w mieszkaniu.

Wnętrze składało się z dwóch części: przypominającej muzeum sztuki współczesnej oraz drugiej, w której całkiem nieźle odtworzono fragment amazońskiej dżungli.

Na wystrój kącika „sztuki współczesnej” składało się ponad dziesięć

obrazów w tonacji stalowobłękitnej i ciemnoszarej, zdradzających wyraźne zainteresowanie właściciela Williamem Theo Brownem i George'em Tookerem. Była tam także klatka — aluminiowa rzeźba Andre Blocha, której rurki kontrastowały z rzeźbionym drewnem słupa pogrzebowego jryama z XIX wieku. Wreszcie dziwaczna kamienna kanapa zaprojektowana przez Willisa Pocka, która zdawała się wynurzać z posadzki z polerowanego granitu, stanowiła ostatni futurystyczny akcent tego awangardowego wystroju.

„Dżungla” zaś zajmowała środek pokoju. Pod szybą, zza której sączyło się światło koloru morskiej wody, rosła w patio gęstwina bujnej roślinności tropikalnej, niezwykle barwnej i pachnącej. Wokół unosiła się woń próchnicy leśnej i mchu.

Pośród tej oszalamiającej zieleni, niczym klejnot w szkatułce, wznosił się przeszklony równoległoscian wysokości metra siedemdziesięciu, wypełniony 30 tysiącami litrów morskiej wody. Dno zdobił czarny piach oraz piętnaście sporych skał. Było to gigantyczne akwarium, w którym wśród lasu alg morskich krążyły mureny.

W tej dziwnej, przeladowanej scenerii czekał mężczyzna. Nazywał się Thomas Lehmann i nie lubił muren. Te stworzenia o fałszywych oczach i ciele węży nie napawały go zaufaniem i czuł się przy nich nieswojo. Tak czy inaczej nie cierpiał tego

Dla ukoronowania dzieła — jako że „dżungla” zobowiązuje — panowała tu temperatura więcej niż tropikalna. Thomas usiłował znaleźć suchy skrawek jedwabnej chustki, by otrzeć czoło. Na próżno.

Rozluźniając węzeł krawata w grochy, podniósł się z kamiennej kanapy i skierował ku przeszklonej ścianie z widokiem na Central Park. Na dworze nieprzyjemny i zapewne mroźny wiatr gwał wierzchołki drzew.

Mina zbitego psa, którą Thomas robił zawsze, gdy był rozdrażniony, pojawiła się na jego twarzy. Clive A. Lorenzo, jego nowy szef, prawdziwie go zaskakiwał i intrygował. Czemuz umawiał się z nim zawsze w tym piecu?

„Mój sekretny ogród...” — powiedział Clive, z dumą pokazując mu po raz pierwszy to pomieszczenie. Thomas powstrzymał się od uwag, choć jego twarz liznął gorący ozór. Powziął zresztą mocne postanowienie, że nie okaże cienia emocji, nie wyrazi najlżejszym gestem zaskoczenia, choćby wprowadzono go do klatki pełnej lwów, jadowitych węży, a nawet członków sekty Kriszny.

Pomyślcie tylko! Może Clive chciał go sprawdzić lub ocenić jego odporność na stresy. Thomas nie dopuszczał do siebie myśli, by mógł zawieść, a tym samym utracić takiego klienta jak Clive A. Lorenzo,

który władał imperium złożonym z 60 spółek, 22 tysięcy pracowników, i którego „wartość” oceniano na niebagatelną sumę 2 miliardów dolarów.

Uświadomiwszy to sobie, Thomas uspokoił się trochę, porzucił rozważania o temperaturze i oddał się ulubionemu sportowi — samozadowoleniu.

Gra polegała na przywołaniu w myśli wszystkich najważniejszych chwil, które wytyczały bieg jego życia. Nazywał to ćwiczenie swą „sukces-story” — dzieciństwo na Brooklynie „biedne, ale szczęśliwe”; pierwsze dolary, jakie zarobił sprzedając sok pomarańczowy na Broadwayu; łyzy ojca, Izaaka, gdy wręczano mu dyplom na Uniwersytecie Columbia w Karolinie Południowej; pierwsza praca przy gubernatorze stanu Pensylwania; kolacja, podczas której spotkał Clive'a (czy raczej — został zahipnotyzowany, zafascynowany przez Clive'a), który zaproponował mu jeszcze tej samej nocy pracę u siebie za wynagrodzenie trzykrotnie wyższe niż u gubernatora, co okazało się decydującym argumentem.

Thomas niewątpliwie mógł być dumny z faktu, że w wieku trzydziestu lat i kilku miesięcy osiągnął stanowisko doradcy prasowego jednego z najpotężniejszych nowojorskich raidersów *. Tego samego pokroju, co T. Boone Pickens, Carl Icahn, James Goldsmith czy Ronald Perelman.

Z tą tylko różnicą, że Clive A. Lorenzo celowo nie dał się poznać szerokiej publiczności. Lubił tkać kanwę przedsięwzięć w cieniu. Chciał „chwycić ofiarę”, jak mawiał, dyskretnie, za pośrednictwem opłacanych ludzi.

I tylko owo zamiłowanie do incognito różniło go od pozostałych raidersów. O ile Thomas nie mylił się w ocenie, pod innymi względami był do nich podobny; cechowały go ta sama duma, ta sama pogarda dla trudności; ta sama żądza władzy i pieniędzy i wreszcie ten sam instynktowny pociąg do luksusu.

Zresztą to dwupoziomowe mieszkanie o powierzchni 800 metrów kwadratowych, w sercu Piątej Avenue, w którym Thomas właśnie się znajdował, najlepiej świadczyło o zamiłowaniu Clive'a do luksusu. Thomas oceniał je na co najmniej 15 milionów dolarów.

Myśli Thomasa zwróciły się ku mieszkaniu. Przypomnił sobie o upale. Znużony spojrzął na zegarek. Clive spóźnił się już dziesięć minut. To nie było do niego podobne. Człowiek ten był uosobieniem Precyzji i dokładności.

*Osoba trudniąca się przejmowaniem kontroli nad spółkami popadającymi w tarapaty i odprzedająca udziały, skoro tylko akcje idą w górę. (Przyp. tłum.)

Aby skrócić sobie oczekiwanie, Thomas podszedł z uczuciem pewnego wstrętu, ale i swoistej fascynacji do akwarium. Zza szyby para muren o nakrapianej płowymi plamami skórze przyglądała mu się, kiedy nadchodził. Miał wyraźne wrażenie, że w ich oczach jest tylko ogromnym hamburgerem.

Podskoczył, gdy głos Clive'a zagrział za jego plecami.

— *Gymnothorax meleagris!* Gatunek dość powszechny wśród raf Oceanu Indyjskiego i Pacyfiku.

Clive miał na sobie szlafrok z jedwabnej mory. Ten strój podnosił walory jego długiego, suchego ciała bez grama tłuszczu, zdającego się kpić ze swych siedemdziesięciu sześciu lat.

Zbliżył się nieco do Thomasa i oparł na nim spojrzenie różnobarwnych oczu. Jedno było niebieskie, drugie zielone.

— Jak to panu wyjaśnić, Thomas? — ciągnął Clive. — Mureny są fascynującymi istotami... To stworzenia gardzące prawem, dające ciągle spektakl bestialstwa czystej wody. — Clive przesunął palcem wskazującym po swym białym uzębieniu bez skazy. — Ich zęby na przykład stanowią cud drapieżności i wściekłości. Wszystkie zwrócone są do wewnątrz. Sprawia to, że gdy murena chwyci ofiarę szczękami, już jej nie wypuści. Choćby miała umrzeć wraz z nią.

Koścista dłoń Clive'a ujęła ramię Thomasa i przesunęła go bliżej akwarium.

— Widzi pan te mureny, Thomas... — Nos doradcy prasowego niemal dotykał szyby akwarium. — Są dla mnie najlepszym stymulatorem, najskuteczniejszym dopingiem. Każdego ranka przychodzę tu, by je obserwować, i powtarzam sobie, że ludzie są jeszcze gorsi w swej drapieżności i okrucieństwie... Potem nic i nikt nie może mi się oprzeć!

Thomas nie odezwał się jak dotąd ani słowem. Postanowił wykorzystać okazję. Jeżeli nie powie teraz, nie powie już wcale o „aferze”, która dotyczyła Clive'a, a od której trzęsła się dzisiejsza poranna prasa.

— Właśnie. Proponuję, by wyładował pan agresję na sprawie Ravenan Forest Inc. Cała poranna prasa wskazuje pana palcem.

Podał Clive'owi przegląd prasowy, jaki przygotowywał co drugi dzień, odkąd u niego pracował.

— To absurd! — powiedział Clive, przebiegłszy wzrokiem pierwszy wycinek. — Moi partnerzy zakupili z zachowaniem jak największej dyskrecji niewiele ponad 4% kapitału Ravenan. I nikt nie może jeszcze wiedzieć, że przekonałem Moora, najpoważniejszego akcjonariusza rady administracyjnej, do wycofania się w zamian za poważną nadwyżkę przy zakupie jego akcji.

Clive ponownie zagłębił się w dokładniejszej lekturze artykułów prasowych. Mruknął:

— Co to za historia. Thomas? Kto mnie zdradził?

Thomas wiedział, kto jest źródłem skandalu, wołał jednak, by Clive sam odkrył prawdę. Sprawa znacznie przekraczała zakres obowiązków doradcy prasowego.

— Dobrze, prawdę mówiąc... — zaczął pełnym wahania głosem — sądzę, że „wrogi i drapieżny” wykup, cytuję artykuł, znalazł się pod ostrzałem rządu i prasy. Inne stany przyłączają się do Ohio i tworzą sztuczną ochronę, pozbawiając prawa własności akcjonariuszy i przekazując je zarządowi. Grupy tak duże, jak pańska zaczynają budzić lęk... Musimy przybrać wobec pracowników i władz uspokajający ton. Proszę, niech pan przeczyta na przykład ostatni artykuł przeglądu. Atakuje Wright Holdings Management, pański bank handlowy, za operacje wykupu w Stanach Zjednoczonych.

Clive przeczytał artykuł i wybuchł:

— Co to za brukowiec ten cały... „New York Features”? Ej, Thomas, skąd się to wzięło?

Thomasowi było coraz goręcej. Pot przylepił jego koszulę do porośniętego kręconymi włosami torsu. Zaryzykował ostrożnie:

— To dziennik utrzymywany przez marksistów. Ma niski nakład, ale wygląda na dobrze poinformowany.

Clive odczytywał głośno urywki artykułu: „Clive A. Lorenzo... spółki łupione jak niegdyś statki przez piratów... sprzedawane po kawałku... pozbywanie się pracowników... nadmierne bogacenie się...”

Zwrócił wycinki Thomasowi. Zdawało się, że odzyskał pogodę ducha, ale było to tylko pozorne. Thomas wiedział już, że ten spokój to tylko cisza przed burzą. Clive czekał jak kot gotów do ataku.

Thomas miał rację. Rozpętała się burza.

— Okay! Thomas — powiedział Clive ostrym głosem. — To zwykła potwarz! Przystąpimy do kontrataku. Zniszczę tego szmatławca! Chcę głowy dziennikarza, który spłodził te obelżywe wypowiedzi!

Thomasowi przemknęło przez myśl, że to, co przyjdzie mu zrobić, będzie niewątpliwie najtrudniejszym zadaniem w jego dotychczasowej karierze. Westchnął, oddał artykuł Clive'owi i wskazując podpis pod nim, powiedział zniżonym głosem:

— Proszę spojrzeć. Chodzi o kogoś, kogo świetnie pan zna.

Ubrany w szlafrok, człowiek interesu, który odniósł tyle wspaniałych zwycięstw, przyjął ten cios niczym oszołomiony bokser. Zasłonił twarz dłońmi i pozostał bez ruchu.

— Powinien się pan zastanowić — zaryzykował Thomas. — Lepiej podjąć decyzję ze spokojną głową.

— Dziękuję, Thomas — powiedział Clive podnosząc wzrok. Jego zielone oko przybrało kolor morskiej wody w czasie sztormu. — Proszę teraz zostawić mnie samego...

Gdy Thomas wyszedł z pokoju, Clive sięgnął po szary, stalowy telefon, który stał przy kamiennej kanapie, i wykręcił trzycyfrowy numer.

* * *

W pół godziny później Ambre Lorenzo parkowała ferrari F40 coupe w prywatnym garażu Clive'a przy 69 Ulicy.

Podobieństwo do ojca było uderzające: tak samo delikatna i smukła sylwetka (dziewczyna miała metr siedemdziesiąt sześć), to samo elektryzujące spojrzenie, tyle że u Ambre wrażliwsze, zdradzające potrzebę szczerości i czułości.

Cecha różniąca: blond włosy o blasku słońca, odziedziczone po matce, Irlandce z pochodzenia. To właśnie od włosów, od ich bursztynowej barwy wzięło się jej imię*.

Ambre obchodziła przed trzema dniami dwudzieste szóste urodziny. Z Markusem Roneyem i... bez większego entuzjazmu.

Markus znów sięgnął po efektowne zabawki. Z jednej z Trump Towers wystrzelono sztuczne ognie za milion dolarów; na niebie nad Nowym Jorkiem wypisano w nocy laserem liczbę „26”; nie mówiąc już o posiłku inspirowanym kuchniami całego świata, który podano na ogromnym poddaszu Markusa, zapelnionym z tej okazji „przyjaciółmi” i osobistościami show-businessu.

Wszystko to zachwycało tylko Markusa, a Ambre, córkę miliardera, po prostu nudziło.

Ona wolałaby po tysiącuroć, żeby sprawił jej niespodziankę, ofiarowując noc miłości, noc wyrwaną bandzie pasożytów z ich otoczenia. Polecieliby do Palm Beach. Ambre odnowiłaby tam na plaży najpiękniejsze wspomnienia z czasów dzieciństwa. Łagodny szum morza, wilgotny dotyk piachu pod stopami, lśniące grzbiety delfinów, połyskujące gdzieniegdzie wśród nocy.

Ambre weszła do prywatnej windy, która uniosła ją na dziesiąte piętro. Otworzyła drzwi kartą magnetyczną, będącą wyłącznie w posiadaniu jej oraz Thomasa Lehmana. Potem krętymi schodami, których i tym razem nie omieszkała uznać za zbyt strome, weszła do „sekretnego ogrodu”.

* Ambre — bursztyn. (Przyp. tłum.)

Clive był sam, odwrócony plecami. Wyglądało na to, że przypatruje się nielicznym śmiałkom, którzy pojawili się wśród śnieżnej zawiei w Central Park.

— Au ciebie ciągle upał — zakpiła Ambre, ściągając zamszowy płaszcz i zarzucając go na słup pogrzebowy jyriama.

Ojciec nie odpowiedział i nie ruszył się, wpatrzony w wierzchołki drzew. Po chwili ciszy, zakłócaney tylko bulgotem brzęczyka w akwarium, zaczął spokojnym głosem:

— Ambre, usiądź i posłuchaj...

— O dziękuję, wolę oszczędzić plecy i postać — odpowiedziała obrzucając pełnym dezaprobaty spojrzeniem kamienną kanapę.

— Mówię poważnie — sucho rzucił Clive. — Chcę opowiedzieć ci pewną historię.

— Mam nadzieję, że zabawną.

Nie zwrócił uwagi na jej słowa.

— Powiedzmy, że historia zaczyna się w Neapolu pewnego grudniowego wieczora 1936 roku. Wówczas właśnie dziewiętnastoletni młodzieniec postanawia odmienić swe życie. I tak niewiele ma już do stracenia. Jego rodzice nie żyją, on sam zaś spędził tydzień w cuchnącym więzieniu za banalną kradzież w sklepie. Był głodny, nie potrafił opanować się, przechodząc przed wystawą piekarni. Ale działo się to za czasów Mussoliniego, kiedy najdrobniejszą kradzież karano przykładnie. Nie igra się z odpowiedzialnością obywatelską.

Clive odwrócił się powoli i poszedł nalać sobie wódki. Kątem oka obserwował reakcję córki, ona jednak wciąż stała, obojętna, zapatrzona na mięsiste, pomarańczowe płatki jednej z orchidei w „dżungli”.

— O czym to ja mówiłem? — zapytał Clive po wypiciu łyka wódki.

— O obowiązku obywatelskim.

— Co? Ach, tak, poczucie obowiązku obywatelskiego... Krótko mówiąc, młody człowiek czuje, że znalazł się na dnie. Nic go już nie powstrzymuje. Postanawia opuścić Włochy i udać się do Stanów. Z trzydziestoma dolarami w kieszeni... Zaraz po przybyciu do Nowego Jorku wyjeżdża do Chicago, ponieważ oficer ze statku, neapolitańczyk, podał mu pewien adres w tym mieście. Dostaje pracę za dziesięć centów na dzień przy robotach drogowych, a następnie na cmentarzu. W ciągu sześciu długich lat poznaje trupi fetor, paraliżujący chłód, obelgi zwierzchników, wieczory w schroniskach dla ubogich, wśród dziesiątków nędzarzy wszelkich ras... Aż nagle dotyka go palec Przeznaczenia. Na pogrzebie króla stali, którego trumnę niósł, podtrzymuje mdlejącą nad grobem wdowę. Doszedłszy do siebie, wdowa dziękuje i daje mu dwadzieścia dolarów... dwadzieścia dolarów! To

największy banknot, jaki zdarzyło mu się trzymać w ręku! Za każdym razem, gdy wdowa odwiedza grób męża, spotyka młodzieńca. Rodzi się między nimi przyjaźń. Rozmowy, które z nim prowadzi w cieniu cmentarnych drzew, bawią ją i odrywają od problemów związanych z przejęciem firmy męża. Stopniowo poznaje jego burzliwe dzieje i pewnego dnia proponuje mu u siebie posadę szofera. Dalszy ciąg mógłby posłużyć za scenariusz filmowy w wytwórni Walta Disneya. Młodzieniec staje się powiernikiem wdowy, wreszcie doradza jej w pewnej drażliwej sprawie. W ciągu dwóch lat stawia firmę na nogi. Już jako bogaty człowiek ratuje fortunę rodzinną, sprzedając zakład, gdy w przemyśle stalowym następuje kryzys. Reszta to już ciąg przejmowania i wykupywania spółek...

Clive powiedział to niemal jednym tchem.

W pokoju zapadła cisza. Pod wpływem wzruszenia Ambre usiadła na kamiennej kanapie. Po raz pierwszy ojciec opowiedział jej swe niezwykle dzieje. Nie to jednak ją zbulwersowało. Nie, tym, co wyciskało łzy z jej oczu, był istotny, a pominięty w opowieści ojca szczegół.

— Zapomniałeś o kimś! — powiedziała.

— Jak to?

— Tak, zapomniałeś powiedzieć o mamie. Powiedzieć, czy ją kochałeś, jak ją kochałeś... I ojej śmierci, i o cierpieniach, podczas gdy ty byłeś zbyt zajęty swoimi... akcjami, żeby pomyśleć o niej!

— Przestań! — uciął Clive. — Teraz, gdy nieco lepiej znasz dzieje swego ojca, zrozumiesz, że nie zniosę, byś pluła na bogactwo, które ci ofiarowałem.

Podszedł do niej, podając artykuł z „New York Features”. Wzięła wycinek, zmieła w kulkę i cisnęła do akwariium. Czarna murena wyskoczyła zza skały, biorąc poruszenie wody za przejaw paniki u ofiary.

— No i co! — odrzuciła z gniewem. — Sądysz, że przeszłość self-made mana upoważnia cię, byś rozdrapywał kolejne firmy niczym drapieżne zwierzę, nie troszcząc się ani o ich sytuację ekonomiczną, ani o pracowników?!

— Nie w tym problem! Uważam za nieuczciwe, że posługujesz się Markusem Roneyem, aby zdobyć poufne informacje!

— To nie tak! Bądź spokojny... Nie mówimy nigdy o pracy ani o tobie.

— Ambre — powiedział Clive, starając się panować nad głosem. — Czemu nie pracujesz ze mną? Dlaczego się upierasz? Otrzymałaś w Stanford dobry MBA*. Masz wszelkie możliwości powodze-

nia. Co cię napadło, żeby grzebać się w gównie i splodzić ten artykuł, którego nie przyjęłaby żadna gazeta, gdybyś... nie nazywała się Ambre Lorenzo.

Wstała rozwścieczona, wyciągnęła z kieszeni płaszcza kluczyki od ferrari F40 oraz kartę magnetyczną i śladem artykułu z „New York Features” cisnęła do akwarium.

— Mogę żyć bez ciebie! Mogę bez ciebie być dziennikarką! — powiedziała, wkładając płaszcz. — Obejdę się bez twojego nazwiska!

Ostatnie słowa wykrzyknęła zbiegając po kręconych schodach, nim wpadła do windy.

Wysiadłszy na parterze, ujrzała w małym telewizorze obok szybu windy twarz Clive'a, wykrzywioną w dziwnym grymasie, który potęgowały przebiegające ekranem pasłZ pogróżką w głosie odezwał się:

— Kronika wypadków! Bez nazwiska Lorenzo jesteś nikim. Nie zaproponują ci niczego ponad kronikę wypadków!

Ambre wzruszyła ramionami i wyszła na Piątą Avenue w poszukiwaniu taksówki.

* * *

Jeff Turner w strapieniu spoglądał na Ambre. To zresztą pogłębiało jego podobieństwo do Woody Allena, ale Woody Allena wzrostu metr dziewięćdziesiąt i obdarzonego mocno odstającymi uszama.

— Mogę ci zaoferować jedynie kronikę wypadków, staruszko. — (Do wszystkich bez wyjątku — do kobiet i mężczyzn — zwracał się per „staruszko”). Ściągnął okulary krótkowidza i w zamyśleniu bawił się gumką, na której wisiała oprawka. Czego szukała w tak nędznej gazecie, jak jego, ta mała o wyglądzie dziewczyny z wyższych sfer, ubrana w ciuchy jak z żurnali Glamoura lub Harper's Bazaar? Jakim cudem „New York Daily Chronicles”, ukazująca się zaledwie w nakładzie 14 000 egzemplarzy, mogła zainteresować tę wspaniałą i w dodatku doskonale wykształconą dziewczynę?

Naprawdę nie potrafił tego pojąć.

Po chwili zastanowienia uznał, że może być tylko jeden powód — jego magnetyzm erotyczny... Właśnie, jego magnetyzm erotyczny! Zauważyła go na ulicy i poszła za nim, zahipnotyzowana subtelną męskością. Teraz podawała się za dziennikarkę w ewidentnym celu

*Master in business administration — odpowiednik magisterium w dziedzinie osądzania.
(Przyp. tłum.)

poznania i uwiedzenia go, marząc, by kochał się z nią tu, w tym miejscu, na dywanie. Po zwierzęcemu.

Dźwięk telefonu zaskoczył Jeffa w momencie, gdy ściągał koralową spódniczkę Ambre wzdłuż czarnych, jedwabnych pończoch, i sprowadził na ziemię. Dziewczyna siedziała na wprost niego. Zapięta na ostatni guzik.

Sposepniał i podniósł słuchawkę.

— Widzisz, staruszko — powiedział odkładając ją — zajmujemy się tu wyłącznie wydarzeniami życia codziennego ubogich dzielnic... Właśnie dzwoniło w sprawie bijatyki między robotnikami na Long Island City, w Queens. Równie dobrze mogłoby chodzić o uszkodzenie kanalizacji w Harlemie albo szerzenie się alkoholizmu wśród Ukraińców z Lower East Side. Trudno to nazwać wielkim reportażem... Zresztą nie wykraczamy praktycznie poza stan Nowy Jork. „New York Daily Chronicles”, staruszko, to dziennik relacjonujący awantury. Brukowiec wyciągający pospolite skan Popatrzył na nią z niedowierzaniem i westchnął:

— Jak możesz interesować się tematami, którymi się zajmujemy? Widać, że nie pochodzisz z tego środowiska i masz masę dyplomów! Jestem pewien, że faceci z „Herald” czy „Timesa” przyjęliby z zachwytem dziewczynę taką jak ty.

Ambre uśmiechnęła się. W żadnym razie nie ujawni Jeffowi Turnerowi powodów, dla których wolała pracować w „New York Daily Chronicles” niż w „Herald” czy „Timesie”. Podobnie jak w innych poważnych dziennikach, z którymi jej ojciec miał powiązania, a nawet posiadał w nich udziały. Mógłby więc nadal wywierać wpływ na jej życie, a z tym właśnie postanowiła raz na zawsze skończyć.

Powodowały ją jednak i inne pobudki, które łatwiej mogła wyznać Jeffowi.

Z czarnej skórzanej teczki wydobyła numer „New York Daily Chronicles” z 20 lutego 1992 i położyła go na biurku Jeffa.

— Oto, co przesądziło o mojej decyzji: wasz artykuł o wpływie inwestorów budowlanych na degradację mieszkań na Bronksie... Mój stanfordzki profesor od przekazu zwykły mawiać, że prawdziwego dziennikarstwa uczy się w szkole codzienności. Pańska gazeta, nawet jeżeli jest... średniej klasy, mówi o dniu powszednim. I przede wszystkim jest walczącym dziennikiem, który nie kieruje się zyskiem. Można tu pisać, co się chce, poza wszelką presją pieniędzy i władzy.

Jeff Turner nie wierzył własnym uszom. Odkąd w 1978 założono „New York Daily Chronicles”, z piekielnym trudem usiłował zebrać

dobrych dziennikarzy, godnych tego miana. Tacy bowiem odmawiali na ogół współpracy z nim, odstręczani głodowymi pensyjkami, jakie proponował Jeff (poniżej 1000 dolarów miesięcznie), lub niewdzięczną tematyką.

I oto dziś, siedemnaście lat po powstaniu pisma, pojawia się ta — nie mógł znaleźć innego określenia — cudowna istota i wręcz błaga, by przyjął ją do pracy!

Jeff wstał i usadowił się niedbale na skraju biurka, na wprost Ambre.

— Okay, staruszko — mruknął opanowując się. — Chcesz wykonywać ten zawód i wybrałaś sobie moją gazetę. Musisz jednak wiedzieć, że życie tu nie jest usłane różami... Ani tematy, ani warunki pracy nie są łatwe.

Poprosił, by wstała, i obejmując ją ramieniem wskazał widoczną poprzez szybę w ścianie biura salę redakcyjną.

— Tu pracuje mój zespół. To zaadaptowany na ten cel dawny dwupoziomowy parking. Przypatrz się dobrze, staruszko, to nie lokale redakcji „Herald Tribune”! Dziewięciu dziennikarzy, dwa komputery i piętnaście maszyn do pisania, które kupiłem po cenie złomu. No i mamy jeszcze telefon, na koszt dziennikarzy, kiedy dzwonią gdzieś dalej. W sprawach drukarni należy zwracać się do Maksa, to o dwie ulice stąd, bardzo praktyczne, kiedy zamyka się numer... Oto i nasza firma. Co ty na to, staruszko? Nie to, co w Ritzu, he?

Ambre uwolniła się od ręki Jeffa, która ciążyła jej na ramionach, i popatrzyła na niego jasnymi oczyma.

— Panie Turner, interesuje mnie pański dziennik. Już to panu mówiłam. Teraz kolej na pańską odpowiedź. Czy ja pana interesuję — tak czy nie?

„Czy mnie interesuje? — powtórzył w myśli. — Nie, to nieprawda! Chyba śnię... tak, na pewno śnię! Musiałem zemdleć na ulicy, a teraz śnię...”

— A więc? Jaka jest pańska decyzja?

To nie był sen. Złotowłosa dziewczyna o dużych błękitnych oczach była tu, przed nim, ubrana w kostiumik barwy koralu.

„Tak”, pomyślał Jeff zdecydowanie, ale nie odpowiedział na Pytanie Ambre. A to ze względu na pewien istotny szczegół — pensję... Ta dziewczyna miała na sobie fatalaszki za co najmniej 1500 dolarów. Czyli za półtorej pensji każdego z jego dziennikarzy! Jak zareaguje na stawkę wynagrodzenia dziennikarza „New York Daily Chronicles”? Postanowił z miejsca zrobić wyjątek i podnieść wysokość proponowanej pensji.

— Zatrudniam cię od dziś w „New York Daily Chronicles”. Proponuję 1100 dolarów... — Nachylił się ku niej i szepnął na ucho... — ...ale niech to zostanie między nami, reszta nie może się o tym dowiedzieć!

Ambre uśmiechnęła się. Pomyślała o milionach dolarów, które miesięcznie zarabia jej ojciec, i pogratulowała sobie w myśli, że nie zwróciła Clive'owi 150 tysięcy dolarów, które miała na koncie, co zamierzała zrobić po ostatnim spotkaniu. Ta „zdobycz wojenna” pozwoli jej wykonywać lubiany zawód bez przytłaczającej opieki Clive'a. Była to w pewnym sensie cena jej wolności.

Jeff odebrał enigmatyczny uśmiech Ambre za próbę negocjacji. Zaczął nerwowo przebiegać biuro wzdłuż i wszerz z taką miną, jakby szukał w kieszeniach sztruksowych spodni zagubionego banknotu.

— Nie mogę dać ci więcej, staruszko! 1100 dolarów, i ani centa więcej!

— Nie, nie, tak jest w porządku — zapewniła go Ambre. — Zgoda na 1100 dolarów.

Jeff stanął jak wryty. Patrzył na Ambre z niedowierzaniem i ulgą.

— Dziwna z ciebie dziewczyna... Więc zgoda. Witamy w „New York Daily Chronicles”!

Chwyił prawą dłoń Ambre i potrząsnął nią energicznie.

— Muszę teraz iść — powiedziała, uwalniając rękę. — Jaki będzie mój pierwszy temat?

— Na razie nic nie mam, staruszko. Ale może się znaleźć coś dla ciebie o dowolnej porze dnia i nocy. Dziennikarze muszą być do mojej dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Oderwał skrawek papieru z egzemplarza „New York Daily Chronicles”, który Ambre położyła na jego biurku, sięgnął za prawe ucho po schowany tam, a raczej wsunięty ogryzek ołówka i zapytał:

— Nazwisko i numer telefonu?... Żebym mógł zadzwonić w razie potrzeby.

Podawała mu swój telefon, to znaczy telefon Markusa, u którego zamieszkała po kłótni z Clive'em.

— Dobra — mruknął Jeff — jak się nazywasz?

Ambre uzmysłowiła sobie, że sprawa nazwiska zupełnie wypadła jej z głowy. Poprzysięgła sobie, że udowodni Clive'owi, iż dojdzie do czegoś nie posługując się nazwiskiem Lorenzo. Musiała wymyślić jakiś pseudonim, ale jaki? Nie zastanawiała się jeszcze nad tym.

W pierwszym odruchu wyjrzała przez okno. Na ulicy pokrytej warstwą brudnego śniegu zobaczyła ferrari 250LM Markusa, które czekało na nią, otoczone przez chmarę oniemiałych z zachwyty dzieciaków w strojach do baseballu.

Przez moment wahała się, czy nie przybrać nazwiska Markusa — Roney. Ale za nic w świecie nie chciała, by Markus choć przez chwilę pomyślał, że pewnego dnia zostanie jego żoną.

Szybko przebiegła wzrokiem odrapane domy na rogu 141 Ulicy i Alexander Avenue. Znajdowali się w sercu getta na Bronksie. Mury wokół były nagie, szare, pokryte graffiti. Widziała wyblakły plakat reklamowy, wychwalający zalety kampanii lotniczej, nazwisko Ambre Convair nie przypadło jej jednak do gustu.

Jeff Turner zaczynał się niecierpliwić!

— Okay, starszko! Mieszkasz z przyjacielem... I krępuje cię, że jakiś mężczyzna będzie do ciebie dzwonił. Ale jeśli chcesz tu pracować, muszę mieć z tobą kontakt. A w tym celu muszę znać twoje nazwisko... I kontrakt także sporządza się na jakieś nazwisko!

Ambre szukała inspiracji. Jej wzrok zatrzymał się na żółtym sklepieniu, nad którym widniało brzmiące z włoską nazwisko. Zawsze lubiła Włochy.

— Przepraszam. Myślałam... o czym innym. Nazywam się Ambre Manari.

Jeff potrząsnął głową i wpadł w zadumę. Los płatał jednak dziwne figle... Ta niezwykła dziewczyna nosiła to samo nazwisko, co Carlo, gruby włoski sklepikarz, który przynosił mu kanapki w porze obiadowej.

Starannie zapisał na kawałku gazety.

Ambre Manari. (212) 475-432 1.

— A więc do zobaczenia wkrótce — powiedziała przed opuszczeniem biura.

Jeff podszedł do okna i patrzył, jak odchodzi.

Nie był w stanie pojąć tego wszystkiego, a jego poczerwieniałe uszy drgnęły nerwowo, gdy ujrzał, jak Ambre opuszcza siedzibę dziennika, wsiada do auta tak czerwonego, jakiego nigdy nie widział (nie licząc zdjęć w pismach w rodzaju „Fortune”), i znika na końcu ulicy, wśród gwizdów podekscytowanej dzieciarni.

15 kwietnia 1992, przy Kent Avenue 202, godz. 23.55

Markus czuwał na swym przestronnym poddaszu, skąd widać było na tle morza ciemne sylwetki drapaczy chmur dzielnicy biurowej. Siedział przed dwoma komputerami, które stanowiły na poddaszu

jedyne źródło światła prócz przejrzystego, podświetlonego od wewnątrz jacuzzi*. Obsługując oba IBM PC jednocześnie, Markus przeglądał na ekranie kursy walut, eurodolarów, złota i ropy naftowej.

Zatrzymał się nagle na wykresie, który rzucał czerwony blask na jego twarz o regularnych rysach. Kurs dolara w stosunku do innych walut. Zapisał informację na kartce i sięgnął po telefon łączący go bezpośrednio z Singapurem. Linia ta, podobnie jak różnica czasu, pozwalała mu dowiadywać się z wyprzedzeniem, jakie będą tendencje giełdy nowojorskiej.

Po krótkiej wymianie zdań z rozmówcą zabrał się szybko do spisywania codziennej relacji dotyczącej kursów walut i stóp procentowych, którą wysyłał telekopiarką.

„Chcę mieć ten raport co dzień na biurku — powiedział mu Clive. — I to z samego rana!” — dorzucił.

Jego słowa nie trafiły w próżnię.

Dzięki systematycznej i wytrwałej pracy Markus zdołał pozyskać zaufanie Clive'a. Najlepszym tego dowodem było stanowisko doradcy Wright Holdings Management do spraw kupna, którego wielu mu zazdrościło.

Clive dostrzegł tego młodzieńca, gdy ukończył CBMP — Commercial Bank Management Program, szkołę banku Morgana, która kształciła sześćdziesięciu urzędników rocznie. Stanowili oni elitę operatorów bankowych.

Markus Roney, przez przyjaciół zwany „Money”, natychmiast „podbił” człowieka interesu. Clive cenił w tym chłopaku o wyrafinowanej elegancji znajomość rynku międzynarodowego, a przede wszystkim — żądzę sukcesu, wyjątkową gwałtowność, która była czymś więcej niż ambicją.

Była gniewem.

Markus Roney faktycznie chciał wziąć odwet na losie. Jego dziadek był nieprawdopodobnie bogaty. Markus Roney, pierwszy tego imienia, posiadał w końcu wieku tysiące hektarów kuczukowców w sercu Amazonii.

Dokonany w 1880 roku wynalazek wulkanizacji kuczuku pozwolił mu zbić ogromną fortunę. Nie bez powodu region Manaus zaopatrywał wszystkie rynki światowe.

Manaus było wówczas szalonym miastem, miastem, które żyło w rytmie cudownej alchemii, przetwarzającej kuczuk w złoto. W miej-

*Rodzaj basenu wypełnionego pozostającą w ciągłym ruchu, podgrzewaną lub chłodzoną wodą, często wypełnionego roślinami. (Przyp. tłum.)

gcp tym spełniało się wszelkie zachcianki. Sarah Bernhardt i Caruso przyjeżdżali osobiście śpiewać w operze tej położonej o 2000 kilometrów od morza i 13 tysięcy od Europy stolicy kauczuku!

Opowiadano nawet, że żona króla kauczuku wysyłała bieliznę ..pałacową do prania do Europy. I że urząd celny w Manaus zbudowano w Wielkiej Brytanii, następnie zaś zdemontowano i przewieziono kamień po kamieniu, by odtworzyć go na miejscu...

Deszcz manny w końcu jednak ustał.

Człowiek, który doprowadził do krachu, nazywał się Henry Wiekam. W 1915 zabrał z Manaus kilka nasion kauczukowca i zasiał je w Malezji.

Tym gestem bez znaczenia podpisał wyrok śmierci na miasto. Malajska konkurencja spowodowała upadek handlu kauczukiem w Manaus. Po dwóch latach stolica wszelkiego zbytku przeobraziła się w miasto widmo. Dziadek Markusa stracił niemal całą fortunę. Przeniósł się wówczas do obszernego domu w Cape Cod, w Connecticut, jedynej pozostałości utraconego bogactwa.

Markus nie pamiętał dziadka, który zmarł z rozpaczy wkrótce po jego urodzeniu. Zachował o domu w Cape Cod mgliste wspomnienia. Szum wiatru od morza w świerkach, zapach tanich perfum niani, noszącej zawsze pasteloworóżowy czepek.

Dom został sprzedany, kiedy Markus miał dwa lata. Jego dzieciństwo upłynęło pod znakiem problemów materialnych i wspomnień przeszłości, rozpamiętywanej przez pozbawionego osobowości ojca.

Wartka krew i smykałka do interesów przeskoczyły jedno pokolenie. Markus Roney, trzeci tego imienia, pałał żądzą sukcesu, przechodzącą aż w obsesję. Może to właśnie najbardziej zbliżało go do Clive'a.

Myśląc o tym Markus wstał, rozebrał się i z rozkoszą zanurzył w niebieskawej, bulgocącej i gorącej wodzie jacuzzi. Czuł się jak zwycięzca. W wieku dwudziestu ośmiu lat zarabiał 600 tysięcy dolarów rocznie, a w dodatku córka jego szefa, jednego z najbogatszych ludzi świata, spała co noc w jego objęciach.

Nic nie mogło zaszkodzić jego dalszej karierze.

Dzwonek bezprzewodowego telefonu wyrwał go z marzeń o potędze i chwale. Przekonany, że jedynie Clive może dzwonić w środku nocy, wyszedł pośpiesznie z jacuzzi i podniósł słuchawkę.

Był to Jeff Turner.

Markus poszedł obudzić Ambre, zwinęta w kłębek na wielkim okrągłym łóżku. — Do ciebie. Facet z gazety — powiedział podając jej aparat.

(Otulił się w niebieskie prześcieradło kąpielowe frotte na sposób rzymski).

Ambre, zaspana, ujęła słuchawkę. Miała wrażenie, jakby Jeff dzwonił z księżycy. Trzaski i hałas maszyn w tle czyniły jego głos prawie niesłyszalnym.

— Staruszko — zaczął Jeff — dzwonię z drukarni. Słuchaj, mam coś dla ciebie...

— Chwileczkę, już notuję — powiedziała Ambre, przebiegając poddasze naga, z telefonem przy uchu. Żeby wziąć coś do pisania z biurka Markusa.

Hałas w słuchawce nasilił się. Jeff krzyknął:

— To mój kuzyn!

— Pański kuzyn?! — zawołała zaskoczona.

— Ku-zyn! Ku-zyn! Mel Turner — jest wiejskim lekarzem na północy stanu Nowy Jork, 300 kilometrów stąd.

— Co się stało pańskiemu kuzynowi?

— Jemu nic. Ale dzwonił do mnie przed chwilą. Zdaje się, że w Mount Creek, miasteczku w rezerwacie dla Indian Adirondacks, wszyscy leżą w łózkach.

— Bo jest trzecia nad ranem...

— Wiem. Tyle że oni są w łózkach dlatego, że są chorzy.

Słowa Jeffa zagubiły się wśród ostrych gwizdów. Ambre wydawało się, że słyszy coś jak „ghypa” czy „stypa”. Nic już nie rozumiała.

— Grypa! — wrzasnął Jeff, kiedy nagle szumy ustały.

— Chce pan wyekspediować mnie do Mount Creek z powodu jakiejś banalnej grypy?

— Ona wcale nie jest banalna, staruszko! Od trzech lat polityka budżetowa rządu stanu Nowy Jork faworyzuje wielkie miasto, Nowy Jork, a traktuje po macoszemu miasteczka w rejonach górskich na północy stanu. Przede wszystkim zaś tereny rezerwatów dla Indian... Już widzę na pierwszej stronie „Daily” tytuł: *Skutki nierównomiernej polityki kredytowej: miasteczko indiańskie na północy stanu sparaliżowane przez zwykłą grypę! Z czymś takim wyciągniemy lekko 16 tysięcy! No, do dzieła! Musisz być na miejscu o szóstej rano. Górale to ranne ptaszki.*

— Jeff... — mruknęła Ambre, on jednak już skończył.

Pośpiesznie wciągnęła dzinsy i sweter i wzięła kluczyki starego forda, którego kupiła okazyjnie w miejsce oddanego Clive'owi ferrari

Przed wyjściem ucałowała Markusa, leżącego już w łóżku i nadal owiniętego w niebieski ręcznik. Nie odwzajemnił pocałunku. Spał.

Moskwa, budynek na Łubiance przy placu Dzierżyńskiego, siedziba KGB

Była godzina dziewiętnasta. Towarzysz Anton J. Iwanow, szef KGB, jak co wieczór zsunął białe firanki w oknie swego biura, by popatrzeć, jak noc zapada nad noszącym liczne ślady gołębih wizyt pomnikiem Karola Marksa w centrum placu Dzierżyńskiego.

Iwanow zastanawiał się zawsze nad zadziwiającą maksymą Lenina. wyrzuta na cokole: „Nauka Marksa jest wszechpotężna, ponieważ jest szczerą”. To zdanie intrygowało go i wprowadzało w zakłopotanie. Nie dostrzegał związku pomiędzy potęgą a szczerością — wręcz przeciwnie.

Otworzyły się dźwiękoszczelne drzwi jego gabinetu. Weszło dwoje ludzi — kobieta i mężczyzna.

— Towarzyszu Iwanow — powiedział mężczyzna w mundurowej czapce funkcjonariusza KGB — oto towarzyszka Komińska.

— Dziękuję, towarzyszu Dewiatin — odpowiedział Iwanow nie odwracając się. — Proszę nas zostawić samych.

Szef KGB stał jeszcze przez dłuższą chwilę zapatrzony przed siebie. aż zapadła brzemienista cisza zakłócana jedynie jego głośnym jak miech kowalski oddechem.

Towarzyszka Tania Komińska stała bez ruchu przy drzwiach. Czarnymi oczyma w kształcie migdałów wpatrywała się z fascynacją w plecy Iwanowa. Sylwetka grubego szefa KGB symbolizowała w jej oczach finisz długiego biegu, którego przebycie wymagało ogromnych poświęceń i sporej dozy poniżenia.

Tania była bowiem jedną spośród dwumilionowej rzeszy „bojowniczek wojny seksualnej”. Jedną z tych, które szkolono przez cały czas w czterech wyspecjalizowanych ośrodkach. W samej Moskwie mieścił się jeden, dwa inne w odległości 100 kilometrów od stolicy, ostatni zaś w sercu Gruzji, Tbilisi. Tania przybyła właśnie z Tbilisi.

Centra te prowadziły stały nabór „szpiegów miłości”, jak lubił mawiać o nich Iwanow w chwilach poetyckich uniesień. Egzamin był surowy, a od wyniku nie było odwołania. Rządziły niepodzielnie dwie żelazne reguły: uroda i zmysłowość.

- Wybrane kandydatki przechodziły następnie szkolenie w sztuce miłości. Trwało ono pięć lat i było niewyobrażalnie surowe i okrutne. Gorsze niż ćwiczenia komandosów... Posuwano się nawet w owym wyrafinowaniu metod do wyłamywania stawów nowo przybyłym, by nadać pieszczotom oszałamiającą giętkość, a biodrom unikalne, jedyne

w swoim rodzaju zdolności ruchowe. Adeptkom mało kto potrafił się oprzeć. Po tym wszystkim sztuka uwodzenia, oczarowania, sztuka miłości z mężczyzną — lub kobietą — i przywodzenia do utraty głowy nie miały już żadnych tajemnic przed bojowniczkami seksu.

Iwanow wybierał co roku grupę dziewcząt, które wcielał do centrali KGB w Moskwie. Następnie mógł posługiwać się nimi do celów osobistych, sporadycznie o charakterze seksualnym. Najczęściej szło o politykę.

W rzeczywistości bowiem to dzięki owym pseudosekretarkom o oszałamiającym wdzięku szef KGB dowiadywał się, co myślą o nim współpracownicy i co się knuje w jego imperium. Była to metoda łagodniejsza, a przede wszystkim skuteczniejsza od tortur.

Wreszcie Iwanow zdecydował przenieść wzrok z pomnika Marksa na towarzyszkę Komińską.

Na pierwszy rzut oka odgadł, że dziewczynę przysłano z ośrodka w Tbilisi. Tam właśnie przygotowywano oddziały kobiet, które udać się miały do RFN-u. Obowiązywał śródziemnomorski typ urody. Doskonale zgrabne nogi, pełne piersi, oczy jak węgle, łono pokryte czarnymi i lśniącymi włoskami.

Towarzyszka Komińską była w tym względzie zjawiskiem na tyle wyjątkowym, by wyrzucić wrażenie na tej klasy ekspercie. Iwanowa przebiegł na jej widok zmysłowy dreszcz. Lekkie drgawki ogamęły pryszczate policzki szefa KGB. Egzamin wypadł pomyślnie.

Usiadł przy okazałym stole z marmurowym blatem, który służył mu za biurko, i wskazał Tani fotel.

— Towarzyszko Komińską — zaczął cichym głosem.

Zaskoczona, przysunęła się do stołu. Nie spodziewała się tak intymnego tonu w gabinecie człowieka, który trząsał Imperium. Iwanow tymczasem, opanowany psychozą podłuchu, przeświadczony był, że jego biuro naszpikowane jest mikrofonami i kamerami. „Nie ma powodu, by nie chciało zrobić mi tego samego, co ja robię innym” — mawiał na swoje usprawiedliwienie.

— Towarzyszko Komińską — podjął tym samym tonem. — Powiedziano mi o was wiele dobrego... — Otworzył tekturową teczkę i wyciągnął z niej kartkę. — Wystawiono pani doskonałą opinię: „Wspaniały podmiot, wykazujący ogromne zdolności adaptacji... Motywacja... Poczucie obowiązku...”

Tania milczała. Pożerała go wzrokiem i to jej wystarczało. Szef, natrafił na jej spojrzenie i poczuł się prawie zażenowany uwielbieniem, jakie z niego wyczytał.

— Hm! — powiedział, chcąc pokryć zmieszanie. — Cóż... Mam dla was poufną misję pierwszorzędnej wagi.

— To dla mnie zaszczyt, towarzyszu Iwanow. Zrobię, co w mojej mocy.

Po raz pierwszy od chwili wejścia otworzyła usta. Iwanow zadrżał. Głos tej dziewczyny... Głos łagodny i palący jak lawa.

„Ależ to bomba, prawdziwa bomba!” — pomyślał zapalając szóstego w ciągu dnia dawidowa. Zaciągnął się aromatycznym dymem, spoglądając w sufit, i podjął:

— Powiem jasno, towarzyszo Komińska. Zwróciłem się do was z trzech przyczyn. — Uniósł dłoń wyliczając na grubych palcach. — Po pierwsze, nie jest towarzyszka znana innym służbom, takim jak na przykład GRU. Po drugie, zadanie jest delikatne, a tylko kobieta potrafi pojąć pewne subtelności. Po trzecie wreszcie, wasze zalety...

Zawiesił głos, śledząc jej reakcję poprzez kłęby błękitnawego dymu cygara.

— Zrozumiałam — powiedziała spuszcżając z udanym skrępowaniem oczy.

„Ta dziewczyna zrobi wszystko, czego pan zażąda, a nawet i więcej!” — zwierzył mu Piotr Smukiewicz, jego zastępca, zajmujący się w razie potrzeby naborem „szpiegów miłości”. Smukiewicz dorzucił z jadowitą ironią, zdradzającą jego polskie pochodzenie: „Pomyśleć, że wydajemy miliardy rubli na satelity i statki szpiegowskie, podczas gdy ta dziewczyna sieje większe spustoszenie niż najdoskonalsza technologia... W końcu to właśnie rządzi światem!” I wykonał obsceniczny gest w zadymionym cygarami szefa powietrzu...

Może Smukiewicz się nie mylił. Na razie jednak zainteresowania Iwanowa nie sięgały Waszyngtonu, skupiając się na miejscu położonym o parę kilometrów od Moskwy, na obrzeżach aerodromu Chodynka, a dokładniej — na dwunastu budynkach bez okien, naszpikowanych strzegącymi je kamerami, i stanowiących serce i mózg GRU. Wyjął z teczki zdjęcie i podał je Tani.

— Ten człowiek jest zastępcą szefa 3 Wydziału GRU. I bardzo mało o nim wiemy. Zbyt mało...

Wyciągnął kartkę i odczytał:

Mika Siergiejewicz Wasiljew. — Urodzony w Rydze w 1957. — W rodzinie robotniczej. — W szkole nieprzeciętny. — Uczestniczy w grze patriotyczno-wojskowej wysokiego szczebla w 1969: operacja Zarmitsa, wykazując wybitne zdolności dowódcze i błyskotliwą inteligencję. — Szkoła Wojskowa w Moskwie

od 1975 do 1983. — Wcielony do Tamańskiej Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej w 1984. — Wyższy oficer w Afganistanie w II Brygadzie 201 Dywizji Piechoty w Ghanzi. — Ściągnięty do Moskwy w 1987 po potyczce, w której odłamek granatu zranił go w biodro.

Głębokie westchnienie Iwanowa podsumowało lekturę.

— To wszystko... Nie wiemy nic ponadto... A, tak! Jest coś jeszcze: „Znak szczególny: mistrz gry w *go* od czternastego roku życia. — Mistrz Europy z 1976... Krótko mówiąc, kartoteka nie zawiera nic ciekawego...

Podniosła oczy znad zdjęcia, które przedstawiało uśmiechniętego, ubranego w skafander Mikę, stojącego w śniegu.

— Słyszałam już od jednego z przyjaciół o tym człowieku. Podobno ma ogromny wpływ na towarzysza Achromiejewa.

— Być może — mruknął Iwanow, rozgniatając cygaro w popielniczce. — Dodatkowy powód do zachowania szczególnej dyskrecji.

Wstał i zaczął krążyć wokół stojącego w rogu pokoju imponującego stołu konferencyjnego na trzydzieści osób. Raz po raz przesuwając władczy palcem po blacie, jakby w poszukiwaniu niewidocznego pyłku, i szeptał, głośno myśląc:

— Chcę wiedzieć o tym człowieku wszystko. Wszystko!... Chcę zrozumieć, w jaki sposób trzydziestopięcioletni mężczyzna mógł osiągnąć takie stanowisko. Chcę znać jego wady, ułomności, słabe punkty! Skoro w tym wieku doszedł do tego szczebla, wkrótce z pewnością zostanie szefem GRU. A więc jest potencjalnym wrogiem. Muszę go usidlić... — Podeszedł do Tani, bacznie się jej przypatrując. — Naturalnie — w razie powodzenia czeka was specjalna nagroda...

Na tym zakończył. Podeszedł znowu do okna, założył ręce do tyłu i milczał.

Po chwili ciszy Tania uznała, że spotkanie dobiegło końca. Wstała i ruszyła w stronę dźwiękoszczelnych drzwi gabinetu.

Iwanow obserwował przez moment odbicie jej fantastycznej sylwetki w szybie. Przywołał ją, nim wyszła.

— Słucham, towarzyszu Iwanow?

Nie odwrócił się. Nie chciał, by dostrzegła zakłopotanie w jego oczach. Po raz pierwszy w swej karierze odnosił wrażenie, że igra z ogniem...

Musiał za wszelką cenę zebrać informacje o Mice Wasiljewie, którego zdumiewający awans niepokoił go. Jednak Achromiejew nie darowałby mu, gdyby Tania, jego agentka, zdołała poznać tajemnicę B 01. Marszałek zniszczyłby go bez wahania.

Przez chwilę zastanawiał się już nad odwołaniem zadania, które powierzył Tani. Ale czuł się osaczony ze wszystkich stron. Poczynając od Gorbaczowa, który chciał ograniczyć zasięg władzy KGB, poprzez GRU, które rozszerzało strefę swych wpływów kosztem KGB, a kończąc na młodych oficerach, gorących zwolennikach pierestrojki, którzy naruszyli sklerotyczną równowagę władzy.

Rezygnując z ostrożności, postanowił iść na całość. I zrobić wszystko, by usidlić Mikę Siergiejewicza Wasiljewa.

— Nie, nic — rzucił Tani, odprawiając ją gestem.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Iwanow sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do niejakiego Mironowa z tajnej policji, prosząc o ścisłą obserwację towarzyszeki Kornińskiej w ciągu najbliższych trzech miesięcy.

Stan Nowy Jork, świt 16 kwietnia 1992

Stary ford wyjechał z Nowego Jorku Interstate 87 i przejechał dolinę rzeki Hudson przez cały stan.

W Fondzie, o 290 kilometrów od Nowego Jorku, wcisnął się w Adirondack Mountains wąską, krętą szosą. Od tego momentu Ambre nie spotkała żywego ducha. Miała wrażenie, że znalazła się na innej planecie, że trafiła w znany z dzieciństwa dziki świat powieści Jacka Londona.

Północ jawiła się nieprzyjemna i groźna.

Droga biegła poprzez ciemny las iglasty, przysypany śniegiem. Czasami na wirażu Ambre dostrzeżała w dole turkusowe oczko jeziora, otoczone białym kręgiem. Śnieg zaczął sypać przed półgodziną. Najpierw drobnymi płatkami, potem tumanami nawiewanymi przez wiatr. Nad Adirondack Mountains rozpętała się zamieć.

Dziewczyna właściwie nic nie widziała. Stary ford posuwał się bitą drogą i przy każdym silniejszym dodaniu gazu czuła, że tył samochodu ześlizguje się na bok. W kierunku przepaści.

Naturalnie nie wzięła ze sobą łańcuchów ani kół z kolcami... Skąd mogła wiedzieć, że o trzy godziny jazdy od Nowego Jorku znajdzie się w świecie nie skażonym jeszcze przez cywilizację? W ostatniej chwili zauważyła ostry wiraż. Skręciła kierownicę ostro w lewo. Silnik forda Warczał. Tylne koła buksowały w grząskim śniegu i samochód zaczął zsuwać się ku przepaści, łagodnie, jak na nartach.

Nie mogła nic już zrobić. Zamknęła oczy, sparaliżowana strachem. W chwili gdy wóz miał się stoczyć, poczuła uderzenie po lewej stronie.

Ford zjechał jeszcze trochę i zatrzymał się. Potężny kamień zablokował przednie lewe koło.

Nie bardzo jeszcze wierząc w ocalenie, otworzyła powoli oczy i pozostała dłuższą chwilę z głową wspartą o kierownicę, próbując otrząsnąć się z przerażenia, potem zgasiła silnik i wysiadła drzwiami po stronie pasażera.

Cisza.

Las zalany był łagodnym, mlecznym światłem. Ambre doznała dziwnego uczucia, które dotąd rzadko ją nawiedzało. Uczucia, że jest sama na świecie...

„Nie po to jechałam taki kawał drogi, żeby wpadać w dziwne nastroje, złorzeczyła. Myślała o Jeffie i jego niefrasobliwości. Doprawdy, cóż to za pomysł wysłać ją samą w te niegościnnie góry, nie uprzedzając o niczym! Zabrałaby sprzęt...

Sypał gęsty śnieg. Ambre miała włosy oblepione białymi płatkami. Oparta o drzwi fordą wymyślała tortury, jakich nie omieszka zadać Jeffowi, skoro tylko go zobaczy, o ile w ogóle go zobaczy.

Planowała właśnie roztrzaskanie na drobne kawałki okularów dyrektora „New York Daily Chronicles” i przerobienie jego uszu na kalafiory, gdy usłyszała stłumiony przez śnieg warkot silnika. W pierwszej chwili pomyślała, że to traktor.

W rzeczywistości była to stara żółta półciągarówka, która zbliżała się powoli. Z przodu, obok kierowcy, siedział ogromny szaroczarny owczarek angielski, który z wyraźnym zachwytem wystawiał łeb przez okno i próbował chwycić płatki śniegu znajdujące się w zasięgu jego pyska. Towarzyszyły temu gwałtowne ruchy i kłapanie szczękami.

Ambre odetchnęła z ulgą. Ludzie jednak jeszcze istnieli na ziemi. A w każdym razie — psy.

Zamachała rękami. Ciężarówka zatrzymała się obok niej.

— W porządku, zauważyłem panią — powiedział kierowca, młody mężczyzna o kręconych czarnych włosach.

— Nigdy nie wiadomo. W takiej śnieżycy...

— O rety! Szykowała się pani do dużego skoku! — zawołał, obrzucając ironicznym spojrzeniem fordą, unieruchomionego o parę centymetrów od przepaści. — Jest pani turystką?

Wzruszyła ramionami.

— Jestem dziennikarką i przyjechałam do Mount Creek zrobić reportaż dla „New York Daily Chronicles”.

— No, no, nasi nowojorscy koledzy po fachu zainteresowali się dzikusami z północy stanu — zadrwił młodzieniec, wysiadając z szoferki.

Podszedł do Ambre i wyciągnął dłoń.

— Sam Joshua, „Utica News” z Utica.

Ambre usiłowała przedstawić się, popychana przez owczarka, który postanowił ocalić ją od zamrażnięcia i rozgrzewał jej twarz, liżąc zamasyżycie.

— Leżeć, Demis! — rozkazał Sam. — Zostaw moją koleżankę w spokoju. — Popatrzył na Ambre, wyraźnie czegoś nie rozumiejąc, i zapytał: — Czego pani szuka w tej dziurze? Silnych wrażeń? Egzotyki?

— Przyjechałam z powodu grypy.

— Przyjeżdża pani z Nowego Jorku z powodu grypy w Mount Creek?

— Ponoć choruje całe miasteczko.

— Kto tak powiedział?

— Jeff Turner, kuzyn Mela Turnera, miejscowego lekarza.

— Ach! Mel Turner... — Sam skinął głową. — Znam go dobrze. Mieszka w Crown Point, w małym miasteczku w dolinie. Wygląda na to, że mamy informacje z tego samego źródła... Mel zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem, ale przypuszczam, że trochę przesadził, mówiąc o „epidemii”.

— Ma pan jakieś wiadomości? — zapytała Ambre, zawiadziona obrotem sprawy.

— Tak... właściwie nie. W każdym razie, niewiele. Miasteczko na górze jest wyludnione. Wszedłem do jednego czy dwóch domów. Nie widziałem nic nadzwyczajnego — może z dziesięciu chorych z termometrami w tyłkach. W każdym razie nic, co mogłoby nadawać się na artykuł czy choćby wzmiankę. To tylko zwykła

Zwróciła oczy w kierunku Mount Creek, trwała przez chwilę w milczeniu, aż wreszcie poprosiła Sama: .

— Proszę pomóc mi wyjechać... Spróbuję dotrzeć do Mount Creek.

Sama rozśmieszyła mina, z jaką rzucała wyzwanie losowi.

— Wie pani, tam na górze naprawdę nie ma nic ciekawego — powiedział tonem perswazji. — Zwłaszcza dla dziennikarki z Nowego Jorku...

Parę chwil później stary ford zdołał jakoś ruszyć.

* * *

Mount Creek, stare miasteczko pamiętające czasy kolonizacji, powstało na miejscu osady indiańskiej. Leży w sercu rezerwatu Mohawków. Tutejsza kaplica była zresztą świadkiem masakry dokonanej na chrześcijanach przez Indian w XVII wieku. Wzniesiono je na płaskowyżu porośniętym wielkim, iglastym lasem, nad przepaścią.

Ambre zaparkowała forda na placyku w centrum miasteczka. Przeszło jej przez myśl, że Mount Creek liczyło pewnie nie więcej niż dwustu mieszkańców. Sam Joshua miał rację. Miasteczko było wyludnione i dziwnie spokojne. Wszystkie okiennice zamknięte. Jedyna żywa istota, jaką ujrzała, to kulawy pies, który przebiegł na trzech łapach przez zaśnieżony placyk.

Bim-bam-bom... Nad uliczkami rozbrzmiał cichy głos dzwonu. Ambre spojrzała na zegarek. Dziesiąta rano. Droga do Mount Creek zajęła jej sześć godzin.

Wysiadła z samochodu i ruszyła ku małej kaplicy. „Skoro dzwony biją, ktoś musi w nie uderzać. Może ta osoba udzieli mi jakichś informacji i wyjaśni, jak to właściwie jest z tą gripą...”

Pchnęła stoczone przez korniki drzwi i weszła do środka. Pograżona w ciemnościach kaplica przypominała grootę. Pachniała wilgocią, mchem i starym drewnem. Zawołała:

— Jest tu kto?!...

Jej głos odbił się echem. Postąpiła kilka kroków w mroku. Nagle serce skoczyło jej do gardła. Coś musnęło jej rękę. Stała się skamieniała i zaczęła macać czubkami palców. Rozpoznała klęcznik.

Odzyskała równowagę. Jej oczy przywykły do mroku. Powtórzyła pytanie ciszej, znacznie mniej pewnym głosem.

— Jest tu kto?...

Odpowiedział jej tylko płask wilgotnych płatków śniegu o szyby. Po omacku, unikając zderzenia z krzesłem, ruszyła ku ołtarzowi, który dostrzegła w migotliwym blasku dwóch świec pod krucyfiksem. W głębi kaplicy.

Nagle o parę metrów od ołtarza pojawiła się biała postać i ruszyła w jej stronę. Ambre cofnęła się odruchowo między rzędy krzesel, burząc ich ustawienie. Postać ominęła ją w ostatniej chwili i przeszła tuż przed nią.

Była to stara Indianka, owinięta w biały pled, najprawdopodobniej zajmująca się dzwonem. Miała spuszczone oczy. Jakby Ambre nie istniała.

Oniemiała z wrażenia, Ambre patrzyła na nią nie mogąc wykrztusić słowa. Kiedy doszła do siebie, było za późno. Staruszki o pomarszczonej twarzy już nie było. Ambre wyszła za nią. Nie zobaczyła jej również na placyku. Indianka zniknęła.

Znów żywego ducha.

Szary, pochmurny dzień zasypał miasto wirującymi płatkami.

Spoglądając na wymarłe miasteczko, na zamknięte okiennice, powiedziała sobie, że nie zdoła się wiele dowiedzieć.

Pomyślała o Melu, Melu Turnerze... Może on coś jej powie.

Według słów Sama Joshuy, Mel mieszkał w dolinie, w Crown Point.

Cztery godziny później

Side-car Mela Turnera zatrzymał się z patetyczną czkawką przed bramą drewnianej chaty, połataną byle jak kawałkami blachy i deskami pomalowanymi naprędce. Mel wysiadł i zsunął na czoło grube okulary pilota, godne bohatera przestworzy z początku wieku. Był równie okrągły i tłusty, jak Jeff chudy i kościsty. Między kuzynami istniało jednak pewne podobieństwo fizyczne. Ten sam nieobecny wygląd, to samo spojrzenie krótkowidza. A przede wszystkim, takie same uszy.

Mel pchnął kratę, pełniącą rolę bramy. W tym właśnie momencie zauważył, że w starym, bujanym fotelu na ganku siedzi młoda kobieta, która — o dziwo — zdaje się na niego czekać.

— Pani do mnie? — zapytał przekonany, że to jakaś pomyłka.

— Czekam na pana od czterech godzin — powiedziała Ambre wstając z fotela, a w jej głosie brzmiała tak wyraźna ulga, że Mel aż stanął w miejscu.

— Ale o co chodzi?

— Już się przedstawiam — powiedziała ściskając żarliwie jego dłoń. — Ambre Manari. Pracuję z Jeffem, pańskim kuzynem.

— Jeff... Jeff... — powtarzał machinalnie Mel, patrząc na Ambre, jak na chodzącą zagadkę. Jakim cudem jego kuzyn mógł zdobyć taką dziewczynę dla tej swojej gazety dla ubogich?

— Może wejdziemy? — zapytała Ambre. — Nie jest mi zbyt ciepło.

To stwierdzenie ściągnęło go na ziemię. Wprowadził ją do środka, bełkocąc słowa przeprosin: Nie ma czasu na sprzątanie. Kawalerskie życie... Cały czas przy chorych...

W chacie było podobnie, jak na zewnątrz.

Wyglądała na skład rozmaitych przedmiotów: na fotelu spoczywał pęk wędek; indiańska maska wykrzywiła się, wystrojona w czapkę pompierza ze stacji benzynowej; puszki po piwie stały ułożone w piramidy i wieże. Kufle płątały się wszędzie: w zlewie, w szafach, nawet w hamaku rozpiętym między dwoma indiańskimi

Wśród tego artystycznego nieładu królowała gliniana rzeźba wielkości człowieka. Kształtem obiekt ów dziwnie przypominał kulę karabinową albo raczej, biorąc pod uwagę rozmiary — pocisk.

— Rzeźbi pan? — zapytała z uśmiechem.

Mel, zajęty właśnie parzeniem herbaty na starej kuchence, podniósł głowę. Na czole miał nadal okulary do jazdy.

— Nie. Nie rzeźbię.

— Sądziłam...

— To nie rzeźba, ale biologia. — Zbliżył się do glinianego pocisku i pogładził go w zamyśleniu palcem. — To, co pani tu widzi, jest modelem wielkości człowieka najmniejszego i najgroźniejszego wroga ludzi. To wirus.

Wytrzeszczyła oczy. Oczy doktorka odpowiedziały z za szkieł uprzejmym uśmiechem.

— Wydaje się pani zdziwiona?

— Tak... Inaczej wyobrażałam sobie wirus. Zresztą w ogóle go sobie nie wyobrażałam. Ledwie wiem, co to jest.

— Jak przeważająca część ludzi, niech się pani nie przejmuję. Jednakże zwierzę, które ma pani przed sobą, czy raczej jego gliniany model, jest naszym najgroźniejszym wrogiem. Jego możliwości są tysiąc... dziesięć tysięcy razy większe niż istoty ludzkiej. Na przykład człowiek rozmnaża się powoli: dwa, trzy „egzemplarze” w ciągu dwudziestu lat. Reprodukacja wirusa sięga wielu milionów w ciągu dwudziestu czterech godzin! To byt stworzony do zabijania. Żaden człowiek, żadne zwierzę na Ziemi nie potrafi mu się oprzeć... On właśnie przeżyje wszystkie istniejące obecnie gatunki. Proszę tylko pomyśleć, że jutro rano nowy, zmutowany wirus może pojawić się i w niecały miesiąc dziesiątkować istoty żyjące na Ziemi! Wirus wielkości kilku dziesiątych milimetra! Nieprzypadkowo biolodzy wybrali łacińskie słowo „virus”, czyli „trucizna”, na oznaczenie tej prawdziwej maszyny śmierci...

Mówił to tonem wróżbity.

— Ale — wtrąciła zaintrygowana Ambre — jak działa wirus, że jest aż tak śmiertelny?

— To proste. Jego szkodliwość wynika z budowy. Konstrukcja genetyczna wirusa jest żałośnie uboga. Jest więc zmuszony posługiwać się dziedzictwem genetycznym innych, zazwyczaj komórkami organizmu ludzkiego, aby zachować własny gatunek.

— Nie rozumiem, czemu miałby przez to stać się zabójczym...

— Zrozumie pani... Aby wykorzystać genetyczne „narzędzia” komórki, która posłuży mu do namnażania się, wirus działa jak pirat komputerowy. Wnika do komórki i zmienia jej kod genetyczny, tak aby wytwarzała nowe wirusy... Od dziesięciu tysięcy do stu tysięcy w ciągu paru godzin! Pod ich presją błony komórkowe wkrótce pękają,

uwalniając tym samym masę nowych piratów, gotowych skolonizować kolejno nowe komórki. To nazywa się właśnie infekcją wirusową... I gdyby nasz organizm nie miał dość skutecznego systemu ochrony i nadzoru, każda taka infekcja równałaby się śmierci. Trzeba pamiętać, że tysiące wirusów atakują nasz organizm każdego dnia...

Ambre zamyśliła się na moment. Z odrazą spoglądała na pocisk-wirus.

— Właśnie, Mel... Przyjechałam, by pomówić o wirusie. O wirusie grypy szalejącej w Mount Creek. Byłam dziś rano w miasteczku, ale nie spotkałam żywego ducha. Prawdziwy cmentarz. Jaka jest prawda, Mel? Czy jest tak wielu chorych, jak pan powiedział wczoraj Jeffowi? Co pan o tym myśli?

— Co o tym myśle?... Nie za dużo. Symptomy są zawsze takie same. Osłabienie, silne zmęczenie, wysoka gorączka, która gwałtownie wzrasta do 39, nawet 40°. To klasyczny już scenariusz w Mount Creek, gdzie na mojej głowie znalazło się pięćdziesięciu trzech chorych. Utwierdzam się w przekonaniu, że mamy do czynienia z epidemią...

Przerwał, aby nalać parującego płynu z czajniczka do filiżanki, i podjął:

- Ja sam czuję się kiepsko od wczorajszego wieczoru... A przecież zaszczepiłem się, kiedy pojawiła się ta grypa, podobnie jak większość mieszkańców Mount Creek. Ale nic nie da się zrobić. Jakby... jakby ta grypa opierała się szczepionce.

— Czy oddał pan wirus do analizy?

— Tak — powiedział w zadumie, kierując się ku glinianej makiemie z filiżanką w dłoni. — Specjalistyczne pracownie z Center for Disease Control w Atlancie potwierdziły grypę, niepokoi mnie jednak pewien szczegół... — Wypił łyk gorącej herbaty i ciągnął: — Tak... analiza ekspertów odbiega pod wielu względami od przeprowadzonej dla mnie przez prywatne laboratorium.

— Co pan ma na myśli, Mel? — zapytała Ambre.

Ręką, w której trzymał filiżankę, wykonał nieokreślony gest. Parę kropel herbaty wylało się na spodek.

— Nic. Szczegóły techniczne. — Jego twarz wyrażała niepokój i troskę. — Nie to jednak niepokoi mnie najbardziej.

Zapytała o powód jego troski. Mel westchnął głęboko i, jakby wahał się czy może zwierzyć Ambre straszliwy sekret, zatopił wzrok w filiżance.

— Mel — odezwała się, podchodząc do niego. — Może mi pan zaufać...

Wiejski lekarz z Crown Point wpatrywał się uparcie w parującą z filiżanki herbatę, potem podniósł głowę. Zachęcała go spojrzeniem.

— Okay! — powiedział wreszcie. — Zdradzę pani, co mnie najbardziej trapi w całej tej historii... Ale niech to będzie naszym sekretem.

— Obiecuję.

Mel uśmiechnął się blado. Słowa, które wypowiedział, wychodziły z jego ust bardzo szybko, jakby czekały na to już od dawna.

— Tak... Symptomy grypy z Mount Creek występują obok innych objawów, których nie spotyka się nigdy w normalnym rozwoju tego wirusa... Mam na myśli opadanie powieki, znaczną nerwowość, przejściową utratę wrażliwości na ból, czasami przejściowe porażenie nerwu twarzowego. Zupełnie jakby choroba, którą nazywamy gripą z Mount Creek, maskowała inne schorzenie. Widać w niej osłabione oznaki choroby wywoływanej przez TO.

„TO” odnosiło się do stojącego przed nimi glinianego wirusa. Było uosobieniem obsesji Mela, wrogiem, który czał się za niby-grypą z Mount Creek, przedstawionym w trzech wymiarach i wielkości człowieka.

— Jaki to wirus, Mel?

Znów ogarnęło go przygnębienie. Potem, dotykając czubkiem palca powierzchni glinianego pocisku, wyszeptał:

— Wirus wścieklizny.

Benghazi, początek maja, popołudnie

Doktor Rilke raz jeszcze przejrzał kartę chorobową Golbudina Kalzai. Poczynione wcześniej notatki dotyczące kolejnego etapu leczenia brzmiały następująco: „Przejsć do drugiej fazy relaksacji: przeniesienia myślowego w środowisko wodne”.

— Proszę położyć się na kanapce — powiedział do Golbudina, spoglądając na niego sponad małych okrągłych szkieł.

Białe prześcieradło, którym nakryta była czarna skórzana kanapka, niemal natychmiast przesiąkło potem przy zetknięciu z mokrą na plecach koszulą Afgańczyka.

— Niech pan spróbuje się uspokoić...

Doktor wyjął z kieszeni fartucha okrągły, lśniący przedmiot, przypominający zawieszony na sznureczku srebrne kółko, i począł kołysać nim przed oczyma Golbudina. Zaczynał się seans hipnotyczny.

— Proszę nie odrywać oczu od tego pierścienia... To pierścień marzeń...

Golbudin zdjął dwuogniskowe okulary i usiłował śledzić powolny i regularny ruch kółka. Zacisnął dłonie na brzegach kanapki, jakby z obawy, że spadnie.

Powoli, bardzo powoli doktor przesunął dłoń po brwiach Golbudina i powtórzył:

— Jest pan zmęczony... bardzo zmęczony... ciężą panu ramiona... pańskie nogi ważą tonę... ogarnia pana senność... nieprzezwyciężona senność... powieki opadają... nie może pan utrzymać otwartych oczu...

I powieki Golbudina drgnęły w nerwowym tiku. Jego ramiona i nogi rozluźniały się stopniowo. Oczy zamykały się coraz bardziej.

Wszedł w najlżejszą fazę hipnozy — letarg.

Doktor zerknął na zegarek. Seans zaczął się przed niespełną sześcioma minutami. Wstał, podszedł do biurka i zanotował w karcie: „Pacjent wykazuje coraz większą podatność na sugestię, odpowiednio do czasu leczenia”.

Leżący na kanapce Golbudin zdawał się spać. Oddychał regularnie, na jego twarzy wyraźnie widać było odprężenie. Doktor wcisnął klawisz ON w małym magnetofonie, który stał u stóp leżanki. Pokój wypełnił się szumem morza. Uderzenia fal oceanu o brzeg mieszały się z radosnym, dobiegającym z ogrodu świergotem ptaków.

Morze. Spokój, beztroska.

Ta faza trwała dwadzieścia minut. Potem doktor podjął drugi etap leczenia somnologicznego, które w swym żargonie nazywał „powrotem do matki-morza”.

Przyciszył nieco magnetofon.

— Czy słyszy mnie pan?

Golbudin powoli skłonił głowę w dół. Przed przystąpieniem do dalszych czynności terapeutycznych doktor poddał pacjenta testowi poziomemu podporządkowania, a co za tym idzie — podatności na sugestię.

— Proszę spleść dłonie... o tak, teraz pańskie ręce są ze sobą spojone... nie może pan ich rozdzielić...

Następnie doktor Rilke poprosił Golbudina, by rozplótł palce. Pacjent usilnie próbował wypełnić polecenie. Na darmo. Jakby jego dłonie zrosły się ze sobą.

— Dobrze — mruknął usatysfakcjonowany lekarz. — Pańskie ręce odzyskały swobodę ruchów. Proszę je rozpleść. — Golbudin usłuchał. — Dzisiaj po raz pierwszy odbędziemy razem długą, długą podróż morską... Widzi pan morze?... Jest w dali... mieni się przed nami w słońcu... odczuwa pan potrzebę zanurzenia w chłodnych falach... pogrążenia w dobroczynnej masie wody... Z niej zaczerpnie

pan siły, by wyzdrowieć... Ona obmyje pana z wszelkiego cierpienia, które pana gnębi... Będzie dla pana drugą matką... Zanurzając się w wodzie, odzyska pan sen, spokój... poczujecie pan, jak otula pana chłodna ciecz... przestanie pan cierpieć... na zawsze...

Na te słowa na wargach Golbudina pojawił się lekki uśmiech. Afgańczyk oddychał pełną piersią, jakby z radością wciągał słone morskie powietrze.

— Chce pan wejść do morza? — zapytał doktor.

Afgańczyk potakująco skinął głową.

— Dobrze... Wejdziemy razem... obaj... Ruszamy ku brzegowi... Bardzo, ale to bardzo pragnie pan poczuć jego orzeźwiający dotyk... jego łagodność... poczuć, jak fale muskają pana skórę... Zdejmujemy ubrania... Morze jest przed nami... Schodzimy z wydm, by zanurzyć się w...

Golbudin zaczął jęczeć, mnąc palcami prześcieradło.

Koszmar. Koszmar wracał.

Wśród łagodnej scenerii, którą roztoczył przed nim doktor, pojawił się inny obraz, scena wywodząca się z nocnych zmor Afgańczyka. Ciągące się w dali morze zniknęło. W jego miejsce pojawiła się ogromna, krwistoczerwona wydma. Wydma zasypywała jego rodzinę, wszystkich najbliższych. Piach zatykał im usta, dusił, dławił krzyk. Golbudin usiłował ich zatrzymać, czuł jednak, że ich palce wymykają mu się z rąk. Powoli, ale nieubłaganie.

— Wydma! Czerwona wydma!

Skulił się, a następnie wyprężył na leżance, tocząc oszalałym wzrokiem. Doktor ze wszystkich sił próbował utrzymać go w pozycji leżącej i pohamować wybuch.

— Wydma! Wydma!

Harun, asystent Rilkego, przybiegł zaalarmowany krzykami, by pomóc doktorowi zapanować nad Golbudinem, wstrzykując mu silny środek uspokajający.

— Dziękuję, Harunie — powiedział lekarz, przeczesując przetykane siwizną rude włosy. — Proszę poczekać, aż się uspokoi, a potem odwieźć go samochodem do uniwersyteckiej izby chorych.

Doktor Rilke stał obok leżanki, spoglądając na Afgańczyka, który trzymany przez Haruna za ręce, wiał się i charczał jak schwytane w pułapkę dzikie zwierzę.

Po paru minutach środek uspokajający zadziałał. Krzyki niemal ustały. Mięśnie rozprężyły się powoli. Chwilę później Golbudin zapadł w głęboki sen.

Z pomocą ogrodnika Harun ułożył Golbudina na noszach. Doktor w zamyśleniu spoglądał, jak odchodzą. Gdy zniknęli, zamknął drzwi.

„Brześć Litewski” opuścił port Urgencz w Uzbekistanie około czwartej nad ranem. Płynął w górę Amu-darii z prędkością mniej więcej 15 węzłów, co powodowało drgania konstrukcji małego statku o czterdziestometrowej dennicy płaskiej.

Na tylnej platformie „Brześcia”, tam gdzie zwykle spoczywały beły bawełny i beczki z olejem jadalnym, zainstalowano dwie cysterny o wysokości 2,5 metra oraz niewielką silnikosprężarkę.

Od obu cystern odchodziła wiązka ośmiu węży z metalowymi końcówkami przymocowanymi do burty i zwróconymi w stronę skarpy, na prawy brzeg Amu-darii.

Kapitan „Brześcia Litewskiego”, Lew Kazbek, niespokojnie rzucił okiem na komin, z którego buchały kłęby czarnego dymu. Zasepiony pokręcił głową, potarł krótką bródkę i po raz enty przeklął w duchu dokonaną przez KGB rekwizycję i przekształcenie „Brześcia” w pływającą fabrykę. Gdyby chociaż problem sprowadzał się do tego! Istniała jeszcze jedna kwestia — narzucenie starym maszynom piekielnego rytmu. „Musimy dotrzeć na miejsce, nim zapadnie noc” — rozkazano mu. „Na miejsce”, to znaczy o 250 kilometrów od Urgencza...

Na domiar złego wyjątkowo łagodna temperatura — prawie 8°C — niepomernie utrudniała żeglugę. Rzeka miotała kadłubem, spychając go raz po raz na przybrzeżne drzewa. Lew Kazbek, usiłując uniknąć starcia z nimi, bacznie wpatrywał się w brzeg zaczerwienionymi z niewyspania i przemęczenia oczyma.

Złym wzrokiem spojrzął na dwóch ludzi stojących na tylnym pomoście. Ubrani w obszerne, wełniane palta, spędzili cały dzień na badaniu brzegów Amu-darii i dokonywaniu pomiarów, nieczuli na wilgoć i zmęczenie.

Lew Kazbek spotkał ich po raz pierwszy przed trzema dniami, gdy wracał na pokład „Brześcia” od odwiedzanego co dwa tygodnie prostytutek portowych. Wyższy z mężczyzn, prawdopodobnie szef, pokazał mu dokumenty podpisane przez miejscowych zwierzchników KGB.

Rozkaz był wyraźny: oddać „Brześć Litewski” do dyspozycji dwóch inżynierów z laboratorium Wojskowego Instytutu Badawczego w Swierdłowsku, Grigorija Iljicza i Aleksieja Karlewowa.

Iljicz, czyli wyższy z dwóch panów, wyjaśnił Kazbekowi, czemu zainteresowano się właśnie „Brześciem Litewskim”. Otóż jego zdaniem był to statek wyjątkowo mocny i bardzo zwrotny.

W rzeczywistości wyboru dokonano ze względu na niepozorność małego stateczku. Drugim, nie mniej istotnym powodem było ustalenie przez KGB, że Lew Kazbek trudni się przemytem alkoholu. Łatwo było go zmusić do milczenia...

W ciągu dwóch dni inżynierowie instalowali aparaturę zakrytą przed wzrokiem ciekawskich plandeką. Także Lew Kazbek odsunięty został od prac przygotowawczych. Udało mu się jednak dojrzeć pod smołowaną płachtą na tylnym pomoście bezkę z napisem „Siarczan kadmowo-cynkowy”.

„Nawóz!” — sztychł w duchu, wyszczerzając poczerwiałe resztki uzębienia i trzy połyskujące złotem protezy. „Cóż by tu mieli nawozić? Brzegi Amu-darii są bezładne”. Nad rzeką leżały nieliczne osady, a w stepie żyły wyłącznie zwierzęta — przede wszystkim zające.

Stojący na pomoście Karlewow podniósł wzrok znad mapy, którą trzymał w ręku. Zawołał Iljicza i wskazał mu punkt na prawym brzegu rzeki. Zdawali się zgodni co do miejsca.

Zaczęli wołać Lwa Kazbeka. Kapitan jednak nie słyszał ich. Krzyczeli, lecz warkot pracującego pełną parą dieslowskiego silnika zagłuszał ich. Iljicz ruszył ku mostkowi kapitańskiemu przeskakując zawałające pokład rury.

— Zatrzymaj się! — wrzasnął w ucho Kazbekowi.

Maszyny drgnęły i zamilkły. Zapanowała całkowita cisza. Słychać było tylko świst wiatru wpadającego przez potłuczone szyby kabiny.

Iljicz spojrzął na Karlewowa stojącego na tylnym pomoście.

— A wiatr? — zapytał z odcieniem niepokoju w głosie.

Karlewow zastanawiał się. Wychylił się przez burtę, badawczo przyjrzał się tafli wody, która marszczyła się pod wpływem fali, potem poważnie skinął głową. Mogli przystępować do działania. Iljicz podszedł do Lwa Kazbeka i rozkazał:

— Na mój znak dopłynię pan jak najbliżej prawego brzegu. Ale ostrożnie! Co najwyżej pięć węzłów.

Inżynier wyciągnął z kieszeni palta czapkę, maskę i parę rękawiczek, wszystko śnieżnobiałe, w plastikowym opakowaniu.

— Proszę to założyć! I ani słowa o naszej eskapadzie, jasne?...

Pomarszczone powieki mrugnęły nad maską na znak posłuszeństwa. Kapitan zrozumiał, co chciano mu powiedzieć.

Iljicz dołączył do stojącego obok cystern Karlewowa. Pospieszenie nałożyli białe kombinezony, które osłaniały nawet dłonie, i wciągnęli szare maski. Po uruchomieniu silnikosprężarki obaj unieśli ręce w górę. To był znak. Lew Kazbek włączył silnik i podpłynął do skarpy.

Zsynchronizowanym gestem mężczyźni na mostku opuścili rączki zamontowane na górnej obudowie cystern.

Miliony drobnych kropelek wytrysnęły z ośmiu węży i utworzyły białą chmurę nad prawym brzegiem Amu-darii.

* * *

„To kości, kości zwierząt!”

Ambre z przerażeniem uświadomiła sobie, że białe kawałki drewna które sterczą ze ścian niskiej chaty, są w rzeczywistości wmurowanymi w kamień szczątkami zwierzęcymi.

A przecież Mel uprzedzał ją. „To inny świat. Ich potrzeby różnią się od naszych. I ich lęki również”.

Przestrogi Mela nie zmieniły jej fatalnego samopoczucia w tym zasypanym śniegiem, smętnym zakątku. Narastał w niej podstępny, nieopanowany strach. Mel miał rację. Końskie żebra i piszczele tkwiące w ścianach chaty zdawały się pochodzić z innej epoki.

Z prymitywnej epoki trapionej pogańskimi lękami.

Przez moment miała ochotę uciec, pobiec do starego forda, ruszyć i znaleźć się znów w świecie cywilizacji, w ochronnym kokonie nowojorskiego życia.

Zawróciła do samochodu. Już miała przekręcić kluczyk w stacyjce, kiedy przed oczyma stanęły jej duże uszy i smutny, długi nos Jeffa.

„Nie możesz tak po prostu zmarnować pierwszego reportażu, staruszko!” — zdawał się mówić.

Jeff miał rację. Nie mogła teraz się cofnąć. To, co Mel Turner, kuzyn Jeffa, powiedział jej o „grypie” z Mount Creek, mogło być tylko hipotezą, dość jednak wstrząsającą, by warto było zbadać sprawę...

Oddechnęła głęboko i wysiadła z wozu.

„To tam, na równinie, za Mount Creek, jakieś 5 kilometrów od ostatnich domów — powiedział Mel. — Jak mi wiadomo, rodzina mieszkająca w tej chacie jako pierwsza dotknięta została chorobą... Syn, trzydziestolatek, kompletny idiota, był pierwszym pacjentem w Mount Creek. Jego ojciec, obłożnie chory stary Indianin, zaraził się tuż potem. O dziwo, matce — to miejscowa jasnowidząca, biała z Utica — nic nie jest. Przypisuje cud tajemnicom naturalnej medycyny— nalewce z kory brzozy na wodzie życia...”

Ambre znalazła się przed drzwiami niskiej chaty. Zdobyła się na odwagę i starając się nie patrzeć na przybitego pośrodku drzwi martwego puszczyka, trzykrotnie zapukała zgiętym palcem.

W środku panowała cisza.

A przecież szary dym unosił się z kamiennego komina i zdradzał czyjąś obecność. Zapukała ponownie. Po dłuższej chwili usłyszała zduszone głosy i zbliżające się do wejścia szuranie czyichś kroków. Drzwi otwarły się.

— W jakiej sprawie? — zapytała nieuprzejmie stara kobieta o krostowatej twarzy i grubych nogach obciążonych brązowymi, wełnianymi pończochami.

— Chciałam tylko porozmawiać... Jestem dziennikarką.

— Ale my nie chcemy z nikim rozmawiać.

— Przysłała mnie doktor Turner. Zna pani Mela Turnera.

— Ten doktor to osioł. Przyłazi tu dzień w dzień... A ani mąż, ani Lester nie zdrowieją.

Ambre nie ustępowała i próbowała wejść.

— Nie mamy nic do powiedzenia... Z wnętrza dobiegł słaby, drżący głos.

— Precz. Wyrzuć ją precz.

Drzwi zatrzasnęły się.

Ambre nawet przed sobą nie chciała przyznać się do porażki. Wyjęła z kieszeni kurtki dziesięciodolarowy banknot i wsunęła go pod drzwi. Banknot zniknął, wciągnięty przez łapczywą rękę, drzwi jednak były nadal zamknięte. Następna dziesięciodolarówka. Tym razem drzwi otwarły się. Spojrzenie staruchy zdecydowanie nabrało zyczliwości. Oba banknoty utonęły w fałdach czarnej spódnicy wątpliwej czystości.

— Proszę...

Nozdrza Ambre uderzył silny odór. Było to coś pośredniego między wędzarnią ryb a gromadzonym od wielu pokoleń brudem.

Starucha uniosła zjedzone przez mole, cuchnące futro i wprowadziła Ambre do głównej izby, pełniącej zarazem rolę kuchni, składziku i sypialni.

Z leżącego na ziemi materaca dźwignął się stary Indianin, którego twarz oświetlały migotliwe płomienie ognia, i wsparty na łokciu, powiedział wskazując Ambre drżącym palcem:

— Precz! Żadnych obcych!

Stara nie słuchała go. Spod sterty szmat wydobyła szklaną butelkę w kształcie gąsiora.

— Napijesz się kropelkę? — zaproponowała, zwracając się do Ambre. — To sok z brzozy... Odpędza wszystkie choróbki!

Ambre podziękowała czując, jak ściska jej się żołądek. Ręka staruchy zawisła w pół ruchu. Zdziwiona odmową wychyliła parę łyków czerwonej cieczy, w której pływało kilka gałązek.

Potem zaoferowała „sok brzożowy*’ mężowi. Stary Indianin, zapatrzony w ogień, nie odpowiedział. Kobieta podeszła do Ambre spoglądając na nią porozumiewawczo. Znalazła w niej świadka. Dziewczyna czuła na szyi jej cuchnący oddech.

— Widzisz! Mój mąż i mój syn Lester nie piją soku brzożowego. Wolą piwo... No i obaj chorują. — Znów wychyliła łyk płynu. — Ten sok przepędza demony z ciała!

Ambre zdecydowała przerwać te przyprawiające ją o mdłości wyznania. Odsunęła się nieco i zapytała:

— Czy mogę zobaczyć się z pani synem?

Po intonacji głosu Ambre stara zorientowała się, że dziennikarce zależy na Lesterze. Przybrała zatroskany wyraz twarzy.

— Nie wiem. Jest taki chory... Doktor mówi nawet, że on pierwszy we wsi zachorował...

Kolejny zielony banknot pomógł jej zmienić zdanie. Ambre została zaprowadzona do komory, na prawo od kominka. W pierwszej chwili dziewczyna pomyślała, że stoją tu tylko klatki. Znajdowały się wszędzie, najrozmaitsze: drewniane, z kutego żelaza i stali... Upłynęło parę sekund, nim dostrzegła, że wszystkie były zamieszkane przez brzęczące i pełzające stworzenia, wypełniające je nieustannym ruchem. Tu parka ryjówek. Tam dwie splecione ze sobą jaszczurki i jeszcze jakieś inne zwierzątka. Ptaki, chrząszcze, chomiki.

Starucha podeszła do sterty kołder w rogu komórki i potrząsnęła nimi brutalnie:

— Lester! Wstawaj! Ktoś chce z tobą pogadać!

Pod kołdrami poruszył się jakiś kształt i twarz Lestera pojawiła się w świetle. Jego wielkie cielsko o potężnych mięśniach stanowiło zdumiewające połączenie ze spojrzeniem nieobecnych, łagodnych oczu rozpalonych gorączką.

Lewa strona twarzy była zupełnie jak martwa. „Przejściowe porażenie nerwu twarzowego”, opisywał Mel, mówiąc o objawach grypy w Mount Greek...

— Dzień dobry, Lester — odezwała się łagodnie. — Chciałam zadać ci kilka pytań.

Lester mruknął. Uparcie wpatrywał się w klatkę, po której kręcił się popiskujący czarny kos.

— Lester, jak to się stało, że zachorowałeś? Czy pamiętasz?

Twarz idioty zamarła. Z ust po sparaliżowanej stronie ciekła ślina.

— Byłam tego pewna! — wykrzyknęła stara. — Znowu włączył się z tą kurwą z lasu!

Lester skrył twarz pod kołdrami. Stara, podekscytowana „sokiem brzozywym” i obecnością Ambre, zaczęła kopać nogami stertę.

— To ta dziewczucha cię zaraziła! Co? A nie mówiłam, żebyś do niej nie łąził!

Ambre jednym gestem powściągnęła wściekłość starej i pochyliła się nad stertą, spod której wystawał kosmyk prostych włosów i oko o długich i miękkich rzęsach. Natknęła się na spojrzenie małego zwierzątka, dzikiego i wystraszonego.

— Nie bój się, Lester — szepnęła. — Wróć do ciebie.

Swierdłowski, 21 maja 1992

Laboratorium w Swierdłowsku, na Uralu, należało do dziesiątki pracowni określanych mianem ściśle tajnych i zaklasyfikowanych do P4. Ochrona 4 stopnia. Tak jak Fort Detrick w Stanach, Dorton Down pod Salisbury w Wielkiej Brytanii, Heidelberg w RFN, Szpital Saint-Louis i Instytut Pasteura w Paryżu.

Istnienie tych laboratoriów stanowi pogwałcenie międzynarodowego prawa o doświadczeniach genetycznych, które zabrania wykorzystywania mikroorganizmów (bakterii, wirusów i riketsji) do produkcji toksyn.

Od 1982 roku doświadczeń, których następstwa mogły okazać się tragiczne czy wręcz katastrofalne, dokonywać mogła ograniczona liczba laboratoriów o stokrotnie podwyższonych normach bezpieczeństwa.

Jak wszystkie laboratoria P4, i te w Swierdłowsku, zwane inaczej Posterunkiem nr 19, opanowane były obsesją przecieku materiału patogenego. Panował tu ostry rygor i raz po raz przeprowadzano drastyczne kontrole stanu bezpieczeństwa.

Dziesięć niewielkich, otynkowanych na szaro kwadratowych budynków stanowiło serce posterunku nr 19. Osłonięty szpalerem drzew iglastych i trzymetrowej wysokości murem najeżonym metalowymi bolcami ośrodek ulokowany był w leśnej dolince.

Warunkiem sine qua non wejścia na teren jednostki była przynależność do grupy pracowników laboratorium. Otwarcie jakichkolwiek drzwi wymagało wsunięcia karty magnetycznej w elektroniczny zamek. Wejścia i wyjścia personelu automatycznie rejestrował centralny komputer laboratorium.

Budynek nr 12 ośrodka został wzniesiony w 1955 roku, pod auspicjami leningradzkiej Wojskowej Akademii Medycznej imienia

Kirowa. Było to „ściśle tajne laboratorium”. W 1978 nagła i nie wyjaśniona śmierć czterech badaczy postawiła pod znakiem zapytania warunki bezpieczeństwa w budynku nr 12. Został całkowicie zburzony. Instalacje i konstrukcje poddano dezynfekcji płomieniami i zrekonstruowano. W ten sposób powstało najlepiej strzeżone laboratorium na planecie, a w nim najbogatsza światowa kolekcja chorób: 300 tysięcy próbek wypełnionych złotą cieczą, ułożonych, posegregowanych i skatalogowanych.

Aby dotrzeć do newralgicznego ośrodka w budynku nr 12, trzeba było przejść przez dwie całkowicie szczelne śluzy. Wewnątrz utrzymywano względnie niskie ciśnienie. Co za tym idzie, powietrze nie mogło przedostawać się na zewnątrz.

Przed wejściem do ostatniej śluzy należało obowiązkowo przejść dezynfekcję pod natryskiem. Ubrania „z zewnątrz” trzeba było zdejmować. Jedynym akceptowanym strojem był błękitny sterylny kombinezon, szczelnie zamknięty od głowy po czubki palców u nóg i stanowiący formę przejściową między ubraniem pszczelarza a kosmonauty. Kombinezon zakrywał całe ciało z wyjątkiem dłoni, które chroniła para rękawic, podobnych do chirurgicznych.

Z ostatniej śluzy wchodziło się do właściwego laboratorium. Miało ono kształt korytarza, w którego ścianach po obu stronach zamontowano dwadzieścia iluminatorów. Przed iluminatorami, które pozwalały im widzieć, co robią, badacze wsuwali ręce w przymocowane do ściany wielkie rękawice z czarnej gumy i dokonywali doświadczeń. Ich obiektami były króliki, chomiki, białe myszy lub małpy.

Atmosfera panująca w tym długim korytarzu miała w sobie nieco mistyki, wiele skupienia i koncentracji. Jeden z badaczy wniósł szczyptę humoru w ten świat szkła i wysokiej technologii, zawieszając nad swoim iluminatorem małą karteczkę.

„Moje doświadczenie jest tak tajne, że sam nie wiem, co robię”.

Istniała jednak jeszcze bardziej niebezpieczna część laboratorium. Aby się tam przedostać, należało przejść przez trzecią śluzę, gdzie ciśnienie było jeszcze niższe.

W ten sposób docierało się do kwadratowego pokoiku o wymiarach cztery metry na cztery, w którym znajdowała się lśniąca kładz z nierdzewnej stali, zasilana za pomocą dziesięciu miedzianych rurek i nadzorowana przez komputer.

Ultrawirówka.

To tu zbierano wyniki prac badaczy. Wirusy, z których większość stanowiła śmiertelne zagrożenie dla ludzkości.

* * *

Dwaj mężczyźni wyszli z laboratorium z ultrawirówką. Śluza otworzyła się z przeciągłym pneumatycznym świstem.

Prawy rękaw kombinezonu jednego z nich był pusty i zwinięty. Poprzez przezroczysty plastik na twarzy można było dojrzeć bujną, siwą czuprynę generała Jewgienija, szefa laboratorium. Jego czoło przecinała znamionująca zatroskanie

Jewgienij powiódł wzrokiem po szeregu skupionych nad badaniami naukowców. Towarzyszący mu mężczyzna nazywał się Jefrim K. Skoblewski. Piastował jedno z głównych stanowisk na Posterunku nr 19, był odpowiedzialny za bezpieczeństwo.

Skoblewski i Jewgienij nie rozmawiali. Szli pospiesznie w kierunku dwóch śluz i natrysków.

Wyszedszy z laboratorium do długiego korytarza budynku nr 12, w którym ich kroki rozległy się echem, nadal milczeli. Skoblewski był asystentem Jewgienija w Akademii Wojskowej imienia Kirowa w Leningradzie. Pracował z nim od dwudziestu pięciu lat.

Dziś nie potrzebował słów, by wiedzieć, czego oczekuje od niego generał. Musiał zrealizować plan alarmowy.

3.

Malik, Anioł Piekielny

*Chwałą, chwałą wam, ludzie Września. Chwałą, duma i zwycięstwo wam,
którzy niesiecie walkę do obozu wroga.*

Abu Ayad, twórca Czarnego Września

Nowy Jork, tuż po 6 rano

Był to ostatni atak zimy we wczesnowiosennych dniach. Miasto budziło się niechętnie po zimnej, wilgotnej, zabójczej nocy, by o świcie odnaleźć ciała włóczęgów i bezdomnych, zmarłych we śnie.

Był to jeden z tych smętnych poranków, które wywoływały chęć buntu w Jeffie Turnerze. Jakżeż można przymykać oczy na tę masakrę, to ludobójstwo — nie znajdował innych słów — o dwa kroki od Wall Street i złotych młodzieńców finansjery? Poczł się na siłach wyrzucić z siebie jeden z owych przepojonych goryczą artykułów redakcyjnych, zdawałoby się, pisanych witrloem, a zwiększających lokalną popularność „New York Daily Chronicles” nie tylko na Bronksie, ale także w Harlemie i Brooklynie.

Na myśl nasuwały mu się rozmaite tytuły, najlepszym jednak wydał mu się: *Gielda przegrzana, Bronx skostniały!* To może być dobry artykuł.

Jeff ruszył żwawym krokiem przez Alexander Avenue, przy której mieściła się redakcja. Kto wie, pomyślał, może pewnego dnia, pisząc wiele takich smagających artykułów, a może nawet przy pomocy boga dziennikarzy — Wszechwładnej SENSACJI, uszlachetni swój „New York Daily Chronicles”?

Alexander Avenue 352. Jeff zaklął widząc, że od dziesięciu minut szamoce się z chybotliwymi drzwiami redakcji, usiłując otworzyć je cążkami do paznokci. Po przetrząśnięciu kieszeni, w których miał iście artystyczny nieład, znalazł w końcu klucz. Mimo to drzwi nadal stawiały opór.

„Kurewskie drzwi” — zaklął Jeff, któremu lichota zamków redakcji

jawiała się w tym momencie jako symbol słabości prasy. „Przeklęty zawód! Forsa... forsa, tylko to dziś się liczy! Nie ma miejsca dla małych dzienników...”

Wreszcie gniewne pchnięcie ramieniem pokonało drzwi. Jeff wszedł do hallu, który w południe pełnił rolę kantyny, a w nocy przed zamknięciem numeru przygodnej sypialni.

Był w redakcji sam — inni przyjdą później, około dziewiątej. Jeff lubił nade wszystko te wczesne godziny, kiedy mógł w spokoju wdychać zapach gazety. To trochę jak pierwszy mach pierwszego papierosa — narkotyki i przyjemność zarazem. Delektował się ową mieszaniną woni teleksu, taśm do maszyny, papierosów i zimnej

Odetchnął dwa, trzy razy powietrzem biura, nim wszedł na piętro redakcji po przykrytej brudnym, szarym chodnikiem rampie. Architektonicznie wnętrze „New York Daily Chronicles” zachowało infrastrukturę parkingu, który mieścił się tu uprzednio. Między parterem a pierwszym piętrzem nie było schodów. Wchodziło się tak, jak niegdyś wjeżdżały samochody — po łagodnie wznoszącej się rampie.

Znalazłszy się na poziomie redakcji, Jeff doznał szoku. Poprzez oszklone drzwi swego biura wyraźnie widział czyjąś sylwetkę. Zatrzymał się skamieniały i aż przykucnął wstrzymując oddech. „Ktoś” chodził w tę i z powrotem, pochylając się od czasu do czasu, by wysunąć szufladę.

Wiedział... zawsze wiedział. Od założenia dziennika. Spodziewał się, że prędzej czy później FBI, CIA czy nawet paru wielkich przemysłowców, którym nie w smak były ujawniające prawdę artykuły „New York Daily Chronicles”, naślą na niego szpiegów, by odkryć źródła jego informacji i zmusić do milczenia. Żeby przeszkodzić mu w mówieniu prawdy. O nie! Nie podda się! W imię wolności słowa! Ci ludzie nie znają jeszcze Jeffa Turnera. Wybebeszył przynajmniej ze sześciu Wietnamców podczas wojny. Byłe gliniarz drugiej kategorii nie zdoła go zastraszyć! Nie zamkną mu ust!

Chwył pierwszą z brzegu maszynę do pisania i pochylony ruszył w stronę drzwi biura. Bezwiednie wspomniawszy Wietnam — wstrzymany oddech, umazana błotem twarz, sylwetka, która zaciera się w monotonnym pejzażu ryżowisk, atak przez zaskoczenie... Wyrobione w walce nawyki powróciły same. Gwałtownym pchnięciem otworzył drzwi nogą i rzucił się poprzez „ryżowisko” z maszyną do pisania nad głowę.

Pochylona nad szufladą Ambre wyprostowała się i z trudem powstrzymała dziki wybuch śmiechu na widok Jeffa.

- To pańska poranna gimnastyka?
- Usiłuję cokolwiek uporządkować — wybełkotał zaskoczony. —

Straszny tu bajzel. — Przybrał podejrzliwy wyraz twarzy. — A ty co, staruszko, grzebiesz mi po szufladach, hę?

— Szukam zapalek, żeby zaparzyć kawy.

— Jak się tu dostałaś?

— Okno na parterze było otwarte.

Odpowiedź Ambre podwójnie popsowała mu humor: nie dość, że się ośmieszył, to spędził dziesięć minut szarpiąc się z drzwiami, gdy tymczasem obok było otwarte na oścież okno. Dzień źle się zaczyna!

Nadąsany usiadł za biurkiem, zarzucił nogi na blat, zdjął okulary i zaczął się bawić oprawką. Stopniowo wracał do siebie i wracały jego tiki.

— No co, staruszko, męczy cię bezsenność? To ten pierwszy artykuł spędza ci sen z oczu?

— Faktycznie, chodzi o artykuł!

I Ambre opowiedziała Jeffowi o „śledztwie” w Mount Creek — o zasypanej śniegiem drodze, grobowej atmosferze miasteczka, o wizycie u rodziny Lestera, pierwszego chorego w miasteczku, a przede wszystkim o dziwnej obsesji, która nie opuszczała Mela — o tym przekonaniu, że grypa z Mount Creek ma coś wspólnego z inną chorobą, ze strasliwą chorobą...

— Ze wścieklizną? — mruknął z powątpiewaniem Jeff.

— Tak. Mel zdaje się być o tym... przekonany.

Jeff z rozczarowaniem machnął okularami.

— Uważaj, staruszko... Mel zawsze był... jak ci to powiedzieć?... oryginałem. Nie można opierać się na jego absurdalnych podejrzaniach. Na razie nie wiesz nawet, co chcesz odkryć... Czego szukasz? Chcesz dowiedzieć się, co wywołało tę niby-grypę? A potem? Co ci da wiadomość, że Lester przywłókł ją od jednej ze swoich przyjaciółek? Nic. A ta historyjka z rzeźbą wirusa wścieklizny wcale mi się nie podoba... Kto ci powiedział, że Mel nie zmyślił tego wszystkiego, bo wstyd mu się przyznać, że jest absolutnym zerem i nie umie osłuchać chorego?... Może tworzy autoportret... Cha, cha! autoportret artysty w formie naboju!

Usiłowała mu to wyjaśnić.

— Nie, staruszko — przerwał Jeff potrząsając głową. — Zawierz staremu dziennikarskiemu wydze — nie warto pisać ani słowa na ten temat. I nie pozwolę, żeby wasze — mojego kuzyna Mela i twoja — wybujałe wyobraźnie rozpętały nie istniejący problem. Idzie tu o wiarygodność „New York Daily Chronicles”.

— Ale przecież gazeta potrzebuje wstrząsających tematów, tematów, które się sprzedają... sensacji.

Trafiła w dziesiątkę, przywołując boga SENSACJI, ten nieosiągalny, magiczny cud. Jeff popatrzył na nią z błyskiem zainteresowania w oczach. Ale żar ów przygasał w miarę, jak uświadamiał sobie, że Ambre nie ma praktycznie żadnego doświadczenia zawodowego.

— Cóż ty wiesz o sensacji?

— Jeszcze nic.

— Kto ci powiedział, że w Mount Creek można wytropić sensację.

— Nikt. Poza intuicją, która szepce mi, że miasteczko kryje tajemnicę. Wypowiedziała to zdanie z takim przekonaniem, że rozwiła uprzedzenia Jeffa. A może właśnie ta dziewczyna ma to „coś”, to, co odróżnia zdolnego dziennikarza od tuzinkowych pismaków, dobrego glinę od złego, czujnego kundla od salonowego mopsa: węch.

Pełen zły woli usiłował jeszcze zapędzić ją w kozi róg jadawitymi uwagami.

— Jeżeli sądzisz, że gazeta ma środki, by wysłać cię tak daleko po wywiad... I to na czas nieokreślony...

— Niech pana o to głowa nie boli. Opłaciłam już pokój w pensjonacie „Baker”, w Utica. Chciałam tylko pana zgody, to wszystko.

Uparcie wpatrując się w dwuogniskowe szkła swych okularów mruknął:

— Okay! Ale bierzesz na siebie ryzyko, że cała ta praca pójdzie na marne. A to byłby bardzo kiepski początek, staruszko.

— Zadzwoń — powiedziała Ambre wstając i wyszła z biura.

Jeff powiódł wzrokiem za smukłą, elegancką sylwetką dziewczyny, schodzącej po rampie na parter. Powiedział sobie, że może któregoś dnia zaprosi ją na kolację. Jeśli się odważy... Ta mała wyraźnie go onieśmiała.

* * *

Po południu Ambre stanęła przed drewnianymi drzwiami chaty rodziny Lestera, bliska wymiotów na widok przybitego do drzwi wysuszonego puszczyka o pustych oczodołach.

Drzwi otworzyła starucha. Kiedy ujrzała Ambre, wyszczerzyła przeżarte próchnicą zęby.

— Proszę, proszę...

Ambre uniosła trzymaną w ręce paczkę na wysokość oczu starej. Paczka miała kształt dzwonka i była owinięta w szary papier. Wewnątrz coś ruszało się, drapiąc pazurkami.

— Przyjechałam zobaczyć się z pani synem, z Lesterem. — Dodała szeptem: — To dla niego... prezent.

Stara popatrzyła podejrzliwie. Zielony banknot całkowicie ją uspokoił. Poprowadziła Ambre do komory, w której leżał Lester. W głównej izbie spał, chrapiąc miękko, jej mąż, stary Indianin.

Przed brudną, podziurawioną zasłonką, która oddzielała komorę od głównej izby, Ambre odwróciła się i powiedziała do kobiety:

— Dziękuję pani. Wołałabym zostać z nim sama.

Małe okienko w komorze było otwarte. Wpadało przez nie szare światło. Ambre mogła teraz dokładniej przyjrzeć się izdebce. W rzeczywistości była to przybudówka na drewno, przerobiona na „sypialnię”. Rozpruty materac leżał wprost na zakurzonej podłodze, a na wiązkach drewna, na gałęziach i pieńkach, po prostu wszędzie, panoszyły się około trzydziestu klatek.

Lester siedział na materacu. Wyczerpany, z kolanami podciągniętymi pod brodę i oczyma rozpalonymi gorączką, wpatrywał się uparcie w wiklinową klatkę, po której uwijała się parka czarnych wiewiórek w szare paski. Lewa część jego twarzy w dalszym ciągu była sparaliżowana.

— Lester — szepnęła Ambre głosem, któremu chciała nadać ton miły i wesoły. — Pamiętasz mnie?

Drgnął i popatrzył na nią, jakby nigdy wcześniej jej nie widział. Powoli przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie. Wsunął się pod kołdry i spuścił oczy.

— Lester — powiedziała Ambre kłękając obok niego.

— Nie!

Delikatnie uniosła kołdrę.

— Lester, przyniosłam ci prezent. Popatrz!

Odkrył jedno oko. Ambre rozdarła szary papier, w który owinięta była podłużna paczka. Podniecenie wyciągnęło idiotę spod kołdry.

W klatce siedziała papuga kakadu o białym upierzeniu i czerwonym czubie. Kiedy tylko ptak znalazł się w świetle dziennym, począł nerwowo przebiegać klatkę wzdłuż i wszerz. Lester wyciągnął rękę.

— Chwileczkę — powiedziała Ambre, odsuwając klatkę. — Najpierw musisz odpowiedzieć na moje pytania.

Nadała się i odwrócił twarzą do ściany. Dziennikarka wstała i wzięła klatkę udając, że wychodzi. Z wykrzywionych ust idioty wydobył się skowyt ranionego zwierzęcia.

Zadrzała. Nie miała odwagi posunąć dalej szantażu. Podała mu klatkę z miotającą się papugą. Chwycił ją i skupił całą uwagę na Ptaku.

— Lester — zapytała łagodnie. — Powiedz mi, czy pamiętasz dzień, kiedy zachorowałeś?

Zatrzymał rękę, którą wsuwał już do klatki, i przytaknął skinieniem głowy.

— Dokąd wtedy poszedłeś?

— Las... — wybełkotał Lester.

— Czy pamiętasz, co spowodowało, że zachorowałeś?

— Uhm! — mruknął skłaniając głowę.

— To Indianka? — zapytała Ambre.

Potrząsnął głową. Jego dłoń gładziła kakadu, która uspokoiła się nagle, jakby zahipnotyzowana tym dotknięciem, i zaczęła przypatrywać się idiotcie małymi, okrągłymi ślepkami. Ambre powtórzyła pytanie.

— Co spowodowało, że zachorowałeś. Lester?

— Kura.

— Kura w lesie? Jesteś pewien?

Lester nie odpowiedział. Zafascynowany przyglądał się, jak papuga czyści jedno po drugim białe pióra.

— Co zrobiłeś z tą kurą, Lester?

— Jeść. Głodny.

— Zabiłeś tę kurę?

Lester potrząsnął głową i odrzucił ją na ramię, naśladując wygląd zdechłego ptaka z zamkniętymi oczyma i wyciągniętym językiem.

— Kura była martwa? Czy tak? — nalegała nie pojmując, co zdechła kura mogłaby robić w środku lasu. Może uciekła z fermy lub padła ofiarą lisa?...

— I... jesteś pewien, że zachorowałeś przez tę kurę?

— Tak — wybełkotał Lester. — Potem gorąco — dotknął czoła — i spać — udał, że kładzie się na boku.

Ambre wstała, zamyślona. Lester trzymał już papugę w swych wielkich dłoniach. Jego twarz promieniała radością. Papuga potulnie poddawała się jego pieszczotom.

„Lester opowiedział mi wszystko — powiedziała sobie. — Nic więcej nie wie”. Wychodząc z komórki natknęła się na staruchę, która najwyraźniej słuchała całej rozmowy.

Ambre zapytała ją, czy w miasteczku ktoś hoduje kury.

— Nie — odpowiedziała, kręcąc głową. — Na pewno nie.

— Czemu?

— Bo nie potrzeba. Całe miasteczko pracuje dla największej fermy w regionie, parę kilometrów stąd, w górę od Mount Creek. To hodowla pana Knee.

— I te kury... czy zdarza się, żeby uciekały? Albo żeby porywały je lisy?

— Ależ nie! Wszystko słyszałam. Lester naopowiadał ci bzdur. Nie znalazł tej kury w lesie. Ukraść ją z fermy pana Knee!

Ambre nie odpowiedziała. Miała przeświadczenie, że Lester mówił prawdę. Przed wyjściem dała starej jeszcze jeden banknot.

Powietrze na zewnątrz wydało jej się świeże i czyste.

Stojąc na progu, stara patrzyła, jak Ambre wsiada do forda. Kiedy kołyszący się samochód zniknął na drodze do miasteczka, weszła do środka, wychyliła trzy czy cztery łyki „soku brzoźowego”, wzięła z kominka dyscyplinę złożoną z dziewięciu rzemieni nabitych gwoździami i trzymając ją w ręce, weszła do komórki, w której sypiał Lester.

* * *

KURA ŻŁOTONIOSKA DENNISA KNEE

Dennis Knee, hodowca kur z Mount Creek, niezaprzeczalnie znalazł kurę znoszącą złote jaja: ten dawny właściciel niewielkiego gospodarstwa rolnego prowadzi dziś liczącą 5000 kurcząt i 2500 niosek hodowlę, która dostarcza swe produkty do pobliskich dużych miast — Utica i Schenectady. A nawet do Nowego Jorku, w pewnych porach roku wchłaniającego jedną trzecią jaj dostarczanych na rynek przez fermę Knee!

— Jedna trzecia dla Nowego Jorku. Aż tyle! — wykrzyknęła Ambre podnosząc oczy znad artykułu.

Hodowca, który spoglądał na nią stojąc ze skrzyżowanymi rękami, skinął głową, a jego pooraną bruzdami twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Tak. Jedna trzecia. Latem 1989 doszliśmy nawet do 50 procent. Ale proszę czytać dalej.

Ambre ciągnęła.

Tajemnica sukcesu Dennisa Knee tkwi w jego pochodzeniu i niezwykłej wytrzymałości.

Historia zaczyna się w roku 1969, kiedy to Dennis Knee wykorzystuje swe indiańskie pochodzenie i podejmuje walkę w BIA — Biurze do Spraw Indian. Jest wówczas właścicielem 160 akrów odziedziczonych po dziadku, który otrzymał je w 1887 na mocy prawa Dawesa o parcelacji rezerwatów indiańskich.

Dzięki BIA Dennis Knee dostaje subwencje na eksploatację ziemi, jednak uprawa kukurydzy nie daje dużych dochodów i Dennis Knee plątuje. Sprzedaje ziemię w 1973 i aby się utrzymać, oferuje swe usługi rolnikom z regionu Utica. Trzy lata później, w 1976, wpada na pomysł: widząc świetne wyniki wyspecjalizowanej hodowli kurcząt na Rhode Island, raz jeszcze zapożycza się i zakłada fermę.

Credo Dennisa Knee to wydajność połączona z możliwie najwyższą jakością. Aby zadowolić te zawodowe ambicje, Dennis Knee postanawia zakupić elektryczny aparat wylęgowy oraz większą liczbę ciężarówek przystosowanych do transportu drobiu i jaj. Planuje nawet sprowadzić niezwykle wydajną rasę niosek (osadźcie sami: 400 tysięcy jaj rocznie!) — rasę Wyandotte. Dla Dennisa Knee to po prostu powrót do własnych korzeni — Wyandotte to nazwa plemienia jego przodków...

Odtąd niezwykle wytrwały Indianin stał się posiadaczem fortuny, a jego powodzenie wpłynęło na los Mount Creek, którego dwóch mieszkańców na pięciu znalazło zatrudnienie na fermie.

Ambre uśmiechnęła się na widok podpisu pod artykułem: Sam Joshua, z „Utica News”.

— Proszę — powiedział Dennis Knee, biorąc ostrożnie z rąk Ambre bezcenny artykuł. — I co pani o tym sądzi? Niezłe, prawda? Mam nadzieję, że pani napisze równie dobry.

— Niech pan będzie spokojny — zapewniła. — Moja gazeta chce zająć się zakładami rolnymi w Adirondack Mountains... Pańska ferma zostanie wymieniona jako wzorowa hodowla.

Na smągłej, pomarszczonej twarzy hodowcy znów pojawił się uśmiech. Otworzył wąską szafę i wydobył bluzę, kaptur i parę białych ochraniaczy na buty.

— Proszę, niech pani to włoży — powiedział, podając Ambre odzież. — Pójdziemy do „fabryki”.

* * *

Pierwszy kurnik, do którego Dennis Knee poprowadził Ambre, był to hangar z zielonej blachy długości stu metrów. Ambre od razu zrozumiała, czemu hodowca nazywał swe kurniki fabryką.

Wszystko tu przypominało przemysłową taśmę produkcyjną: nieustanne, ogłuszające gdakanie tysięcy kur, któremu wtórował hurgot tłoczących pomp wentylacyjnych; zwisające z sufitu hangaru lampy, roztaczające blade światło, a do tego dziesięciu robotników w białych kombinezonach. Z tą tylko różnicą, że w tej fabryce maszynami były kury. W powietrzu unosiły się tysiące, miliony drobnych piórek szarych, białych i czarnych.

Ambre nachyliła się do ucha Dennisa Knee, który w białej furażerce bardziej przypominał starą Indiankę w stroju akuszerki niż szefa wzorowego przedsiębiorstwa.

— Ile tu jest kur?! — wrzasnęła.

— Około tysiąca! — odkrzyknął Dennis Knee. — To kurnik niosek

rasy Wyandotte... Dają 400 tysięcy jaj rocznie. — Gorączkowo pomachał palcem w kierunku nieba, jakby jego sklepienie było dziełem gigantycznej, niebiańskiej i boskiej kury. — Słyszała pani: 400 tysięcy jaj!

Następnie wskazał palcem brudnozielony strumień odchodów ptasich, płynący u ich stóp, i ruchomy chodnik, po którym przesuwały się setki gotowych do wysyłki jaj. Nie słyszała jednak objaśnień. Gdakanie zagłuszało jego słowa.

Ujął ją za ramię i poprowadził ku wyjściu. Na zewnątrz było cicho, a raczej — prawie cicho. Zgiełk ptactwa ledwie dochodził ich uszu.

Ambre oparła się łokciami o drewnianą balustradę, za którą ciągnęła się przyprawiająca o zawrót głowy przepaść, i odetchnęła głęboko rześkim powietrzem Adirondack Mountains.

— No, czy to nie piękne? — zapytał Knee.

— Wspaniałe! — rzuciła, mając na myśli raczej widok osypanych śniegiem lasów aniżeli kurnik.

— Byłem pewien, że się pani spodoba... Czy chce pani obejrzyć trzy pozostałe kurniki?

— Nie, to powinno mi wystarczyć — powiedziała Ambre, zupełnie nie mając ochoty nurzać się w pełnej pierza, mdlącej atmosferze. — Widziałam dość, by napisać artykuł. Mam natomiast do pana jeszcze dwa, trzy pytania dotyczące hodowli...

— Chętnie odpowiem na wszystkie pani pytania — powiedział z emfazą hodowca, ruszając w stronę rancza.

Główny budynek mieszczący biuro Dennisa Knee stylizowany był na ogromny namiot — tipi jego przodków.

— Czy miał pan ostatnio problemy z kurami? — zapytała Ambre. — Mam na myśli na przykład choroby...

Twarz Dennisa Knee poszarzała w ułamku sekundy. Choroba była jedną z tych plag, których obawiał się najbardziej. Podeszedł czym prędzej do pnia najbliższego drzewa i dwu- czy trzykrotnie przesunął po nim dłonią, by odczynić urok.

— Hodowli Knee nigdy nie dotknęły choroby — burknął kategorycznie. — Regularnie kontrolujemy jaja i krew ptaków. Nie miałem ani jednego przypadku salmonellozy w ciągu dziesięciu lat! Z federalnego nadzoru higieny wpadli tu ostatnio trzy tygodnie temu... Wtykali nos wszędzie. W każdy kąt. I wie pani, co znaleźli? Wie pani Ambre zachowała ostrożny spokój.

— Nic! Nie znaleźli nic! Najdrobniejszej bakterii. — Dennis wykierował w nią palec, jakby przestrzegając. — Musi pani napisać w tym swoim artykule czarno na białym: „Hodowla Knee jest zdrowa!”

— Nie omieszkać tego zrobić — zapewniła Ambre. — Mam... mam do pana jeszcze jedno pytanie.

— Słucham — odpowiedział znacznie bardziej szorstkim tonem.

— Czy zdarzały się ostatnio jakieś kradzieże?

— Co takiego?

— Kradzieże: na przykład kradzieże kur.

Dennis Knee popatrzył na Ambre, drapiąc się po głowie pod czapkę. Był zбитy z tropu.

— Dziwna z pani dziennikarka! — zawołał. — Po co mieliby kraść mi kury? I kto?... Moi pracownicy są świetnie opłacani i dają każdemu dwie kury i trzydzieści jaj miesięcznie... A poza tym, niech pani popracuje u nas dwanaście godzin dziennie z kurami, a zobaczy pani, że po trzech dniach kradzież kur będzie ostatnią rzeczą, jaka przyjdzie pani do głowy!

Wybuchnął głośnym śmiechem, aż biała czapka upadła mu na roztopiony śnieg.

— A Lester z Mount Creek? — nalegała Ambre.

— Ach! — mruknął otrzepując czapkę. — Od tego czasu minęły trzy czy cztery lata. Ale od tej pory nic. Darowałem mu. Ma ubogich rodziców, a jemu... kawałek księżycy wpadł do głowy, jak to u nas mówią.

Doszli do oszklonej ściany domu. Zapadła noc. Trawnik na podwórzu rozjaśniony był żółtawym światłem padającym z biura.

Ambre zastanawiała się. Dennis Knee to niewątpliwie największy hodowca w rejonie Mount Creek. Było więc dziewięć szans na dziesięć, że kura znaleziona przez Lestera w lesie koło Mount Creek pochodziła z jego fermy. Nie wątpiła ani w prawdomówność, ani w fachowość Dennisa Knee. Jego kury z pewnością były zdrowe. Może sami klienci Dennisa dopatrzyli się czegoś?

— A czy ostatnio nie zgłaszali się do pana klienci z jakimiś pretensjami?

— Czemu tak pani zależy, bym miał problemy? Mój zakład doskonale funkcjonuje. Klienci są zadowoleni. Zresztą, podsunęła mi pani pewien pomysł... Dam pani listę klientów z Utica. Trzeba ich wymienić. To dobra reklama. Zaraz wrócę.

Pchnął oszklone drzwi i wszedł do biura. Ambre widziała, jak wydobywa z szuflady papiery, otwiera małą lodówkę i wraca.

— Proszę — powiedział wręczając jej listę klientów z Utica i kurczaka w przezroczystym opakowaniu z celofanu.

Dotknięcie zimnego i odartego z piór kurzego mięsa poprzez cienki

plastik przyprawiło ją o dreszcz. Podziękowała hodowcy i wróciła do zaparkowanego przed ranczem samochodu.

Była rozczarowana. Trop Lestera prowadził donikąd. Trzeba zacząć wszystko od początku. Albo porzucić.

Libia, obóz w Dolinie Śmierci

Ukryty w samym sercu libijskiej pustyni obóz szkoleniowy dla terrorystów zawiesział swą aktywność w godzinach, kiedy słońce przeobrażało się w prawdziwy piekarnik. Temperatura sięgała niemal 70°C.

Mimo nieznośnego upału grupka licząca sześciu mężczyzn biegała w koło po niewielkim kamieniołomie usytuowanym w centrum obozu, w gryzącym popielatoszarym pyłe piaskowym. Pot zraszał ich gołe torsy i przylepiał do nóg drelichowe spodnie koloru khaki. W rytm biegu skandowali resztkę tchu litanie, w której mowa była o „wrogach Allacha”.

Efekt? — Dzika nienawiść podświadomie wżerała się w ich umysły. Nienawiść wobec tego, co prowadzący obóz kuzyn pułkownika Kadhafiego, Ahmed, nazywał „dekadencją Zachodem”.

W kamieniołomie przewrócił się człowiek. Zwaliło go porażenie słoneczne. Dwóch kolegów pobiegło mu na pomoc. Ze środka kamieniołomu mężczyzna o twarzy osłoniętej rondem kapelusza — instruktor — wykrzyknął krótki rozkaz. Obaj żołnierze poderwali się i dołączyli do innych, podejmując przerwana rundę. Młody człowiek z obrzmiałym z pragnienia językiem jęczał leżąc w pyłe.

Okrucieństwo jest pożywką terroryzmu.

Pamiętamy wszyscy ów symboliczny i przerażający akt związany z narodzinami Czarnego Września, 28 listopada 1971 roku, podczas zamachu na Wasfi At-Tala, ówczesnego premiera Jordanii, w hotelu „Sheraton” w Kairze. Jeden z terrorystów pił wówczas krew konającego Jordańczyka...

Tuż nad kamieniołomem rozbity był beduiński namiot. Stanowił on zresztą jedyny folklorystyczny wyłom w pustynnym krajobrazie otaczającym obóz. Pozostałe namioty były wojskowe, koloru khaki.

Pod namiotem zasiedli po turecku na kozich skórkach czterej mężczyźni. Stanowili trzon jednej z tych grup terrorystycznych, które Libia przyjmuje i szkoli na „kursach udoskonalających”, trwających od sześciu do dwudziestu czterech miesięcy.

Ci czterej tworzyli serce i mózg „Malika”, noszącego imię Anioła

Piekieł z Koranu. Była to grupa uznawana na Zachodzie za jedną z najmniejbezpieczniejszych. Znana była z łączenia skrajnego okrucieństwa z najwyższą „Malik” nadal pozostawał dla specjalistów zachodnich zagadką. Sam Pentagon, posiadający precyzyjną dokumentację ze zdjęciami i życiorysami członków pięćdziesięciu dwóch potężnych grup terrorystycznych, takich jak Fatah-CR Abu Nidala czy ekwadorska „Vive Alfaro”, wiązał z „Malikiem” tylko imię jego przywódcy „Irlandczyka”. Ten przydomek nadano mu nie ze względu na pochodzenie (w rzeczywistości był Palestyńczykiem), lecz w związku z jego terrorystyczną karierą, która wiodła poprzez „Guinness Beer Connection”, siatkę dostarczającą broń IRA.

„Irlandczyk”, którego twarz przecinały gęste, czarne wąsy, siedział w namiocie wśród swych ludzi. Miał reputację wodza obdarzonego charyzmą i powołującego się na „Świętą Sprawę”, dla której jego ludzie gotowi byli na wszystko.

O ile „Irlandczyk” znany był zachodnim służbom antyterrorystycznym, o tyle jego porucznicy zachowali całkowitą anonimowość.

Dotyczyło to również Najma Hawadi, siedzącego po prawicy „Irlandczyka”. W obszernym burnusie jego sylwetka zdawała się jeszcze smuklejsza. Władający wieloma językami obcymi (angielskim, włoskim i niemieckim), Najm alias „Lis Pustyni” uznawany był za numer dwa „Malika”. Pełnił rolę szarej eminencji przy „Irlandczyku”. Oficjalnie figurował w spisach studentów wydziału biologii na uniwersytecie w Benghazi. Większość czasu poświęcał jednak „Malikowi”. Jego funkcja w organizacji była dwójaka: sprawowanie kontroli nad finansami oraz opracowywanie w najdrobniejszych szczegółach planów przeprowadzanych akcji. W tym pomagał mu Wazir el-Chemali. Nieśmiały, pełen rezerwy Libańczyk, z wykształcenia inżynier (ukończył studia w Niemczech), zajmował się logistycznym i technicznym aspektem operacji — od dostarczenia broni i wyposażenia po wybór środków transportu.

Ostatni z członków grupy siedział nieco na uboczu. Ubrany był w zieloną koszulkę, opinającą potężne muskuły ramion. Jego imię — Abdallah Hawadi, starszy brat Najma. W „Maliku” — zabójca. Specjalista od brudnej roboty. Urodzony w Benghazi w 1958 roku Abdallah Hawadi był ortodoksyjnie religijny — żadnego alkoholu, żadnych papierosów, żadnych kobiet. „Mam już jedną żonę — zwierzał się często zdumionym przyjaciółom. — Rewolucję”. Abdallah był równie wymagający wobec innych, jak wobec siebie samego. Fanatyzm stanowił podstawową zaletę jego rekrutów.

„Irlandczyk” siorbał głośno gorącą, mocno osłodzoną miętową herbatę, którą podał mu żołnierz w drelichu. Przez chwilę milczał gładząc wąsy, potem zabrał głos.

— To nasze dwunaste zebranie w obozie w Dolinie Śmierci. („Malik” zbierał się w komplecie mniej więcej co dwa miesiące). Akcja, o której powie wam Najm, jest po raz pierwszy wymierzona wprost w Wielkiego Szatana. (Wielkim Szatanem nazywano w „Maliku” Stany Zjednoczone).

„Irlandczyk” zwrócił się do Najma, oddając mu głos.

— Wiecie — zaczął ten ostatni zadziwiająco miękkim głosem — że Stany Zjednoczone od miesiąca wzmocniły swe siły militarne na obszarze śródziemnomorskim. Wyraża się to konkretnie przybyciem 8000 spadochroniarzy do baz w Weronie, Pizie i Maddalenie we Włoszech. Wzmocnione zostały także jednostki Royal Navy na Cyprze, do Roty w Hiszpanii zawinęły dwa nuklearne okręty podwodne i wreszcie, do VI Floty, która operuje teraz w rejonie Zatoki Wielkiej Syrty, dołączyło pięć okrętów eskortowych. Pretekstem, jakim posłużyli się Amerykanie dla umotywowania tego wzmoczonego zainteresowania rejonem Morza Śródziemnego, jest sytuacja w Libanie i Izraelu. W rzeczywistości jednak militarna presja Ameryki stanowi bezpośrednie zagrożenie dla krajów arabskich i naszych braci z Ruchu Wyzwolenia. — Najm określał w ten sposób wszystkie arabskie ugrupowania terrorystyczne. — Ale

Najm szybkim ruchem złapał błękitną muchę, która go nękała. Trzymając ją uwięzioną w dłoni ciągnął:

— Jeden z naszych agentów, student uniwersytetu w Bostonie w Massachusetts, doniósł nam, że Amerykanie szykują się do ataku na zakłady chemiczne w Rabta... W dodatku nowy dyrektor CIA, Zbigniew Laski, miałby powziąć decyzję „użycia wszelkich środków celem zniszczenia ognisk terrorystycznych, które pośrednio lub bezpośrednio zagrażają USA” — cytuję naszego agenta.

Wtrącił się „Irlandczyk”.

— Ta groźba dotyczy więc wszystkich naszych braci z Ruchu Wyzwolenia. Zdecydowaliśmy uderzyć tam, gdzie Wielki Szatan najmniej się tego spodziewa. Na jego terytorium. To jedyny środek, by się ugiął. Musi wynieść się z naszego morza.

„Irlandczyk” mówił o Morzu Śródziemnym. Pod wpływem tej elektryzującej nowiny pięści Abdallaha bezwiednie się zacisnęły. Najm dostrzegł naprężenie bicepsów brata i powiedział:

— Nie posłużymy się ślepą i krwiożerczą siłą... Na to Stany są przygotowane. Będziemy bardziej przebiegli. O wiele bardziej...

Oczy „Lisa” zatrzymywały się kolejno na wszystkich zebranych.

— To nieszczęście złamie Wielkiego Szatana. Nieszczęście u niego, na jego terytorium. Nieszczęście, z którym nie potrafi sobie poradzić. Nie będzie nawet wiedział, skąd na niego spadło. Trzeba wprawić ten kraj w stan szoku. Na kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi Amerykanie będą musieli skapitulować i wycofać wszystkie siły z Morza Śródziemnego.

Wazir el-Chemali wyraził niepokój przytłumionym głosem.

— Schwytani w ten sposób w zasadzkę Amerykanie mogą jednak zareagować gwałtownie i przypuścić atak przeciw Wodzowi. — Miał na myśli Kadafiego.

— Nie — zapewnił go Najm. — Broń, której zamierzamy użyć, jest bardziej podstępna, wyrafinowana, niż jakakolwiek inna. Wielki Szatan nie będzie wiedział, kto jej użył. Ani kiedy, ani jak...

Ogarnięty nagłym entuzjazmem Abdallah gwałtownie ukląkł.

— Pokaż nam tę broń, Najm! To idealna broń terrorystów!

Najm pokręcił głową.

— Nie. Jeszcze nie. Mogę wam tylko powiedzieć, że ta broń trafi w słabe punkty Wielkiego Szatana: higienę i bezpieczeństwo...

Rozwarł dłoni, z której wypadła zdechła mucha, i rzucił:

— To broń niepokonana.

— Na jakim etapie znajdują się przygotowania do operacji? — zapytał „Irlandczyk”.

— Wszystko może być gotowe bardzo szybko — odpowiedział Najm. — Mamy pieniądze, kontakty na miejscu i morskiego przewoźnika, który zgadza się wprowadzić nas potajemnie w odpowiedni rejon. Tylko...

— Tylko co? — powtórzyli niemal jednocześnie Abdallah i Wazir el-Chemali.

— Tylko... technik, który potrafi operować tą bronią, nie chce produkować jej dla nas.

Abdallah położył palec wskazujący na gardle i wykonał gest cięcia. Najm westchnął.

— Przemoc niczego nie rozwiąże. Ten człowiek nie ulegnie torturom. Woli umrzeć. To Afgańczyk. Jego rodzina zginęła w Kabulu. Nie ma nic do stracenia. Nie, przemocą nie zmusimy go, by pracował dla nas... W dodatku on i jego umiejętności będą nam potrzebne na miejscu. Musi przyjść z własnej woli.

Ponownie zapadła cisza. Słysząc było jedynie urywane oddechy ludzi biegających po kamieniołomie i rozlegające się raz po raz obelgi instruktora.

Po chwili „Irlandczyk” powiedział:

— Pozostaje tylko jedno rozwiązanie, Najm. Musisz pozyskać go dla naszej sprawy.

Oczy „Lisa” błysnęły silniej i pociemniały.

— Jest jeszcze jedna możliwość, znacznie lepsza. Wiąże się ona z osobą doktora Rilkego, wschodnioniemieckiego terapeuty, który prowadzi seanse hipnoterapii.

Abdallah warknął. Nie widział związku.

— Związek? — zapytał Najm. — Po pierwsze, w Benghazi Rilke prowadzi co dwa tygodnie seanse terapeutyczne z człowiekiem, który potrafi produkować broń. Po drugie, ten człowiek jest bardzo podatny na sugestię, co oznacza, że można łatwo manipulować jego wolą w stanie hipnozy. Ale, po trzecie, doktor Rilke utrzymuje niestety, że próba sterowania tym człowiekiem pogrąży go w szaleństwie... A to jest nie do przyjęcia przy akcji tej rangi. Pozostaje perswazja.

„Irlandczyk” zdawał się intensywnie nad czymś myśleć.

— Najm — odezwał się w końcu. — Zrobisz wszystko, co w twojej mocy, aby jak najprędzej nakłonić tego człowieka do produkcji broni. W dodatku będzie musiał jechać do Wielkiego Szatana, by użyć broni. To on zna ją najlepiej.

Popatrzył na Wazira i Abdallaha i powiedział:

— Wy także powinniście jechać na tę operację. To najważniejsza ze wszystkich, jakie do tej pory przeprowadziliśmy... Chcę pierwszorzędnych specjalistów.

„Irlandczyk” podniósł się. Zebranie „Malika” było zakończone. Zanim się rozeszli, „Irlandczyk” przypomniał im jedną z maksym, których był mistrzem, a które przyprawiły ich o gęsią skórę.

„Śmierć jest jak brama, która otworzy przed naszym narodem świetlaną przyszłość”.

W pobliżu Bajkału, wschodnia Syberia, 23 maja 1992

Nocami, podczas pełni, mieszkańcy miasteczek nad brzegami Bajkału opowiadają chętnie o genezie tego prawdziwego morza wewnątrzlądowego o długości sześciuset pięćdziesięciu kilometrów.

Legenda głosi, iż zajęty stwarzaniem Syberii Bóg upuścił perłę. Jeden ze swych najcenniejszych klejnotów. Już chciał ją podnieść, kiedy zauważył, że ciemny i miękki dywan tajgi dodaje piękna perłowemu blaskowi. Będąc w głębi ducha estetą, Bóg zdecydował ją zostawić.

Tak to narodził się Bajkał, perła Syberii.

Tu właśnie, wśród dzikiego lasu zdominowanego przez drzewa iglaste i brzozy, znajdowała się dacza Miki. O dwadzieścia kilometrów od fiołkowych wód jeziora, w pobliżu Kuttuka.

Hu! Hu!

Te krzyki, które towarzyszyły gwałtownemu wysiłkowi Miki, odbijały się echem wśród niezmaconej ciszy lasów. Wyprostował się, trzymając w dłoni młot, rzucił okiem na stertę modrzewiowych pniaków, które miał jeszcze porąbać, otarł kroplisty pot ze skroni i dotknął ręką prawego biodra. Przejmujący ból wywołał grymas na jego twarzy. Gimnastyka ożywiła wspomnienie kampanii afgańskiej.

Kiedy nabierał tchu, powietrze ulatujące z jego ust i nosa parowało. U schyłku dnia w tajdze, gdzie tak bardzo lubił chronić się przed ludźmi i odpoczywać po pełnym ruchu i niebezpieczeństwach moskiewskim życiu, było -5°C.

„Tam staję się sobą. To moja pustelnia” — powtarzał często Ludmile, trochę w głębi ducha zazdrosnej o te chwile wytchnienia, z których ją wyłączał. Tym razem jednak przyjechała tu z nim.

To było jak symbol. Nigdy żadna kobieta nie przekroczyła progów jego daczki.

Wczoraj wsiedli w Moskwie do czterosiłnikowego odrzutowca — iljuszyna, który przewiózł ich na wojskowe lotnisko w Bracku. Stamtąd ciężkim antonowem AN 22-Antheus, przesyconym zapachem kapusty, melonów i bułgarskich perfum, odlecieli do Irkucka na małe lotnisko, gdzie oczekiwała już zamówiona przez Mikę potężna wołga. Droga z Irkucka na daczę była fascynująca i bajkowa — dwie godziny jazdy we mgle, rozdzielanej tylko gdzieniegdzie przez otulone puchem wierzchołki brzóz.

Hu!

Masa stali natrafiła na wbity w środek pieńka żelazny pręt. Drzewo rozłupało się z przeciągłym, suchym trzaskiem niczym dojrzały owoc. To był już ostatni.

Mika dorzucił drwa do dużego, prawie pełnego worka z kremowego płótna, który wzięt na plecy i kulejąc ruszył w stronę daczki.

Wzniósł modrzewiową chatę sam, z pomocą starego miejscowego chłopca, który nadał jej architektoniczny wygląd zgodny z twardymi prawami tajgi. Dom był bardzo niski — to zmniejszało jego wrażliwość na wiatr i pozwalało go łatwo i szybko ogrzewać. Zbudowano go wyłącznie z modrzewiowych bali. Drzewo to cenione jest powszechnie ze względu na twardość, odporność na gnicie i na chłód.

Z komina daczki unosił się szary dym. Stanąwszy na ganku Mika zsunął ośnieżone buty, włożył łapcie plecione z kory lipowej i wszedł.

Wnętrze przenikał zapach skóry i dymu, przemieszany z rażąco tu wonią francuskich perfum...

Mika uśmiechnął się. „Kobieta w mojej pustelni!”... — pomyślał. Ludmiła stała przy starej płycie kuchennej i gotowała. Na czarną sukienkę wciągnęła stary sweter Miki, aby się ogrzać. W tej chacie o ścianach zdobionych niedźwiedzimi skórami, w migotliwym świetle lampy naftowej, wyglądała nierealnie. W prymitywnym wnętrzu spodziewać by się można raczej starego trapera niż wysmukłej sylwetki wyrafinowanej moskwianki.

Ludmiła Czestekowa była prawdziwym dziecięciem Moskwy. W wieku trzydziestu lat po raz trzeci zdarzyło jej się opuścić stolicę. Ukształtowana przez głośność aktorka, zwróciła na siebie uwagę rolą w *Sześciu postaciach w poszukiwaniu autora* — sztuce Pirandella wyreżyserowanej przez Anatolija Wasjewa w Moskwie, w roku 1988. Wrażliwa, uczuciowa, płonąca wiecznie wewnętrznym ogniem Ludmiła poznała Mike pół roku przed premierą *Dorosłej córki młodego mężczyzny* Starkina, w której grała główne role. Od razu, zanim nawet stali się kochankami, zostali przyjaciółmi.

Ludmiła uwielbiała w Mice siłę intelektu. Co do niego, to każdego wieczoru, gdy po spektaklu tulił Ludmiłę w ramionach, realizował stare marzenie — dziecięce marzenie z czasów ryskich, gdy jego ojciec pracował jako mechanik w teatrze dramatycznym. Ileż wieczorów spędził zafascynowany, przypatrując się z rozdziawioną buzią, jak aktorki przeobrażają się w rękach charakterystatorów w sensne zjawiska!

Mika przyjaźnie pogładził dłonią kruczoczarne włosy Ludmiły. Obcięła je bardzo krótko, przygotowując się do nowej roli. Ta fryzura podkreślała piękno jej czarnych, ogromnych oczu.

Odwróciła się do niego uśmiechnięta. Robiła gołąbki faszerowane ryżem i mielonym mięsem.

Dorzuciła do ognia, a potem przeszli do stołu i jedli, nie odzywając się przez dłuższy czas. Przerywała często jedzenie, z zaniepokojeniem wsłuchując się w podejrzane trzaski wokół dachy i gwizdzący w kominie wiatr. Mika zaś wcinął gołąbki, jakby nigdy nic.

Spojrzała na niego, zaintrygowana tym milczeniem.

— Miko! — Uniósł głowę znad talerza. — Co cię ciągnie w ten zatracony kąt?

Zastanawiał się, żując kapustę.

— Szczerota tajni.

Nie zrozumiała.

— Szczerota?

— Tak, szczerota. Tu, w tajdze, wszystko jest wrocie lub przyjazne.

Ale zawsze szczerze. Nie mogę powiedzieć tego samego o moim otoczeniu w Moskwie.

Wiedziała, co miał na myśli. Jedli dalej w milczeniu. Nagle poderwał dziewczynę głuchy łoskot tuż obok drzwi chaty. Popatrzyła przez okno na morze miotanych lodowatym wiatrem drzew.

— Czy dacza u podnóża góry jest zamieszкана? — zapytała, kiedy głuchy odgłos ponowił się.

— To nie dacza — powiedział, śmiejąc się z jej lęków. — To chata myśliwska i nie martw się, zapewniam cię, że w tej chwili nikogo tam nie ma... Tam właśnie podejmuję, poczynając od wiosny, pewne osobistości z Moskwy. Przyjeżdżają polować na niedźwiedzie. — Jego twarz przybrała twardy wyraz. — Tutaj te osobistości odświeżają zapomniane emocje i stają się tym, czym zawsze były... okrutnymi staruchami.

Mika odłożył widelec i opowiedział jej, jak wygląda takie polowanie.

— Instalują się tam z karabinem wyposażonym w celownik optyczny w garści i czekając na niedźwiedzia, leją w siebie wódkę. O świcie każą rozłożyć na polanie przed chatką pół tony padliny i nadgniłe flaki. Niedźwiedzie, które mają bardzo czuły węch i są w tym sezonie wygłodzone po zimowym śnie, schodzą się z promienia wielu kilometrów pojedynczo i stadami... i dają się zabijać z pięćdziesięciu metrów tym facetom siedzącym w ciepłej chacie. Prawdziwe polowanie na kaczki.

— To masakra! — powiedziała z odrazą.

— To polityka, Ludmiło.

Wstał, by usiąść przed kominkiem, na brunatnej niedźwiedziej skórce. Płomienie ognia odbijały się w jego oczach. Przesunął palcem po cienkiej szramie na brodzie.

— Nigdy! — zawołał. — Słyszysz, Ludmiło? Nigdy z nimi nie polowałem. Chodziłem zawsze w tajgę sam, ze strzelbą. — Wskazał palcem zawieszoną na ścianie za drzwiami strzelbę. — Prowadzę zawsze uczciwą walkę. Walkę mężczyzny z... mężczyzną.

Ludmiła ogarnęła czułym spojrzeniem odcinające się na tle kominka plecy Miki. Podeszła do niego, pochyliła się i oparła głowę na jego ramieniu.

— Wierzę ci — powiedziała po cichu. — Nie jesteś taki jak oni, Miko.

Odwrócił się i wziął ją w ramiona.

Siedzieli tak przez długie chwile, milczący, przytuleni do siebie, wsłuchani w jęk drzew tajgi, uginających się pod lodowatymi podmuchami wiatru.

Potem osunęli się na futro i długo się kochali.

Ludmiła spała, oddychając regularnie.

Leżała na przypiecku, a na jej wargach czał się lekki uśmiech sytej kotki, który pojawiał się zawsze po nocy miłosnej.

Na dworze ucichł wiatr i tajgę w te późne, nocne godziny ogarnął niezmacony spokój. Ogień na kominku dogasał.

Mika wstał, podszedł dorzucić drew i wrócił do lektury. Nie czytał właściwie książki, ale zbiór, w którym opisał dziesiątki partii *go*. Przeglądał rysunki setek

Mika podjął lekturę tam, gdzie uprzednio ją przerwał. Była to jedna z ostatnich partii, jakie rozegrał z Golbudinem, nim wojna w Afganistanie nie rozdzieliła ich owym paradoksalnym splotem wydarzeń. Los lubi płać figle... Rosjanin pojechał czym prędzej do Afganistanu, a Afgańczyk został w Moskwie, by studiować.

Ta partia stanowiła dla Golbudina istotny zwrot w nauce *go*. Odnosił pierwsze zwycięstwo nad Miką. Cień nostalgii zagościł na twarzy Miki. Wspomnił błysk dumy, który rozjaśnił oblicze Afgańczyka, kiedy ukończyli partię.

— Rezygnuję — powiedział Mika, odsuwając dłonią *go-ban*.

Golbudin nie potrafił powściągnąć zwycięskiego uśmiechu.

Przecież partia źle się dla niego zaczęła. *Fuseki* (początkowa faza gry) potoczyła się normalnie. Dwadzieścia pięć pierwszych ruchów pozwoliło jego czarnym kamieniom i białym kamieniom Miki obsadzić szachownicę i wytyczyć swe pola wpływów.

Po wyczekujących ruchach Golbudin przypuścił atak.

Używać sił bezpośrednich do wszczęcia walki. I sił pośrednich do powzięcia decyzji.

Golbudin zagroził grupie trzech białych kamieni, usytuowanych blisko środka *go-banu*. Nie czekał długo na ripostę. Mika kontratakował, przenikając przez pozycje Afgańczyka w prawym górnym rogu.

Golbudin wytrzymał. A przecież atak był gwałtowny. Oparł się i zdołał uwolnić. Rozszalał się. Grał z taką brawurą, że udało mu się stworzyć mur na całej prawej części *go-banu*. Wzniósł fortecę.

Opanuj przestrzeń lepiej niż przeciwnik. Wywieraj ciągłą presję na zgrupowania wroga.

Chuban (środkową fazę partii) zdominowała reakcja Miki. Bił się o kamień po kamieniu, odzyskując stracone grupy. Pod koniec *chubanu*

zdołał nawet osłabić potęgę Golbudina, przecinając na dwa jego mur w prawej części *go-banu*.

Zbyt późno. Nawet osłabiony, Afgańczyk zachował wyraźną przewagę nad Rosjaninem. Ten ostatni podrywał się jeszcze kilkakrotnie podczas *yose*, końca partii — stoczyli parę drobnych potyczek, kilka prób dźwignięcia się zostało błyskawicznie stłumione przez Golbudina, wyraźnie lepszego tego dnia. Potem Mika poddał się...

Zamyślił się, przyglądając się ostatniemu ruchowi tamtej partii. Poddanie się. Gdyby kontynuował, wynik wyniósłby 65 do 60 na korzyść Afgańczyka.

Golbudin... Gracz i człowiek. Mika przepędził przykre wspomnienia, które podsuwała pamięć. Wolał zapomnieć. Myśleć tylko o gracz, a nie o dramacie, który zmiażdżył człowieka, a w który i on był zamieszany.

Ogarniało go posępne uczucie wstydu, gdy wracał myślą do tych bolesnych wydarzeń: śmierć rodziny Golbudina, potem wygnanie w Libii...

Nagle wydało mu się, że z zewnątrz, z tajgi, dobiega nietypowy hałas. Wstrzymał oddech i w natężeniu wsłuchał się w nocną ciszę. Hałas słyhać było nadal. Był to dychawiczny warkot silnika.

Mika popatrzył na zegarek: wpół do czwartej rano. Któż mógł wybrać się na przejażdżkę w głębi lasu o tej porze? Na pewno nie leśnik. Zbyt dobrze znał pułapki tajgi, by przemierzać ją nocą. Kto więc?

Wstał i sięgnął po wiszącą za drzwiami strzelbę. Była to *purdy*. Doskonała strzelba myśliwska, którą sprowadził specjalnie ze Stanów Zjednoczonych za niewiarygodną cenę 30 tysięcy dolarów. Załadował *purdy* i zgasił lampę naftową. Rzucił okiem na *Ludmiłę*, na której twarz padał blask ognia. Nic nie słyszała i spała jak dziecko.

Teraz już warkot wyraźnie się zbliżał.

Nie było żadnych wątpliwości: samochód jechał do niego. Upewnił się o tym całkowicie, gdy wewnątrz dachy rozświeciły reflektory pojazdu. Usłyszał trzaśnięcie drzwiczek i kroki zbliżające się ku wejściu. Mika stanął za drzwiami trzymając w garści *purdy*.

— Z polecenia marszałka Achromiejewa! — odezwał się gardłowy głos.

Mika otworzył drzwi. W blasku reflektorów rysowała się krępa postać. Na palcach ręki, która podała mu list, Mika spostrzegł zrobione niebieskim atramentem tatuaże. Człowiek był tutejszy.

Mice wystarczył rzut oka na wiadomość. Stojący przed nim mężczyzna nie ruszał się z miejsca. Nad jego głową unosił się obłok

wydychanego powietrza. Zdawał się na coś czekać. Mika zrozumiał: wydobył z kieszeni spodni brunatny dziesięciorublowy banknot z wizerunkiem Lenina i wsunął go w rękę człowieka z tatuażem.

Ten wrócił do wehikułu — traktora na gąsienicach — i odjechał. Nie zamienili ani słowa. Mika zapamiętał numer rejestracyjny pojazdu: GAL 3658.

Trzy litery GAL oznaczały przynależność do KGB.

— Ci z KGB są naprawdę wszędzie — mruknął pod nosem.

Cały ten zgiełk obudził w końcu Ludmiłę. Stała owinięta czerwonym kocem.

— Co się dzieje? — zapytała rozszpanym głosem.

Popatrzył na nią ze smutkiem i wziął ją w ramiona.

— Przygotuj się, Ludmiło. Wracamy do Moskwy. Wiadomość od Achromiejewa była krótka i precyzyjna: „Potrzebuję was. Problemy z eksperymentem B 01”.

Moskwa, nazajutrz rano, 24 maja 1992

Restauracja „Moskwa” mieściła się przy ulicy Worowskiego, między Arbatem a placem Powstania. To tu, w tym gmachu z XVI wieku należącym niegdyś do starej rodziny moskiewskich bojarów, marszałek Achromiejew umawiał się z Miką na ich niemal codzienne spotkania.

Znajdująca się przy spokojnej, zacienionej ulicy w sercu dzielnicy ambasad „Moskwa” ze swymi obszernymi piwnicami o sklepieniach kolebkowych, z tradycyjną i wyrafinowaną kuchnią, szczególnie przypadła do gustu Achromiejewowi, ogarniętemu nostalgią luksusu i wspaniałości carskiej Rosji.

Czarny żił zatrzymał się z piskiem opon przed wejściem. Otworzyły się drzwiczki i wysiadł Mika. Wszedł do bogatego hallu restauracji. Była jedenasta rano i sale jadalne na parterze i piętrze świeciły pustkami. Dostrzegł młodego kelnera w białym fartuchu, zajętego polerowaniem włoskiego mahoniowego fotela.

— Jest marszałek? — zapytał Mika.

— Pod Chrystusem — odpowiedział chłopak, nie odwracając się.

Ikona Chrystusa była dumą restauracji. Pogłoski przypisywały ją Andriejowi Rublowowi, najslawniejszemu i najbardziej uduchowionemu twórcy ikon rosyjskich z XV wieku.

Mika usiłował poprawić ubranie przed inkrustowanym złotem lustrem. Wyjeżdżając pośpiesznie z daczy nie miał czasu się przebrać.

Wyglądał jak człowiek z tajgi — w starej skórzanej kurtce, z policzkami pokrytymi sztywnym zarostem, w futrzanych brudnych butach na nogach.

Chłopak spojrzał niechętnie na ślady błota, które Mika pozostawił na świeżo wyfroterowanych stopniach, schodząc do podziemi. Ikonę Andrieja Rublowa zawieszono w jednej z kamiennych piwnic, zaadaptowanych na prywatny salon, na samym środku muru pokrytego pięćdziesiątką ikon w barwach złota, lazuru i cynobru.

Marszałek siedział twarzą do ściany. Przed nim stała salaterka z kiszonymi ogórkami, które jadł wpatrując się w ikony. Mika usiadł na wprost niego. Przez dobre trzy minuty, kończąc ogórka, Achromiejew zachowywał się, jakby nie widział Miki. Potem przyjrzał mu się z kpiącym uśmiechem.

— Proszę wybaczyć mój strój — przeprosił Mika. — Przyjechałem możliwie najszybciej.

— To drobiazg, towarzyszu Wasiljew. Mamy poważniejsze zmartwienia.

— B 01?

Marszałek skinął głową, sięgając po następnego ogórka. Ciągnął:

— Generał Jewgienij zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem. Osłabiona postać B 01, B 02, który chcieliśmy wypróbować, uległa zmianie.

— To znaczy?

— To znaczy, że z niewiadomych przyczyn „śmiertelność” B 02 wzrosła w przerażającym stopniu. Zamiast być nieporównywalnie słabszy, pozostaje tak samo, o ile nie bardziej silny niż pierwotny zarazek B 01.

— Co oznacza „śmiertelność” zarazków? — zapytał Mika.

— Zdolność zabijania.

Mika zadrzał.

— Co dzieje się z obłokiem? — zapytał.

— Został rozpylony przed trzema dniami przez techników z laboratorium w Swierdłowsku.

— I...?

— I mieliśmy szczęście w nieszczęściu. Państwowy Instytut Meteorologiczny przewidywał umiarkowany wiatr północno-zachodni, który powinien w ciągu kilku godzin przenieść obłok nad Podorsk, miasteczko wybrane do testu, 120 kilometrów od rzeki...

Kelner przerwał marszałkowi. Podał im solankę rybną — zupę z rozmaitych gatunków ryb z kaparami. Całość zaprawiona była

śmietaną i serwowana z blinami. Przed marszałkiem kelner postawił także kieliszek czystej wódki. Mika poprosił o wodę mineralną Jessentuki, z Kaukazu.

Kiedy kelner odszedł, Achromiejew podjął przerwane wyjaśnienia:

— Powiedziałem, że na szczęście wiatr powiał nieco po rozpyleniu obłoku w powietrzu. Potem zwrócił się na południe... wbrew wszelkim oczekiwaniom meteorologów. Obecnie chmura przesuwa się w kierunku bezludnych obszarów stepowych, gdzie nie może spowodować żadnych szkód, poza może nieistotnymi stratami wśród drobnej zwierzyny.

— Ale... za tym stepem leżą przecież wioski i miasta? Czy wie pan, jak długo B 02 zachowa śmiertcionośną siłę?

Marszałek pokręcił głową.

— Jewgienij utrzymuje, że za pięć dni rozproszenie śmiertcionośnych cząsteczek będzie takie, że spowoduje spadek D.S. obłoku...

— D.S.?

— Tak, jego dawkę śmiertelną — gwałtownie rzucił marszałek — to żargon generała. Określa to, jaką siłę rażenia ma obłok. Zależy jest od wielu czynników, jak wielkość cząsteczek zarazka, szybkość oddychania podmiotów, i tak dalej...

— A jaka będzie ta... D.S. za pięć dni?

— Według Jewgienija spadnie z 99 do niespełna 5 procent.

— A jeżeli wiatr znowu zmieni kierunek i przywieje obłok nad miasteczko przed wpływem tego czasu?

Marszałek nie odpowiedział, ale Mika zrozumiał: Podorsk zamieni się w cmentarzysko... Achromiejew odepchnął stojący przed nim talerz z solanką. Nie był już głodny. Wziął ogórka.

— I oto jesteśmy na łasce byle podmuchu wiatru — mruknął, zanurzając ogórek w naczyniu z grubą solą. — Pozostaje nam tylko ewakuować miasteczko. Skoblewski, asystent Jewgienija, odpowiedzialny za bezpieczeństwo, przygotowuje właśnie ewakuację.

Mika milczał. Wyobraził sobie uliczki Podorska zasłane trupami. Pod wpływem tej wizji chciał już przekonać marszałka, by czym prędzej ewakuowano miasteczko. Tymczasem doradził mu coś wręcz przeciwnego.

— Ewakuacja? — powiedział do marszałka. — To oznaczałoby ujawnienie eksperymentu. Oznaczałoby, że dowiedzą się o nim Stany Zjednoczone i Zachód, szpiegujący nas przy użyciu satelitów. I mogłoby pociągnąć za sobą dramatyczne dla polityki zagranicznej towarzysza Gorbaczowa konsekwencje. Nie wspominając już o więcej niż prawdo podobnych rozruchach w Uzbekistanie, który uzna eksperyment za podstępną próbę kontrolowania Republiki...

Mika poczekał, aż kelner naleje mu wody mineralnej do szklanki, i dorzucił:

— Trzeba ponieść ryzyko, towarzyszu Achromiejew. Stawką jest nasza wiarygodność!

Marszałek powoli spuścił głowę. Sprawiał wrażenie zmiażdżonego ciężarem zagrożenia, które zawisło nad mieszkańcami Podorska.

— A jakie są przewidywania meteorologów? — zapytał Mika.

Achromiejew wzruszył ramionami.

— A cóż by pan chciał, żeby przewidywali? Mówią to, co wynika z danych komputerowych!... Kiedy pomyślę, że mój ojciec, ukraiński chłop z Reszetiłowki, przepowiadał pogodę na miesiąc z góry, patrząc na kurze kupry! I nigdy się nie mylił!... Tak czy inaczej, dyrektor Państwowego Instytutu Meteorologii został zdjęty w następstwie popełnionego błędu. Nowy ma nadzieję, że komputery okażą się skuteczniejsze dla niego niż dla poprzednika. Na razie zapowiada stały, bardzo słaby wiatr, który w ciągu czterech najbliższych dni powinien przesunąć obłok na południe.

— A piątego dnia?

Marszałek energicznie przełamał ogórek i powiedział:

— Piąty dzień to wielka niewiadoma.

Nowy Jork, Kent Avenue 202

Markus wysiadł z windy, która zatrzymywała się w środku jego poddasza, rzucił walizki na wielkie, okrągłe łożo, rozebrał się i zanurzył w gorącej wodzie jacuzzi.

Była jedenasta wieczorem. Wrócił właśnie z dwudniowej podróży służbowej do Oslo.

Po półgodzinnym odpoczynku w ciszy poddasza rozjaśnianego jedynie błękitnym neonem jacuzzi owinął się w obszerny szlafrok frotte i wrócił do analiz dokumentacji Impro Vaadenfabrik z Oslo w Norwegii, którą przeglądał już w samolocie, w drodze do Nowego Jorku.

Impro Vaadenfabrik była najnowszą zdobyczą Clive'a A. Lorenzo. Norweska spółka produkowała od 1971 roku sprzęt do konserwacji platform wiertniczych off-shores na Morzu Północnym. Impro była w tej dziedzinie europejskim liderem, a to dzięki odważnej polityce innowacyjnej. Po dwunastu latach poszukiwań zdołała dojść do światowej klasy osiągnięcia: konstrukcji okrętu podwodnego o wyporności 550 ton, mierzącego 28 metrów długości i wyposażonego w niezwykle energooszczędny silnik szwedzki.

Trudno przecenić jego walory: okręt był obdarzony samowystarczalnością dużego, a posługiwanie się nim nie było trudniejsze niż małą jednostką. Mogąc przewozić dwunastu nurków i pozostawać przez piętnaście dni pod wodą, stanowił doskonałe narzędzie konserwacji platform wiertniczych. Zresztą, lista zamówień zebranych przez Impro stanowiła najlepszy dowód powodzenia tej technologii.

Clive od 1980 był głównym akcjonariuszem Impro i posiadał 32,8 procenta akcji. Potem błyskawicznie podjął decyzję o przejęciu spółki na własność. Markus ledwie miał czas, by wrzucić cło walizki dwa garnitury od Paula Stuarta i pobiec na lotnisko, gdzie grzał już silnik odrzutowiec Gulf Stream III Grumman, oddany do jego dyspozycji przez Clive'a.

Zadaniem Markusa w Norwegii było spotkać się z dyrektorem generalnym Impro, Odvarem Paasikivi, i wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji. „Za trzy dni chce dostać ocenę sytuacji spółki” — nakazał Clive, nim odłożył słuchawkę.

Markus przejrzał już bilans i rachunki eksploatacyjne za ostatnich pięć lat. Telefon odezwał się w chwili, gdy już z własnej inicjatywy zaczął przeglądać listę zamówień Impro.

Dzwoniła Ambre.

— Jak ci się podobały Norweżki?

— Czarne i przysadziste.

Parsknęła śmiechem.

— Nie za bardzo zmęczyła cię ta podróż? — zapytała.

— Tak. Ale skąd dzwonisz?

— Z pensjonatu „Baker” w Utica.

Pokręcił głową i westchnął.

— Ciągle nękaasz leżących w łóżku zagryzionych biedaków dla tego podrzędnego piśmidła?

Nie odpowiedziała. Milczał przez chwilę, a potem dodał:

— Ambre, wiem, że jesteście oboje uparci jak muły, i ty, i twój ojciec. Ale przynajmniej spróbuj. To śmieszne... — Zaczął chodzić wzdłuż i wszerz poddasza. — Zastanów się choć przez moment! Mogłabyś pracować dla największych dzienników! Mieć tyle pieniędzy, ile dusza zapagnie! Czego szukasz? Kłopotów?...

Odpowiedział mu tylko przeciągły pisk w słuchawce. Wzruszył ramionami i zagłębił się w dokumentach.

W dwie godziny później poderwał się z miejsca jak oparzony. Natrafił na pozornie nieistotny błąd. Błąd, który mógł doprowadzić do wybuchu, jeśli on, Markus, zdoła upewnić się, że Clive był go świadom. W kontraktach z NRD i Bułgarią powtarzało się wielokrotnie

odwrócenie kolejności cyfr w numerach porządkowych produktów. Błąd zdarzał się zbyt często, by mógł być przypadkowy... Markus spędził resztę nocy na badaniu sprawy ze wszystkich stron i szukaniu przyczyny tych częstych pomyłek.

O świcie był już pewien: błąd popełniano celowo i nie bez wiedzy Clive'a.

Dziwny wyraz satysfakcji połączonej z cynizmem zagościł na jego zmęczonej całonocną pracą twarzą. Narzucił kaszmirowy płaszcz i jeszcze zaspany wyszedł na Kent Avenue. Z podniecenia nie mógł usiedzieć na miejscu. Oceniał, że dzięki temu odkryciu ma szansę zarobić 300 milionów dolarów.

Mógł zdobyć fortunę.

W parę godzin później

Po zalaniu trzech kostek lodu sokiem pomarańczowym Clive dodał schłodzonego Dom Perignon. Podał grubą kryształową szklankę Markusowi, który z daleka obserwował manewry muren w akwarium.

— Twój Buck's Fizz. Usiądź, proszę — powiedział wskazując Markusowi kamienną kanapę.

Następnie Clive przygotował swój ulubiony koktajl — Black Russian. Miarka rosyjskiej wódki, miarka Kahli, likieru kawowego. Markus zauważył, że wódka była polska. „Daleko jej do najlepszej”, wyznał mu pewnego wieczoru Clive.

Ze szklanką w dłoni Clive podszedł do Markusa. Twarz raidera była opalona jeszcze silniej niż zwykle. W półmroku „dżungli” połyskiwały jego oczy i zęby. „Wraca z Marrakeszu”, pomyślał Markus, znający słabość Clive'a do marokańskiego pałacu, do którego udawał się, skoro tylko pozwalały na to interesy.

— A więc, Markusie? — Clive przerwał milczenie. — Cóż tak istotnego miałeś mi do powiedzenia, że nie wystarczył telefon? Chciałeś prosić o rękę mojej córki?...

Wzniósł kryształową szklankę do ust i ze smakiem wychylił łyk koktajlu. Dodał:

— Ambre w każdym razie robi, co zechce. Zwłaszcza po naszym ostatnim spotkaniu. A właśnie, jak się miewa? — W jego głosie zabrzmiała nutka pogardy. — Wciąż jest... dziennikarką?

— Nie idzie o Ambre, ale o mnie.

Na ustach Clive'a pojawił się ojcowsko-ironiczny uśmiech. Obserwował Markusa przez matowy płyn.

— Mów jaśniej, Markusie...

Młodzieniec machinalnie obracał szklankę w rękach. Z odrobiną wahania w głosie nakreślił przebieg swej kariery w Wrioth Holdings Management. Clive słuchał go przez chwilę w milczeniu, potem jednak przerwał sucho:

— Do czego zmierzasz? Nie przyszedłeś przecież opowiadać mi o swych wyczynach w Wright! Zresztą, znam je doskonale! Czego chcesz?

— Otóż, po pięciu latach w Wright znam już chyba wszelkie tryby tej maszyny...

— Markus uniósł głowę i wyzywająco spojrzął Clive'owi w oczy — ...i chcę być jej prezesem.

Pomarszczone wargi Clive'a wykrzywiły się w grymasie. Bez słowa podszedł do oszklonej ściany i w ciszy spoglądał na Central Park. O tak wczesnej porze park był pusty. No, jeśli nie liczyć kilku zadyszanych zwolenników joggingu, biegających po alejkach. Po chwili znów rozbrzmiał jego metaliczny głos:

— No, Markusie, powiedz mi o tym coś więcej... Odkąd to zamyślasz o prezesurze Wrighta?

— Od dzisiejszego ranka.

— Hm! A kto ci podsunął tę myśl? Ambre?

Markus powstrzymał uśmiech. Gdyby Clive lepiej znał charakter córki, wiedziałby, jak mało robi sobie z jego kariery! Wypił łyk Buck's Fizz. Chłodne kropelki Dom Perignon wydały mu się lekkie. Skłamał:

— Co mi podsunęło tę myśl? Pragnienie awansu w Wright.

Głos Clive'a stał się ostry jak ryk rozgniewanego drapieżnika.

— Jesteś świetnym finansistą, Markusie. Nie osiągnąłeś jednak jeszcze formatu człowieka interesu. Co się dzieje? Znam cię dobrze... Lepiej, niż sądzisz. Należymy do jednej rasy, mamy taki sam temperament. Jesteś zbyt inteligentny i ambitny, by ryzykować porażkę na tym stanowisku.

— Co dzień ryzykuję — ripostował sucho Markus.

— Nie udawaj idioty! Równie dobrze, jak ja zdajesz sobie sprawę, że prezes to osoba bardzo wyeksponowana. I że ponosi znacznie większe ryzyko niż finansista, bez względu na zaangażowanie.

Markus przecząco pokiwał palcem i powiedział:

— Sądzę, że nie zrozumiał mnie pan. Chcę utrzymać obecną dyrekcję Wrighta. I przejąć prezesurę rady administracyjnej.

Clive nie odpowiedział. Sylwetka suchego starca kładła się cieniem na szybie. Wciąż stał odwrócony plecami do pokoju. Po chwili milczenia podjął z wysiłoną słodyczą w głosie:

— Tak, Markusie, właśnie. Prezesura rady administracyjnej

Wrighta... A skąd weźmiesz pieniądze, by sprawić sobie ten drobny upominek za 300 milionów dolarów?

Markus poczuł mrowienie wewnątrz dłoni. Był to znak silnego podniecenia — pracował nad wielką sprawą. Niewątpliwie największą w życiu. Zmusi jednego z najpoważniejszych raidersów w Stanach do zapłacenia owych 300 milionów dolarów jemu, Markusowi.

Przez moment doznał rozterki. Rozwiął ją czym prędzej. W końcu Clive A. Lorenzo niejednego musiał zmiażdżyć, aby osiągnąć taką pozycję. Pomyślał, że pomści wszystkie ofiary Clive'a. W ten sposób wymierzy mu sprawiedliwość...

— Nie kupię sobie Wrighta — odpowiedział w końcu. — To PAN mi go da!

Długim ciałem raidera wstrząsnęła kaskada śmiechu. Odwrócił się gwałtownie. Markus zobaczył, że jego różnobarwne oczy — niebieskie i zielone — wcale się nie śmiały. Pomarszczona twarz starego człowieka drżała, udając wesołą ironię.

— Mów dalej, Markusie. Zaciekawileś mnie.

Markus wstał z kamiennej kanapy, odstawił na nią szklankę i udał, że wychodzi.

— To wszystko. Nie mam już nic do powiedzenia.

Głos Clive'a strzelił jak bicz.

— Markus?!

— Ach, tak! — zawołał Markus łapiąc się ręką za głowę, jakby nagle wróciła mu pamięć. — Nie wspomniałem o systemach elektronicznych Impro Vaadenfabrik... Naprawdę bardzo interesujące. Zwłaszcza faktury ostatnich transakcji przeprowadzonych z Bułgarią i NRD. Jest to tak pasjonujące, że zaciekawi wiele osób...

— Kto ci kazał analizować faktury Impro Vaadenfabrik?

— Nikt. Tylko fachowość.

Clive ze smutkiem pokręcił głową i skierował kroki w stronę podświetlonego akwarium. Zgodnie z ustalonym rytuałem zaczął stukać palcem w szklaną ścianę zbiornika. Czarna murena długości półtora metra wysunęła się ze szczeliny skalnej i z głuchym szmerem rzuciła się na szybę. Wkrótce dołączyły pozostałe mureny, równie

— Widzisz, Markusie, kapitalizm to jedyny wielki cel ideologiczny, jaki pozostał...

Chwyił żółte wiaderko stojące pod akwarium i podwinąwszy rękaw koszuli, zanurzył w nim rękę, wyciągając za skorupę dużego, czerwonego kraba.

— Prasa nazywa mnie niekiedy „gospodarczym potworem” czy

„żądny pieniędzy drapieżnikiem” — podjął, gdy krab bezradnie wymachiwał w powietrzu szczypcami. — To kłamstwo... Nie biję się o pieniądze. Nie, najczęściej robię to, żeby rozpedzić bandę łajdaków, która kieruje spółką... W rzeczywistości jestem dobroczyńcą naszej gospodarki! Zapamiętaj moje słowa: „Spółka jest jak ryba — psuje się od głowy”. Uzdrawiam je poprzez wykup. Eliminuję zarządy i zastępuję zespołami prawdziwych fachowców. Dla ich dobra. Clive patrzył obojętnie na szamocącego się kraba.

— Dla tego celu poświęciłem wszystko, Markusie — podjął. — Żonę... w pewnym sensie także córkę. Stawałem przeciwko największym raidersom świata. I pokonywałem ich.

Wolną ręką Clive wziął z obrzeża akwarium potężne nożyce. Spojrzenie jego niebieskiego oka stało się lodowate.

— Sam rozumiesz, że wobec tego wszystkiego szantaż jakiegoś Markusa Roneya troszeczkę mnie rozśmiesza. Nawet, jeżeli idzie o 300 milionów dolarów... Poradzę ci coś. Dobrze się zastanów, co robisz. Daję ci czterdzieści osiem godzin.

Wypowiadając ostatnie słowa przeciął skorupę kraba w niemal idealny owal. Zielonkawe i pomarańczowe odnoża opadły do wody poprzez szeroki otwór. Stado muren zebrało się, oczekując fety.

Raider odwrócił się, spojrzął Markusowi prosto w oczy i rzucił korpus kraba, który zakreślił łuk w powietrzu i wylądował w samym środku zbiornika. Niemal w tej samej chwili mureny rozerwały go na strzępy. Przezroczysta woda akwarium wzburzyła się i zabarwiła na purpurowo.

— To wszystko — rzucił Clive, nie spuszczać Markusa z oka. Roney przez chwilę stał nieruchomo, odurzony okrucieństwem sceny, potem obrzucił Clive'a pełnym potępienia spojrzeniem i zbiegł po kręconych schodach.

W tym samym czasie, Crown Point, Adirondack Mountains

Widząc światła w oknach chaty Mela, Ambre doznała ulgi — doktor był w domu, a ona odczuwała ogromną potrzebę pogadania z kimś.

Z drewnianego budynku dobiegała dziwna muzyka. Monotonna melodia indiańska, której wtórował wybijany na tamburynie rytm. Sądząc po zakłócających dźwiękach zgrzytach, było to stare nagranie na winylowej płycie.

Mel stał obok rzeźby w głównej izbie. Wokół zaokrąglonego

brzucha zawiązany miał niebieski fartuch, upstrzony śladami gliny. Mimo panującego wewnątrz chłodu jego czoło zroszone było potem. Wyglądał na całkowicie zaabsorbowanego rzeźbieniem. Chwilami fałszując podśpiewywał piskliwym głosem odtwarzaną z płyty pieśń.

Ambre przez moment stała w drzwiach. Wreszcie lekko zakasłała. Lekarz odwrócił się. Spoza grubych okularów spojrzały na nią zatopione w rozmyślaniach oczy.

Uśmiechnęła się smutno. Podeszedł do niej, ocierając dłonie o fartuch.

— Ambre! Nie wygląda pani najlepiej.

Nie odpowiedziała, ale podeszła do rzeźby i zauważyła, że ma inny kształt. Z pocisku przeobraziła się w ogromny ziemniak.

— Zmienił pan zdanie na temat wirusa?

— I tak, i nie — powiedział Mel z odcieniem niezadowolenia w głosie. — Prawdę mówiąc, zupełnie nie mogę połączyć się w tej grypie... Z jednej strony trwa trzy razy dłużej niż zwykła grypa, a z drugiej analizy laboratoryjne nie przynoszą żadnych konkretnych wyników. Dodatkowo komplikuje sprawę fakt, że wśród symptomów pojawiły się kolejne dziwne oznaki... Ostatnio wspominałem pani o wściekłości. Teraz, po dwudziestu jeden dniach od zachorowania, nastąpiła inna faza. Ta faza przypomina ospę. To tłumaczy nowy kształt wirusa. Ospę wywołuje bardzo duży wirus w kształcie kartofla... — Zamilkł na chwilę, a potem dodał: — Mam wrażenie, że wyłącznie mnie niepokoi ta sprawa... no i panią.

Płyta skończyła się. W ciszy słychać było tylko powtarzający się zgrzyt igły. Mel wyłączył adapter.

— A pani, Ambre? — zapytał szykując dwie szklanki herbaty. — Co z pani wywiadem?

Ambre zrelacjonowała mu odwiedzinę u Dennisa Knee. Potem z tylnej kieszeni dzinsów wyjęła kartkę i podała ją Melowi.

— To lista klientów Dennisa Knee. Tych oznaczonych czerwonym krzyżykiem odwiedziłam dzisiaj... Mówią to samo: nie mieli ostatnio żadnych problemów z dostawami kurcząt, żywych czy martwych, pochodzących z hodowli Knee. Ponieważ sam Dennis Knee utrzymuje, że nie może także narzekać na kradzieże, lisy ani choroby, nie wiem już, co o tym myśleć...

Mel przebiegł listę wzrokiem.

— Są klienci, z którymi pani nie rozmawiała — zauważył. — Transvia Inc., Lexington Street 302. Nawiasem mówiąc, poważny kupiec... Ostatnie zamówienie na 1200 kurcząt.

Ambre machnęła ręką na znak, że wie o tym.

— Jeździłam po Utica całe popołudnie. Znalazłam Lexington Street dopiero po zmroku. To kompletne odludzie. Wrócę tam jutro w dzień.

Nazajutrz, Albany, Lexington Street

Ambre zatrzymała się przed numerem 302. Raz jeszcze z niedowierzaniem spojrzała na listę klientów Dennisa Knee. Widniał tam właśnie taki adres: „Transvia Inc., Lexington Street 302”. To, co miała przed oczyma, wyglądało na wszystko, prócz godnej tej nazwy spółki.

Lexington Street była dużą ulicą, biegnącą z jednego krańca miasta na drugi i gubiącą się w bezludnej okolicy, po której hulał tylko wiatr. Przez wiele kilometrów ciągnęły się smętne wysypiska śmieci, złomowiska, cmentarzyska samochodów, rozsypane się budynki. Ulica kończyła się ślepym zaułkiem.

Numer 302 był ostatnim przy tej ulicy. Tuż przed zaroślami i iglastym lasem.

„To prawdopodobnie dawny tartak” — powiedziała sobie, widząc gnijące pniaki na podwórzu przed starym budynkiem z czerwonej cegły.

Wyłączyła silnik forda, wysiadła i podeszła do bramy, która skrzyiała miarowo, szarpana podmuchami przejmującego wiatru. Przez długą chwilę przypatrywała się zdewastowanemu domowi w głębi podwórza. Nie widać było żadnego światła ani poruszenia, żadnego znaku życia.

Przez moment wydawało jej się, że dostrzegła dym unoszący się z na pół rozbitego komina tartaku. Ale było to zapewne tylko przywidzenie. Zapadł zmrok i okolicę przesłaniała szara mgła.

„Skąd się wziął ten porzucony tartak na liście klientów Dennisa Knee?” — zastanawiała się, zbita z tropu. Odpowiedź na to pytanie nasunęła się jej szybko.

Była tylko jedna możliwość: pomyłka w adresie. Spółka Transvia zapewne mieściła się przy innej ulicy w Albany. Musiała sprawdzić to u Dennisa Knee. Zadzwońi do niego z centrum. Na tym pustkowiu z pewnością nie znajdzie telefonu...

Odwróciła się. Kilka kroków za nią stał mężczyzna z rękami w kieszeniach białej bluzy i przypatrywał jej się z natężeniem. Jego przycięte bardzo krótko włosy były siwe. Nosił okrągłe okulary-w stalowej oprawce.

Wargi mężczyzny ledwie się poruszyły.

— Czego pani szuka?

Jego głos był dźwięczny i ostry.

— Pracuje pan w spółce Transvia? — zapytała Ambre.

— Czego pani chce? — powtórzył.

Ambre wyjaśniła mu.

— Jestem dziennikarką... Chciałam porozmawiać z kimś ze spółki Transvia w sprawie dostawy 1200 żywych kurcząt z hodowli Knee.

Szczęki mężczyzny zacisnęły się jeszcze mocniej. Ambre widziała, jak pod skórą drgają mięśnie jego twarzy.

— Czego pani szuka? — zapytał ostrzejszym tonem.

— Chciałam się dowiedzieć, czy z tej dostawy nie uciekły jakieś kurczęta... na przykład do lasu. Wasze budynki sąsiadują z lasem, więc...

Ambre urwała w pół zdania. Ponura atmosfera tej części Lexington Street i zachowanie rozmówcy uświadomiły jej, jak nikłe ma szanse na rozwikłanie zagadki. Opierała się niemal wyłącznie na oświadczeniach debilnego chłopaka. A jeśli Lester skłamał? Jeżeli złapał tę chorobę nie po zjedzeniu kury, którą znalazł w lesie, ale „śpiąc z Indianką”, jak twierdziła jego matka?...

Głos mężczyzny wyrwał ją z zadumy.

— Nie ma pani tu nic do roboty. — Przez ciągle zwarte szczęki i zaciśnięte wargi wycedził: — Jest pani na terenie prywatnej posesji. Jeżeli pani natychmiast nie odejdzie, wezwę policję z Albany.

Z oczu mężczyzny Ambre wyczytała determinację. Bez słowa przeszła obok niego, wróciła do forda i odjechała powoli w stronę zatopionej w przejmującej mgłę Lexington Street. Kiedy zerknęła w lusterko wsteczne, biała sylwetka mężczyzny zniknęła.

Nieco niżej, co najmniej o kilometr od zakładu, na Lexington Street minęła samochód jadący w przeciwnym kierunku. Pomyślała, że mógł zmierzać tylko do dawnego tartaku. Aż do końca ulicy nie było już innych budynków. Zgasiła reflektory, zawróciła i ruszyła za czerwonymi tylnymi światłami wozu. Był to rover brek. Na tylnej części karoserii zdołała odczytać duży napis: CRAY.

Intuicja jej nie myliła. Samochód zatrzymał się przed bramą tartaku z lekkim poślizgiem na mokrym asfalcie. Zaparkowała forda dwadzieścia metrów przed tartakiem. Nie mogli jej zauważyć — tuman szarej mgły gęstniał coraz bardziej.

Dostrzegła sylwetkę mężczyzny w ciemnym ubraniu, który szybko wysiadł z samochodu. Pchnął zardzewiałą bramę i zniknął z jej pola widzenia. Widać było, że się spieszy. Przed sobą niósł niewielki gąsior, a na ramieniu coś w rodzaju torby z narzędziami.

Robiło się coraz ciemniej.

Ambre sięgnęła po leżący na tylnym siedzeniu stary koc i otuliła się nim. Samochód spowity kłęby mgły. Słychać było tylko świst wiatru za drzwiami i cykanie elektrycznego zegara na tablicy rozdzielczej. Była godzina piąta po południu.

* * *

Oczekiwanie trwało ponad cztery godziny.

Ambre doskwierał przenikliwy, wilgotny chłód wdzierający się do samochodu. Schowała się pod kocem i powoli przysnęła.

Nagle przebudziło ją trzaśnięcie drzwiczek i warkot silnika rovera. Ruszyła w ślad za nim. Znalazłszy się w dalszej części ulicy, zaczęła dawać sygnały światłami. Samochód natychmiast zatrzymał się na poboczu.

Z rovera wysiadł młody mężczyzna, wyraźnie zaniepokojony. Miał bladą cerę i rozwiązany krawat. Ambre starała się go uspokoić wyciągając na powitanie dłoń. Uścisnął ją miękko.

— Przepraszam, że pana niepokoję — powiedziała. — Chciałam zadać panu pytanie: czy należy pan do spółki Transvia?

— Nie — odpowiedział młody człowiek, wskazując na widniejący z tyłu napis CRAY.

To raczej uspokoiło Ambre, która zachowała sprzed kilku godzin nieprzyjemne wspomnienie o domniemanym pracowniku Transvii. W kłapie marynarki rozmówcy zauważyła tabliczkę z nazwiskiem: „L. Wozniński”.

— Ale zna pan Transvię? Na czym polega ich działalność?

Wozniński naprawdę nie wiedział.

Ponieważ zdziwiło to Ambre, wyjaśnił:

— Nie mam pojęcia. Zajmuję się konserwacją zbiorników z płynnym azotem ich Craya Y-MP. A pomieszczenia Craya Y-MP mieszczą się z dala od głównego budynku. — Wozniński uśmiechnął się zażenowany, rozłożył bezradnie ręce i wsiadł do samochodu. — Cóż, nic więcej nie wiem. Jestem tylko technikiem...

Ambre odprowadziła wzrokiem oddalający się w ciemnościach rover.

Nazajutrz rano, w siedzibie Cray Research

Kiedy Henry Domio wchodził do gabinetu o futurystycznym wystroju z niebieskawej stali i hebanu, rozdzwonił się telefon. Domio był pełnym energii, grubym małym człowieczkiem. Jego trzyczęściowy garnitur wyglądał zawsze, jakby lada moment miał pęknąć pod naporem wielkiego brzucha i gwałtownych gestów Amerykanina włoskiej krwi.

Przed wszystkim jednak był najlepszym inżynierem handlowym w Cray Research, wiodącej w świecie firmie produkującej niezwykle potężne komputery, zdolne do wykonania dwóch miliardów operacji na sekundę. Domio potrafił narzucić w twardej, precyzyjnej dziedzinie superkomputerów styl „latynoski”, łączący najwyższą fachowość ze śródziemnomorskim gadulstwem.

Telefon zadzwonił tylko raz. Było to podstawową zasadą Domia. Nie każe się czekać klientowi...

Uderzająco wprawnie i szybko zdołał jednocześnie ująć notatnik i długopis, usiąść, podnieść słuchawkę i nadać głosowi odpowiednie brzmienie.

— Henry Domio. Czym mogę służyć?

W słuchawce rozbrzmiał głos Ambre.

— Dzień dobry, moje nazwisko Ambre Manari. Reprezentuję Instytut Badań Naukowych w Kalifornii CASI. — Wymyśliła na poczekaniu nazwę, która wydała jej się wiarygodna. — Chciałabym uzyskać informacje na temat jednego z typów waszych komputerów: Cray Y-MP.

Głos Domia nabrał słodczy.

— Zna pani ceny Cray Y-MP?

— Po to właśnie dzwonię.

- Już mówię: 25 milionów dolarów w wersji podstawowej.

- Poważna suma, prawda? Pomówmy, jeżeli sobie pani życzy, o waszych rzeczywistych potrzebach. Następnie doradzę pani najodpowiedniejszy z naszych wyrobów...

Ambre przerwała mu.

— Proszę pana, uczestniczyłam w pokazie Cray Y-MP w naszym bliźniaczym instytucie badawczym w Chicago. I jestem przekonana, że to aparatura, jakiej nam

Domio nie od razu odpowiedział. Ambre słyszała, jak wysuwa szuflady i pospiesznie przewraca kartki.

— A więc, pani Manati...
— Manari...
— Manari, przepraszam bardzo. A więc, zadziwia mnie pani. Do dziś sprzedaliśmy cztery egzemplarze Cray Y-MP, tylko cztery. Cztery! I ani jednego więcej. A żadnego do Chicago...
— Przecież po pokazie dokładnie zanotowałam dane aparatu. Był to Cray Y-MP.
— I to mnie właśnie dziwi. Widziała go pani na pokazie w instytucie badawczym... prywatnym czy wojskowym?
— Ambre zawahała się przed udzieleniem odpowiedzi.
— Prywatnym.
— Coś takiego! — mruknął Domio. Po chwili dorzucił tonem zwierzenia: — Mogę pani powiedzieć, bo i tak jest to tajemnicą poliszynela... Nasi jedyni dotychczasowi klienci to NASA —program wojskowy w Cap Canaveral, Jet Propulsion Laboratory w Pasadenie, Lawrence Livermore Laboratory z Kalifornii i wreszcie Ministerstwo Obrony.
— Ministerstwo Obrony? — podchwyciła Ambre. — A gdzie?
— Domio nie odpowiedział. Ambre przez chwilę milczała, a potem podjęła:
— Rozumiem... Musiałam pomylić dane. Nie chodzi o Cray Y-MP, ale o inny model...
— I ja tak sądzę — zgodził się Domio. — Ale to drobiazg... Mogę zademonstrować pani komputer z rodziny lepiej przystosowanych do waszych potrzeb.
— Dobrze, proszę przesłać mi dokumentację — powiedziała i odłożyła słuchawkę.
— Ależ, naturalnie — odpowiedział Domio i uświadomił sobie, że rozmówczyni nie podała mu adresu.
Westchnął, odłożył pióro i rozżalony popatrzył na ogromną fotografię Seymoura Craya, który w 1976 roku założył firmę.

Marrakesz, 26 maja 1992, północ

Ze szczytu wieży pałacu Dżemma będącego własnością Clive'a wystrzeliły sztuczne ognie, tworząc wielobarwne kwiaty i fontanny białego i złotego światła. Wszyscy krążący po ogrodzie goście zebrali się pod wieżą, bijąc brawa.

Pałac Dżemma usytuowany był w sercu ogromnej palmiami, w sześćohektarowym parku w stylu angielskim. Tu właśnie Clive

podejmował setki starannie dobranych gości na wspaniałych, olśniewających przyjęciach.

„Załatwiam w tym czasie 80 procent interesów” — powtarzał często najbliższym doradcom, zdumionym ogromem kwot przeznaczanych na owe bale. Koszt jednego wynosił od 300 tysięcy do 500 tysięcy dolarów. Prawdą było, że stanowiły one najlepszą z jego inwestycji. Spotykała się na nich międzynarodowa czołówka biznesu.

Widywało się tu także koronowane głowy, gwiazdy kina i świata mody, jak Yves Saint-Laurent, księżniczka Rupoli, baronowa Rothschild czy Adolfo de Velasco, którzy wpadali „po sąsiedzku” z otoczonych palmami pobliskich willi i pałaców. Wokół tych znanych nazwisk kręciła się gromada wymalowanych dziwołagów ekshibicjonistów, na pół gołych androgynów i rozpustników. Na każde z przyjęć czarterowany bywał DC 8, specjalnie po to, by przywieźć owe wynalezione przez londyńskie, paryskie czy nowojorskie agencje modeli „świeże ciała”, gotowe na wszystko, byle tylko spędzić parę nocy wśród gwiazd sławy, potęgi i bogactwa.

Wyglądało na to, że dzisiejszy wieczór nie zepsuje reputacji, jaką cieszyły się przyjęcia Clive'a.

Gości, których witały dziesiątki rzucających pod nogi płatki róż i jaśminu Marokańczyków w białych dżelabach, przeprowadzano następnie do czterech rozbitych w parku ogromnych namiotów, gdzie goszczono ich pięćdziesięcioma baranami, trzystu kurczętami, stu dwulitrowymi butlami szampana. Rozrywki dostarczały rozliczne trupy polkaczy ognia, dziewcząt prezentujących taniec brzucha i zaklinaczy węży.

Wystrzeliły ostatnie sztuczne ognie, układając się na rozgwieżdżonym niebie w płomienisty napis LORRENZO. Był to pomysł Thomasa Lehmana, doradcy Clive'a, który postawił sobie za zadanie uczynić z nazwiska szefa powszechnie używany przez najbardziej wpływowych ludzi interesu synonim potęgi i sukcesu.

Ostatnia kaskada iskier otoczyła wieżę złotym blaskiem, kończąc pokaz.

Był to sygnał do rozpoczęcia balu.

Od tej chwili zabawa rozkręciła się. Dziewczęta, o oczach jak węgle, prawie nagie, bez niczego pod minispódniczkami, zaczęły tańczyć w rytm tamburynów, potrząsając rozpuszczonymi włosami. Postacie mijały się, spoglądały, ocierały o siebie, splatały w bambusowym lesie, pod żółtymi i czerwonymi kwiatami „ognistych drzew” — tropikalnych akacji, wśród ciężkiej, oszałamiającej woni cytrynowców, baraniej pieczeni i herbaty miętowej.

W cieniu bugenwillowego żywopłotu, obok stiukowej sadzawki zdobionej nimfami, porośniętej wodnymi hiacyntami i irysami stał Clive w jasnej gandurze, obserwując, jak goście poddają się czarowi proponowanych im tego wieczoru rozrywek, obliczonych na rozpalenie ich zmysłów.

W blasku pochodni rozpoznał Sama Goldsteina, potentata miedziowego, miotającego się niezręcznie w szaleńczym tańcu brzucha. Partnerką Sama była Metyska nadzwyczaj wymownie poruszająca biodrami. Miała karmelkową cerę i piersi ozdobione rysunkiem róż.

Clive uśmiechnął się. Po rozpalonym wzroku i obficie przesiąkającym koszulę pocie zorientował się, że światowy król miedzi doskonale się bawi. Wiedział również, że jego nowojorska ekipa z Wright Holdings Management przygotowuje joint-venture z jedną ze spółek Sama Goldsteina — Copper Globe Miami, Inc.

Wzdłuż żywopłotu przesunął się w jego stronę cień. Zbliżywszy się, mężczyzna szepnął mu coś do ucha.

— Dobrze, Jusufie — powiedział Clive, dotykając smagłej, szczupłej dłoni służącego. — Powiedz mu, by przyszedł do mnie na szczyt wieży.

Z kieliszkiem wódki w ręce raider usiłował wymknąć się dyskretnie. Mimo wysiłków nie zdołał uniknąć hrabiny de Lattre de Verneuil, seniorki śmietanki towarzyskiej Marrakeszu, która przyparła go do obrośniętej jaśminami rzymskiej prasy do oliwy, by pogratulować „uroczego przyjęcia. A przede wszystkim świadczącego o hojności pomysłu... pańskiej loterii na rzecz uchodźców politycznych”.

Clive słuchał uprzejmie. Co najmniej siedemdziesięcioletnia hrabina, mieszkanka pałacu z różowego marmuru w Medynie, posiadała najbogatszy w Marrakeszu karnet z adresami. Ona właśnie poleciła mu Jusufa. Clive poświęcił jej dobre pięć minut, nim ceremonialnie ucałował pomarszczoną dłoń, której każdy palec zdobiły kamienie i wszelka biżuteria o wartości przeszło miliona dolarów.

— Zechce pani wybaczyć...

— Ależ rozumiem, drogi przyjacielu, rozumiem. Obowiązki! — rzuciła hrabina i odeszła ku piekącym się baranim udzcom szeleszcząc purpurową dżelabą haftowaną złotem i srebrem. Powieki miała obrzmiałe po ostatnim liftingu.

Tym razem Clive pozostał w półmroku i wszedł do pałacowej biblioteki przez drewniane, nabijane metalami drzwi w kamiennej framudze.

Biblioteka była małą, sześciokątną izbą o sklepieniu w kształcie kopuły i ścianach zastawionych dziełami starymi (Płatona, Szekspira,

Homera) i nieco nowszymi (przede wszystkim Dostojewskiego i Tolstoja), zdradzającymi fascynację Clive'a rosyjską literaturą XIX wieku.

W ciągu dnia niewielki pokoik chroniły przed promieniami słońca dwa bardzo małe kwadratowe okienka, zamaskowane z zewnątrz gęstym listowiem o silnej woni. Wśród murów, zdobionych ośmioramiennymi inkrustowanymi masą perłową gwiazdami, unosił się zapach żywicy, skóry, starych kamieni i polityry.

Dobiegały tu przytłumione odgłosy zabawy. Clive miał ruszyć na wieżę po wąskich schodach, gdy usłyszał jęki w alkowie biblioteki.

Obejrzał się dyskretnie. Na haftowanych poduszkach pufa leżał Sam Goldstein. Długie, czarne loki poruszały się rytmicznie pomiędzy jego udami. Z płonącymi podnieceniem, wzniesionymi ku kopule alkowy oczyma, Sam miesił palcami ozdobione różami piersi partnerki na jedną noc.

Raider nie przerywał zabawy przyszlęmu współnikowi, lecz wszedł na wieżę dominującą nad domami Marrakeszu. Z góry popatrzył na tłum gości. Dalej, poza wysokimi murami otaczającymi pałacowy ogród, południowy wiatr poruszał zwartą, ciemną masą palmowych drzew.

Podziwiał widoki popijając wódkę. Po chwili na schodach rozległy się ciężkie, równe kroki.

— Pańscy przyjaciele wyglądają na szczęśliwych — powiedział zdyszany mężczyzna, stając na tarasie.

— Szczęście moich przyjaciół jest dla mnie najważniejsze! — odpowiedział Clive wznosząc kieliszek na cześć gościa.

Mężczyzna miał na sobie ciemny garnitur o klasycznym kroju i czarny krawat. Odetchnął głośno i podszedł do opartego o balustradę Clive'a.

— A więc, panie Lorenzo — powiedział gardłowym głosem. — Słyszałem, że atak na Steel Kronberg z Chicago sprawił panu sporo trudności...

Clive jednym haustem wychylił wódkę.

— To drobiazg — powiedział. — Grupa piratów giełdowych wykupiła dziesięć procent udziału w kapitałach Steel Kronberg. Liczą zapewne, że uda im się odprzedać mi udziały z poważnym zyskiem, kiedy do obalenia Steel Kronberg będzie mi trzeba już tylko ich części. — Zamilkł na chwilę i rzucił niedbale: — Przywykłem do tego rodzaju drobnych spekulantów. To zwykłe sępy.

Mężczyzna zaśmiał się drwiąco.

— Każdy z nas w czyichś oczach jest sępem, panie Lorenzo.

Clive nie odpowiedział. Mężczyzna ciągnął:

— A sprawa Impro Vaadenfabrik?
— Z tym nie ma najmniejszych problemów. Tego rodzaju sprawy przebiegają w tej chwili raczej dobrze. Skup wszystkich części powinien zakończyć się w przyszłym tygodniu. Tylko...

Clive zahałał się przez moment. Rozmówca podchwycił, nalegając:

— Tylko co?

— Drobiazg. Jeden z moich bankierów z Wright Holdings Management sądzi, że natrafił na coś na liście zamówień Impro.

— Hm!... — mruknął mężczyzna z zaskowaniem. — Wie pan, że Urząd nie dopuszcza żadnych poślizgów w tych sprawach. W niczym nie należy zdawać się na przypadek...

Przerwał mu ogłuszający hurgot helikoptera, który przelatywał właśnie ponad palmiarnią. Śmigła wiszącego nad parkiem helikoptera zdmuchiwały pochodnie, podrywały suknie i dżelaby gości.

— To Malcolm Dowell! — krzyknął Clive do mężczyzny.

Malcolm Dowell, jeden z dziesięciu najbogatszych ludzi świata, przybywał ze wzniesionego po rozpoczęciu arabskiej edycji „Dowell Magazine” pałacu w Tangerze. Siedział u sterów helikoptera. Obok niego, w fiołkoworóżowej sukni, jak legendarna barwa jej oczu, siedziała towarzysząca mu Liz Taylor — uśmiechnięta, zadowolona, pozdrawiająca pełnymi wdzięku gestami znajomych, których dostrzegła w tłumie gości.

— Muszę wyjść im na powitanie — powiedział Clive do stojącego obok mężczyzny.

Rozmówca zatrzymał go, chwytając silną dłonią za ramię.

— A co z Impro Vaadenfabrik, panie Lorenzo?

Clive uwolnił rękę i lodowatym głosem, stojąc na schodach wieży, rzucił:

— Nie ma powodów do niepokoju. Ten szantaż nie może iść daleko. To tylko błąd młodości.

Libia, uniwersytet w Benghazi

Był to drugi dzień ramadanu. Czy raczej — d o p i e r o drugi dzień ramadanu, a wszyscy muzułmanie dotkliwie odczuwali już jego rygory.

Od oficjalnego obwieszczenia postu przez kadiego z Wielkiego Meczetu w Trypolisie, od świtu aż po zachód słońca obowiązywał zakaz spożywania jakiegokolwiek substancji stałej czy płynnej, a nawet Palenia czy też oddawania się „zajęciom seksualnym”. Do kolejnego nowiu.

Dopuszczano jedynie dwa posiłki. Przed wschodem słońca i po zapadnięciu nocy. Głód powracał między dwunastą a drugą po południu. Ścisnął żołądki i przyprawiał o zawroty głowy. Do tego dołączało się jeszcze pragnienie, wzmagane przez ghibli — gorący wiatr z południa, który wysuszał wszystko na swej drodze. To ostre pragnienie powodowało, że gardła stawały się chropowate, a języki suche niczym otaczające uniwersytet wydmy.

O tej porze dnia upał robił się nieznośny i przerywano wszelkie zajęcia na uczelni. Małe grupki studentów, znękanych gorącem i postem, porozkładały się w cieniu eukaliptusów. Od czasu do czasu ciszę rozdzierał przejmujący krzyk krążącego po niebie myszołowa.

Golbudin zdawał się nieczuły na skwar. Siedział w skąpym cieniu mącznicy na płóciennym fotelu. Jego oczy zwrócone były na stojący na ziemi *go-ban*. Najwyższa koncentracja powodowała, że oddychał nieregularnie, głęboko wzdychając.

Mówił do siebie półgłosem. W plątaniu słów, które wyrzucały jego usta, dawały się rozpoznać terminy *go*. Taktyka, kombinacje, błędy, jakich nie wolno popełniać: *Oi-Otoshi* — gwałtowny odwrót; *Semeai* — walka na śmierć i życie; *Ko* — wieczność; *Shimari* — zamknięcie rogu.

Gorączkowo przesuwiał białe i czarne kamienie. Symulował etapy bezlitosnej walki z wymagowanym partnerem. Może był nim Mika S. Wasiljew?...

Długi cień człowieka o prostych ramionach padł na szachownicę. Afgańczyk spostrzegł go dopiero po chwili i podniósł głowę mrużąc oczy przed słońcem.

Stał nad nim „Lis”. Golbudin uśmiechnął się. Najm był jednym z jego najlepszych uczniów. „Lis” usiadł po turecku na wprost niego, tuż obok *go-banu*, i przyglądał mu się w milczeniu.

— Czego chcesz, Najmie?

Najm nie od razu odpowiedział. Jego szczupła, smągła dłoń bawiła się pionkami na *go-banie*.

— Wiesz, czego chcę — powiedział „Lis”, patrząc Golbudinowi prosto w oczy.

Afgańczyk zwrócił wzrok w inną stronę. Na jego twarzy zagościł wyraz bólu i cierpienia. Spuścił głowę. Najm kontynuował:

— Naucz mnie tworzyć nową broń... naucz mnie posługiwać się mikroorganizmami.

Golbudin lekko, niemal niedostrzegalnie pokręcił głową. „Lis” nalegał:

— Nie masz prawa zatrzymywać tej wiedzy dla siebie. To jedyna

szansa, by Armia Wyzwolenia dorównała wielkim potęgom. Jesteś to winien Libii, która cię przyjęła.

Golbudin bez słowa zebrał białe i czarne kamienie i wrzucił je do miseczki.

Szybki jak błyskawica Najm uchwycił jego rękę w powietrzu. Wpatrując się w oczy swego wykładowcy, powiedział:

— Popelniasz błąd, nie zgadzając się nam pomóc. Nasz kraj nie toleruje długo ludzi, którzy odmawiają współpracy...

Przez chwilę trwali w bezruchu. „Lis” ścisnął nadgarstek Golbudina. Rozdzielił ich dopiero przenikliwy dzwonek, oznajmiający początek popołudniowych zajęć. Najm powoli zwolnił uścisk. Z oczu Golbudina wyczytał głębokie przerażenie i bezgraniczne pragnienie śmierci. Groźby i próby nacisku nic tu nie mogły zdziałać.

Floryda, dwadzieścia kilometrów od Palm Beach, 28 maja 1992

Mały, położony w tropikalnej scenerii cmentarzyk był pusty o tej wczesnej porze. Tu właśnie, w cieniu palm, wśród pęków orchidei i róż, spoczywała setka wybrańców, sami multimiliarderzy, którzy na wieczność zasnęli w Panu.

Wszystkie groby wykonane były zgodnie z indywidualnymi życzeniami, przeważnie ekstrawaganckimi, drogich zmarłych. Nad jednym z nich, kryjącym doczesne szczątki pewnego wielbiciela Homera i antycznej literatury greckiej, wznosił się naturalnej wielkości posąg greckiego poety. Innemu, którego właściciel tęsknił za urokami Cesarstwa, nadano formę ustawionego na piedestale wielkiego łoża z baldachimem wykonanego z marmuru z Karray.

Był to cmentarz ostatnich kaprysów tych, którzy w swoim czasie posiadali pieniądze i wszelkie bogactwa świata.

Już od tygodnia Florydę nękał upał. Na małym cmentarzyku zamilkły nocne świerszcze, kryjąc się przed parnym, upalnym dniem. Białe, żwirowe alejki były jeszcze puste. Odwiedzający groby pojawiają się później, bliżej południa.

W jednej z alei przed świeżo wykopanym grobem zatrzymał się furgon z napisem „Celestis”. Obok zebrała się grupka milczących ludzi.

Zakład pogrzebowy „Celestis” uważany był za najlepszy spośród zajmujących się luksusowymi pochówkami. Reputacja specjalistycznego przedsiębiorstwa ustaliła się ostatecznie, gdy w 1980 zaproponowało ono wyekspediowanie prochów klientów na orbitę okołozemską,

3000 kilometrów od planety, za nieco więcej niż 4000 dolarów. Zgodnie z ofertą reklamową, szczątki miały być umieszczane w kapsułach wielkości tabletki aspiryny i oznaczane nazwiskiem zmarłego oraz jego wyznaniem. To ostatnie chyba po to, żeby Bóg mógł rozpoznać „swoich”.

Projekt „Celestis” przewidywał, iż w satelicie znajdzie się około dziesięciu tysięcy osób-kapsuł. Ich potomkowie mogliby przez teleskop śledzić nieustanny lot wokół planety przez co najmniej 63 miliony lat.

Czterej pracownicy tego zakładu pogrzebowego o nieokiełznanej fantazji wynieśli z furgonu hebanową trumnę z oszklonym wiekiem, wyściełaną fioletową satyną. Ciało zmarłego owinięte było czarnym prześcieradłem. Tę praktykę stosowano w przypadku zwłok w bardzo złym stanie, przeważnie w razie gwałtownych zgonów.

Czarnoskóry pastor z kościoła baptystów w Palm Beach, Jonathan Pils, poprosił zebranych, by zbliżyli się do otwartego grobu. Nikt w kondukcie nie był ubrany na czarno. Mężczyźni mieli na sobie jasne, lniane garnitury w stylu włoskim, kobiety prześcigały się barwnością i krojem kostiumów od Christiana Lacroix, Montany czy Gianniego Versace. Już od blisko dwóch lat w małym światku miliarderów uznano, iż ubieranie się na czarno na pogrzeby jest niedopuszczalnym wyrazem złego smaku.

Mimo to jeden z uczestników konduktu popełnił ów nietakt. Był to niski, gruby mężczyzna pocący się w czarnym garniturze. Krawat, również czarny, miał rozwiązany, a jego kark piekły ostre promienie słońca Florydy.

Trumna stuknęła głucho, dotykając dna grobu. Żałobnicy zasypali ją deszczem orchidei, które zasłoniły szybę. Niski, rudy mężczyzna nie rzucił kwiatów. Trzymał ręce w kieszeniach.

Jonathan Pils wyciągnął z ornatu białą koronkową chusteczkę i otarł czoło. Zapowiadał się upalny dzień.

Wzniósł dłonie w wibrujące od gorąca powietrze i poważnym, niskim głosem zaczął modły:

— Nasz Pan przyjmie dziś w swej bezgranicznej miłości naszego brata, Markusa Roneya. Módlmy się.

* * *

— Moje najszczęśliwsze kondolencje, kochana Ambre. Ta tragedia spadła tak nagle...

Młodzieniec, który żarliwie ścisnął dłonie Ambre, nazywał się Guido Segui. Był jednym z dziedziców największej włoskiej firmy chemicznej. Zalecał się do Ambre, nim poznała Markusa.

Spozza ciemnych okularów Ambre spoglądała pogardliwie na Guida Segui: na jego złoty, inkrustowany rubinami rollex, na garnitur z lnu i jedwabiu, wart co najmniej 5000 dolarów, na lśniące dzięki pracy dentysty zęby. „Jeszcze nie pochowano Markusa, a te rekiny już ruszyły!” — pomyślała z goryczą. Łagodnie oswobodziła ręce i powiedziała lodowatym głosem:

— Dziękuję, Guido. Wiesz, jaki to dla mnie cios. Markus i ja bardzo się kochaliśmy.

Guido Segui nie odpowiedział, podszedł do Clive'a, który stał dumnie wyprostowany nieco dalej, by ucisnąć mu dłoń. On i Ambre stanowili jedyną „rodzinę”

Składanie kondolencji dobiegło końca. Ambre otarła czoło małą chusteczką skropioną perfumami, skomponowanymi specjalnie dla niej w Grasse przez „nos” Givaudana w 1985 roku. W ich skład wchodził wyciąg z melisy i ziarna tonki*, olejek kanangowy, miód i olejki fiołkowe. Pozwoliło jej to nieco się odświeżyć po wyczerpującej uroczystości.

Zauważyła, że stojący w cieniu palmy niski, rudy mężczyzna w czarnym garniturze uparcie się jej przygląda. Zwróciła na niego uwagę już podczas ceremonii religijnej. Grubas wyraźnie czuł się nieswojo, co w połączeniu z ciemnym ubraniem zdradzało przynależność do innych kręgów społecznych niż otaczające Clive'a.

Mężczyzna zdobył się wreszcie, by do niej podejść.

— Ambre Lorenzo? — zapytał.

Skinęła głową.

— Słucham pana.

Wyciągnął z kieszeni marynarki pamiętą legitymację i pokazał ją Ambre.

— Mac Milian. Inspektor Orville Mac Milian z brygady kryminalnej policji nowojorskiej — powiedział, wsuwając w jej rękę swą wilgotną dłoń.

Ze smętną miną, która upodabniała go do starego spaniela, Mac Milian dorzucił:

— To straszne. Bardzo mi przykro... taki młody...

Ambre podziękowała mu. Gestem dał jej do zrozumienia, by poszła wraz z nim jedną z białych alejek.

— Pozwoli pani, że zadam kilka pytań?

Niemal wszyscy żałobnicy rozeszli się już. Clive rozmawiał w cieniu Palm z ojcem Guida Segui. Ambre i Mac Milian przez chwilę szli

* Wonne ziarno owocu drzewa południowoamerykańskiego (Gujana). (Przyp. tłum.)

w milczeniu. Nic wokół nie nasuwało myśli o śmierci. Groby wyglądały raczej jak radosne wytwory nieskrępowanej fantazji architektów, a ukryte wśród drzew gniazda pełne ptactwa tętniły życiem.

— To naprawdę miłe miejsce! — odezwał się Mac Milian wciągając pełną piersią przesycone zapachem tropikalnych kwiatów powietrze.

Potem, uświadamiając sobie, że popełnił nietakt, podjął:

— Hm! miłe... chciałem powiedzieć: spokojne... to jest...

— Proszę się nie wysilać, inspektorze — przerwała Ambre. — Rozumiem, co pan miał na myśli. O co chciał mnie pan zapytać?

— Tak... mam parę pytań. Czym tłumaczy pani samobójstwo Markusa Roneya? Czy między państwem wszystko układało się dobrze w sprawach... hm, uczuciowych?

— Tak — westchnęła. — To znaczy, układało się dobrze... myślę, że jak w większości związków.

— Rozumiem. I Markus Roney nie miał kłopotów finansowych... jak ci złoci młodzieńcy, którzy zabijali się po krachu giełdowym w 1987?

Ambre uśmiechnęła się smutno.

— Nie, było raczej odwrotnie. Markus zaczynał zarabiać duże pieniądze.

— W takim razie, nie rozumiem, co mogło go... — powiedział Mac Milian wyraźnie zawiedziony.

— Ja również nie rozumiem, inspektorze. Ostatnio rzadko bywaliśmy razem, ale kiedy go widziałam, wyglądał na zadowolonego, może nawet bardziej niż zwykle. Nigdy nie pomyślałabym, że parę dni potem rzuci się z okna mieszkania na czterdziestym piątym piętrze.

Mac Milian milczał. Spuścił głowę i czubkiem buta kreślił na żwirze figury geometryczne.

— Cóż, inspektorze — powiedziała podając mu rękę. — To wszystko, co wiem. Może mój ojciec będzie mógł udzielić panu dokładniejszych informacji o przyczynach samobójstwa Markusa...

Wydawał się nie dostrzegać jej wyciągniętej dłoni.

— Zaraz pójde porozmawiać z pani ojcem... Widzi pani, niepokoi mnie pewien szczegół tego samobójstwa. A problem polega na tym... — Mac Milian spojrzał na nią przebiegle. — Proszę posłuchać...

Zaczął chodzić przed Ambre wzdłuż i wszerz żwirowej alejki. Zakłopotana, obserwowała go przez chwilę, potem jednak niecierpliwie zerknęła na zegarek i

— Inspektorze, za trzy kwadranse odlatuje mój samolot do Nowego Jorku. Proszę się pospieszyć!

Mac Milian wzniosł palec wskazujący do nieba, jakby miał oznajmić straszliwą wiadomość.

— Ten zgrzyt pod podeszwami na tej alejce jest taki sam, jak zgrzyt moich butów obok jacuzzi w mieszkaniu Markusa Roneya. A wie pani, co wtedy trzeszczało?

— Czyżby żwir?

— Nie. Drobnutkie odłamki szkła.

Ambre nadal nie rozumiała, do czego zmierza.

— A wie pani — ciągnął — skąd pochodzą owe kawałki szkła?... To szkiełko zegarka, który miał na ręce, kiedy znaleziono go na chodniku.

— Może skacząc zaczepił o balustradę tarasu?

— Tak, myślałem o tym. Ale jak w takim razie wyjaśnić, że szkło leżało w głębi mieszkania, w pobliżu jacuzzi?

Ambre ponownie spojrzała na zegarek.

— Przykro mi, inspektorze, ale naprawdę muszę już iść.

— Rozumiem, rozumiem... obowiązki. Czy pozwoli pani jednak na przeprowadzenie dodatkowych analiz w mieszkaniu i na odzieży Markusa Roneya?

— Naturalnie, inspektorze.

Powiodł wzrokiem za oddalającą się alejką kobietą. Nie uszła nawet dziesięciu metrów, gdy zawróciła i stanęła przed nim.

— Inspektorze — powiedziała — uzmysłowiłam sobie właśnie, że Markus miał zwyczaj wypijać lampkę szampana, kiedy siedział w jacuzzi. Czy jest pan przekonany, że to nie szkło z kieliszka?

— Myślałem o tym — odpowiedział. — Laboratorium przeprowadza jeszcze analizy okruchów tego szkła. Może to być kieliszek. — Spuścił oczy i dodał szeptem: — Ale ja w to nie wierzę.

— Wie pan, inspektorze — podjęła Ambre. — Markus nie miał wrogów. I naprawdę nie wiem, kto mógłby chcieć jego śmierci...

Kiedy Mac Milian uniósł głowę, Ambre była już daleko, prawie w bramie cmentarza. Otarł kark i poszedł przesłuchać Clive'a.

Tbilisi, Gruzja, 29 maja 1992

Jednocześnie tuż obok Miki i Ludmiły rozległy się dziesiątki strzałów.

Przytuliła się do niego. Siedzieli na tylnym siedzeniu odkrytej limuzyny. Konie ochrony w gruzińskich strojach narodowych zachowały obojętność.

Pogładził jej włosy.

— Ależ, Ludmiło, to tylko wesele — powiedział łagodnie.

Ukryła twarz w kłapie jego marynarki, wdychając ciepłą, dającą poczucie bezpieczeństwa woń.

— Nie lubię wystrzałów.

Uśmiechnął się i przytulił ją mocniej.

Po krótkiej, dwugodzinnej podróży samolotem przybyli rano do Tbilisi, stolicy Gruzjińskiej Republiki Radzieckiej, by uczestniczyć w ślubie Iryni Hejkel, córki pierwszego sekretarza republikańskiego komitetu Partii.

Ze względu na pozycję ojca narzeczonej, Władimira Hejkela, całe miasto świętowało ten dzień. Grupa pierwszych sekretarzy, do której należał od dziesięciu lat, stanowiła w gruncie rzeczy odrębną klasę wśród członków Partii. To oni sprawowali

Pierwsza część uroczystości odbyła się w największej sali pałacu ślubów w Tbilisi. Aleksander Juków, deputowany do Rady Republiki, po podpisaniu przez małżonków nieodzownych dokumentów złożył życzenia. Kiedy formalnościom stało się zadość, wszyscy zgromadzili się wokół bogato zastawionego owocami, słodyczami i szampanem stołu. Podekscytowana uroczystościami i słońcem Ludmiła trzykrotnie sięgała po kieliszek, choć zwyczaj nakazywał, by przed libacją, która rozpoczynała się na dobre dopiero w sali bankietowej, wypić tylko symboliczną lampkę szampana. Mika przymknął oczy na to „wykroczenie” przeciwko tradycji. Sprawiała wrażenie tak szczęśliwej, wprost oszołomionej wystawnością wesela i urokiem słonecznego Tbilisi!

Po toaście nowożeńcy udali się pod Pomnik Ofiar Drugiej Wojny Światowej, by złożyć u jego stóp wieniec z mieczyków i róż. Podczas gdy nad niewielkim placem rozbrzmiewały dźwięki ody żałobnej Szostakowicza, rozległy się zarejestrowane na płycie długogrającej trzy wystrzały armatnie.

Potem przyszedł czas na zabawę.

Rozbrzmiały radosne okrzyki, pochód ruszył ulicami Tbilisi w stronę wznoszącej się nad miastem góry Mtaeminda, ludność obsypywała gości weselnych kwiatami, rozległy się wystrzały w powietrze, które tak mocno przeraziły Ludmiłę... Jedynym zgrzytem tego ranka były nacjonalistyczne slogany i obelgi wznoszone przez trzydziestoosobową grupkę manifestantów, szybko usuniętych przez konną eskortę.

Sznur białych limuzyn zatrzymał się przed kolejką linową, jeżdżącą na szczyt wzgórza, czterysta metrów wyżej.

Pierwsza wysiadła panna młoda. Ubrana była w suknię z krepdeszyny, przez której przezroczyste rękawy z tiulu widać było złoty odcień jej skóry. Jasne włosy zebrane miała w kok przetykany perłami i białymi kwiatami. Dołączyła do męża, stojącego już przed szpalerem kolegów z dzieciństwa trzymających wzniesione szable.

Zgodnie z tradycją państwo młodzi przebiegli pod szablami odcinek

dzielący ich od kolejki, by w ten sposób zapewnić sobie szczęśliwą przyszłość.

Goście weselni zajmowali już miejsca w wagonikach, skąd podziwiać mogli coraz wspanialszą panoramę Tbilisi, wznoszącego się nad burzliwymi wodami Kury. Prosto z kolejki korowód ruszył ku rozstawionym o pięćdziesiąt metrów od szczytu stołom weselnym.

Był wiosenny dzień, ciepły i przyjemny, przepojony zapachem kwitnących wiśni. Trzymając Mikę pod ramię Ludmiła szła w stronę stołów lekkim krokiem szczęśliwej osoby. Gdy za zakrętem dróżki ujrzała, jak przygotowano ucztę, oniemiała z wrażenia. Przed jej oczyma, na polance otoczonej drzewkami oliwnymi i dębami korkowymi, rozpościerał się bajeczny wprost widok.

Ogromne dębowe stoły, załane haftowanymi obrusami, ugiwały się pod górami jedzenia. Na wielkich srebrnych półmiskach piętrzyły się stosy blinów z czarnym i czerwonym kawiozem, porcje łososia i jesiotra z cytryną i w galarecie, kurczęta z rusztu w sosie czosnkowym i — jakże mogło być inaczej — zakąski, fantastyczne przystawki, do których zaliczano tu sałatki, ryby w galarecie i mizerie. W wazach z połączanego srebra podano na zimno barszcz, zupę szczawiową ze śmietaną i zupę mięsną.

Osobny stół zajmowały desery i wina. Były tam jagodzianki i bułeczki z malinami, placki z truskawkami i poziomkami oraz z dzikimi jagodami, słodki szampan rosę, białe gruzińskie wina — gurdzuani i czinandali, koniaki i schłodzone wódki, zaprawiane porzeczkami, skórką cytrynową i najrozmaitszymi ziołami.

Na zainstalowanej pośrodku polany estradzie orkiestra grała cicho narodo we pieśni. Rozbrzmiewały dźwięki panduri, lutni i czuniri.

Na estradę wszedł chudy, przygarbiony starzec i przez mikrofon poprosił o ciszę. Był to weselny tamada. Tytuł tamady miał charakter wyłącznie honorowy. Na ogół rolę tę pełnił najstarszy spośród zebranych. Do jego obowiązków należało dbanie o gości, podtrzymywanie dobrego nastroju i pilnowanie, by mieli pełne kieliszki. Jedyna uciążliwość funkcji polegała na tym, iż tamada nie mógł pozwolić sobie na nadużycie alkoholu, z przyczyn honorowych.

Na weselu Iryonii Hejkel rolę tamady pełnił Andrej Błasjew, przyjaciel ojca panny młodej z czasów dzieciństwa. Mika nie bez wzruszenia rozpoznał siwą czuprynę i wychudłą sylwetkę swego profesora balistyki z moskiewskiej Akademii Wojskowej. Nie widział go od dziesięciu lat.

Stary, kościsty tamada wykonał niezgrabnie dwa taneczne kroki, wywołując gromki śmiech gości. Starzec podszedł do mikrofonu i wesołym, lekko zachrypniętym głosem powiedział:

— Przyjaciele! Wnieśmy toast za małą Irynię, córkę towarzysza Hejkela!... Przedtem jednak coś wam wyjawię... prawdziwym wydarzeniem dnia jest dziś nie ślub Iryni, którą przed ledwie dziesięcioma laty huśtałem na kolanach. — Zawiesił na chwilę głos i przybrał konspiracyjną minę. — Tak, przyjaciele, nie ślub, ale wyczyn jej ojca, który zgodził się wsiąść do kolejki linowej... Przez czterdzieści lat nigdy nie widziałem, by to robił! Wypijmy za odwagę towarzysza Hejkela i za szczęście małżeńskie jego córki Iryni Hejkel i Antona Laskowa!

Młoda para całowała się wśród oklasków gości, a ojciec Iryni zanosił się gromkim śmiechem, od którego trzęsły się jego pełne, różowe policzki i tuste ciało. Zadowolony z siebie Andrej Błasjew zszedł z estrady, gorąco oklaskiwany.

Mika ujął Ludmiłę za rękę, by przedstawić ją staremu profesorowi, który padł mu w ramiona.

— Mika! Mój najgorszy uczeń! — Potem, uwalniając się, zerknął na Ludmiłę i mrugnawszy okiem, dorzucił: — Nie, proszę się uspokoić, zdarzali się gorsi od niego...

— Profesorze, przedstawiam panu Ludmiłę Czestekową, moskiewską aktorkę.

— Co za gust! Co za gust! — wykrzyknął Błasjew gorąco ściskając dłonie Ludmiły. — Ale... chodźcie oboje...

Ujął ich za ręce i poprowadził ku stojącej nie opodal grupce trzech osób.

— Przyjaciele — powiedział stary profesor. — Oto Mika Wasiljew i Ludmiła Czestekowa.

Dwaj mężczyźni i kobieta przerwali rozmowę i lekko wzniesli kieliszki.

— Miko, Ludmiło, przedstawiam wam generała armii Konszalewa... towarzysza Woronowa, kierującego ośrodkiem prób lotniczych w Baku, i — może się już znacie? — towarzyszkę Komińską z Moskwy.

Tania Komińską ubrana była w czerwony kostiumik, który przydawał jej blasku. Wyglądała niczym żywy pomnik kobiecej chwały. Zdając się nie dostrzegać Ludmiły objęła Mikę spojrzeniem czarnych oczu.

Orkiestra umilkła. Muzycy wymienili instrumenty ludowe na saksofon, perkusję, gitarę akustyczną i pianino. Nad polanką uniosły się nostalgiczne dźwięki *Moonlight Serenade* Glenna Millera.

Tania zwróciła się do Miki:

— Chętnie bym zatańczyła, towarzyszu Wasiljew. — Popatrzyła na Ludmiłę. — Czy pani pozwoli?

I nie czekając na odpowiedź pociągnęła Mikę na środek polany, ujmując jego prawą rękę.

— Oj! — zawołała robiąc dziecinną minkę na widok szramy na wewnętrznej stronie dłoni Miki. — Kto tak pana skaleczył?

— Nazbyt czuły miś.

— Miś! Jakie to pasjonujące! Uwielbiam historie o zwierzętach.

Przywarła do Miki. Odnosił wrażenie, że trzyma w ramionach wyperfumowaną lianę. Giętkie stawy Tani, a przede wszystkim wieloletnia nauka w tbiliskim ośrodku, dały jej kocią gibkość i magiczną zdolność ruchu. Raz po raz, niby to przypadkiem, jej brzuch muskał brzuch Miki. Mężczyzna czuł oszalamiający dotyk jej nieskrępowanych piersi, miękko kołyszących się pod zakiecikiem w powolnym rytmie muzyki i ocierających się o jego tors.

Po kilku minutach, podczas których znalazł się poza czasem i przestrzenią, muzyka umilkła. Tania odsunęła się od niego. Czuł się, jakby wynurzył się ze zmysłowej, kojącej kąpieli. Teraz znów słyszał gwar tłumu. Rozejrzył się za Ludmiłą. Tania trzymała go za rękę.

— Szuka pan czegoś? — zapytała naiwnie.

— Nie... tak... szukam mojej przyjaciółki.

— Odeszła?

— Tak sądzę.

Spuściła oczy.

— Bardzo mi przykro. Nie powinniśmy tańczyć.

Popatrzył na nią. Ujrzał cień rzęs na policzkach, ledwie zakryte piersi. Nagle ogarnęło go nieodparte pożądanie tego upajającego ciała.

— Nie, nie, proszę się nie martwić. Nie robimy nic złego.

Zaproponował jej następny taniec. Czuł, że nie potrafi już obejść się bez tej kobiety, której oddech, włosy, wypukłość brzucha wydawały się wprost stworzone dla niego.

Przywarli znów do siebie, gdy nagle czyjaś dłoń dotknęła ramienia Miki. Był to marszałek Achromiejew. Uśmiech nie zdołał ukryć szarości jego twarzy.

Przeprosił Tanię i dał Mice znak, by poszedł za nim. Zatrzymali się koło stołów. Marszałek sięgnął po kiszzonego ogórka i ugryzł go.

— Co się stało? — zapytał Mikę tytułem wstępu. — Idąc od kolejki natknąłem się na Ludmiłę. Nie wyglądała najlepiej...

— To nic. Po prostu... drobna niedyspozycja — powiedział Mika, unikając świdrujących oczu marszałka.

Achromiejew zanurzył ogórek w naczyniu z grubą solą i jadł go powoli, zapatrzony przed siebie.

— Mamy problem z eksperymentem B 01 — powiedział w końcu. Mika zadrżał. Modlił się w duchu, by nie nastąpiło najgorsze.

— Pogoda? — zapytał z zapartym tchem.

Marszałek Achromiejew ze smutkiem skinął głową. Pierwszy wiceminister obrony Związku Sowieckiego przeobraził się na jego oczach w zmęczonego starca.

— Tak, Miko. Zdarzyło się najgorsze. Wiatr zmienił tej nocy kierunek i przed godziną przeniósł obłok nad miasteczko.

— Czy są?...

Marszałek potwierdził ruchem głowy i dodał:

— Jewgienij ocenia liczbę zmarłych na czterdzieści osób. Przed trzema godzinami Skoblewski, adiutant Jewgienija, rozpoczął realizację planu ewakuacji. To zatrzymało mnie w Moskwie.

Rzucił Mice pełne popłochu spojrzenie. Niepowodzenie eksperymentu oznaczało dla niego odsunięcie od władzy. Mika nalał sobie szklankę wódki.

— Moim zdaniem należy zachować sprawę w absolutnej tajemnicy — powiedział, wychyliwszy wódkę do dna. — Ani towarzysz Gorbaczow, ani prasa nie mogą uzyskać informacji o katastrofie, bo wtedy przybrałaby ona wymiar Czarnobyła i pociągnęła za sobą ujawnienie tajemnicy dotyczącej broni strategicznej, a także bunt w Uzbekistanie. Krótko mówiąc, prawdziwą tragedię. Dlatego musimy robić dobrą minę do złej gry...

Achromiejew nie wierzył własnym uszom.

— A amerykańskie satelity... — wybełkotał, zbity z tropu. — Jeżeli Amerykanie dowiedzą się o doświadczeniu, na pewno to rozgłoszą. A wtedy koniec rządów towarzysza Gorbaczowa, któremu kraj przypisze ten pomysł. O panu nawet nie mówię...

Mika nie chciał poddać się losowi.

— Istnieje pewna możliwość zmylenia Amerykanów — powiedział do marszałka, który zamarł z zębami wbitymi w ogórek. — Tak, to dla nas ostatnia deska ratunku... nadać ewakuacji Podorska pozory manewrów wojskowych.

4.

„Peste, fame, bello”

Dżuma (peste) to najpoważniejsza z chorób. (...) Nazywa się tę nową epidemię Czarną Dżumą, bo to ulubiony kolor śmierci, która pustoszy

F. Dostaing, *Choroby, które odmieniły świat*

Nowy Jork, 2 czerwca 1992

Jeff Turner zaczerwienił się, słysząc w słuchawce głos Ambre.

— Ambre! Gdzie się podziewasz?

— Od tygodnia jestem w Nowym Jorku.

— Wiesz, że mógłbym wyrzucić cię z gazety za niedopełnienie obowiązków słu...
słu...

— ...służbowych, wiem. Proszę pana o odrobinę zaufania, Jeff. Potrzeba mi jeszcze trochę czasu. Muszę zrozumieć pewne rzeczy.

— Czy te, jak to nazwałaś, „rzeczy” mają związek z Transvią?

— Widzę, że jest pan na bieżąco... Mel panu powiedział?

— A ktoś by inny? Dziennik telewizyjny?

Ambre wzruszyła ramionami i przez moment miała ochotę skwitować jego humory rzuceniem słuchawki.

— Niech pan posłucha, Jeff — powiedziała, wyprowadzona z równowagi. — Chętnie poświęcę pięć minut, żeby wyjaśnić panu przebieg poszukiwań. Ale pod jednym warunkiem!

— Że się pan uspokoi i wysłucha mnie!

Przez długą chwilę panowała cisza przerywana głębokimi westchnieniami Jeffa.

— Dobrze, staruszko, możesz zaczynać — powiedział wreszcie jednym tchem. Jego głos brzmiał spokojnie. — Nie, przedtem odpowiedz na moje pytanie... Co robisz w Nowym Jorku, skoro Transvia mieści się w Utica?

— Przyjechałam, żeby to zrozumieć.

— Co zrozumieć? — Znów zaczynał się denerwować. — Ambre, jeżeli dalej będziesz bawić się w sekrety, zde... zde...

— Proszę się uspokoić, Jeff. Już wyjaśniam. Przede wszystkim, udało mi się ustalić, jakiego rodzaju działalność prowadzi Transvia. Oficjalnie jest to biologiczny instytut badawczy. Poprzez Freedom of Information Act zdołałam dotrzeć do dokumentów Departamentu Obrony. W ten sposób natrafiłam na raport, bardzo zresztą lapidarny, zatytułowany *Operacja T.*, który przewiduje przyznanie Fundacji Transvia środków budżetowych. Następnie dokładniej przyjrzałam się finansom Transvii i okazało się, że 98 procent, czyli właściwie całość budżetu, pochodzi z subwencji Ministerstwa

Jeff zareagował dopiero po chwili, gwizdząc przeciągle. Brzmiało to trochę jak syk starej opony, z której uchodzi powietrze.

— Fiuu! A kto cię naprowadził na ten trop?

— Zbyt drogi komputer i tysiąc zagubionych kurcząt.

— Co?

— Za długo by tłumaczyć.

Usłyszała pomruk.

— No, skoro nie chcesz mi nic wyjaśnić...

— Chciałam poinformować pana o Transvii. Od dwóch dni tkwię w New York Public Library, na rogu Piątej Avenue i 42 Ulicy. Udało mi się wyjaśnić strukturę prawną Transvii. To bardzo sprytne. — Przekartkowała notatnik, który trzymała w ręku.

— O, jest... filar budowli stanowi Fundacja, instytucja użyteczności publicznej, nie nastawiona na zysk. Obok tej jednostki badawczej istnieje struktura komercyjna o nazwie Diagnostics Transvia, która specjalizuje się w testach i produkcji szczepionek. Nadąża pan?

— Dobrze... i tu sprawa zaczyna się komplikować. Diagnostic Transvia ma pierwszeństwo zakupów od Fundacji, co w praktyce równa się prawu wyłączności wynalazków i opracowań z dziedziny biotechnologii, które Diagnostic Transvia obowiązana jest przystosować do potrzeb przemysłu farmaceutycznego i rolnospoż— Wszystko to wydaje mi się zupełnie logiczne.

— Bo nie powiedziałam panu jeszcze, że w ciągu dziesięciu lat swego istnienia Diagnostic Transvia nie sprzedała ani jednego produktu...

Jeff milczał. Wyobrażała go sobie rozpartego w starym fotelu, z okularami w ręce, pałającymi uszami i rozpalonymi do białości szarymi komórkami.

— W porządku — powiedziała Ambre. — Dam panu czas do

zastanowienia nad sprawą Transvii. Tymczasem wróć do swych ulubionych studiów.

— Poczekaj, starszko... — Jeff zamilkł na chwilę, po czym podjął: — Zostaw ten problem Ministerstwu Obrony. To za gruba sprawa dla ciebie... dla nas.

— Może dla pana, ale nie dla mnie. Nie zostawię tego, aż zrozumiem.

— Aż zrozumiesz? Psiakrew! Zrozumiesz, jak już będziesz miała na karku agentów FBI!

— Chcę się tylko dowiedzieć, co takiego widzi Departament Obrony w instytucie badań biologicznych, aby zapewniać mu pełny budżet.

— Ale...

Ambre rozłączyła się, nie słuchając dalej. Wyszła z kabiny na pierwszym piętrze biblioteki i skierowała się ku regałom nauk przyrodniczych.

O tak wczesnej porze — dochodziła dziesiąta — czytelnicy byli nieliczni, a biblioteka bardziej niż kiedykolwiek sprawiała wrażenie świątyni Wiedzy, spokojnej i obojętnej na odgłosy kipiącego życia miasta. Za szeregiem półek natrafiła na młodszego bibliotekarza, któremu pokrótce wyjaśniła, czego szuka.

— Hm, chyba wiem, czego pani trzeba — powiedział po chwili koszmarnie przyszczaty młodzieniec. — Czegoś raczej ogólnego...

Zapisał sygnaturę na kawałku kartki i podał ją Ambre.

— Proszę. Radzę wziąć 534-BT Bra.

Ambre z łatwością odnalazła książkę. Właśnie po nią sięgała, gdy powstrzymał ją czyjś głos:

— Radzę zwrócić się raczej wprost do autora tej pozycji. Stoi przed panią.

Zaskoczona Ambre cofnęła rękę i odwróciła się. Mężczyzna przyglądał się jej spoza wypukłych okularów z odcieniem niemal chłopięcej drwiny w oczach. Jasne włosy zaczesane miał do tyłu. Na twarzy widniały dzioby — pozostałość po młodzieńczej odrze.

Ambre wzruszyła ramionami i wzięła książkę, której autor, niejaki Stan Bradley, nadał tytuł *Świat wspaniałych*, czyniąc ironiczną aluzję do futurystycznych powieści Aldousa Huxleya.

— Widzi pani, miałem rację. Ta książka jest moja. Stan Bradley to ja — podjął nieznajomy.

— Nie zna pan lepszych metod podrywania dziewczyn? — mruknęła Ambre odwracając się do niego plecami.

— Ależ, zapewniam panią...

Słowa te zabrzmiały tak szczerze, że Ambre uwierzyła mu wbrew sobie. Otworzyła książkę na stronie poświęconej biografii autora.

— Dobrze, założmy, że jest pan Stanem Bradleyem. Ile pan ma lat?

— Oficjalnie, czterdzieści. Między nami mówiąc, to wiek dojrzałości i doświadczenia... idealny wiek dla mężczyzny.

— Kim pan jest z zawodu?

— Mikrobiologiem, wykładowcą na Uniwersytecie Johna Hopkinsa w Baltimore.

— I...

— I co?

— To jeszcze nie wszystko — powiedziała Ambre wiodąc palcem po tekście na okładce.

— Ach! To nie wszystko... więc: Mister Universum od 1980?

Ambre pokręciła głową. Udał, że gryzie paznokcie.

— Ojoj! — stuknął się w czoło. — Już wiem! „Kieruje Komisją Wirusologii przy Komitecie do Spraw Etyki Badań Genetycznych”!

— Dobrze... A pańskie wcześniejsze publikacje?

— Dwie rozprawy: *Nośniki neurowirulencji wirusa i Wpływ nośników zakodowanych w zespole genów chromosomowych komórki na siłę patogenną wirusa.*

— Brawo! — uśmiechnęła się zamykając książkę i dorzuciła przed odejściem: — Faktycznie jest pan Stanem Bradleyem. Do widzenia.

Ruszył za nią alejką między bibliotecznymi półkami.

— Ale... — powiedział na głos.

— Ciii! — syknęła kładąc palec na ustach.

Zaczął szeptać idąc obok niej:

— Proszę chwilę zaczekać. Wie pani o mnie wszystko. Czy teraz ja mogę zadać parę pytań?

— Ma pan prawo do jednego, to wszystko.

— Co pani robi w południe?

— Będę czytać dzieło sławnego uczonego, którego podstawowym zajęciem jest podrywanie w bibliotekach. To doktor Bradley, Stan Bradley, może pan słyszał?

— A gdyby ów doktor opowiedział pani swą książkę przy porcji wyśmienitego spaghetti? Ten facet zna wspaniałą włoską restaurację przy 40 Ulicy.

Ambre uśmiechnęła się. Zatrzymała się i powiedziała do Stana:

— Zgoda, ale pod pewnym warunkiem...

— Jakim?

Postukała palcem w okładkę książki.

— Będziemy mówili w y ł ą c z n i e o biologii. Zgoda?

— Zgoda.

Little Italy, trzy kwadranse później

Kelner podał Ambre spaghetti carbonara, a Stanowi pizzę margheritę bez anchois. Siedzieli przy stoliku w małej włoskiej restauracyjce, w której Stan był częstym gościem. Znajdowała się ona w Little Italy — w sercu włoskiej dzielnicy Nowego Jorku, nie opodal Czternastej Avenue.

W „Mammie”, jak w każdej typowo włoskiej restauracji, klientów obsługiwali kelnerzy o wypomadowanych włosach, ubrani w białe marynarki wytarte na rękawach i kołnierzach. Na stołach stały nastrojowe lampy zrobione z butelek chianti, a wewnątrz wypełniały dźwięki mandoliny, płynące bez chwili przerwy ze starego gramofonu.

Stan przytrzymał kelnera za rękaw.

— *E una bottiglia di chianti, per favore!*

— Najwyraźniej posiadał pan wszelkie talenty! — zauważyła ironicznie Ambre. — Znany biolog po mistrzowsku posługujący się językami całego świata...

— To nie wszystko — dwuznacznie mrugnął okiem. — Nie widziała pani jeszcze mojej kolekcji motyli!

Ambre nie zdołała powstrzymać się od śmiechu. Zadowolony z siebie, Stan zdjął okulary, by przetrzeć je kraciastym obrusem, i powiedział:

— A więc? Co porabia tak piękna dziewczyna w zaskakującym i surowym świecie biologii?

Ambre wyciągnęła z torebki magnetofon i położyła go pomiędzy nimi na stole.

— Pozwoli pan?

Stan skinął głową.

— Otóż... Jestem dziennikarką i natrafiłam na ślad powiązań między firmą prowadzącą badania mikrobiologiczne i farmaceutyczne a Departamentem Obrony. Czy wiadomo panu coś o tym?

Stan założył okulary i spojrzał na nią z zainteresowaniem.

— Dziwne, że stawia mi pani takie pytanie. Gazety z rzadka mówią o tym poważnym problemie... Wie pani, żołnierze, czy ci, którzy prowadzą wojny, zawsze dążyli do niebezpiecznego zbliżenia z ową straszliwą bronią, jaką stać się mogą mikroby i wirusy.

— Co ma pan na myśli, mówiąc o „niebezpiecznych zbliżeniach”?

Stan wyjaśnił jej, że od zarania dziejów ludzkości człowieka nęciło użycie mikrobów jako broni. Nęciło, a jednocześnie wzbudzało odrazę, ponieważ broń tę uważano zawsze za broń Apokalipsy i terroru. W przeciwieństwie do uznawanych za bardziej humanitarne — ognia i miecza.

— Zresztą — kontynuował Stan — w historii wojen znaleźć można liczne przykłady dowodzące autentycznej fascynacji człowieka tą bronią. Jeden z najstarszych sięga XIV wieku, a dokładniej roku 1347, kiedy to *Morbus inguinaria*...

— Mor co? — przerwała Ambre.

Uśmiechnął się.

— *Morbus inguinaria* jest jedną z nazw, jakimi określa się zarazek dżumy. A więc w 1347 Dżanibeg, chan mongolski, oblega faktorię genueńską w Kaffie, na Krymie, na wybrzeżu Morza Czarnego. Oblężenie trwa od ponad miesiąca, gdy dżuma poczyna dziesiątkować szeregi Tatarów w jego armii. Decyduje więc przerwać oblężenie. W desperackim geście zemsty postanawia zostawić Genueńczykom zatruty upominek, by, cytując: „fetorem wyniszczyć chrześcijan”. Każe wystrzelić z katapulty zwłoki zmarłych na dżumę Tatarów, aby przetrząść je za mury obronne.

— Domyślam się, że Genueńczycy musieli czym prędzej opuścić miasto...

— Tak. Najbogatsi kupcy z Kaffy uciekli rozpinając pełne żagle, zamierzając powrócić do rodzinnej Genui. Było jednak za późno. Dżuma wsiadła na statki wraz z nimi... A była to najgroźniejsza z jej odmian — odmiana płucna. Zaraza roznosi się już nie za pośrednictwem pcheł czy szcurków, ale poprzez kontakt z chorym. Jedno kichnięcie, jedno słowo wystarczy, by przenieść śmiertelne zarazki, które zabijają w dwa, trzy dni. Niektórzy uważali tę okrutną plagę za oznakę powrotu ciemnych sił zła. Zrodziło się przekonanie, że ci spośród pasażerów statku, których wiara była najsłabsza, konali, w środku nocy, zatruci krwią diabła. Konali w Godzinę Diabła...

— Jak zakończyła się podróż Genueńczyków?

— Źle... dla nich i dla całej Europy. Dwanaście statków genueńskich, które prznosiły na pokładach straszliwą chorobę, oddalano z kolejnych portów, do jakich zawijały podczas wędrówki. Wkrótce pozostała na nich już tylko garstka chorych, skazanych na śmierć ludzi. W ten właśnie sposób kilka okrętów widm rozniosło zarazę po całej Europie. Sławetna Czarna Śmierć pochłonęła w XV wieku dwadzieścia pięć milionów ofiar. Ta liczba wielokrotnie przewyższa liczbę ofiar bomb jądrowych w Hiroszynie i Nagasaki!

Ambre zamyśliła się przez moment nad wizją pustoszonej przez zarazę Europy, a potem powiedziała:

— Wracając do oblegających Kaffę Tatarów Dżanibega, uważam, że takie wojenne użycie dżumy to głupota, bo jeżeli obaj przeciwnicy nękani są tą samą chorobą, nie ma zwycięzcy.

Stan zabrał się do pizzy, jeszcze trochę za gorącej. Mimo że łykał właśnie parzące mu usta ciasto, usiłował odpowiedzieć na sugestię Ambre. Przełknął pizzę i ciągnął:

— Proszę się nie niepokoić. Postęp w nauce spowodował, iż broń ta staje się coraz bardziej nęcająca dla napastnika, a to dzięki Pasteurowi i udoskonaleniu szczepień. Ten fantastyczny wynalazek pozwala chronić siebie, zarażając wroga...

Przerwało mu pojawienie się kelnera z butelką chianti.

— *Grazie mille!* — powiedział, mrugnawszy porozumiewawczo do Ambre. — Na czym to stanąłem?

— Na użyciu broni biologicznej po wynalezieniu szczepień.

— Ach tak... Inny przykład, świeższej daty, ale potworny i odrażający, ujawnia korzyści płynące z połączenia tej broni z fantastycznym wynalazkiem szczepień. W XVIII wieku głównodowodzący sił brytyjskich w Ameryce, lord Jeffrey Amherst, postanawia zniszczyć zbuntowane plemiona Indian. W tym celu nakazuje zarazić ospą pozbawione naturalnej odporności na tę chorobę plemiona...

— Ospą? A jak nią zarażać?

— Niestety, jest to bardzo proste. Ten człowiek wziął ze szpitala dla chorych na ospę chustkę do nosa i dwa koce, które dał wodzowi plemienia. Spowodowało to straszliwą epidemię, prawdziwą hekatombę wśród Indian, którzy nie mają immunologicznej odporności na ten wirus. Od tej pory Indianie przestali stawiać opór...

Stan nalał sobie chianti. Zaproponował wino również Ambre.

— Nie, dziękuję — powiedziała, zakrywając dłonią szklankę. — Czy ma pan przykłady współczesnych wojen, podczas których posługiwano się ową szczególną bronią? Stan dopił wino i otarł usta, nim udzielił jej odpowiedzi.

— Niestety, tak. Na przykład w 1952 Armia Stanów Zjednoczonych posłużyła się w Korei zarażonymi dżumą larwami much. A w Japonii, w 1966, w czasie wojny wietnamskiej, pewien instytut badawczy pracujący dla wydziału wojny bakteriologicznej zainstalował się na Jinoshimie i na Okinawie. Jego zadaniem było rozrzucić zarazki w Wietnamie Południowym.

— Ale wszystkie te sprawy są dość odległe. Jak to się dzieje, że

dziś nie mówi się o broni biologicznej? Pamiętam poruszenie, jakie spowodowało użycie broni chemicznej podczas wojny iracko-irańskiej. Sprawa fabryki broni chemicznej w Rabta, w Libii, także wywołała dużo szumu. Przypominam sobie, że w grudniu 1987 odbyła się w Paryżu konferencja poświęcona broni chemicznej... Ale o posługiwaniu się mikroorganizmami, o broni biologicznej, nie wspomina się ani słowem.

Stan spoważniał.

— W tym właśnie tkwi problem. Bo przecież o wiele większe jest zagrożenie bronią biologiczną. Geniusz genetyki dał uczonym od początku lat osiemdziesiątych fantastyczną moc. Weźmy na przykład zmiany struktury wirusa...

— To znaczy?

— Wie pani, że wirus składa się z części infekującej, wewnętrznej, i z zewnętrznej otoczki, rodzaju płaszczka białkowego, który jest rozpoznawany przez obronny układ organizmu i który decyduje o wyborze przeciwciał skierowanych do walki z intruzem.

Ambre próbowała przypomnieć sobie rzeźbę, która stała na środku chaty Mela Turnera.

— Ten białkowy płaszcz — ciągnął Stan — to w pewnym sensie dowód osobisty wirusa...

Ambre przerwała mu, by przełożyć kasetę w kieszonkowym magnetofonie, a po chwili skinęła dłonią, by kontynuował.

— ...dowód osobisty wirusa. Załóżmy, że nasi biologowie potrafią rozebrać groźny dla człowieka wirus z białkowego kapsydu i ubrać go w inny... czyli dać mu inny dowód osobisty. Czy wie pani, czym to grozi?

— A więc, klasyczne szczepienia straciłyby skuteczność. Ospa, różyczka, grypa, zapalenie wątroby, opryszczka stałyby się ponownie chorobami śmiertelnymi i nieuleczalnymi... aż do wynalezienia nowych szczepionek, odpowiadających nowej postaci wirusa. A to może pochłonąć od trzech do dziesięciu lat. Niech pani pomyśli o pracach nad szczepionką przeciwko AIDS...

Ambre zastanawiała się. Końcem widelca grzebała w talerzu spaghetti.

— Jest coś, co mi nie pasuje w pańskiej opowieści — powiedziała. — Czemu tej broni, którą uważa pan za najbardziej skuteczną, nie stosują militarne potęgi?

— Jest po temu wiele powodów. Pierwszy podałem pani przed chwilą. Potęgi militarne boją się przyznać do prowadzenia badań nad

bronią biologiczną, ponieważ opinia publiczna widzi w niej groźbę powszechnej zagłady, końca świata.

— Całkowicie zgadzam się z taką opinią...

— Ja również, ale są i inne względy... Jedną z nich jest fakt, że nie zaistniała konieczność użycia tej broni. Być może rozbrojenie nuklearne i program wojen gwiazdnych doprowadzą do niwelacji zagrożenia jądrowego i wówczas zrodzi się potrzeba znalezienia nowej innej broni... Inne wytłumaczenie: przechowywanie tej biologicznej bomby oraz system obrony kraju nie zostały jeszcze wystarczająco udoskonalone... Wreszcie ostatni powód. Na razie wielkie potęgi wykazują mniejsze zainteresowanie tą bronią aniżeli małe państewka nie posiadające bomby atomowej.

Stan podjął po chwili ciszy:

— Owe kraje trzeciego świata mogłyby w ten sposób sprawić sobie tanią, a groźną broń, chroniąc jednocześnie własne terytorium. Wymarzone narzędzie walki! Żadnych strat materialnych na obszarze wroga, nietknięte budowle i obiekty wojskowe, osłabiona, zdziesiątkowana, chora populacja... nie mówiąc już o kontrataku wobec nieistnienia otwartego wroga. Broń ta jest zbyt podstępna. W tym właśnie tkwi prawdziwe niebezpieczeństwo.

— Groźba nierozpoznania napastnika...

— Właśnie. Ta broń wiedzie wprost do bezlitosnej walki, do walki bezsensownej. Starożytni mawiali: *Peste,fame, bello* — „dżuma, głód, wojna”. Epidemiczna, nie poddająca się kontroli choroba nieodmiennie pociąga za sobą głód i wojnę. Klęska zmienia mentalność, burzy porządek społeczny, ponieważ za wszelką cenę trzeba wskazać odpowiedzialnego za zarazę, która uderza ślepo i gwałtownie. Mogą to być choćby Żydzi, których torturowano i palono podczas epidemii Czarnej Śmierci... Epidemia wiedzie wprost do chaosu i anarchii, czyli do wojny... Wojny wewnętrznej lub przeciwko obcym, podejrzanym o sprowadzenie nieszczęścia. Nie ma lepszej metody wywołania destabilizacji kraju...

— Czy nie sądzi pan, że ten obraz jest nieco zaciemniony?

— Myli się pani. W kilku wojskowych laboratoriach na świecie przechowywana jest potworna, ogromnie niebezpieczna broń biologiczna, na przykład jad kielbasiany...

— Jad kielbasiany?

— Tak. Jest to toksyna wytwarzana przez anaerobiotyczną bakterię, *Clostridium botulinum*. — Uśmiechnął się, widząc zmarszczone brwi Ambre. — Już wyjaśniam: anaerobioza oznacza życie bez tlenu.

— A więc? W czym ta bogulina...

— Botulina — poprawił Stan. — To potworna, bardzo silna trucizna. Zna pani jej najsłabszą postać, botulinę E, która występuje w „spuchniętych” puszkach konserw. Najsilniejszy z jądów to botulina A. Jeden gram toksyny typu A wystarczy, by zabić setki milionów ludzi... Proszę tylko pomyśleć, że 500 gramów wystarczyłoby do wyniszczenia życia na Ziemi! Jad kielbasiany zabija wśród straszliwych cierpień. Wywołuje ogólne porażenie mięśni gładkich i poprzecznie prążkowanych, krwotoki wewnętrzne, wymioty i ostrą biegunkę. Śmierć następuje po trzech godzinach...

Milczała. Magnetofon wyłączył się. Kasetę się skończyła.

— Nie je pani spaghetti? — zapytał Stan.

Krzywiąc się z niesmakiem odepchnęła talerz.

— Odebrał mi pan apetyt.

— Pozwoli pani? — powiedział, biorąc się za jej porcję.

Przyglądała się z uśmiechem, jak pożera spaghetti. Nalała sobie chianti i piła w milczeniu.

— A właściwie — powiedział z pełnymi ustami — czemu interesuje się pani tym wszystkim?

Opowiedziała mu pokrótce swoje odkrycia w sprawie pośredniego i oficjalnego finansowania laboratorium Transvia przez Departament Obrony. Stan, który słuchał jedząc w milczeniu, zamarł z widelcem w powietrzu.

— Transvia? No proszę! Znam ze słyszenia to laboratorium. Ale nie przyszło mi nigdy do głowy, że może to być tajne laboratorium wojskowe. Czy była tam pani?

— Tak... o ile można to tak nazwać. Laboratorium jest tak pilnie strzeżone, że dla kamuflażu ulokowano je w starym tartaku. W każdym razie ich pracownik nie dopuścił, bym cokolwiek zobaczyła...

Stan wrócił do jedzenia.

— Wie pani — powiedział walcząc widelcem z kawałkiem żółtego sera, który przyłgnął do talerza. — Może mógłbym pani pomóc... znam kogoś, kto zatrudnił się w Transvii. To mój poprzednik na Uniwersytecie Hopkinsa w Baltimore, profesor Collins. Sympatyczny gość... Wiem, że poszedł do Transvii dla tego... — poruszył palcami, jakby licząc pieniądze. — Nie widziałem się z nim od tamtej pory.

Ambre siedziała zamyślona. Wyjęła z torebki notes i zapisała nazwisko podane przez Stana.

— Mówi pan, profesor Collins?

— Tak. Niech się pani powoła na mnie. Być może będzie mógł powiedzieć pani coś więcej o Transvii. Jedna rada — proszę iść raczej

do niego do domu... Nie wygląda na to, by personel Transvii panią lubił. — Stan przywołał kelnera, który pojawił się w drzwiach.

— *Per favore, ancora dei spaghetti ma alla bolognese questa volta!* — Zwrócił się do Ambre. — Przekąsiłbym coś jeszcze. A pani?

Prawy brzeg Potomacu, na wprost Washington D.C., 3 czerwca 1992

Pentagon, jak wskazuje sama nazwa, jest pięciokątnym budynkiem. Mieści się w nim większa część potężnych wydziałów Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych, którego poszczególne cechy zasługują na odnotowanie w Księdze Guinnessa: największy posiadacz ziemski, największa sieć radiowo-telewizyjna, najpotężniejszy wydawca na świecie i największa moc uderzeniowa — ekwiwalent pięciu milionów Hirc Zegar wskazywał siódmą trzydzieści rano.

Choć światło w sali było przytłumione, Robert Henberger, sekretarz Ministerstwa Obrony, nie zdjął ciemnych okularów. Thomas Coldspring i Stanley Gates, jego zastępcy odpowiedzialni jeden za armię lądową, drugi za powietrzną, przypisali to napadowi złego humoru — szef nie należał do rannych ptaszków.

W rzeczywistości pięćdziesięciodziewięcioletni eksdyrektor generalny IBM, którego twarz przez cały rok wyglądała na opaloną, a podbródek znamionował silną wolę, dostał po prostu oftalmii, czyli zapalenia oka, podczas gdy oddawał się ulubionemu zajęciu: łowieniu dużych ryb wzdłuż wybrzeży Wyspy Elżbiety na Bahamach.

Henberger nie usiadł przy stole konferencyjnym. Stał wsparłszy ręce na biodrach i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ekran kinowy. Widoczna była na nim brunatna pustynna równina, pośrodku której znajdowało się prawdopodobnie miasteczko. Wokół domów można było dostrzec liczne namioty, dwadzieścia helikopterów i setkę czółgów.

— Co to za historia? — odezwał się wreszcie Henberger.

Zwracał się do Aleksandra Mosesa, szefa Agencji Bezpieczeństwa Narodowego — National Security Agency — tajnej jednostki obciążonej obowiązkiem gromadzenia danych przy użyciu satelitów oraz wszelkich dostępnych środków lotniczych.

Moses zawiadywał poniekąd siecią satelitów Key-Hole (KH 11 i KH 12), które umożliwiały prezydentowi oglądanie interesujących go wydarzeń w dowolnym punkcie globu ziemskiego. Z orbity stacjonar-

nej, na wysokości 400 kilometrów, te osiemnastotonowe satelity o wartości 300 milionów dolarów każdy, szpiegowali na zlecenie.

Dzięki najnowszym osiągnięciom w dziedzinie optyki i elektroniki miały rozdzielczość umożliwiającą odczytanie tytułu gazety leżącej na placu Czerwonym czy nawet wypatrzenie palonego w oknie Kremla papierosa... Dlatego zresztą Moses nie odlewał się nigdy na dworze. Świadomość istnienia satelitów doprowadziła go do „szpiegofobii”. Wydawało mu się, że radzieckie satelity śledzą każdy jego krok.

Henberger nie lubił Moseśa

Obaj byli jednak z wykształcenia informatykami. A Moses w dodatku posiadał dyplom MIT — Massachusetts Institut of Technology, jednej z najwyżej cenionych uczelni świata. To zaś powinno w sposób oczywisty wzbudzać respekt Henbergera.

Nie. Niechęć Henbergera do Moseśa brała się w istocie z faktu, że działalność NSA koordynował dyrektor CIA, Zbigniew Łaski. A świadomość, że CIA ma wpływ w JEGO ministerstwie wyprowadzała Henbergera z równowagi.

Zachrypniętym od klimatyzacji głosem Moses objaśnił mu widoczny na ekranie obraz.

— W związku z informacjami, jakie otrzymaliśmy dziś rano od Zbigniewa Łaskiego z CIA...

Na dźwięk słowa CIA zmarszczki wokół ust Henbergera pogłębiły się nieco. Moses ciągnął udając, że tego nie dostrzega.

— ...Ulokowaliśmy naszego satelitę w strefie granicznej Afganistanu, nad obszarem ciągnącym się 500 kilometrów na północ, w Uzbekistanie w pobliżu rzeki Amu-daria. A oto, co zobaczyliśmy. Powiadomiłem pana możliwie najszybciej...

— W porządku, Moses — przerwał Henberger. — Przywykł pan do zdjęć satelitarnych. Co pan o tym myśli?

Moses nie od razu odpowiedział. Rozparł się w skórzanym fotelu i rzucił rozkaz siedzącemu przed pulpitem oficerowi łącznikowemu.

— Proszę usiąść — zaproponował Henbergerowi. — Według mnie idzie o manewry wojskowe na dużą skalę i bardzo starannie wyreżyserowane... pokażemy panu jednak powiększenia obszaru z chwili obecnej...

Obraz, który ukazał się ich oczom na ekranie, był iście apokaliptyczny. W kącie miasteczka leżała sterta ciał. Rozbito trzy ogromne namioty. Widzieli noszowych ubranych w kombinezony ochronne, które upodabniały ich do kosmonautów, chodzących od namiotów do sterty zwłok. Ciała przykryte były białymi płachtami. Wokół miasteczka płonęły dwa pierścienie ognia, które ogarniały wysokie trawy i krzaki.

Przed płomieniami widoczny był poruszający się czarny potok. Ułynęła chwila, nim zrozumieli, że są to uciekające stada drobnej zwierzyny.

Dalej widać było rozstawione wokół miasteczka czołgi, które posuwały się powoli, plując od czasu do czasu ogniem w domy osady. Nad czołgami krążyły helikoptery, wspomagając uderzenie.

Widowisko było tak brutalne, a jednocześnie zdumiewająco realne, że Amerykanie aż oniemieli. Ciszę przerwał Gates:

— Chciałoby się powiedzieć, że to ćwiczenia. Zupełnie, jakby Sowieci naprawdę atakowali miasteczko. Może to jakieś ognisko rozruchów... w każdym razie prasa sowiecka nic o tym nie wspomina. Według nich, w Uzbekistanie panuje spokój...

Coldspring pochylił głowę. I w jego odczuciu to, co działo się na ekranie, bardziej przypominało rzeczywisty atak aniżeli ćwiczenia wojskowe.

— Żołnierze, którzy grają umarłych, robią to ze zbyt dużą dozą realizmu — dorzucił.

Na ekranie ukazało się zbliżenie sterty trupów. Żadne z ciał nie drgnęło. Wszystkie pozostawały niepokojąco nieruchome. To nie mogła być gra!

Henberger nic nie powiedział. Zadowolili się kontemplacją zdumiewających obrazów. Nie odwracając się powiedział do Mosesa:

— Zbliżenie drogi prowadzącej do miasteczka.

Moses wydał rozkaz oficerowi czuwającemu nad przekazem. Na głównej drodze biegnącej przez step do Podorska ustawione były parami cztery buldożery, które zrywały asfalt. Za nimi posuwały się trzy ciężarówki wyposażone w sprzęt gaśniczy i rozpylały szerokie strumienie białej substancji, która natychmiast przylepiała się do podłoża.

Henberger odwrócił się do trzech pozostałych mężczyzn. Ciemne okulary zasłaniały jego oczy, na ustach jednak gościł wyraz goryczy.

— W porządku, Moses — rzucił.

Ekran za jego plecami zgasł. Henberger polecił Mosesowi prowadzenie stałej obserwacji obszaru i codzinne składanie szczegółowego raportu. Potem wstał i opuścił salę, za nim zaś udali się obaj zastępcy: Coldspring i Gates.

Wszyscy trzej wsiedli do windy i zjechali z parteru na piątą poziom, na głębokość pięćdziesięciu metrów pod ziemią, gdzie mieściło się biuro Henbergera.

Znalazszy się w gabinecie sekretarz obrony zagłębił się w rozmyślaniach. Podeszedł do niewielkiej lodówki i nalał sobie szklankę zimnego

mleka, swego ulubionego napoju. Coldspring i Gates stali z teczkami w dłoniach na środku osiemdziesięciometrowego pomieszczenia przyglądając mu się, bezużyteczni i zakłopotani.

— Oczywiście — powiedział wreszcie Henberger — zrozumieliście, że to nie manewry wojskowe... — Zamilkł, by dopić mleko, po czym podjął: — Nie, moim zdaniem to tylko kamuflaż... Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z katastrofą w rodzaju Swierdłowska.

Tylko Gates pamiętał Swierdłowsk. Coldspring pracował jeszcze wówczas w General Motors i nie mógł wiedzieć o katastrofie, która spowodowała w 1979 śmierć tysięcy osób w ZSRS, a jednak przez oba supermocarstwa została skrzętnie zachowana w sekrecie.

Henberger wyjaśnił Gatesowi, że Swierdłowsk był ośrodkiem, gdzie prowadzono badania nad wojną biologiczną. W kwietniu 1979 eksplozja w centrum badawczym spowodowała w okolicy epidemię wąglika — „wrzodu syberyjskiego”, jak skromnie określili to Sowieci... Wąglik jest bardzo ciężką infekcją, wywoływaną przez bakterie. Powoduje śmierć w ciągu najwyżej trzech dni. Ofiarami byli pracownicy oraz żołnierze przydzieleni do Jednostki Wojskowej numer 19. Inni zarażeni zostali drogą oddechową, przez wiatr. Byli to głównie mieszkańcy Kaszina, małego miasteczka pod Swierdłowskiem.

— Dlaczego uważa pan, że to drugi Swierdłowsk? — zapytał Coldspring. — Przecież w sumie bardzo przypomina to manewry wojskowe... Te czołgi, te helikoptery... Co do zwłok, to może Sowieci posłużyli się prawdziwymi trupami, żeby oswoić żołnierzy z okrucieństwem i rzeczywistym obliczem walki.

Henberger pokręcił głową.

— Myślę o katastrofie z dwóch przyczyn — odrzekł. — Po pierwsze, widzieliśmy, że buldożery zrywają asfalt z drogi. Tak jak w Swierdłowsku: aby usunąć drobnoustroje chorobotwórcze. A biała ciecz, która przylepia się po rozpyleniu, to zapewne lateks, znów jak w Swierdłowsku... Po drugie, zauważyłem, że nieco na prawo od miasteczka palone były ciała i to najwyraźniej w dużym pośpiechu.

— Ale przeciwnie niż w Swierdłowsku — przerwał Gates — nie ma w okolicy żadnej wytwórni broni biologicznej...

— Ma pan rację, Gates — powiedział Henberger. — I to właśnie najbardziej mnie niepokoi. Proszę zrobić zdjęcia tego rejonu. Chcę mieć szczegółowe analizy wszystkiego, co latało, jeździło czy pływało po okolicy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy... Wszystkiego. Nie można niczego przeoczyć.

— O czym pan myśli? — zapytał Gates.

Henberger już miał powiedzieć: o zamierzonym eksperymencie.

Powstrzymał się jednak. Ufał tylko sobie. Zanim zastępcy opuścili jego gabinet, przywołał ich:

— Jeszcze słowo... poproście o zdjęcia Mosesa z NSA, w żadnym jednak razie nie mówcie mu, czego szukamy. Nie chcę, żeby CIA wiedziała o sprawie więcej niż my.

Utica, 18.45

Ambre wsiadała do samochodu zasepiona.

Według słów sąsiadów profesora Collinsa, naukowiec nie mieszkał w domu już od wielu miesięcy. „Podobno jest chory i leczy się w Nowym Jorku...” — dodawali nawet niektórzy.

„A gdybym zadzwoniła do Stana?” — zastanawiała się. Prawdę mówiąc, nie miała odwagi wrócić do Transvii. Ale Stan nie wiedział więcej niż ona — nie kontaktował się z Collinsem od jego odejścia z Uniwersytetu Johna Hopkinsa w Baltimore.

Skrzyła na Lexington Street i przejechała całą ulicę, aż do numeru 302. I tym razem nie potrafiła powściągnąć zdumienia na widok zdewastowanych, porzuconych budynków dawnego tartaku, który zgodnie z zebranymi przez nią informacjami stał się siedzibą jednego z największych laboratoriów w Stanach Zjednoczonych.

Zaparkowała samochód dwadzieścia metrów od zardzewiałej bramy, za stertą starych opon samochodowych. Nikt nie mógł zauważyć jej przyjazdu. Po cichu zamknęła drzwiczki i ruszyła pieszo wzdłuż muru z czerwonej cegły, który otaczał podwórze tartaku.

Tym razem wydawało jej się, że za oknami niewielkiego pawilonu, usytuowanego na prawo od głównego budynku, widzi poruszające się sylwetki. Ostrożnie uchyliła przedzewiałą bramę i szybko przebiegła przez zarzucony spróchniałymi pniami świerków i brzoź dziedziniec.

W głębi ducha obawiała się stanąć nos w nos z ubranym w białą bluzę człowiekiem o zimnych, szarych oczach, którego spotkała ostatnio. Kiedy dochodziła do budynku, wydało jej się, że słyszy dźwięki głosów dobiegające z piwnicy.

Pochyliła się i przykucnęła na ziemi. Ściany izby, z której dochodziły głosy, pomalowane były na jasnozielono, jak w szpitalu. Ograniczone pole widzenia pozwalało jej zobaczyć tylko ogromną stalową kadź, warcząca jak dobrze ustawiony silnik. Obok kadzi widziała doły trzech fartuchów i zakryte ochroniaczami z niebieskiego plastiku buty. Tyle tylko mogła dojrzeć.

Silna dłoń podniosła ją z ziemi i obróciła. Był to człowiek w drelichowym uniformie, najwidoczniej strażnik, z pistoletem u pasa i przewieszonym przez ramię walkie-talkie.

— Co pani tu robi? — zapytał z twardym góralskim akcentem. Ambre uwolniła się zdecydowanym szarpnięciem.

— Przyszłam do profesora Collinsa.

Błysk zaskoczenia rozpałił wzrok mężczyzny. Ujął walkie-talkie i odszedł parę metrów w bok. Nie spuszczać Ambre z oka, powiedział ściszym głosem parę słów do nadajnika.

— Profesor Collins! — zawołał chrapliwy głos. — Niech ją pan przyprowadzi do hallu.

— W porządku. Proszę za mną — powiedział strażnik ledwie na nią patrząc.

Przez zardzewiałą bramę opuścili wewnętrzny dziedziniec tartaku. Ruszyli wzdłuż otaczającego go muru, weszli na puste tereny pod lasem i minawszy je znaleźli się na Hudson Street, równoległej do Lexington Street.

Budynek tartaku widziany od tej strony sprawiał wrażenie nieco mniej zdewastowanego. Zasadniczą różnicę stanowiło dziesięć zaparkowanych przed nim samochodów, świadczących o ludzkiej obecności.

Idący cały czas przodem strażnik pchnął małe drzwi z szarej blachy po lewej stronie budynku i poprowadził Ambre do hallu.

Była to mała poczekalnia o ścianach pokrytych zielonym pluszem, podłozie wyłożonej beżowym grubym dywanem, umeblowana angielskimi sprzętami z XIX wieku. Ambre była tylko do pewnego stopnia zaskoczona przepychem wnętrza, kontrastującym z obskurnym wyglądem zewnętrznym budynku. Domyślała się, że 320 milionów przyznanego na utrzymanie Transvii budżetu musiało gdzieś się podziać...

— Proszę tu poczekać — powiedział strażnik i odszedł.

Czekała. Z rękami założonymi na plecy przechadzała się, podziwiając zdobiące ściany poczekalni obrazy.

Zdawało jej się, że rozpoznaje Degasa i dwa czy trzy Renoiry, potem już zatrzymała się przed obrazem przedstawiającym niewiarygodną, średniowieczną scenę. Armia żebraków, trędowatych i bezzębnych, biesiadowała w otoczeniu węży i czarnych skarabeuszów.

Czarna Śmierć... przedstawiony przez Stana obraz dżumy stanął jej przed oczyma. Postacie namalowane na obrazie zdawały się udręczone dziwnym cierpieniem — ich usta były czarne i puste; ich oczy rzucały szalone, gorączkowe spojrzenia, a na pomarszczonej skórze widniały ciemne plamy.

— Hieronim Bosch, rok 1502 po Chrystusie — za jej plecami rozległ się niski i dźwięczny głos.

Odwrociła się. Stał za nią mężczyzna o siwych włosach i stalowym spojrzeniu, ten sam, który zaskoczył ją parę dni temu przed zardzewiałą bramą. Dziś ubrany był w szary, dobrany do barwy oczu i włosów garnitur.

— To zniewalający obraz — powiedziała Ambre.

Mężczyzna lekko skinął głową.

— Zgadzam się z panią. Ujęcie choroby jest na nim fascynujące. — Na twarzy mężczyzny pojawił się odcień niezadowolenia. Ton jego głosu stał się ostrzejszy: — Przejdźmy do rzeczy, jeśli pani pozwoli. Wydaje mi się, że mówiłem, aby pani tu nie wracała.

— To pan upoważnił strażnika do wprowadzenia mnie...

Przemilczał to i zapytał:

— Czego pani chce?

— Już powiedziałam strażnikowi, że chciałabym zobaczyć się z profesorem Collinsem, który tu pracuje. — Mężczyzna milczał. Ambre podjęła: — Wiem od naszego wspólnego przyjaciela, że Collins tu pracuje.

Spoglądając przed siebie, mężczyzna wycedził przez zaciśnięte usta, jakby we śnie:

— Wspólnego przyjaciela. Hm... a jak nazywa się ten przyjaciel?

Ambre pominęła to pytanie milczeniem.

— Chciałabym zobaczyć się z profesorem Collinsem — nalegała.

Przelotny uśmiech zagościł na zaciśniętych ustach mężczyzny w szarym garniturze. Grzebał przez chwilę w kieszeni, wydobył małe cygare i zapalił.

— Nie zobaczy się pani z profesorem Collinsem — rzucił przyglądając jej się poprzez kłęby siwego dymu.

Ambre spodziewała się takiej reakcji. Postanowiła rzucić wszystko na szalę. Przechadzając się po dywanie, powiedziała głosem, któremu starała się nadać brzmienie pewne i spokojne:

— Popelnia pan błąd, uniemożliwiając mi spotkanie z Collinsem. Dużo wiem o Transvii... Wiem na przykład, kim pan jest: Andrew Harrison, 52 lata, z wykształcenia mikrobiolog, wstąpił się pan jako lekarz wojskowy podczas wojny w Wietnamie, a od 1985 jest pan dyrektorem Fundacji Transvia... Wiem też, że pańskie upodobanie do anonimowości i tajemniczości służy ukryciu pewnych działań... delikatnie mówiąc, dziwnych działań Transvii.

— Sekret stanowi najlepszą gwarancję bezpieczeństwa — odparował, prawie nie otwierając ust. — Ale chciałbym zwrócić pani

uwagę, że nie powiedziałem, iż „uniemożliwię” pani spotkanie z Collinsem.

— Ale przecież...

Żarzący się koniec cygara zakreślił w półmroku łuk.

— Ależ nie, ależ nie... Powiedziałem tylko, że NIE ZOBACZY SIĘ pani z Collinsem, i nic więcej.

Zbliżył się do Ambre na tyle, że widziała szare tęczęwki jego oczu, i rzucił:

— Pani tak zwany przyjaciel powinien być lepiej poinformowany. Profesor Collins od pół roku nie pracuje w Transvii.

Wyjęła z torebki notes.

— Z pewnością zna pan nazwę spółki czy miejsce, gdzie mogę się z nim skontaktować — powiedziała trzymając długopis w pogotowiu.

— Mam nadzieję, że trafił do raju — cynicznie odrzekł mężczyzna. — Collins zmarł dziś w nocy w Bellevue Hospital w Nowym Jorku po „przewlekłej chorobie”, jak mawiacie w dziennikarskim żargonie. Była to... jak by pani powiedzieć? — Zrobił dwuznaczną minę. — Collins zapadł na poważną chorobę, związaną z jego... życiem prywatnym.

Stała przez chwilę w milczeniu. Doznała szoku. Mężczyzna, najwyraźniej rozbawiony wrażeniem, jakie wywarły na niej jego słowa, pchnął ją lekko ku wyjściu.

— No, proszę się uspokoić. Rozumiem, że śmierć Collinsa, pani przyjaciela... — położył akcent na słowo „przyjaciel” — zbulwersowała panią.

Kiedy szli w stronę drzwi, pomyślała, że może ten człowiek nie mówi prawdy. A jeżeli śmierć Collinsa była tylko wymyślonym na poczekaniu kłamstwem Harrisona? Transvia sprawiła jej już niejedną niespodziankę...

Wyszła nie oglądając się za siebie.

* * *

Bellevue Hospital wzniesiony został w roku 1795 na brzegu East River w czasie epidemii żółtej febry, która zabiła przeszło siedmiuset nowojorczyków.

Zamysłem władz municypalnych była wówczas, wobec szerzenia się zarazy, izolacja chorych. Pamiętać należy, że w XVIII wieku żółta febra była chorobą, wobec której medycyna pozostawała bezsilna. Chorzy umierali masowo, jeden po drugim. Wyniszczała ich silna gorączka, której towarzyszyły krwotoki. Wkrótce potem chory zapadał w stan śpiączki. Śmierć nadchodziła w ciągu dziesięciu dni.

Otoczona złowrogą sławą plaga od XV stulecia dziesiątkowała regularnie środowisko marynarzy i mieszkańców kolonii afrykańskich i amerykańskich. Trzeba było więc opanować tę febrę, zwaną żółtą ze względu na barwę skóry chorych — kolor zdradzający śmiertelne wyniszczenie wątroby i nerek. Dlatego też władze municypalne zakupiły teren w posiadłości o romantycznej nazwie „Bellevue”, by zbudować tam pawilon dla zarażonych.

Od tego czasu mały budynek przeobraził się w szpital, którego historia wiąże się nierozdzielnie z dziejami amerykańskiej medycyny.

Szpital z czasem poddano przebudowie. Niedawny remont nadał liczącym przeszło dwieście lat gmachom wygląd ogromnego białego statku. Odtąd Bellevue Hospital stał się nowoczesnym kompleksem szpitalnym na tysiąc łóżek, dysponującym doskonałą aparaturą, której perłę stanowił blok operacyjny złożony z dziewięciu sal operacyjnych, działu fotomedycznego i jednostki badań czynnościowych.

„Doktor Collins zmarł dzisiejszej nocy w Bellevue Hospital w Nowym Jorku”...
Lodowaty głos Andrew Harrisona dźwięczał jeszcze w uszach Ambre, gdy wchodziła do hallu szpitala. Ostre światło, które wpadało poprzez soczewkowane okienko nad recepcją, oślepiło ją, potęgując oszołomienie. Osłoniła oczy ciemnymi okularami.

Oszklony kantorek recepcji miał kształt półksiężyca. Ambre oparła się łokciami o blat i zapytała jedną z recepcjonistek o numer pokoju Collinsa. Po sprawdzeniu na stojącym przed nią ekranie komputera kobieta podniosła głowę i powiedziała:

— Collins? Czy chodzi pani o to nazwisko?

Ambre skinęła głową. Recepcjonistka spojrzała ponownie na ekran.

— Przykro mi. Odwiedziny u profesora Collinsa są zabronione... Muszę wezwać lekarza dyżurnego.

Ambre usiadła w hallu na ławce ukrytej wśród bujnej roślinności. Po dziesięciu minutach stanął przed nią lekarz w białej bluzie.

— Chciałabym zobaczyć się z profesorem Collinsem — powiedziała wstając.

Lekarz wsunął ręce do kieszeni i łagodnie pokręcił głową.

— Profesor Collins. Tak, oczywiście... — Zdawał się zastanawiać przez moment, potem zapytał tym samym uprzejmym tonem: — Czy mogę wiedzieć, kim pani jest?

— Jestem córką profesora... Ambre Collins.

— Rozumiem — powiedział ujmując ją pod ramię. — W takim razie proszę iść za mną.

Podeszli do recepcji. Lekarz dał Ambre znak, by czekała, i stanął obok niej. Po kilku minutach z jednej z wind wysiadła młoda kobieta.

Szła szybko, ze spuszczoną głową. Miała na sobie czarny golf i okulary słoneczne na twarzy.

Mijając ich kobieta podniosła głowę i skinęła lekko lekarzowi, który odwzajemnił gest. Policzki kobiety były rozpalone, a usta drżały, jakby ze wszystkich sił powstrzymywała się od płaczu.

Wówczas lekarz zwrócił się do Ambre i powiedział zniżonym głosem:

— Brunetka, która nas minęła, nazywa się Lawinia Stolinski. Jej nazwisko naturalnie nic pani nie mówi... Jest to córka profesora Collinsa, zmarłego wczoraj o 23.50. Nie muszę dodawać, że Lawinia była jedyną córką profesora... o ile mi wiadomo. — Znów ujął jej ramię i nachylając się, szepnął do ucha: — Radzę pani nie wracać do Bellevue Hospital. Są zgony, których lepiej nie wyjaśniać...

Ambre uwolniła się zdecydowanym ruchem.

— Inaczej wyobrażałam sobie zawód, który pan wykonuje — powiedziała z odrazą przed odejściem.

* * *

Znalazszy się na zewnątrz, Ambre ruszyła za ciemną, lekko przygarbioną sylwetką Lawinii Stolinski.

Kobiety jedna za drugą opuściły alejki Bellevue Hospital i poszły 23 Ulicą.

Ramionami dziewczyny w czerni raz po raz wstrząsał szloch. Zatrzymywała się, ocierała oczy i nos i odchodziła powoli, niemal się zataczając.

Doszły tak do Madison Square, na rogu 23 Ulicy i Broadwayu. Lawinia Stolinski usiadła na wolnej ławce, z dala od tłumu, który wyległ na skwer w ten radosny, wiosenny dzień.

Ambre kupiła paczkę popcornów i kątem oka obserwowała Lawinie Stolinski. Młoda kobieta trwała przez chwilę bez ruchu, zasłoniwszy twarz dłońmi. Po dłuższym czasie wyciągnęła z torebki mały czerwony zeszytek i zaczęła czytać. Ambre podeszła do ławki i usiadła obok córki Collinsa. Młoda kobieta pośpiesznie schowała czerwony zeszyt do torebki.

— Przepraszam, że panią niepokoję — powiedziała łagodnym głosem Ambre. — Nie zna mnie pani... Nazywam się Ambre Manari, jestem dziennikarką w „New York Daily Chronicles”.

I opowiedziała jej przebieg swoich poszukiwań — od „grypy” w Mount Creek do ostatniej rozmowy z Harrisonem. Kobieta słuchała w milczeniu. Kiedy Ambre skończyła, zapytała ją głosem nabrzmiałym łzami:

— Ale... czego oczekuje pani ode mnie?

— Niczego — odrzekła Ambre. — A raczej, niewiele... Czy wiedziała pani, jaką działalność prowadzi Transvia?

— Nie, nie wiedziałam. Odkąd ojciec odszedł z uniwersytetu, mieszkaliśmy osobno. Kiedy przeprowadził się do Utica, nie pojechałam z nim, ale zamieszkałam w Nowym Jorku. Znalazłam tam pracę i wyszłam za mąż... Po śmierci mamy ojciec stał się małomówny. Nie było to zbyt przyjemne dla młodej dziewczyny...

Wspomnienie śmierci matki doprowadziło ją do kolejnego wybuchu płaczu. Ambre spuściła głowę.

— Ostatnie pytanie... Czy ojciec często opowiadał pani o swojej pracy?

Lawinia Stolinski pokręciła głową.

— Nie, nigdy. Wie pani, nie znam się na mikrobiologii. Pracuję w handlu nieruchomościami, a mąż jest maklerem dewizowym.

— A gdy leżał w Bellevue Hospital, nie powiedział nic szczególnego?

— Nie, nic. Uniemożliwiono nam spotkania w cztery oczy twierdząc, że ojciec dotknięty jest... szczególną chorobą. Był przy nim zawsze lekarz i ktoś z laboratorium... to znaczy, z Transvii.

Ambre zapisała na torebeczce po popcornach swój adres i nazwisko i podała ją kobiecie.

— Dziękuję, że wykazała pani tyle cierpliwości. W razie jakiegokolwiek potrzeby proszę do mnie dzwonić i... odwagi.

Lawinia Stolinski podziękowała smutnym uśmiechem.

* * *

W dwa dni po rozmowie, kiedy Ambre wracała właśnie po awanturze z Jeffem Turnerem, który zarzucał jej brak skuteczności działania, listonosz przyniósł małą paczuszkę.

Wewnątrz znajdował się tylko czerwony zeszyt z przeszło setką zapisanych ładnym, drobnym charakterem kartek. Do zeszytu przypięty był napisany atramentem list, noszący wyraźne ślady łez.

Mój ojciec zmarł na AIDS, którym zaraził się podczas operacji na szczepach bakteryjnych w Transvii, a nie — jak insynuuje dyrektor laboratorium, doktor Harrison — na drodze kontaktów homoseksualnych. Pani Podejrzenia wobec Transvii są w pełni uzasadnione. Znajdzie pani odpowiedź na wszystkie dotyczące Transvii pytania w «testamencie» ojca, jaki stanowi jego «dziennik pokładowy», spisywany przez dwa tysiące pięćdziesiąt jeden dni przepracowanych w Transvii. Proszę dobrze go wykorzystać.

Nowy Jork, 16 czerwca 1992

Uszy Jeffa były czerwieniejsze niż zwykle. Były purpurowe. Miotał się jak małpa po klatce po małej drukarni, przesączonej gorzkim zapachem farb gazetowych. Na koszulce z podobizną „Che” Guevary, liczącej sobie pewnie z piętnaście lat, widniały ślady palców i czarne smugi tuszu.

Jeff biegł susami od maszyny do składania marki Ludlow do ramy, na której następowało łamanie arkuszy drukarskich, warczał na zbyt powolnego jak na jego potrzeby zecera i raz po raz odwracał się do Ambre, podskakując niczym rozradowany zwycięstwem bokser i krzycząc:

— 40 tysięcy! Więcej... 50, 60 tysięcy! Wywołamy sensację!

Uśmiechnęła się, widząc jego młodzieńczy entuzjazm, i zapadła głębiej w stary skórzany fotel, wytarty jak podeszwa. Odetchnąwszy z ulgą wyciągnęła długie nogi, oparła je na rolce papieru do maszyny rotacyjnej i zamknęła oczy.

Ten dzień był wyczerpujący. O jedenastej rano odebrała wraz z pocztą paczuszkę z małym czerwonym zeszytem — „testamentem” profesora Collinsa.

Lektura zapisków czynionych drobnym, coraz drobniejszym pismem w miarę zbliżania się śmierci, rozwiła jej ostatnie wątpliwości co do typu działań prowadzonych przez Transwię. Wszystko było tu wyjaśnione w najdrobniejszych szczegółach — źródła grypy z Mount Creek (bo Transvia ponosiła całkowitą odpowiedzialność za tę gripę) i najbliższe projekty laboratorium. Było to przerażające.

Nie rozmyślała długo nad głupotą i nieodpowiedzialnością ludzką. Uznała, że nie czas na filozofowanie. O wpół do pierwszej zadzwoniła do Jeffa, który bez trudu przekonał ją, że trzeba czym prędzej opublikować „testament” Collinsa.

O pierwszej skontaktowała się z Lawinią Stolinski, córką profesora Collinsa, by uprzedzić ją o ukazaniu się „testamentu”. Potem zabrała się do roboty. Trzeba było słowo po słowie odczytać sto pięćdziesiąt stron zeszytu.

Skończyła o szóstej wieczorem i o tej właśnie porze przyszedł Jeff. Redaktor naczelny „New York Daily Chronicles” czytał manuskrypt z zapartym tchem, wpatrzony w robaczki stawiane przez Collinsa. W miarę lektury barwa jego uszu z białej nakrapianej rudymi plamkami przeszła w szkarłatnoczerwoną. Kiedy oczy krótkowidza oderwały się od zapisków, wstał i zrobił coś, o czym zawsze marzył, a czego nigdy nie śmiałyby uczynić. Ucałował Ambre. Dwa cmoknięcia w policzki

rozbrzmiały niczym strzelające korki szampana. Wyjątkowe okoliczności całkowicie usprawiedliwiały takie zachowanie.

Dziesięć minut później, około siódmej, Ambre przystąpiła do redagowania artykułu. Jeff odszedł tuląc manuskrypt w ramionach. Miał wybrać z niego najlepsze fragmenty, które posłużą za niepodważalny dowód słów dziennikarki.

Po trzech godzinach pisania Ambre zaniósła dwudziestostronicowy artykuł do drukarni, gdzie czekał już Jeff. Skład, tytuły na pierwszą stronę i łamanie zaczęły się około jedenastej w nocy.

Teraz minęła już północ i Ambre czuła zmęczenie wywołane taką porcją emocji. Jakby z bardzo daleka dochodził jej uszu szum cylindrów startującej maszyny rotacyjnej, dziwnie podobny do warkotu silnika „Ambre II”, jachtu Clive'a. To wspomnienie nieodległej jeszcze epoki, kiedy sądziła, że świat ogranicza się do błyszczącego złotem kręgu miliarderów, towarzyszyło jej we śnie...

Miała dwanaście lat. Była małą dziewczynką o jasnych, spłowiaty eh od słońca i morskiej wody włosach. Była „samą długością”, jak lubił mawiać Clive, dostrzegający w długich nogach Ambre cechę rasy, rasy Lorenzo. Oczy Ambre były także niewątpliwym znakiem firmowym — niebieskozielone i zbyt jasne, jak oczy jej ojca.

Na pokładzie jachtu panował spokój. Zwyczajne rozleniwienie, rytm narzucany przez słońce.

Aż nagle jacht przyspieszył bez wyraźnego powodu. Stojący u steru Clive wskazywał palcem czarny punkt przed nimi. Krzychał coś jakby: „Nie można pozwolić, żeby uciekły!” Ambre dopiero w ostatniej chwili zorientowała się, o co chodzi. Czarna plama była stadem delfinów, jej przyjaciół. Spośród fal wylaniały się ich grzbiety o skórze miękkiej jak skóra człowieka.

Z dziwnie znieruchomiałego spojrzenia Clive'a wyczytała natychmiast jego złe zamiary. Jacht szedł pełną parą i dziobem niemal dotykał grzbietów delfinów.

Tak szybko, jak tylko na to pozwalały nóżki małej dziewczynki, pognęła do maszynowni i podniosła wszystkie dźwignie, wcisnęła wszystkie przyciski w zasięgu jej rąk. Piekący dym wypełniał salę, podczas gdy silnik zamierał powoli...

— Cholera!

Ambre ocknęła się nagle. Upłynęło dobre kilka sekund, nim zorientowała się, gdzie jest.

— Cholera! Cholera! Cholera!

Małą drukarnię wypełniał drażniący płuca dym. Maszyna rotacyjna

stała. Jeff wymachiwał rękami i nogami, jakby opadło go stado os. Co za pech! Od czasu do czasu nie odmawiał sobie wymierzenia kopniaka maszynie Wifag, choć ta operacja była bolesna przede wszystkim dla niego.

Przed Wifagiem stał operator, stary Dawid Golding. Zasepiony pocierał włosy pod czapką i powtarzał: „Tego tylko brakowało!”

Jeff podszedł do niego. Nad starym zawisła groźba, iż redaktor zechce chwycić go za szelki dzinsowych spodni z karczkiem.

— Co, czego „brakowało”, Dawidzie?

— Sklejanie...

— Czego?

— Żeby papier z rolek szedł bez przerwy, musi być klejony. I to nie zadziałało...

— Właśnie wtedy, kiedy drukujemy numer stulecia! — zawołał Jeff chwytając się rękami za głowę.

Dawid wyrzucił peta, którego trzymał w ustach. — Dosyć tej komedii, smarkaczu!

Będziesz miał swój „numer stulecia” — powiedział do Jeffa i wsunął głowę pod cylinder maszyny rotacyjnej.

W dwadzieścia minut później stara maszyna znów wypływała 12 tysięcy egzemplarzy „New York Daily Chronicles” na godzinę.

Ambre zamknęła oczy i głęboko zasnęła.

Mount Creek, nazajutrz rano

„Choroba przybyła z wami, biali ludzie, i zabrała tysiące spośród nas. Przedtem, dawnymi czasy, byliśmy silni. Chodziliśmy polować i łowić ryby. Teraz wszystko uległo zmianie. Jemy żywność białych ludzi i to odbiera nam energię. Nosimy ciężkie ubrania białych ludzi i to nas osłabia. Zimą pracowaliśmy na mrozie i wietrze boso i z gołymi ramionami, nie czując zimna. Teraz, kiedy od gór wieje wiatr, kaszlemy. Tak, wiemy, że kiedy wy nadchodzicie, my umieramy. Choroba jest wśród nas...”

Bezzębne usta starej Indianki z plemienia Mohawków recytowały pełnym skargi głosem litanie.

Była to babka Małej Chmurki, dziewięcioletniej dziewczynki, która jako pierwsza zmarła na grypę z Mount Creek. Stara Indianka siedziała przy owiniętym kolorowymi kocami ciałku. Od dwudziestu czterech godzin stara kobieta czuwała przy zwłokach wnuczki i wyśpiewywała żałobne melopeje, kiwając się miarowo.

Śmierć Małej Chmurki zrodziła gniew Indian.

Stanowiła konkluzję epidemii owej „grypy” wyniszczającej miasteczko i zarazem kropkę, która przelała dzban. Bolesne wspomnienie zarazy sprzed dwóch stuleci, wywołanej wśród Indian w Ohio i Pensylwanii przez zakażone wirusem ospy kocy, pochodzące od białych, było nadal żywe. Zostało nawet wyolbrzymione: Indianie cierpieli na prawdziwą obsesję choroby.

Grypa z Mount Creek wzbudziła gniew Mohawków i Indian z pobliskich rezerwatów. AIM — Amerykański Ruch Indian (ten sam, który podsycił bunt Indian od 1968 i domagał się Red Power — Czerwonej Władzy) wielokrotnie zwracał się do rządu o wysłanie posiłków medycznych do Mount Creek w związku z rozmiarami, jakie przybierała choroba.

Organizacja indiańska wykorzystywała tę sytuację, by napiętnować lekceważący stosunek administracji Busha do problemów Indian. Oskarżała rząd, iż nie czyni nic, by im pomóc.

„Choroba, która dotyka czerwonych, a omija białych, jest dziwna. Żądamy natychmiastowej pomocy lekarskiej i dokładnej analizy źródła choroby z Mount Creek” — oświadczył przed kilku dniami w Radiu Utka John Bull, rzecznik AIM.

Śmierć Małej Chmurki gwałtownie zmieniła ton protestów Mohawków.

Mała Chmurka stanowiła dla straszliwej grypy z Mount Creek wyjątkowo łatwy łup, jako bardzo delikatne, od najmłodszych lat cierpiące na astmę dziecko. Dziewczynka błyskawicznie zapadła w głęboki letarg. Lęk przed wodą, hydrofobia, która charakteryzowała grypę z Mount Creek, przybrała u niej skrajną postać — już sam widok wody wywoływał bolesne skurcze gardła.

Po dwudziestu dniach popadła w stan komy. Umarła poprzedniego wieczora, dusząc się w ataku astmy, nasilonym rozległym nieżytem dróg oddechowych. Aż do końca występowały u niej objawy wywoływane przez oba wirusy, które spędzały sen z powiek Mela — wirus wścieklizny i ospy.

Śmierć dziecka wywołała gwałtowną reakcję Johna Bulla, który wezwał swych czerwonych braci na manifestację w Mount Creek. Na polu za miasteczkiem zgromadziło się ponad tysiąc Indian — byli, rzecz jasna, Mohawkowie, ale również Kajugasi, Oneidowie, Onondogasi i Senekowie.

Przez całe popołudnie defilowali przed ciałkiem Małej Chmurki, Potem zaś zebrali się na polu, gdzie rozpalili gigantyczne ognisko. Wszyscy porzucili codzienne ubrania — dzinsy i bawełniane koszulki, zakładając tradycyjne stroje ze skór i pióropusze.

Rodzina Małej Chmurki nie uczestniczyła w obrzędku. Ojciec i matka obcięli włosy i uczernili twarze. Ich żałoba trwać miała wiele długich miesięcy, by dziecko mogło bez trudu dotrzeć do Krainy Wielkich Łowów. Tam, na Zachodzie.

O zmroku, około siódmej wieczorem, napięcie na polu wzrosło. Indianie rozgrzani alkoholem oraz dźwiękiem tam-tamów, którym wtórowały bębny, tańczyli wytrwale wokół ognia. Rozlegały się okrzyki, wśród których padały hasła Czerwonej Władzy i Narodu Indiańskiego.

Płonące łuczywa kładły się groźnym blaskiem na podekscytowanych alkoholem twarzach, na wykrzywionych śpiewem ustach.

Krew połała się, kiedy jeden z najmłodszych tancerzy, bliski hysterii, dokonał oficjalnie zakazanego w Stanach od końca XIX wieku obrzędku. Młodzi wbijali w mięśnie klatek piersiowych żelazne haki obciążone ołowianymi kulkami.

John Bull nie powstrzymywał ich.

Ten rytuał może był niebezpieczny, dla nich jednak, dla Indian, był ważny. Stanowił znak siły i męskości. Był inicjacyjną próbą, która pozwalała młodym, zachęcanym i podtrzymywanym przez starszych, sprawdzić i ocenić własne możliwości. Był w pewnym sensie przejściem z dzieciństwa do wieku dojrzałego.

Był jednym z elementów ich świata.

Nowy Jork, tego samego dnia, punkt dziewiętnasta

W studio rozbrzmiała hałaśliwa muzyka czołówki „Big News Today”. Zaczynał się maraton wiadomości wieczornych NBC New York, lokalnej stacji należącej do sieci NBC. „Big News Today” były godzinny programem, na który składała się półgodzinna część informacji z kraju i świata oraz druga poświęcona problemom

— Trzy sekundy, Richardzie! Twoja kolej — zaanonsował realizator.

Richard Lydon nie słuchał. Doskonale wiedział, że czołówka trwa dziesięć sekund. W ciągu piętnastu lat pracy w zawodzie poznał wszystkie jego mechanizmy. Wykonał protekcyjny gest pod adresem siedzącej obok niego Ambre i poprawił krawat.

Już!

Zapaliło się światełko sygnalizacyjne.

Richard Lydon ujrzał swą starannie ogoloną twarz na monitorze, który stał u jego stóp. Nadeszła jego kolej.

Najpierw przedstawił wiadomości ze świata: wizyta papieża w Afryce Południowej, ogniska powstańcze w Mongolii, wykupienie koncernu Coca-Coli przez największą japońską firmę rolno-spożywczą, sprawa instalacji sieci wykrywającej trzęsienia ziemi w Kalifornii i zdjęcia Wenus przesłane przez sondę Galileusz.

Informacje dotyczące Stanów Zjednoczonych były krótkie. Nie działo się nic nowego: dolar wciąż nie mógł dorównać świetnej kondycji jena; inflacja w czerwcu utrzymała się na poziomie 0,4 procenta. Dzień jak co dzień. Motor ekonomii amerykańskiej funkcjonował bez większych zgrzytów. Następnie Richard Lydon poinformował o przygotowaniach kampanii wyborczej w obozie demokratów. W przerwach ukazywały się reklamy, przeważnie produktów spożywczych.

Potem pokazał się zwiastun wiadomości lokalnych. Richard Lydon mrugnął okiem do Ambre, chcąc dodać jej odwagi.

— W Nowym Jorku — ciągnął — sensacją dnia jest ujawnienie przez „New York Daily Chronicles”, nowojorski dziennik, tajnej działalności laboratorium wojskowego w Utica. Chodzi o laboratorium Transvii. Muszę zaznaczyć, że informacja ta wywarła piorunujące wrażenie na środowiskach polityków. W artykule „New York Daily Chronicles” oskarżony został sam Departament Obrony. Do chwili obecnej kręgi polityczne, zarówno demokraci, jak i republikanie, milczą. Nie zdołaliśmy uzyskać żadnych oświadczeń. Gościmy natomiast w naszym programie Ambre Manari, autorkę serii artykułów w „New York Daily Chronicles”. — Richard Lydon zwrócił się wprawo i dodał: — Ambre Manari... Henry Gresham, nasz specjalista od problematyki medycznej, zada pani kilka pytań.

Henry Gresham chrząknął. Był to gruby mężczyzna z czarną, starannie przyciętą brodą i z jaskrawą muchą pod szyją.

— Dziękuję, Richardzie — powiedział. — Trzeba by właściwie być zarazem specjalistą od spraw obronności i problemów biologiczno-medycznych, aby objąć całość kwestii ujawnionej dziś przez „New York Daily Chronicles”. Na początek zuchwałe pytanie do Ambre Manari: niewątpliwie dostarcza pani wszystkich dowodów na to, co pisze pani w swych artykułach... Czy jednak celowo nie wyolbrzymia pani problemu, aby osiągnąć możliwie największy nakład? Kiedy zna się reputację polemik „New York Daily Chronicles”?... no i jego nakład! Dziennik przeszedł ze średniej 8 tysięcy egzemplarzy dziennie do 160 tysięcy! Pierwsza edycja została wyczerpana już o dziewiątej rano...

Ambre uśmiechnęła się. Wyjaśniła spokojnym tonem, że wyłącznie

dziennikarski upór odkrycia prawdy kierował jej poszukiwaniami. Poza tym powodowała nią chęć ujawnienia nieodpowiedzialnych działań, stanowiących groźbę dla życia mieszkańców kraju. I całej ludzkości.

Przerwał jej Richard Lydon:

— Przejdźmy, jeżeli pani pozwoli, do artykułu. Jakie dokładnie są pani oskarżenia?

— Przedstawiłam je właśnie w dzisiejszym numerze „New York Daily Chronicles”. Po pierwsze, nasz kraj prowadzi co najmniej od 1975 roku badania nad bronią biologiczną. Tymczasem Konwencja Genewska z 10 kwietnia 1972 zakazuje wszelkich prac w tej dziedzinie... Co zaś dotyczy laboratorium Transvia...

— Jedno pytanie... — przerwał Henry Gresham wznosząc palec.

— Już kończę — odpowiedziała Ambre. — Laboratorium Transvia jest laboratorium wojskowym. Jest istotne, aby ci, którzy nas słuchają, należycie ocenili wagę tych słów. To laboratorium wojskowe, które wytwarza BRONŃ. Tyle że bronią są w Transvii mikroorganizmy, niewidzialni zabójcy, wirusy...

— Czy ma pani dowód na to, że Transvia produkuje broń chemiczną? — zapytał Henry Gresham.

— Tak, dowody są tutaj! — Pokazała do kamery czerwony zeszyt, „testament” profesora Collinsa. Pewien niedawno zmarły pracownik Transvii notował wszelkie działania laboratorium od czterech lat. W dodatku natrafiłam na raport Ministerstwa Obrony, który ujawnia powiązania budżetowe między tym ministerstwem a Transvią. Chciałabym jednak dokończyć sprawę Transvii... Transvia jest więc laboratorium pozostającym pod pełną kontrolą Departamentu Obrony, który rekrutuje najwyższej klasy specjalistów w uniwersytetach i przedsiębiorstwach prywatnych. Z obawy przed opinią publiczną działalność Transvii jest zakamuflowana i tylko drobiazgowo poszukiwania mogą wykazać powiązania z Departamentem Obrony.

Henry Gresham włączył się ponownie:

— Pozwoli pani, że odczytam oświadczenie, które opublikował Andrew Harrison, dyrektor Transvii, w odpowiedzi na pani zarzuty.

Założył okragłe okulary.

— Cytuję oświadczenie: „Transvia, w odpowiedzi na oszczercze oskarżenia «New York Daily Chronicles», stwierdza, że:

1. Nasze powiązania finansowe z Ministerstwem Obrony nie stanowiły nigdy tajemnicy.
2. Transvia wyspecjalizowała się w badaniach nad rozprzestrzenianiem się wirusów, co przyniosło dobroczynne dla ludności cywilnej skutki.

3. Transvia prowadzi badania nad obronnością, nie objęte zakazem Konwencji Genewskiej z 1972 roku...”

— Nad obronnością?! — wykrzyknęła Ambre. — Jak w związku z tym wyjaśni pan wytworzenie na drodze manipulacji genetycznych trzydziestu pięciu nowych wirusów w ciągu pięciu lat? W razie wojny biologicznej wszystkie one byłyby nie do pokonania... — Ponownie uniosła czerwony zeszyt. — Wszystko zostało tu bardzo starannie spisane...

— Właśnie... Andrew Harrison utrzymuje, że profesor Collins „nie był w pełni władz umysłowych”, kiedy spisywał te słowa...

Ambre westchnęła.

— Ta napaść nie przynosi szacunku Andrew Harrisonowi. Nie zamierzam wdawać się w tego rodzaju spór. Zależy mi na poruszeniu ważniejszych kwestii... Musimy przede wszystkim mieć świadomość, iż naukowcy nie w pełni panują nad bytami, które powołują do życia. Wprost fantastyczny rozwój badań genetycznych w ciągu ostatnich dziesięciu lat tworzy iluzję, podkreślam — iluzję, że człowiek może wedle woli sterować organizmami żywymi. Ujawniam fakt, że nad badaniami tymi nie sprawuje się żadnej kontroli. Stanowi to ogromne zagrożenie... W przeszłości wiele eksperymentów przeprowadzono na niczego nie świadomej ludności cywilnej. W 1976 w San Francisco, potem w Mechanicsburgu, w Key West i Fort McClellan, w Point Mugu-Port Hueneme, w nowojorskim metrze, na lotnisku i dworcu autobusowym w Waszyngtonie... Profesor wspomina w swych zapiskach także o projekcie doświadczeń z osłabionym wirusem Heinego-Medina, rozsianym na szeroką skalę w wielu miastach Wschodniego Wybrzeża. Nie muszę dodawać, że odbyło się to bez wiedzy społeczeństwa...

— Czy zdaje sobie pani sprawę z ciężaru tych oskarżeń? — zapytał Richard Lydon.

— Niestety, tak — odpowiedziała. — Inne eksperymenty tego laboratorium, choć nie idą tak daleko, mogą również mieć dramatyczne następstwa... Na północy stanu Nowy Jork w wyniku pewnego nieudanego eksperymentu Transvii, tej samej, za której całkowitą nieszkodliwość ręczy pan Andrew Harrison, zarażone zostało całe miasteczko indiańskie, miasteczko Mohawków, Mount Creek! Naukowcy z Transvii chcieli przeprowadzić test po ostatnich manipulacjach genetycznych na wirusach wścieklizny i ospy... Zaznaczyć należy, że wirus ospy, jako wystarczająco duży, stanowi idealny materiał doświadczalny. — Richard Lydon wyraźnie okazywał zniecierpliwienie. — Już kończę... Transvii udało się wszczepić jeden z genów wirusa wścieklizny do wirusa ospy. Żeby wypróbować to nowe

monstrum, stworzono jego osłabioną odmianę i zakażono nim dwa tysiące kurcząt, które rozpuszczono następnie po lasach otaczających Mount Creek. Badacze liczyli, że w ten sposób zaszczepią przeciwko wściekłości lisy... Zdarzyło się jednak, że jeden z mieszkańców miasteczka zjadł zakażoną kurę... i zaraza opanowała całe Mount Creek! Przedwczoraj wieczorem w wyniku choroby zmarła mała dziewczynka! Zażenie wirusem ludzi i wywołanie epidemii jest skutkiem bezmyślności i niedbalstwa. To bardzo poważny problem...

— W nawiązaniu do pani słów... — przerwał Richard Lydon — mamy połączenie z Jonathanem Brantem. Przebywa w Mount Creek, skąd doniesiono nam o manifestacji Indian ze szczepu Mohawków przeciwko zaniedbaniu potrzeb zdrowotnych społeczności indiańskiej zamieszkującej rezerwy... Oddaję głos Jonathanowi Brantowi.

Na ekranie pojawiła się puciołowata twarz dziennikarza. Stał przed ogniskiem płonącym na polu, gdzie odbywała się manifestacja, a obok niego ze skrzyżowanymi ramionami i gniewną miną John Bull. Sądząc po zroszonym potem czole dziennikarza, przy ognisku musiało być gorąco.

Zaczął się wywiad. Bull wyjaśnił, że jego braci Indian wzburzyła śmierć jednej spośród nich, Małej Chmurki, ofiary niedbalstwa rządu, który nie zapewnił Indianom opieki medycznej. Przytoczył szokującą liczbę: średnia długość życia Indian wynosiła czterdzieści sześć lat, podczas gdy biali Amerykanie dożywali przeciętnie siedemdziesięciu lat. Cóż za nierówność w kraju, gdzie obowiązuje zasada: *Divided, we fall. United, we stand*, „Podzieleni, zginiemy. Zjednoczeni, jesteśmy potęgą!”

Bull obawiał się, żeby pogorszenie sytuacji nie doprowadziło do wybuchu. Wszyscy mieli jeszcze w pamięci walki w Racquette Point, gdzie w 1979 poległo dwóch Mohawków.

Richard Lydon zwrócił się do Johna Bulla, utrzymującego połączenie ze studiem NBC za pomocą miniaturowego głośnika wsuniętego za ucho. Poinformował go o skierowanych przeciwko Transvii oskarżeniach Ambre, która obwiniała laboratorium o spowodowanie wybuchu epidemii w Mount Creek, a więc pośrednio także śmierci Małej Chmurki.

Twarz Bulla zacięła się jeszcze bardziej.

Wyjął głośnik zza ucha i odwrócił się plecami do kamery, stojąc twarzą do ognia. Gdy wznosił ręce, ucichły bębny i krzyki. Mówił niewiele. Jego ostry głos dźwięczał jeszcze przez moment. Szeregi stojących nieruchomo Indian przebiegł szmer.

— I to, Richardzie, już wszystko, co możemy dzisiaj wieczora

powiedzieć o zgromadzeniu w Mount Creek — szeptał najwyraźniej poruszony tą sceną Jonathan Brant.

Kamera pokazała szerszy plan i przez kilka sekund zatrzymała się na milczącym morzu ludzi w blasku pochodni.

Stającym w pierwszych szeregach przed Johnem Bullem zacisnęły się pięści.

Libia, uniwersytet w Benghazi, 8 czerwca 1992

. Abdallah przeskakiwał po cztery stopnie, wbiegając schodami na drugie piętro budynku C. Najm, „Lis”, próbował dotrzymać mu kroku. Przystanął na półpiętrze, żeby nabrać tchu.

— Poczekaj, Abdallahu! — krzyknął.

Tamten jednak nie słuchał, kontynuując jakby nigdy nic imponujący bieg. Kiedy dotarł przed pomalowane zieloną farbą drewniane drzwi studenckiego pokoju Golbudina, zaczął z całych sił łomotać w nie pięściami.

— Abdallahu, przestań!

Teraz Abdallah kopał w drzwi. Najm w myśli obrzucił nazbyt porywczego brata obelgami, w których mówiło się coś o osle i o sodomii. Potem po raz dziesiąty spojrzął na pierwszą stronę „Maghreb Machrek”, oficjalnego dziennika Libijskiej Dżamahirii, który ścisnął w ręce. To, co zobaczył, dodało mu odwagi. Zadyszany pokonał ostatnie stopnie i stanął obok Abdallaha.

— Poczekaj — powiedział, przytrzymując muskularne ramię brata. — To nic nie da.

Abdallah wycodził kilka obraźliwych słów. Najm oparł czoło o drzwi i nabrał wreszcie tchu.

Golbudin stał przy drzwiach, przysłuchując się odgłosom ich kłótni. Już od ponad miesiąca właściwie nie opuszczał pokoju, prowadząc jedynie zajęcia z mikrobiologii. Studenci widywali go także, jak krąży po dżebel wokół uniwersytetu. Ciągnęły go tam widoczne w dali wydmy.

Schudł piętnaście kilo i często przechodził wyjątkowo gwałtowne ataki epilepsji. Na uczelni szeptano, że chyba zwariował. Rektor Muhammad Jalloud zastanawiał się, czy nie zwolnić go na jakiś czas z zajęć. Ale właściwie nie miał podstaw: zajęcia Afgańczyka były ciągle równie dobre, jeśli nie lepsze niż przedtem.

Jedyną ucieczkę stanowiły dla Golbudina partie *go*. Tylko *go*. Rozgrywając je zapominał na chwilę o dramacie, który przeżywał —

znikało poczucie samotności. Wkraczał w inny świat, fascynujący świat regularnych wojsk i wojowników, świat gwałtownych walk o utrzymanie władzy i wpływów. Magiczny i wyrafinowany świat podstępnych pułapek i braterskich przymierzy.

— To ja, Najm. Otwórz mi. — „Lis” wypowiedział te słowa tonem prośby i perswazji.

Zmęczona twarz Golbudina pojawiła się za oszklonymi drzwiami. „Jak on się postarzał” — pomyślał Najm, który nie widział Afgańczyka od dwóch tygodni. Jego twarz zapadła się. Spoglądał na świat oczyma człowieka zagubionego i niepewnego.

— Chcemy ci coś pokazać — podjął Najm.

Golbudin dał znak, by weszli. Wnętrze pokoju stanowiło odzwierciedlenie psychicznej degrengolady lokatora. Odrażająca graciarnia, zawalona stertami notatek, pojemnikami z piaskiem, w którym rosły zboża, i porozrzucanymi ciuchami, cuchnąła zjełczałym tłuszczem.

„Lis” pchnął dłonią dużą salaterkę, w której pływały ledwie skielkowane nasiona soi, i rozłożył na służącym za biurko stoliku turystycznym egzemplarz „Maghreb Machrek”.

— Czytaj — powiedział z namaszczeniem.

Golbudin sięgnął po dwuogniskowe okulary, włożył je i ściszym głosem przeczytał tytuł na pierwszej stronie: **IMPERIALIZM AMERYKAŃSKI PRZYGOTOWUJE WOJNĘ PRZYSZŁOŚCI!**

W artykule pisano: „Wczoraj jedna z nowojorskich gazet podała do wiadomości, że siły imperialistyczne pracują nad potworną bronią. Tworzą mikroby zdolne unicestwić ludność cywilną! Wrogowie Allacha wykorzystują ignorancję państw zacofanych, aby podstępnie uderzyć!”

Golbudin wznosił wzrok znad gazety i zdjął okulary. Usiadł na łóżku polowym i ukrył twarz w dłoniach.

Najm podszedł do niego i powiedział:

— Daj nam swą wiedzę. Imperialiści opracowali już tę morderczą broń. Wiesz, jak ją produkować. Naucz nas, jak mamy się bronić!...

Golbudin zatkał palcami uszy. Dłonie Abdallaha zacisnęły się groźnie. Najm powstrzymał gestem jego reakcję. Usiadł obok Afgańczyka i długo przemawiał do niego swym łagodnym głosem.

Tłumaczył mu, że Amerykanie stanowią dla Libii nieustanne zagrożenie, że okręty VI Floty krążą wzdłuż „Linii Śmierci”, że amerykańskie bazy wojskowe na Morzu Śródziemnym, przede wszystkim na Sycylii, stwarzają ciągłe niebezpieczeństwo dla Dżamahirii...

Przypomniał mu, że w 1986 bombowce amerykańskie spowodowały śmierć znacznej liczby libijskiej ludności cywilnej i że zginęła wówczas także przybrana córka „Przewodnika i Mistrza” Dżamahirii, pułkow-

nika Kadafiego. Bracia Rewolucji MUSZĄ uwolnić się od imperialistycznego jarzma. MUSZĄ posiadać tę broń.

— Nie! — krzyknął bliski historii Golbudin.

Nie chciał dłużej słuchać Najma i jego wywodów na temat śmierci.

Abdallah nie potrafił dłużej się pohamować. Rzucił się na Afgańczyka, chwycił go za szyję i przyparł do ściany. Golbudin w ułamku sekundy zrobił się purpurowy na twarzy.

— Gadaj, co wiesz, albo zabiję cię, jakbyś był jednym z tych imperialistycznych psów! — wrzasnął.

Najm próbował powstrzymać brata. Żył na szyi Afgańczyka nabrzmiały do granic wytrzymałości. Z kącika ust spływała mu biała piana. Najm przypomniał sobie sztuczkę, jakiej nauczo go w Dolinie Śmierci. Sięgnął ręką do podbrzusza brata i ze wszystkich sił zacisnął dłoń. Abdallah wrzasnął, ale tym razem z bólu. Puścił Golbudina i upadł na ziemię niczym zepsuta marionetka.

— No, idziemy! — rozkazał Najm. — Nic tu dziś nie wskóramy...

Abdallah na odchodnym obrzucił nienawistnym spojrzeniem Golbudina, który z trudem dochodził do siebie, zabrał „Maghreb Machrek” i masując podbrzusze niechętnie ruszył za Najmem.

Kiedy zeszedli na dół, odezwał się:

— Nie rozumiem cię, Najmie. Powinieneś pozwolić mi działać. Powiedziałby wszystko. Byłby nam posłuszny.

Najm zatrzymał się. Z politowaniem spojrział na brata, na jego naprężone mięśnie, na atletyczny tors. Spuścił głowę i powiedział:

— Nie, Abdallahu. W ten sposób nigdy nic z niego nie wydobędziesz... — Wziął z rąk Abdallaha egzemplarz „Maghreb Machrek” i dodał: — Myślę, że to, co tu napisano, ostatecznie przekona doktora Rilkego.

Benghazi, willa doktora Rilkego, w dwa dni później

Doktor Rilke uniósł ramię Golbudina i ustawił je pod kątem prostym do torsu pacjenta, a potem gwałtownie wypuścił.

Ręka Afgańczyka opadła wracając powoli do pozycji wyjściowej. Wówczas doktor powiedział łagodnym tonem:

— Pańskie ramię stało się nieczułe... już nie stanowi części pańskiego ciała... nie odczuwa bólu...

Gdy uznał, że stopień podatności Golbudina na sugestię jest wystarczający, sięgnął do owalnego stalowego pudełka po igłę długości

dziesięciu centymetrów i zaczął wbijać ją między jego kciuk a palec wskazujący.

Ostrze igły wywoływało przez kilka sekund drżenie Afgańczyka. Igła wbiła się w ciało, ale on nie przejawiał najłżejszej nawet reakcji. Ręka była jak martwa. Rilke wcisnął igłę na głębokość około dwóch centymetrów i wyciągnął ją usatysfakcjonowany. Wynik doświadczenia był niepodważalny. Golbudin osiągnął stan transu opisywany przez specjalistów jako „trans hipnotyczny”.

Dziś doktor Rilke zamierza! wdrzeć się jeszcze głębiej w podświadomość Golbudina. W żargonie somnologów kolejne etapy hipnozy nosiły nazwy lekkiego transu, średniego transu i głębokiego transu. Odpowiadają one coraz wyraźniejszym stadiom sztywności mięśni (katalepsji), amnezji posthipnotycznej, halucynacji słuchowych i wzrokowych oraz podatności na sugestię.

„Średni trans powinien wystarczyć — pomyślał doktor Rilke. ocierając krople krwi, które sączyły się z ranki na ręce Golbudina. — Kalzai stał się bardzo podatnym podmiotem”.

Poprzedniego dnia Najm Hawadi, „Lis”, przyszedł do niego z artykułem z „Maghreb Machrek”. Rilke szybko podjął decyzję. Błyskawicznie ocenił polityczną wagę technologii pozostającej wyłącznie we władaniu Stanów Zjednoczonych. W dodatku natychmiast odżył w nim instynktowny, prawie fizyczny strach przed „amerykańskim wrogiem”.

Odkąd w 1945 w Berlinie jego rodzina zginęła w pożarze spowodowanym przez amerykańskie bomby zapalające, trwał w przeświadczeniu, że „tam”, w Arizonie czy Teksasie, przygotowywano straszliwą broń, która zniweczy wysiłki państw socjalistycznych.

Dziś od niego tylko zależało, czy stosunek sił ulegnie zmianie, czy da bratnim narodom narzędzie do walki przeciwko Ameryce. W jego mocy leżało stworzenie swoistej przeciwwagi.

Rozwiązanie było proste, a nazywało się Golbudin Kalzai. Ten człowiek mógł udostępnić Libii technikę wytwarzania broni. Doktor Rilke postanowił zawładnąć umysłem Afgańczyka, pozbawić go wolnej woli, by uczynić zeń jedynie posłuszne woli Najma narzędzie. Choćby miało go to pogrążyć w szaleństwie... Znów odezwał się do Golbudina. Mówił teraz zniżonym głosem, jeszcze bardziej przekonywującym.

— Odbędziemy razem długą podróż... w krainę, gdzie nie będzie pana nękał strach ani lęk...

Afgańczyk pogrążył się w jeszcze głębszym stanie hipnozy. Mniej więcej co pięć minut doktor wstawał i zapisywał w karcie reakcje pacjenta. Na wypadek, gdyby Afgańczyk przejawiał zbyt gwałtowne

reakcje histeryczne, Rilke mu asystował Harun. Szybko osiągnęli fazę średniego transu. Ciało Golbudina stało się sztywne i twarde. Była to katalepsja.

— Ułóż go w niewygodnej pozycji — poprosił Haruna Rilke.

Golbudin nie drgnął, gdy pozostawiono go z rękami skrzyżowanymi z tyłu głowy i nogą podwiniętą pod tułów. Zachowywał tę pozycję, jakby nigdy nic. Doktor z zadowoleniem skinął głową.

— W porządku, Harunie. Ułóż go normalnie i przynieś dwie szklanki wody z kranu.

Doktor Rilke zasugerował Afgańczykowi z kolei, że poczuje zapach kawy i jaśminu i że będzie musiał wskazać, z której szklanki rozchodzi się woń kawy, a z której jaśminu. Harun ustawił szklanki trzydzieści centymetrów przed nosem Golbudina.

Ten zawahał się, potem powiedział słabym głosem:

— Po prawej kawa, po lewej jaśmin.

Doktor zapisał wynik doświadczenia w karcie i poprosił Haruna, by wyszedł. To, co miało nastąpić teraz, musiało pozostać tajemnicą. Nachylił się do ucha Golbudina i szepnął:

— Czy słyszy mnie pan?

Pacjent odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

— Dobrze... Zna pan człowieka nazwiskiem Najm Hawadi?

Golbudin potwierdził.

— To dobrze... Ten człowiek pana chroni... Przy nim nic panu nie grozi... Żadne czerwone wydmy... Żaden lęk... Niech pan powtarza za mną: „Żadnych czerwonych wydym. Żadnego lęku”.

Usta Afgańczyka usłuchały rozkazu lekarza.

— Świetnie — podjął Rilke. — Jeżeli zrobi pan tak, jak mówię, pańskie koszmary nigdy już nie powrócą. Uzyska pan spokój.

Wydobył z kieszeni bluzy kartkę, na której Najm napisał niebieskim atramentem jakieś słowo, odczytał je i powtórzył szeptem do ucha Golbudina.

— Dokładnie usłyszał pan to słowo — powiedział prostując się. — Kiedy Najm, TYLKO Najm, wypowie to słowo, usłucha go pan... Będzie to dla pańskiego dobra... Dla pańskiego ocalenia. Posłuszeństwo wobec Najma zapewni panu ochronę... nigdy już lęku, nigdy czerwonych wydym. Proszę powtórzyć.

Doktor kazał mu jeszcze dziesięciokrotnie powtarzać te słowa oraz hasło dające Najmowi władzę nad jego wolą. Potem wyszedł do Ogrodu, polecając Harunowi doprowadzić Afgańczyka do normalnego stanu.

Kiedy asystent zakończył pracę, Rilke wrócił do gabinetu, zmierzył

ciśnienie i puls Golbudina i zanotował wyniki w karcie. Nim pacjent odszedł, lekarz zadał mu pytanie:

— Jeszcze jedno... w której z dwóch szklanek znajdowała się kawa?

Golbudin spoglądał na niego zdumiony, nie rozumiejąc pytania.

Doktor Rilke uśmiechnął się usatysfakcjonowany: Afgańczyk nic nie pamiętał. Od tej chwili cała jego osobowość podda się woli Najma. Cała osobowość? Niezupełnie... Tylko jedna część jego podświadomości pozostała poza zasięgiem władzy Najma — pierwotny instynkt samozachowawczy... „Lis” nie będzie na przykład w stanie zmusić go do popełnienia samobójstwa. Był to ostatni wolny zakątek umysłu Golbudina. Przywiązanie do życia zostało uchronione. Walka Blut z Geist — krwi z duchem — była przyczyną głębokiej frustracji Rilkego. Wziął sobie za cel znalezienie skutecznego środka zniszczenia Blut, owej iskry oporu, która nie poddawała się kontroli jego wiedzy. Jego zdaniem nie było cienia wątpliwości, że pewnego dnia somnologia pozwoli wtargnąć w ludzką podświadomość i nakłonić jednostkę do wyrzeczenia się własnego życia. Zniknie wola życia i wszelki opór. Ludzie przemieniają się w rośliny, posłuszne każdemu skinieniu palca. Było to jedynie kwestią czasu...

Golbudin jechał przez Benghazi spokojny i odprężony, jak po każdym seansie relaksacyjnym. Czuł się nawet bardziej ożywiony i ufny niż zazwyczaj.

Na przystanku autobusowym przed uniwersytetem czekał na niego Najm. Kiedy podchodził do Afgańczyka, wyglądał jak lis, który zbliża się do swej ofiary.

Waszyngton, Biały Dom, 12 czerwca 1992

Kiedy prezydent usiadł, wszyscy zebrani poszli w jego ślady. Posiedzenie rozpoczęło się. Owe odziedziczone po administracji Reagana zebrania National Security Planning Group, Narodowej Rady Bezpieczeństwa, stały się prawdziwym rytuałem komitetu, w którego skład wchodził najbliższy współpracownik głowy państwa.

Obecni byli: sekretarz stanu Vince Kluntzmann, sekretarz obrony Robert Henberger, dyrektor CIA Zbigniew Laski, i dyrektor Office of Emergency Planning Robert Donovan. Rada była głównym organem w administracji Busha decydującym o strategii.

Wszyscy zauważyli zmęczenie prezydenta. Ciemny garnitur podkreślał bladeść jego twarzy. Na czole polityka, pomiędzy oczyma, wryły się trzy zmarszczki świadczące o zatroskaniu. Przygotowania

do wyborów prezydenckich nie przebiegały zbyt pomyślnie dla jego partii, dla republikańskiej Grand Old Party.

Dystyngowanym głosem absolwenta Yale prezydent podał temat dzisiejszego zebrania: Broń biologiczna, temat uderzająco aktualny.

Na stole pod jego splecionymi dłońmi leżała kartonowa teczka, a w niej dwustronicowy „President Daily Brief” — skrót najdelikatniejszych i w najwyższym stopniu tajnych informacji, dostarczany codziennie przez tajne służby. Otworzył teczkę, wyjął pierwszą stronę i odczytał:

Centralna Agencja Wywiadowcza. 25 lipca 1992.

P. eyes only (wyłącznie do wiadomości prezydenta).

Informacje z kraju:

1. Seria artykułów opublikowanych w „New York Daily Chronicles” i oskarżających laboratorium Transvia o spowodowanie śmierci dwójki Indian wywołała falę manifestacji ludności indiańskiej. FBI ocenia liczbę Indian zgromadzonych w miasteczku Racquette Point w Adirondack Mountains na dwa tysiące. FBI próbuje wyrzucić wpływ na lidera AIM, Jamesa A. Buffalo, znanego jako John Bull, by położyć kres manifestacjom.
2. Dwie partie pacyfistyczne zwołały 350 000 swych członków na demonstrację przed Białym Domem...

Prezydent ruchem powiek potwierdził tę ostatnią wiadomość. Jakżeby mógł przeoczyć tę odbywającą się za ogrodzeniem Białego Domu manifestację, której odgłosy niepokoiły go przez cały ranek.

Podjął lekturę.

Oba te ruchy — Future Without Fear (Przyszłość bez strachu) i Peace All Over the World (Pokój na świecie) — są zdaniem CIA bezpośrednio powiązane z amerykańską partią komunistyczną, a to poprzez osoby dwóch przywódców: Jima F. Coxa i Petera A. Abrahama. Domagają się zaprzestania wszelkich badań biologicznych w terenie. Demokraci nie przejawiają najmniejszej chęci przyłączenia się do manifestacji.

— Przynajmniej tyle — rzucił na głos prezydent.

Mówiąc to robił aluzję do czasów demokratycznej administracji Jimmiego Cartera, do 1976, kiedy to wybuchł skandal związany z przeprowadzanymi na ludności cywilnej doświadczeniami z bronią biologiczną, szczególnie zaś z owym upozorowanym atakiem biologicznym na San Francisco, dokonany ze statku pływającego po zatoce.

Bakteria rozpylona ze statku nazywała się *Serratia*. Uważano, że

jest wystarczająco osłabiona, by nie spowodować poważnych infekcji — tak przynajmniej twierdzili wówczas demokraci z administracji Cartera. Mimo to w miesiąc później stało się wiadomym, że w San Francisco jedenaście osób poważnie zachorowało w wyniku zakażenia odmianą *Serratii*, wywołującej ciężkie zapalenie płuc, *Serratia marcescens*...

Prezydent zastanawiał się przez chwilę, nim zwrócił się do sekretarza stanu, Kluntzmanna:

— Nie możemy pozwolić sobie na takie manifestacje na kilka miesięcy przed wyborami.

Kluntzmann skinął głową. Zrozumiał. Rozumieli się z prezydentem w pół słowa, jak stare małżeństwo. Dawny szef prezydenckiej kampanii wyborczej był człowiekiem systematycznym, jak cień towarzyszącym prezydentowi od czasów Yale aż po chwilę obecną, gdy jego skronie przyprószyła siwizna. Prezydent kontynuował ostrzejszym tonem:

— Wybory czy nie, nie może być mowy o narażaniu życia obywateli amerykańskich w związku z dobrze czy źle kontrolowanymi badaniami na mikrobach. Ograniczymy prowadzenie tych poszukiwań do dwóch wyspecjalizowanych ośrodków na terenie kraju — Center of Disease Control w Atlancie i Fort Detrick... Kluntzmann, postaraj się, żeby rzecznik wygłosił ten komunikat jutro o szesnastej.

Prezydent znów ujął kartkę i przebiegł ją wzrokiem.

Wiadomości ze świata: 1. Agenci naszego wywiadu i NRO (Narodowego Biura Wywiadowczego) wykryli w Uzbekistanie w miasteczku Podorsk katastrofę biologiczną, której nadano pozory manewrów wojskowych na wielką skalę. Niektóre źródła, dotychczas nie sprawdzone, sygnalizują chorobę podobną do dżumy.

Prezydent aż podskoczył.

Nie ma jak dotąd żadnej, ani oficjalnej, ani nieoficjalnej reakcji, sowieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Prezydent rzucił Zbigniewowi Łaskiemu pytające spojrzenie. Szef CIA doskonale je zrozumiał. I on także od lat należał do otoczenia głowy państwa.

„Zbig” usiłował go uspokoić.

— TO wszystko, czego dowiedzieliśmy się do tej pory, panie prezydencie. Sytuacja pozostaje pod kontrolą.

„Pod kontrolą” było ulubionym określeniem „Zbiga”, określeniem, które wprowadzało z równowagi Henbergera, sekretarza obrony.

Henberger pozwalał sobie nawet, naturalnie na gruncie prywatnym, nazywać Łaskiego mitomanem, który trwa w przekonaniu, że wszystko kontroluje. I z przyjemnością skorzystał z okazji, by spłatać mu figla.

— Dziś wiemy już na ten temat znacznie więcej, panie prezydencie — powiedział.

Dał znak i za ich plecami rozwinął się ogromny ekran. Przyciemniono światło. Wstał, trzymając w ręce teleskopowe pióro.

Na ekranie ukazał się pierwszy obraz. Na górze lśniły cyfry daty: 3 czerwca 1992. Było to zdjęcie, które Moses, szef NSA, pokazał Henbergerowi i jego zastępcom przed kilku dniami. Sekretarz obrony powiedział zebranym, co utwierdziło go w przekonaniu, że manewry wojskowe są kamuflażem katastrofy biologicznej. Otóż doszedł do tego widząc buldożery zrywające asfalt z drogi i ludzi posuwających się za nimi ze sprzętem gaśniczym, który użyty został do polewania lateksem. Tak jak przed trzynastu laty w Swierdłowsku.

Prezydent zdawał się w pełni doceniać przenikliwość analizy dokonanej przez sekretarza obrony. Henberger poprosił o następne zdjęcie, na którym miasteczko Podorsk wyglądało zupełnie zwyczajnie. Fotografia opatrzona była datą 12 kwietnia

Wkrótce wyświetlono trzeci obraz. Nosił datę 20 maja 1992. Nie przedstawiał już miasteczka, lecz niebieskawą wstęgę, która przecinała brunatną płaszczyznę.

— Co to takiego, Henberger? — zapytał prezydent lekko zniecierpliwionym głosem.

— Niebieska wstęga to rzeka Amu-daria. A mała biała plamka, tu... — końcem teleskopowego pióra wskazał punkt na ekranie — to statek. Obejrzyjmy statek w maksymalnym powiększeniu.

Na ekranie pokazał się „Brześć Litewski”. Mimo ziarnistości obrazu można było dojrzeć komin wypływający kłęby czarnego dymu. Cysterny na tylnym pomoście oraz dwóch techników w maskach i kombinezonach. A także obłok, który rozsiewały strażackie sikawki.

— To ta chmura — podjął Henberger — spowodowała prawdopodobnie zakażenie miasteczka. Moje służby sprawdziły, jakie panowały wtedy warunki meteorologiczne. Wiatr wiał z kierunku południowego, potem, po pięciu dniach, zmienił się na północny i północno-zachodni... Mamy prawdopodobnie do czynienia z zamierzonym eksperymentem, z celowym zakażeniem ludności cywilnej bronią biologiczną!

Znów rozbłysło światło. Wszyscy byli wstrząśnięci. Henberger z zadowoleniem zauważył, że Łaski jest jeszcze bardziej przytłoczony niż inni. Przyczynę jego przygnębienia nietrudno było odgadnąć.

Przed chwilą Henberger błysnął przed prezydentem, spychając Łaskiego na drugi plan. Ciszę, która ogarnęła zgromadzonych, przerwał sekretarz stanu Kluntzmann.

— Sądzę, że nic nie da się zrobić — powiedział. — Jeżeli rozpętamy skandal, oni — Kluntzmann miał na myśli Sowietów — nie omieszkają poruszyć afery Transvii... Obie strony doskonale wiedzą, że broń tego rodzaju jest udoskonalana. I od piętnastu lat trwa status quo, taktyczna ugoda. No, może raz, w Genewie, oskarżyli nas o wypuszczenie z laboratoriów AIDS...

— Właśnie — przerwał zdecydowanie prezydent. — Pojawiła się świetna okazja, by wystąpić z inicjatywą zawarcia międzynarodowej umowy w sprawie broni biologicznej. To pomoże nam w oczach opinii publicznej, a więc — poprawi sytuację wyborczą. Oto co proponujemy: identyczny system kontroli jak dla broni chemicznej. Całkowita jawność... głośność!

Prezydent zamknął zebranie uśmiechem, jakiego nie widziano u niego od dawna, nawet na gruncie prywatnym.

Uniwersytet w Benghazi, pięć tygodni później, 19 lipca 1992

Mikroorganizmy, które Golbudin oglądał powiększone 500 tysięcy razy pod uniwersyteckim elektronowym mikroskopem skaningowym, stanowiły unikalny w świecie byt biologiczny.

A oto jak powstały.

Drobnoustrój przypominał nieco kartofel, może trochę wydłużony. Każdy godzien tego miana mikrobiolog bez chwili wahania rozpoznałby charakterystyczny kształt i wielkość *pox-virus officinalis*, wirusa stosowanego do szczepień przeciwko ospie.

Wirus, który tkwił w plazmie przed oczyma Golbudina, stanowił dokładną kopię tego, którego używano do szczepienia milionów osób na całym świecie. To szeroko zakrojone przedsięwzięcie, które kosztowało nieco ponad 350 milionów dolarów, definitywnie starło wirus z powierzchni globu ziemskiego, co było jedynym tego rodzaju sukcesem w dziejach ludzkości. Po wielu latach zaciętych, uporczywych zmaganiach WHO, Światowa Organizacja Zdrowia, oznajmiła 8 maja 1980 roku ostateczne zwycięstwo nad ospą na Ziemi.

Był to niepodważalny dowód pełnej skuteczności szczepień w walce z infekcjami wirusowymi.

Szczepienie to jedyny skuteczny, ale tylko zapobiegawczy środek przeciwko wirusom. Polega na wstrzyknięciu do ludzkiego organizmu

wirusa martwego lub osłabionego. Organizm reaguje natychmiast wytwarzając swoiście przystosowaną broń do walki z tym właśnie wirusem. Bronią tą są tak zwane przeciwciała. Skoro więc wirus, identyczny jak ten, który wstrzyknięto ze szczepionką, zaatakuje ponownie, wytworzone przez organizm komórki-zabójczynie rozpoznają go i dzięki specjalnie przystosowanym przeciwciałom unicestwiają, nim zdąży przeniknąć do komórek organizmu.

Niestety, istnieje pewna luka w pancerzu ochronnym, pewna wada systemu obronnego organizmu ludzkiego —jest to zbyt powierzchowny sposób, w jaki komórki-zabójczynie identyfikują wirus. Działają trochę tak, jak kiepscy policjanci: rozpoznają wirus jedynie po jego białkowej osłonce, którą nosi niczym palto. Ale — podobnie jak u ludzi — najbardziej liczy się to, co pod paltem, nie zaś palto samo w sobie.

Rozważmy przykład takiej komórki-zabójczynie, która zapamiętała, że pewien wirus „ubrany” jest w czerwone palto. Jeżeli ten sam wirus pojawi się ponownie w palcie innego koloru, powiedzmy — niebieskim, komórka owa nie rozpozna go i przepuści. A przecież mamy do czynienia z TYM SAMYM wirusem, z tą samą siłą rażenia, często śmiertelną...

Świetnie ilustruje to zjawisko przykład grypy. Każdej zimy wirus grypy typu A ulega paru niewielkim modyfikacjom. Zmiana dotyczy pewnych detali w wyglądzie palta. Z tego właśnie względu fakt, iż dana osoba została zaszczepiona, nie chroni jej od zarażenia podtypem wirusa. Biologowie i epidemiolodzy obawiają się radykalnej zmiany palta wirusa grypy. Nazywają to mutacją wirusa. W ten sposób hiszpański szczep wirusa grypy spowodował dwadzieścia milionów zgonów między 1918 a 1919 rokiem. Dwadzieścia milionów zmarłych! Grypa hiszpańska zabiła więcej ludzi niż I wojna światowa... I nikt do dziś nie potrafi przewidzieć jej powrotu, który z pewnością wywoła nową pandemię. Epidemiię w skali świata.

Golbudin wykorzystał wszystkie bez wyjątku ułomności systemu obronnego ludzkiego organizmu. Za pośrednictwem uniwersyteckiej apteki bez trudu zdobył szczepionkę przeciwko ospie. Była to hodowla wirusów osłabionych pochodzących ze szczepu moskiewskiego.

Wirus mierzył 300 nanometrów, był więc jednym z największych żyjących wirusów. Jego niezwykle rozmiary ułatwiły Golbudinowi dokonywanie na nim

Afgańczyk przeprowadził na osłabionym wirusie ze szczepionki trzy proste operacje. Najpierw uczynił go nierozpoznawalnym, „przebierając” w nowe palto, następnie przywrócił mu wirulencję i wreszcie za pomocą trzeciej manipulacji przyspieszył zdolność reprodukcji,

działając tym razem we wnętrzu wirusa. Na poziomie kodu genetycznego.

W ten sposób zdołał pięćdziesięciokrotnie zwiększyć szkodliwość wirusa. Na przeprowadzenie całej operacji potrzebował nieco ponad miesiąc skrupulatnej pracy. Jedynymi niezbędnymi narzędziami były wirówka i paleta około dziesięciu enzymów, które posłużyły do bardzo precyzyjnego zaprogramowania nowej postaci wirusa ospy.

Dokonując wyboru materiału do stworzenia potężnej broni biologicznej, nie bez powodu zdecydował się na ospę. Od początku lat osiemdziesiątych w większości państw faktycznie zniesiono obowiązek szczepień przeciw tej chorobie. Na wypadek jej ponownego pojawienia się zmagazynowano w Genewie w Szwajcarii i w New Delhi w Indiach 250 milionów dawek zakonserwowanej szczepionki.

Ale nowy wirus ospy, uzyskany w efekcie manipulacji Golbudina, wymykał się wszelkiej obronie i szczepieniom.

Z tego powodu osoby wcześniej szczepione przeciwko ospie, a mające powyżej 17 lat, nie zdołają obronić się skutecznie przed „przebrany” wirusem. Ich organizmy zostaną szybko pokonane przez nowego agresora. Śmierć stanowić będzie ucieczkę przed nierówną walką w 70 procentach przypadków. Inni, mający poniżej 17 lat, będą chorować jeszcze ciężiej, nie rokując nadziei na wyleczenie.

Jeżeli choroba potrzebowałaby okresu inkubacji trwającego od 10 do 12 dni u osób wcześniej szczepionych, jest pewne, że u najmłodszych rozwinie się w sposób gwałtowny, w niecały dzień, czasem nawet w ciągu kilku godzin.

Golbudin spoglądał chłodno na tę mierzącą zaledwie kilka mikronów maszynę do zabijania, którą powołał do życia. Zastosował kilka elementarnych środków ostrożności wobec tego mikroskopijnego zabójcy: gumowe rękawiczki oraz maskę osłaniającą usta i nos. Jednak prawdziwe zabezpieczenie stanowił flakonik z serum, uodparniającym go na dość krótki, kilkudniowy okres. (Serum jest to koncentrat „komórek-zabójczyń” wyposażonych w broń specjalnie skonstruowaną do niszczenia konkretnego wirusa. Jest to rodzaj superpolicji, wzywanej w razie pojawienia się przeciwnika zbyt silnego dla policji lokalnej).

Afgańczyk wziął pipetę, uniósł ją do ust, a potem ostrożnie, powoli wciągnął zawiesinę komórek, w której znajdował się jego wirus, i wszczepił ją w szereg zapłodnionych kaczych jaj. Jaja te stanowiły w pewnym sensie jego fabrykę biologiczną. Jego maszyny do produkcji wirusa.

Znużony, z naznaczoną zmęczeniem nie przespianych nocy twarzą,

ściągnął rękawiczki i maskę i rzucił je do niewielkiego pieca, a potem opuścił laboratorium, udając się do Najma, który oczekiwał go siedząc na krześle w korytarzu.

— No i co? — zapytał „Lis”, rzucając ledwie zaciętego papierosa na podłogę zastaną już masą niedopalków.

Golbudin milczał. Czuł się wyczerpany. „Lis” uparcie powtórzył pytanie. Jakaś przemożna siła nakłoniła Golbudina do udzielenia mu odpowiedzi. Mimo zmęczenia, mimo senności po trzech nocach spędzonych w laboratorium, wybełkotał:

— Skończyłem. Powstał wirus.

Na twarzy „Lisy” pojawił się wyraz satysfakcji. Oparł rękę na ramieniu Golbudina.

— Gzy będziesz gotów na jutrzejszy wieczór?

Golbudin przytaknął skinieniem głowy.

— A więc do zobaczenia jutro wieczorem — powiedział Najm chcąc odejść, ale Golbudin przytrzymał go za rękaw.

— Najmie...

— Słucham?

— Zanim wyjedziemy, powinieneś zabezpieczyć się przed wirusem. Serum...

Najm zawahał się. Przez moment ogarnęła go obawa. Ale Golbudin sprawiał wrażenie szczerego. Czyż w końcu dzięki zastosowanej przez doktora Rilkego sugestii Golbudin nie był pod jego, Najma, wpływem?

„Lis” już miał się zgodzić na wstrzyknięcie serum, kiedy opadły go wątpliwości. A jeżeli Golbudin maskował swą grę? Czy dokonane na jego umyśle operacje Rilkego były całkowicie pewne? Może Golbudin chciał go w ten sposób zabić... Postanowił być ostrożny. Pokręcił głową.

— Nie trzeba — oparł dłoń na ramieniu Golbudina. — Odpocznij, prześpij się trochę.

Golbudinowi zaciążyły powieki, osunął się na stare krzesło. Zasnął w okamgnieniu.

Za oszklonymi drzwiami, w monotonnym szumie aparatury laboratoryjnej tysiące wirusów wdzierały się do komórek kaczych jaj, które szybko pękały rozsadzane przez błyskawicznie namnażające się mikroorganizmy. Infekcja wirusowa bowiem dokonuje się w postępie geometrycznym — coraz większa liczba wirusów atakuje coraz większą liczbę komórek.

W piorunującym tempie.

5. Pierre

Serce żądne życia i uwięzione w konającym zwierzęciu.

W. B. Yeats

Moskwa, Arbat

Ogień ogarnął lędźwia Miki. Trwał tak przez wieczność, obejmując biodra Tani, aż wreszcie otworzył oczy.

Tania.

Miała półprzymknięte oczy, a kiedy zatracala się w jego ramionach, po jej wargach błąkał się uśmiech świadczący o wewnętrznym zadowoleniu. Twarz Tani była promieniejącą miłością i czułością twarzą dziecka, a ciało „wyrzeźbionym do miłości” ciałem kobiety, jak lubił powtarzać Mika, nie zdając sobie nawet sprawy, jak bliski jest

Była jakby dla niego stworzona. Jego ręce potrzebowały wypukłości jej piersi, jego usta pożyły dotyku jej warg.

Teraz ona z kolei uniosła powieki i zatopiła spojrzenie czarnych wyrazistych oczu w jego oczach. Uśmiechnęła się usatysfakcjonowana, musnęła go wargami i poszła do łazienki. Namiętność ogarnęła ich nagle, gdy stali oparci o ścianę. Bluzka Tani rozpięła się. Piersi, pełne i ciężkie niczym dojrzale w słońcu owoce, kołysały się łagodnie w tanecznym rytmie jej ruchów.

Zamknęła za sobą drzwi i Mikę dobiegł szum prysznic. Rozebrał się i wprawnym ruchem włożył kasetę do magnetofonu Sony. W pokoju rozbrzmiały nieokielznane improwizacje pianistyczne Jelly'ego Roll Mortona. Wyciągnął się nagi na łóżku i wpatrując się w zawieszoną na ścianie litografię Salvadora Dali, pozwolił, by ukołysał go rytm muzyki.

Obraz, z którego wykonano tę litografię, nazywał się *Sześć zjaw Lenina przy fortepianie*. Był to wielki Dali, oniryczny, niepokojący Dali. Przedstawiał pusty, raczej mroczny pokój. W tym pokoju

siedział siwy mężczyzna. Na prawym ramieniu miał białą opaskę, na której wymalowane były dwie wiśnie, a do jego marynarki na plecach przypięta była woalka. Na wprost niego stał otwarty fortepian. Na nim leżała partytura, ale z pustymi kartkami — wszystkie nuty ześliznęły się w dół niczym grupka czarnych mrówek. Unosząc się nad klawiaturą z gracją małych błędnych ogników, sześć oblicz Lenina w wersji oficjalnej następowało po sobie według wielkości. W przeciwnym końcu pokoju widać było otwarte drzwi. Przez nie dostrzec można było nieco przestrzeni i powietrza. Powietrze owo wydawało się czyste i kolorowe — było powietrzem nadziei i wolności...

Mika otworzył oczy.

Tania leżała nago obok niego. Musiał zdrzemnąć się na chwilę. Jej oczy spoglądały na niego z taką spokojną pewnością, która stwarzała wrażenie, że kobieta nigdy nie wąpi. Paliła amerykańskiego papierosa, dunhilla.

— Miko?

Wyciągnęła się obok niego, opierając głowę na jego torsie.

— Co takiego? — zapytał, wsuwając rękę w jej gęste, jeszcze wilgotne włosy.

— Opowiedz mi...

— Co mam ci opowiedzieć?

— Wszystko... kogo kochałeś, jak żyłeś, nim spotkałeś mnie... o wojnie, o tym, co przecierpiałeś...

Musnęła palcem bliznę w kształcie gwiazdy na lewym biodrze Miki.

Opowiadał. Czy raczej — próbował opowiedzieć. Trudno było opisać mdły i odpychający zapach śmierci, który towarzyszył mu przez te lata w Afganistanie. Trudno było wyrazić podłość i cynizm ludzi żyjących w napięciu i strachu. W duszach weteranów wojny afgańskiej jątrzyło się, niczym otwarta rana, wspomnienie okrutnych i krwawych potyczek, chwil załamania i panicznego strachu.

— Pewnego dnia... — wolno mówił Mika — do obozu przy prowadzono dwóch Afgańczyków. Podejrzewano, że są to basmacze, partyzanci. Działo się to po serii potyczek, w których straciliśmy przyjaciół, kolegów... Przez całą noc wylewaliśmy na tych dwóch ludzi gorzyc przepełniającą nasze serca... Ja sam bijąc ich, chciałem zadać jak największy ból. Jeden z nich nie dożył świtu. Drugi ośleplł i ledwie oddychał. Wtedy właśnie dowiedzieliśmy się, że byli to dwaj niewinni cywile...

Mika milczał przez chwilę, wpatrując się w błękitny dymek jej papierosa. Przymknęła oczy i słuchała go.

— Później... wiele miesięcy potem, stało się jeszcze coś, o czym nie

zapomnę do końca życia. Byliśmy w Faizabadzie i posuwaliśmy się z trudem w głąb płaskowyżu. Nagle partyzanci zaczęli ostrzał. Przez godzinę leżeliśmy plackiem na ziemi... Basmacze zbliżali się... Sytuacja była tak napięta, że odbezpieczyłem już granat, żeby nie dać wziąć się żywcem... Przez trzy godziny trzymałem go w garści, gotów w każdej chwili wysadzić się w powietrze. Ale śmierć nie chciała zabrać mnie tego dnia...

Opowiedział Tani również, jak dla niego wojna dobiegła kresu — opowiedział jej o potyczce swej dywizji w Dolinie Panshir. Pasma odgłosów i obrazów przesuwano się przez jego pamięć: wybuchy pocisków przed ciężarówką, w której siedział, pierwszą ciężarówką konwoju; fala płomieni, które ogarnęły kabinę; agonialne drgawki Rubłowa, jego adiutanta, który osunął mu się na kolana i patrzył niedowierzającym i już pustym wzrokiem; krzyki żołnierzy biegnących jak żywe pochodnie i usiłujących wymknąć się okrutnej śmierci pod gęstą ostrzał basmaczów; a potem gorąca ciecz, która zalała mu twarz, i ten ból, który rozdzierał biodra i podbrzusze.

Pamięć podesunęła mu wspomnienie chirurga, który oddał mu, niczym święte relikwie, dwa duże odłamki pocisku, każdy długości piętnastu centymetrów. One właśnie wbiły się w jego biodro.

— Zachowałeś je? — zapytała Tania.

Mika pokręcił głową.

— Nie. Niepotrzebne mi relikwie. I tak o tym pamiętam. Pozostał mi ból. I on o mnie nie chce zapomnieć. Jak wierna kochanka...

Tania uśmiechnęła się. Bezwiednie powiodła palcem po obrysie rany.

— A Afgańczycy? Tam... poznałeś Afgańczyków?

— Nie... tam nie, ale tutaj. Znałem dobrze Afgańczyka, który studiował w Moskwie i był moim przyjacielem. Zbliżyło nas *go*. Od tego czasu stał się doskonałym graczem.

Tania słuchała z zapartym tchem. Informacje, których udzielił jej Gustaw Ottermeyer, radca Ambasady NRD w Moskwie, okazały się prawdziwe. Ottermeyer utrzymywał, że Mika zwrócił się do niego z prośbą o przyznanie wschodniemieckiego paszportu Afgańczykowi, który musiał uciekać z kraju.

— Jak nazywał się ten przyjaciel?

— Golbudin.

— To on jest na zdjęciu?

Na nocnym stoliku Miki stała oprawiona w ramkę biało-czarna fotografia przedstawiająca Mikę i Golbudina skupionych nad *go-banem*, na ulicy. Mijający ich przechodnie przyglądali się im

z zaciekawieniem. Działo się to na Arbacie, tuż obok domu Miki. Tego dnia spotkali się po raz pierwszy.

Mika przyznał, że to właśnie jego afgański przyjaciel.

— Ale jak brzmi jego nazwisko? — zapytała Tania.

Zamknął się w sobie.

— Czemu jesteś taka ciekawa?

Uwolniła się gwałtownie, poderwała i usiadła na skraju łóżka. Patrzył, jak szuka w torebce papierosów. Płomyk zapalniczki oświetlił jej twarz w mroku, który ogarnął pokój. W jego żółtym blasku Mika dostrzegł wyraz goryczy na jej ustach.

W pokoju zapanowała cisza. Zamilkły czyste dźwięki pianina Jelly'ego Roli Mortona. Chwilami w ciemnościach rozżarzał się mocniej koniec papierosa. Mika słyszał tylko oddech Tani, wyrzucającej z siebie kłęby dymu. Raczej odgadywał, niż widział, zarysy jej ciała, profil piersi, krągłość bioder, wypukłość brzucha.

Nieodparte pożądanie owładnęło nim na nowo. Przyciągnął ją i przytulił jędrne, gładkie ciało.

Na morzu, na wysokości Tangeru, 22 lipca 1992

Uptywał drugi dzień, odkąd mały statek towarowy „Juliana” wyruszył z Trypolisu, mając na pokładzie, poza kapitanem, Francuzem nazwiskiem Pierre Tisserand, oraz jednym członkiem załogi, trzech nielegalnych pasażerów: Golbudina i dwóch braci Hawadi, Najma i Abdallaha.

„Juliana” była trampem, włóczykijem marynarki handlowej, biorącym towary skąd się dało. Historia tego niewielkiego transportowca o długości 40 metrów i 3000 tonażu związana była z nie spełnionymi pasjami dawnego kapitana marynarki holenderskiej, Paula van Uitengaarta, potomka francuskich hugenotów, śniącego o poszukiwaniu zatopionych w morzu skarbów.

W 1968, po trzydziestu latach pracy, van Uitengaart uciułał dość grosza, by odkupić mały transportowiec od Nowozelandzkiej Spółki Okrętowej. Pierwszym jego odruchem było ochrzcić statek imieniem „Juliana”, przez wierność wobec korony. Butelka szampana ledwie rozbiła się o burtę „Juliany”, a czterdziestopięcioletni van Uitengaart przystąpił już do wyposażania swego statku w sprzęt nieodzowny łowcy skarbów: skafandry pletwonurków, specjalne sonary, detektory metali, a nawet miniaturowe łodzie podwodne „Jason-junior”. Wszystko to za sumę dwóch milionów dolarów. Dość powiedzieć, że van Uitengaart był prawie zmuszony zbić fortunę, by pokryć wszystkie długi.

Przygotowania trwały dwa lata.

Trzeba było następnie zebrać załogę i jak najszybciej wyruszyć na spotkanie skarbu, o którym śnił od lat: legendarnego galeonu hiszpańskiego „Concepcion”, zatopionego w 1622 podczas burzy i spoczywającego gdzieś na dnie turkusowych wód Morza Karaibskiego, a dokładniej — według jego obliczeń — ledwie o kilka mil od strefy wód terytorialnych Republiki Dominikany.

Takie przedsięwzięcie mogło powieść się tylko przy udziale doświadczonych pletwonurków. Zatrudnił dwóch najlepszych ekspertów z Comexu, którzy pokazali, co potrafią na platformach wiertniczych Shella. Do ekipy dołączył trzeci pletwonurek, którego umiejętności były także na najwyższym poziomie. Pracował od pięciu lat w Woods Hole Oceanographic Institute w Massachusetts.

Do trójki ekspertów van Uitengaart dokooptował włoskiego kucharza, wielbiciela opery lirycznej i specjalisty od „pasta asciutta”, oraz dwóch ludzi „do wszystkiego”.

8 października 1975 roku „Juliana” wypłynęła z Hagi, biorąc kurs na Bordeaux, gdzie przewidziano trzydniowy postój w porcie przed przepłynięciem Atlantyku. Wówczas właśnie van Uitengaart spotkał tego, którego do końca życia nazywał „Francuzem” — Pierre’a Tisseranda, swego przybranego syna.

Pierre miał wtedy dwadzieścia jeden lat. Był niezbyt wysoki, miał poniżej metra osiemdziesięciu, ale cała jego postać roztaczała swoistą aurę siły. Był to prawdziwy chwyt, jak mawiano w górzystej Żyrondzie, gdzie wyrósł mocny i rozłożysty niczym krzewy winorośli.

Kiedy spotkał kapitana van Uitengaarta, pracował jako doker w porcie w Bordeaux. Zawód dokera nie był dla Pierre’a powołaniem, nie, był raczej formą ucieczki od szarości, która zasnęła jego dzieciństwo. Pomiędzy ciemnymi sylwetami statków czy też spoglądając z jednego z ogromnych portowych żurawi marzył o Afryce i Ameryce.

W Jonzac, gdzie się urodził i gdzie jego rodzice mieli niewielką posiadłość, nie miał już nic do roboty. Jego dwaj starsi bracia stanowili wystarczającą pomoc w uprawie pięciohektarowej winnicy. Po tych wszystkich latach, które przeżył w poczuciu własnej totalnej bezużyteczności, Pierre odbył w Prowansji, w Tarascon, służbę wojskową. Po powrocie zrozumiał, że nie znajdzie w sobie dość sił, by ciągnąć taką egzystencję. Postanowił wyjechać gdzieś daleko, za granicę. Tam przynajmniej będzie mógł spróbować szczęścia. Wyczytane ze starej mapy dziadka nazwy o baśniowym brzmieniu przez całe dnie podsycaly jego marzenia o przygodzie: Baja, Kalifornia, Wyspy Galapagos, Morze Jawajskie...

Nic więc dziwnego, że jego pierwszym krokiem było zbliżenie się do statków. W porcie Bordeaux przyjął pracę, jaką mu zaoferowano. W ten sposób doszło do spotkania z van Uitengaartem. Kiedy „Juliana” zawinęła do Bordeaux, Pierre od razu poczuł, że chce na niej pływać. Spędził dwie noce wsparty o cynkową ladę portowego szynku, słuchając opowieści o przygodach pletwonurków z „Juliany” — o tym, jak nurkowali w czasie burzy w Morzu Północnym na głębokości trzystu czy czterystu metrów, jak ciągle groziło im niebezpieczeństwo, a czasami śmierć.

Pierre zaproponował, że popłynie z nimi. Nie wiedział dokąd. Nurkowie zachowali w tajemnicy cel swej podróży. Uitengaartowi chłopak przypadł do gustu. W jego oczach miał dwie poważne zalety — przede wszystkim był Francuzem, tak jak wspaniali hugenoccy przodkowie kapitana; poza tym zaś przejawiał to samo pragnienie podróży, które i jego tak długo nie opuszczało.

Van Uitengaart zgodził się. Pierre wyruszył z nimi jako pomocnik kucharza. Jego zadanie polegało w gruncie rzeczy na słuchaniu i zachwycaniu się donośnymi wokalizami włoskiego kucharza. Bez cienia żalu opuszczał spowite zimną jesienną mgłą Bordeaux. „Juliana” wzięła kurs na Karaiby.

Ekspedycja okazała się totalnym fiaskiem finansowym, chociaż odnaleźli „Concepcion” i wyciągnęli z niej dwie tony srebrnych monet. Nie miały one jednak praktycznie żadnej wartości numizmatycznej...

To była klęska.

Bankierzy przycisnęli van Uitengaarta do muru. Holenderski kapitan zmuszony był rozstać się z trzema pletwonurkami i z najcenniejszym sprzętem. Pierre został ze starym wilkiem morskim. Pisane im było nigdy się już nie rozstawać.

Mimo wyprzedaży większej części dóbr, van Uitengaart miał jeszcze 400 tysięcy dolarów długu. Zaczynały się lata harówki. Przez trzy lata wraz z Pierre'em przewoził cebulki tulipanów, mieczyków i lilii z Holandii do Stanów Zjednoczonych. Ponad trzydzieści razy w ciągu roku pokonywali drogę z Hagi do Nowego Jorku.

Potem, pozbywszy się długów, „Juliana” zakotwiczyła u wybrzeży Korsyki, gdzie Pierre, wówczas już wyśmienity nurek, oraz van Uitengaart przez rok poławiali perły. Następnie odpłynęli w kierunku Karaibów, dokąd ciągnęło ich dawne marzenie o zatopionym galeonie, który dałby im fortunę.

To tam, w pobliżu archipelagu Wysp Dziewiczych, a dokładnie nurkując w cieśninie Anegada, van Uitengaart umarł na zator płuc. Pierre przez trzy godziny walczył o życie kapitana. Nic jednak nie dało

się zrobić. Czuł się, jakby stracił ojca. Wyprawił mu pochówek godny marynarza. Owinął ciało w białe płótno, włożywszy kapitanowi Biblię w ręce. Za moglię miała posłużyć van Uitengaartowi rafa koralowa, za grabarzy — dwudziestka białych rekinów.

Kapitan pozostawił „Julianę” Francuzowi. Pierre wrócił do Bordeaux, skompletował załogę, angażując garstkę solidnych ludzi i zabrał się za tramping — przewożenie ładunku z miejsc, w których się znajdował.

Tak to „Juliana” znów przez parę lat przewoziła cebulki. Potem Pierre miał i innych klientów, i inne towary z różnych krajów i nie wahał się przewozić ukrytych pasażerów, bo to pozwalało mu na amortyzację kosztów eksploatacji „Juliany”, sięgających trzech tysięcy dolarów dziennie. Toteż kiedy Wazir el-Chemali, zajmujący się w „Maliku” logistyką, zwrócił się do Pierre'a z prośbą o przewiezienie do Nowego Jorku trzech nielegalnych pasażerów za kwotę dwudziestu tysięcy dolarów, ten zgodził się bez wahania. Nie stawiał też żadnych pytań. I tak miał właśnie płynąć do Nowego Jorku, gdzie czeka! Ładunek do Portugalii.

* * *

Zapowiadano szkwał o sile 7 stopni. Nacierał z zachodu, kierując się w stronę atlantyckich wybrzeży Hiszpanii i Francji. Pierre wiedział z doświadczenia, że „Juliana” będzie mocno kołysała po przejściu przez Cieśninę Gibraltarską.

Morze zmieniło się. Gładkie zielone lustro, po którym żeglowali przez dwa pierwsze dni, powoli przeistoczyło się w szarą, złowrogą masę. Wiatr wzmógł się i „Juliana” tańczyła na sinych falach jak korek.

Golbudin nie wytrzymał długo tego szamotania. On, który znał tylko stały ląd — afgańskie góry i moskiewskie równiny — bardzo źle znosił to płynne otoczenie, owe góry wody, które miały „Juliana” niczym zagubionym źdźbłem słomy.

Stek, który zjadł na obiad, wylądował w morzu. Golbudin z wytrzeszczonymi oczyma zwiślał przez burtę. Pierre'a ogarnęła litość. Wiedział, że mdłości to ohydne uczucie. Dał Afgańczykowi parę pastylek, które wywołały senność. Wycieńczony wymiotami Golbudin z trudem dowlóknął się do koi i zapadł w trwający aż do wieczora półsen.

Ledwie usłyszał, jak Najm i Abdallah wracają do kabiny po kolacji, którą zjedli z Pierre'em. Bracia rozmawiali o nim. Wyraźnie podniecony Abdallah tłumaczył coś głośno, Najm próbował uspokoić go łagodnym tonem. Golbudin usiłował otrząsnąć się z otępienia, żeby zrozumieć, co mówią.

— Nie jest nam już do niczego potrzebny — mówił Abdallah.
— Ciii! — syknął Najm. — Może usłyszeć.
Golbudin poczuł na twarzy ciężki oddech. To Abdallah sprawdzał, czy śpi.
— Śpi — powiedział prostując się.
Golbudin usłyszał, jak haustami pije wodę.
— Najmie, nie potrzebujemy go — ciągnął. — To szaleniec. Na nic się nie przyda.
Jego... produkt jest już gotowy. Możemy go zabić.
Golbudinowi serce waliło jak schwytanemu w pułapkę zającowi, a Abdallah napierał:
— Najmie, co masz zamiar zrobić z tym facetem?
Przez chwilę panowała cisza, potem w kajucie, do której dochodziły tylko stłumione odgłosy maszyn i szalejącej nad morzem wichury, rozbrzmiał głos Najma:
— Zabijemy go, Abdallahu. Ale jeszcze nie teraz. To on stworzył wirus i tylko on potrafi go użyć... Zabijemy go... ale dopiero wtedy, kiedy zemścimy się na Wielkim Szatanie.
Golbudin zagryzł wargi, by nie krzyknąć.
Mówili, że go zabiją. ŻE GO ZABIJĄ. Chcieli go zgładzić i gdy sobie to uzmysłowił, pewna sfera jego podświadomości — sfera, której Rilke nie mógł osiągnąć — zbuntowała się. Instykt samozachowawczy. Nadrzędna wola życia podpowiadała mu, żeby uciekł, żeby wziął z „Juliany” łódź ratunkową i wymknął się. To była spontaniczna reakcja jego ciała.
Głowa jednak mówiła co innego. „Mahdi, chodź ze mną na statek. Odbędziemy podróż” — rozkazał „Lis”. „Mahdi”... Temu rozkazowi poddawała się jego wola, ten rozkaz zmuszał go do pozostania na statku, do pozostania z „Lisem”.
Zwrócony twarzą do ściany, Golbudin usiłował zebrać myśli, miotany falą sprzecznych uczuć. Rozkaz brzmiał — iść za Najmem na statek. Wola przeżycia podpowiadała — opuścić Najma, który chce jego śmierci. Głos życia walczył ze sparaliżowaną przez doktora Rilkego i przez rozkazy Najma wolną wolą.
Był bliski szaleństwa. Czuł, jak jego rozum ogarnia wahanie i rozterka niczym płomyk dogasającej świecy. W końcu górę wziął instykt życia. Powziął decyzję. Trzeba było ratować własną skórę. Pozbyć się tych, którzy zamierzali go zgładzić. Zabije braci jedyną bronią, jaką dysponował i którą umiał się posługiwać: wirusem, swoim WIRUSEM.
Przez większą część nocy leżał z szeroko otwartymi oczyma, czekając świtu. O czwartej rano wstał. Obrzucił spojrzeniem Najma,

który spał pod szarym kocem zwinięty w kłębek. Na górnej koi Abdallah, spuściwszy w dół ręce, chrapał głośno.

„Juliana” tańczyła jak oszalały koń, miotana przez sztorm. Zmagając się z chorobą morską, Golbudin otworzył flakon zawierający trzysta centylitrów skoncentrowanej zawiesiny wirusa i wpuścił kilka kropel do na pół opróżnionej plastikowej butelki stojącej na podłodze kajuty. Miliony wirusów ospy błyskawicznie zmieszały się z cząsteczkami płynu.

Okolo piątej rano Abdallah wypił cztery duże łyki. Najm wychylił resztę wczesnym rankiem, tuż po przebudzeniu.

Nowy Jork, Washington Street, 25 lipca 1992

Inspektor Mac Milian siedział okrakiem na krześle w swym niewielkim biurze w siedzibie brygady kryminalnej. Z namaszczaniem przypatrywał się swym otwartym dłoniom. Operacja ta trwała dobre pięć minut. Potem z równą powagą wydobyl z jednej z szuflad biurka małe, okrągłe lustro o wyszczerbionych obrzeżach i zwilżonymi śliną dłońmi usiłował zaczesać dwie kępki rudych włosów, które sterczały najeżone po obu stronach wyłysiałej czaszki.

Upał nie sprzyjał małemu, grubemu człowieczkowi. Każdego lata powtarzała się ta sama historia: pocił się jak mysz, a nieliczne włosy, które uchowały się na jego głowie, zaczynały żyć własnym życiem i upodabniały go do cyrkowego kłowna.

Drzwi otwarły się gwałtownie i do biura wpadł jak bomba Slim Hamilton. Dwudziestopięcioletni Slim od trzech lat był zastępcą Mac Miliana. Był równie czarny, długi i niezdarny, jak jego szef — różowy i mały. Inną cechą właściwą Slimowi był trwający przez cały dzień stan pobudzenia.

— Szefie! — krzyknął wpadając do biura.

Jego wtargnięcie zaskoczyło Mac Miliana, który zamarł wsparłszy się pod boki.

— Slim — odezwał się wzdychając — ile razy mam ci powtarzać, żebyś przed wejściem pukał do drzwi.

Hamilton nawet nie słuchał.

— Szefie! — powiedział wyciągając plik kartek. — Właśnie przystano z laboratorium wyniki analiz w sprawie Markusa Roneya!

— I...?

— I nic nie znaleźli!

Mac Milian westchnął przeciągle, wziął raport, który podał mu zastępca, i powiedział znużonym głosem:

— I to, że nic nie znaleźli, doprowadza cię do takiego stanu?... Powtarzałem ci już setki razy, że ten zawód wymaga cierpliwości i uporu. I niczego w nim nie osiągniesz, jeżeli będziesz wpadał w ekstazę, ilekroć laboratorium nadeśle jakiś raport!

Ta pogroźka uspokoiła nieco Hamiltona, który usiadł na krześle na wprost biurka. Mac Milian pospiesznie przebiegł wzrokiem czterostronicowy raport laboratorium. Dowiedział się, że okruszki szkła, odnalezione przy jacuzzi Markusa Roneya w kilka dni po tym, jak wypadł przez okno, rzeczywiście pochodziły z zegarka marki Rollex, który denat miał na ręce.

„Jakim cudem zegarek mógł stłuc się na górze, przy jacuzzi? — stawił sobie pytanie Mac Milian. — Nie współgrało to z logiką samobójstwa... Może Markus Roney pił owego dnia? Mógł uderzyć o brzeg jacuzzi, nim rzucił się z okna...” Trudno było jednak przyjąć taką hipotezę, gdyż — jak przypominał sobie Mac Milian — poziom alkoholu we krwi Markusa Roneya najzupełniej mieścił się w normie. Rozparł się na krześle, żeby przemyśleć sobie tę sprawę. Szybko jednak obecność Hamiltona, który zaczynał się niepokoić, zniecierpliviła go.

— Hamilton! Wyjdź stąd, zawałam cię, jeżeli będziesz mi potrzebny!

Skoro tylko został sam, sięgnął po raport i przeczytał go uważnie. Szczególnie jedno zdanie zwróciło jego uwagę: „Na jednym z trzech okruszków została wykryta plamka o średnicy jednej setnej milimetra. Na podstawie badań mikroskopowych stwierdzono, iż jest to zaschnięta drobina krwi. Niestety jest tak mała, że przy zastosowaniu naszych środków nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy odpowiada ona krwi ofiary (Rh oraz kod genetyczny)”.

Rozmyślał długo nad tym podsumowaniem, uderzając palcem wskazującym w wargi, co było u niego oznaką głębokiego zamyślenia lub silnego niezadowolenia.

— Hamilton — powiedział prawie szeptem.

Chłopak, który musiał stać pod drzwiami, pojawił się natychmiast w biurze.

— Tak, szefie?

— Hamilton... Zadzwoń do nich i powiesz, żeby wysłali materiał do Metropolitan Police Laboratory z New Scotland Yardu.

Hamilton wyglądał na zaskoczonego.

— Co pan zamierza, szefie? Sądzi pan, że u nas spaprali robotę?

— Nie, wręcz przeciwnie. Ale wiem, że w Scotland Yardzie mają sondę Jeffreysa, która umożliwia odtworzenie kodu genetycznego każdego osobnika na podstawie śladów krwi lub spermy.

- Co panu chodzi po głowie, szefie?
- Nic, pewne podejrzenie... raczej intuicja. Jeśli krew na odłamku szkła nie należy do denata, mamy do czynienia z morderstwem.
- Ale nie ma przecież żadnych śladów...
- Mac Milian cynicznie się uśmiechnął.
- Jeżeli to morderstwo — powiedział, przyglądając rude kosmyki na głowie — widzę tylko jednego człowieka, który mógł go dokonać lub kazać to zrobić. Jest to człowiek, którego interesy i życie prywatne były silnie związane z osobą Markusa Roneya... Clive A. Lorenzo.
- Raider?! Ostrożnie, szefie! To gruba ryba.
- Bardzo gruba, Slim. Bardzo, bardzo gruba... Takie ryby postępują się zawsze wybitnymi fachowcami, wytrawnymi przestępcami. Na pewno nie dopadniemy ich na podstawie odcisków. Trzeba wykazać więcej sprytu niż oni...

Na pokładzie „Juliany”, 30 lipca 1992

Błyskawice rozdarły głębokie ciemności nocy. Bryza wyrzucała masy morskiej wody na pokład statku. Burza rozszalała się. Wiatr wył przeraźliwie.

Wysoka sylwetka Abdallaha pojawiła się w oszklonych drzwiach kabiny pilota. Podtrzymał „Lisa”, swego brata, niemal niosąc go na plecach. Gdy weszli do kabiny, wdarł się za nimi zimny wiatr, przesiąknięty wilgocią. Pierre uniósł głowę znad mapy i nie zdołał powściągnąć uśmiechu wobec wrażliwości nielegalnych pasażerów. Abdallah zwrócił się do niego łamaną angielszczyzną.

— *My brother!*... mój brat... chory.

Pierre próbował wytłumaczyć mu, że to drobiazg. Ot, zwykły napad choroby morskiej. Przy takiej burzy...

Faktem było, że podczas tej podróży po prostu rozszalały się żywioły. Wobec fali wysokości dwóch, trzech metrów, które tworzyły się przed dziobem „Juliany”, Pierre rozważał możliwość zawinięcia na Wyspy Kanaryjskie, aby znaleźć się na spokojnych wodach i oszczędzić sfatygowaną konstrukcję starego transportowca.

— Za dwa dni będzie po wszystkim! — tłumaczył Pierre, wspomagając słowa gestykulacją. — Potem wiatr... i koniec... twój brat nie będzie już chorował.

Abdallah nalegał. Chciał, żeby Pierre obejrzał Najma, który leżał na stole do map. Czoło młodego Libijczyka było rozpalone. Tak bardzo, że zaskoczony Pierre cofnął rękę. Widząc pełne niepokoju

spojrzenie Abdallaha, położył ją znowu na czole „Lisa”. „Ma co najmniej 40° gorączki” — pomyślał przypisując to zimnicy lub gorączce tropikalnej. I on też doznawał tych napadów, podczas których drży się z zimna przy najwyższych temperaturach, kiedy głowa jest rozogniona, a skóra obolała jak po oparzeniu. Połączenie z chorobą morską nie polepszało stanu zdrowia Najma. Wręcz przeciwnie...

Starając się uspokoić Abdallaha, wyjął z apteczki fiolkę zawierającą płynny wyciąg z chininy i wlał Najmowi kilka kropel do ust. Podał mu jeszcze parę tabletek aspiryny, żeby zbić gorączkę.

— Po tym poczuje się lepiej — powiedział Abdallahowi. — Kiedy minie noc...

Abdallah zdawał się nieco spokojniejszy. Mimo to brutalnym ruchem zanurzył rękę w apteczce, chwycił fiolkę z chininą i wypił zawartość jednym haustem. Profilaktycznie, bo — jak tłumaczył Pierre'owi — też czuł się od wczoraj kiepsko.

Przy tej rozmowie zobaczył ich Golbudin. Ich sylwetki rysowały się w bladym świetle mostka kapitańskiego.

Golbudin wyszedł z kajuty, żeby wymiotować za burtę żółć. W owej atmosferze końca świata ujrzał poprzez strugi deszczu Abdallaha i Pierre'a. Uświadomił sobie natychmiast, że kapitan może być współnikiem braci. Najm i Abdallah wobec choroby postanowili na pewno powierzyć misję zgładzenia Golbudina kapitanowi statku. Znów znalazłby się więc w pułapce. Instynkt zmagął się z osłabioną wolą. Francuz również stanowił zagrożenie dla jego życia. Musiał się bronić.

Uderzenie słonej fali w twarz przywróciło go do rzeczywistości; do sztormu i związanego z nim niebezpieczeństwa. „Juliana” była jak zabawka na rozszalałym morzu. W każdej chwili mogła się rozpaść.

Golbudin przypomniał sobie pewną przypadkiem zasłyszaną rozmowę między Pierre'em a marynarzem, dotyczącą sztauowania ładunku belek i daktyli. Z tego, co mówili, wynikało, że grozi im przesunięcie ładunku na jedną stronę „Juliany”, co mogłoby spowodować przechylenie statku. Przy tych wielometrowych falach niebezpieczeństwo było oczywiste...

Wizja katastrofy i perspektywa śmierci w czarnych, lodowatych głębinach morskich spowodowały, że Golbudin postanowił na razie nie pozbywać się Francuza. Tylko on jeden potrafił przeprowadzić statek przez wzburzone wody. Zanim chwiejnym krokiem dotarł do kajuty, zdecydował oszczędzić go do czasu, gdy burza ucichnie.

Przez cały rejs panowała wyjątkowo zła pogoda. Pierre, który ponad sto razy pokonywał tę trasę, nigdy jeszcze nie widział, by sztorm szalał tak długo z taką siłą.

Osiem dni. Burza trwała osiem dni. „Juliana” toczyła nieustanne zmagania, odpierając falę po fali. Pokład zalewały tony gnanej przez wiatr wody.

Stan zdrowia obu braci pogarszał się. Silna gorączka zwała z nóg Abdallaha. Obaj z trudem zwłóczali się z koi dzięki potężnym dawkom aspiryny, ale stopniowo opadali z sił.

Pierre nadal dopatrywał się w tych symptomach jakiejś choroby tropikalnej w rodzaju zimnicy. Dłużył mu się ten koszmarny rejs z nielegalnymi pasażerami o słabym zdrowiu i męczyła konieczność zabawy w pielęgniarce.

W nocy, na dziesięć godzin przed pojawieniem się niewyraźnych zarysów portu na Manhattanie, burza nagle ucichła. Ulewny deszcz przeszedł w smutną mżawkę. Pokład otuliła mgła. Golbudin poderwał się ze snu, zaskoczony głęboką ciszą. Odezwał się w nim przemożny instynkt samozachowawczy. „Kolej na Francuza” — powiedział sobie. Nabrał do strzykawki kilka kropel wirusowego koncentratu i wyszedł.

Bracia Hawadi spali na kojach kamiennym snem. Najm bardzo wychudł. Z koi zwieszała się jego koścista noga.

Na zewnątrz panował spokój. „Juliana” zdawała się sunąć po morzu obłoków. Na mostku kapitańskim paliło się światło. Golbudin zobaczył, że Pierre wciąga sweter i pochyla się przez długą chwilę nad mapą, a potem wkłada czerwoną wełnianą czapkę i rusza w kierunku maszynowni.

Ukryty za łodzią ratunkową Golbudin poczekał, aż Pierre przejdzie o parę metrów od niego. Kiedy Francuz znalazł się poza jego polem widzenia, wszedł na mostek kapitański. Oprócz prowizorycznego łóżka leżały tam przyrządy nawigacyjne i kilka map. Nie było żadnej butelki, żadnego pożywienia, w które można by było wstrzyknąć wirusy. Zdesperowany Golbudin odchylił koc i wyciągnął poduszkę. Wylał całą zawartość strzykawki na poszewkę.

— *What do you want?* Czego pan chce? — głos Pierre'a rozległ się za jego plecami.

Serce Golbudina zamarło. Pospieszenie wsunął strzykawkę do kieszeni.

- *Nothing...* Niczego mi nie potrzeba. Chciałem tylko dowiedzieć się, o której dopływamy.

Pierre uśmiechnął się i spojrzął na zegarek.

— Ma pan jeszcze czas. Za jakieś osiem, dziewięć godzin... Niech pan idzie się położyć. Zawołam was, kiedy przyjdzie pora ukryć się w ładowni, nim zawiniemy do portu.

Golbudin wyszedł szybko i wrócił do kajuty. Pierre pokręcił głową. Naprawdę trafili mu się dziwacznymi pasażerowie... Zawołał Hansa, marynarza, żeby zastąpił go u steru. Obszar w pobliżu Manhattanu roił się od transportowców, tankowców, holowników i masowców. W gęstej mgle ktoś musiał stale włączać syrenę. Podał marynarzowi instrukcje, zdjął sweter i wyciągnął się na łóżku. Odpocznie parę godzin przed przybyciem do brzegu. Wsunął się pod kołdrę i wtulił twarz w poduszkę.

Przez trzy godziny snu wdychał kropelki roztworu. Miliony wirusów ospy wdzierały się do jego płuc i zaczynały siać spustoszenie.

„Juliana” zawinęła do Nowego Jorku późnym rankiem.

Nowy Jork, Fulton Fish Market, tego samego wieczora

Pierre odetchnął głęboko.

Podczas każdego pobytu w Nowym Jorku zachodził na otwarty całą noc targ rybny przy Fulton Street. Odnajdował tu zapach połowów morskich i woń wodorostów, bez których nie mógł żyć.

Przede wszystkim zaś dopełniał w ten sposób odwiecznego rytuału niegdysiejszych żeglarzy, którzy zakotwiczyli tuż przy targu. Stał tam „Waver Tree”, trójmasztowiec z 1885 roku. „Pecking”, czteromasztowiec z 1911, „Ambrose”, latarniowiec z 1908, i parę innych zabytków podboju mórz świata.

Te nocne przechadzki wśród wielkich morskich ptaków stanowiły dla Pierre'a rodzaj pielgrzymki odbywanej ku pamięci kapitana van Uitengaarta. To miejsce pozwalało mu najlepiej zrozumieć ową pasję, z jaką jego przybrany ojciec uganiał się nieustannie za zatopionymi galeonami.

Przebiegł go dreszcz, który przypisał zmęczeniu rejsiem i nocnemu chładowi. Mimo późnej pory mała rybna restauracyjka była jeszcze czynna. Zamówił gorącą zupę rybną na ostro. Ten nawyk odziedziczył po van Uitengarcie, który nie uznawał żadnej potrawy, jeśli nie pokrywała jej gęsta warstwa gruboziarnistego zielonego pieprzu i pasty z ostrej papryki.

Wziął tylko zupę rybną, która była tu wyśmienita. Delektował się nią w milczeniu, szczęśliwy, że może odetchnąć po koszmarnym rejsie w gwałtownej jak rzadko burzy. Przez chwilę nurtowało go wspo-

mnienie o trzech pasażerach. Ujrzał zniekształcone, zmęczone twarze Libijczyków i przerażoną minę „grubaska”... Po co przyjechali? . Cóż za towarzystwo!... Jak poradzą sobie w Nowym Jorku?

Pierre zapomniał wkrótce o trzech mężczyznach. Nie miał zwyczaju zaprzętać sobie głowy pasażerami ani interesować się powodami ich „nieoficjalnych” podróży. Miał w tej chwili dość własnych problemów. W najbliższych dniach będzie musiał poszukać następcy Hansa, mechanika i człowieka do wszystkiego. Hans dziś rano odleciał samolotem do Amsterdamu, gdzie czekała na niego narzeczona. Długie podróże przedstawiały go interesować. Wreszcie spełnią się jego marzenia: młoda, pulchna żona, barka z suszącą się na sznurach bielizną i gromadka blondasów o włosach i rzęsach jasnych jak włosy i rzęsy ojca.

Przed wyjściem z restauracji Pierre przywołał właściciela i zapytał, czy nie zna dobrego mechanika, który chciałby zaokrętować się u niego. Właściciel, stary marynarz o pomarszczonej jak zwiędłe jabłko twarzy, powiedział, żeby wpadł jutro. „Znam z tuzin chłopaków, którzy mogliby ci pasować...”

Idąc Fulton Street do hotelu, Pierre zdał sobie sprawę, że jest rozpalony. „To pewnie po tej ostro przyprawionej, gorącej zupie”, pomyślał. Ale ta ociężałość rąk i nóg, te zawroty głowy... Podczas burzy musiało złapać go przeziębienie.

Wchodząc do „Royal Seaport”, małego hoteliku o skromnym i spokojnym wyglądzie, poprosił o gorący grog, który zaprawił jeszcze sporą porcją rumu z Martyniki. Potem wskoczył pod kołdrę. Wiedział, jak sobie radzić z często łąpiącymi go drobnymi katarami, jak je nazywał. Mocny, gorący grog, dziesięć godzin snu pod kołdrą i jutro będzie zdrow jak ryba.

Harlem, Nowy Jork, 13 czerwca 1992, druga nad ranem

Hotel „Garvey” był małym, dość dobrym hotelem, sąsiadującym z Marcus Garvey Park, zielonym zakątkiem w sercu czarnego Harlemu.

Łącznik braci Hawadi zamówił im pokój w tym właśnie hotelu, w spokojnej części Harlemu, tam gdzie nie zagrażały im nagłe naloty policji ani niespodziewane rewizje.

Pokój numer 6 był największy w hotelu „Garvey”. Właściwie był to hotelowy apartament: wielkie łóżce i pojedyncze łóżko, duża łazienka wykładana plastikową imitacją różowego marmuru.

Golbudin i Abdallah dzielili łóżce. Najm przeleżał cały dzień na pojedynczym łóżku. Z najwyższym trudem udawało mu się mówić.

„Lis” przez długie, wyczerpujące pół godziny tłumaczył Golbudinowi, czego od niego oczekuje.

— To proste... jutro rano pojedziesz z Abdallahem autobusem...

Na podłodze leżała rozpostarta duża mapa Nowego Jorku i okolic w skali 1:50 000. Zgodnie z wyjaśnieniami Najma, Abdallah wskaże mu duże zbiorowisko ludzkie. Muszą poradzić sobie we dwóch z rozsianiem wirusa w taki sposób, żeby zarazić jak najwięcej osób... Najm zdobył się jeszcze na ostatni wysiłek, który kompletnie go wyczerpał. Napisał po arabsku komunikat, który Abdallah miał rozłożyć w miejscach akcji. Potem, zwracając się do Golbudina, wydał rozkaz, który wrył się w umysł Afgańczyka.

— Mahdi, pamiętaj... w mieście... — Jego ręka raz jeszcze obrysowała obszar Nowego Jorku — wirus... musi... zaatakować dużo... dużo ludzi...

Głowa „Lisa” opadła na bok. Był rozpalony. Abdallah odsunął Golbudina bez ceregieli i zdumiewająco łagodnym głosem zapytał brata, czy chce pomocy lekarza.

Najm odmówił machnąwszy ręką. Strużka krwi ciekła teraz z kącika jego ust. Abdallah powłókł się do łazienki, zmoczył ręcznik i otarł nim twarz brata, który już się nie ruszał. Wziął na ręce wychudłe ciało Najma, poniosł je na duże łóżko i burknął Golbudinowi, że chce odpocząć przez chwilę obok brata. Do wieczora.

Golbudin nic nie powiedział. Usiadł na łóżku Najma. Abdallah zgasił światło. W pokoju zapanował półmrok. Jęki konającego Najma mieszały się z ciężkim, świszczącym oddechem Abdallaha. Afgańczyk przysłuchiwał im się w ciszy. W głowie kłębiły mu się bezładne myśli. Czuł się samotny, zagubiony. Wiedział, że Najm jest już prawie trupem. Co do Abdallaha, to mimo atletycznej budowy nie zdoła się oprzeć chorobie nawet przez dwadzieścia cztery godziny... Rozkaz Najma nie dawał mu spokoju. „Wirus... zarazić dużo ludzi... w mieście i na tym obszarze”.

Jak automat, jak wykonujący zadane czynności robot, Golbudin zapakował do plastikowej torby dwie butelki — z wirusem i z serum, do których dołączył strzykawkę. Potem złożył mapę stanu Nowy Jork i starannie wsunął ją obok butelek.

Szelest obudził Abdallaha. Libijczyk warknął coś, co przypominało przekleństwo, wstał z trudem i ciężkim krokiem ruszył ku łazience.

Przyjrzał się odbiciu swej twarzy w lustrze. Oczy zapadły mu się od gorączki. Wargi miał spękane. Dyszał. Drżącą ręką odkręcił kran z zimną wodą, chcąc się napić.

W tej właśnie chwili ujrzał w lustrze sylwetkę Golbudina. Ten, zafascynowany, zbliżył się po cichu, by przypatrzeć się spustoszeniu, jakiego dokonał na twarzy Abdallaha „jego” wirus.

Abdallah zrozumiał wszystko w przebłysku świadomości. To ten afgański pies ich zatrał, jego i jego brata! Udał, że osuwa się na kolana i oparł głowę na brzegu umywalki. Golbudin zbliżył się do niego wstrzymując oddech. Kiedy znalazł się o parę centymetrów za plecami Abdallaha, ten wyprostował się gwałtownie, próbując chwycić go za gardło.

Golbudin wrzasnął i runął w tył.

— Ty świnió! — krzyczał Abdallah. — Zabiłeś Najma! Zabiłeś mojego brata!

Afgańczyk leżał na ziemi, a Abdallah kopał go, bił z całych sił po twarzy z desperacką energią podsycaną przez nienawiść. Afgańczyk próbował na czworakach uciec z łazienki. Ciosy Abdallaha spadały na jego nerki, głowę, trafiały w podbrzusze. Zdołał schronić się pod łóżkiem.

Wściekłość Abdallaha wzmogła się. Chwycił Golbudina za nogi i zaczął ciągnąć ku sobie. Po kilku minutach, podczas których wynik walki nie był przesądzony, Abdallah zdołał wywlec Golbudina z kryjówki. Odwrócił go brutalnie i usiadł na nim. Nie padło ani jedno słowo. Walka toczyła się w milczeniu, przy wtórze jęków przerażonego Golbudina.

Zbierając resztki tłącej się w nim energii, Abdallah runął ciężarem dziewięćdziesięciopięciokilogramowego ciała na klatkę piersiową Afgańczyka. Jednym ruchem zerwał Golbudinowi okulary i z całych sił oparł kciuki na oczach Afgańczyka.

Gałki oczne zapadły się pod tym naporem. Golbudin doznał przeraźliwego bólu wewnątrz mózgu. Próbował uwolnić się z uchwytu Abdallaha. Na darmo. Kciuki Abdallaha były niczym dwa żelazne ostrza przekłuwające mu oczy. Golbudin poczuł, że nie wytrzyma dłużej ucisku. Przez rozgorączkowany umysł przemknęło wspomnienie o tym, jak Najm uwolnił go z rąk usiłującego udusić go Abdallaha. Działo się to w pokoju w Benghazi. Po omacku odszukał miejsce w górze ud Abdallaha, ogarnął jego jądra dłońią i zacisnął ją gwałtownie. Ból czy wyczerpanie? Kciuki Abdallaha zwolniły chwyt. Krzyknął krótko i zwinął się na ziemi, tuż obok Afgańczyka.

Leżeli tak przez długie chwile, jeden obok drugiego, dysząc głośno, jak wyczerpani miłością kochankowie. Golbudin czuł pod czaszką pulsujący ból. Otaczające go przedmioty widział potrójnie, nie pomogły mu nawet okulary — wszystko było przesłonięte mgłą.

Wstał ostrożnie. Twarz miał obrzmiałą od ciosów Abdallaha. Spomiędzy włosów spływały mu strużki krwi, czuł ostry ból wątroby. Podniósł leżącą tuż obok Abdallaha torbę z mapą, strzykawką i fiolkami. Zarzucił ją na ramię i skierował kroki ku drzwom.

Abdallah doznał przyływu energii. Wyciągnął w stronę Afgańczyka rękę i słabym głosem przeklął go. Golbudin nie zatrzymał się. Umysł Abdallaha ogarnął ostatni przebłysk... Hasło, które czyniło Afgańczyka posłusznym... Nakaze mu pozostać.

— M... Mahdi... Mahdi, zostań tu.

Golbudin oparł już rękę na klamce. Zawahał się przez chwilę, potem wrócił do Abdallaha.

— M... Mahdi... zanieś mnie do łóżka — mruknął Abdallah, odzyskując nadzieję.

Golbudin przeszedł nad ciałem Abdallaha, odsunął szufladę nocnej szafki, wyciągnął plik dolarów i wyszedł.

— Mahdi... zostań tu — powtarzał z uporem Abdallah.

Ale tylko jeden człowiek mógł kierować wolą Golbudina. Osobą tą był Najm. A Najm właśnie umarł.

Tego samego dnia w hotelu „Royal Seaport”

Czerwone kreseczki na elektronicznym budziku w łazience wskazywały 9.16.

Pierre z trudem wygrzebał się z wonnej kąpeli. Ten piekielny katar był wyjątkowo uporczywy... Marynarz czuł się jeszcze bardziej rozpalony i połamany niż poprzedniego dnia. Nie opuszczał hotelowego pokoju, poszedł tylko do rybnej restauracji. Czterej kandydaci, z którymi tam się spotkał, zrobili na nim dobre wrażenie. W każdym razie musi szybko podjąć decyzję. „Juliana” wyrusza za trzy dni do Lizbony.

Otulił się białym szlafrokiem i wyciągnął na łóżku z ręcznikiem owiniętym wokół szyi. Psiakrew! Co się z nim dzieje? Kompletnie opadł z sił. Postanowił wezwać lekarza, jeśli do jutra nie poczuje się lepiej. Instynktowna nieufność do medyków powodowała, że od rana odsuwał chwilę, kiedy sięgnie po telefon, żeby poprosić w recepcji o przysłanie lekarza.

Tę niechęć do przedstawicieli medycyny wszczepił mu dziadek, który powtarzał ciągle złośliwe dykteryjki o lekarzach i wierzył w różne przesady. „Stary” uważał, że z lekarzem powinno się mieć do czynienia dwa razy w życiu — w chwili urodzin i w chwili śmierci. Każde zetknięcie z ludźmi w białych kitlach nosi znamię nieszczęścia.

Pierre zadzwonił do recepcji i zamówił lekką kolację: kartoflankę z porami i sałatkę. Miał jeszcze nadzieję, że po następnej dobrze przespanej nocy poczuje się lepiej.

Odruchowo sięgnął po pilota i bez większego zainteresowania przeleciał piętnaście programów, które odbierała hotelowa antena. Nie znalazł nic ciekawego: filmy rysunkowe, dzienniki (była pora wieczornych wiadomości), w telewizji kablowej Penthouse — film erotyczny, seriale, reklamy lodów, napojów i wreszcie gry, cała masa

Nagle wydało mu się, że w defiladzie obrazów mignęła mu znajoma twarz, pokazana na ekranie w dużym zbliżeniu. Cofnął. Nie mylił się. Patrzył oszołomiony na przedstawioną przez NBC News fotografię osiłka. Był to jeden z jego trzech nielegalnych pasażerów. Zrobił głośniejsze:

— ...zmarł w szpitalu Rockefellera wkrótce po przywiezieniu, a w tym samym hotelowym pokoju znaleziono zwłoki innego mężczyzny — mówił komentator, gdy na ekranie pojawiła się twarz Najma i fasada hotelu „Garvey”. — Tu właśnie — ciągnął komentator — dwaj osobnicy zostali znalezieni przez właściciela, który odmówił odpowiedzi na nasze pytania.

Kamerę filmującą hall hotelowy przestoniła czarna dłoń. Następne ujęcie przedstawiało pokój numer 6. Dziennikarz kontynuował:

— Sprawę powierzono inspektorowi Bakerowi...

Na ekranie pojawiła się okrągła twarz inspektora Bakera. Mówił z silnym teksańskim akcentem:

— Ci dwaj mężczyźni byli w posiadaniu map, na których oznaczono śródziemnomorskie bazy amerykańskie: w Hiszpanii, Grecji, Włoszech i Turcji. Wszystko wskazuje na to, że planowali dokonanie strasznego szantażu na cywilnej ludności Nowego Jorku, żądając pełnej ewakuacji tych baz. Mogę tylko powiedzieć, że mieliśmy dużo szczęścia... Ci ludzie... ci terroryści zamierzali rozsiać zarazki chorobotwórcze na obszarach o dużej gęstości zaludnienia. Dowiedzieliśmy się o tym ze znalezionej przy szantażystach listu. — Baker pokazał przygotowane przez Najma pismo. — Wydaje się, że wpadli we własne sidła...

Twarz Bakera zniknęła, a zastąpił ją obraz hotelu „Garvey” w blasku migających świateł wozów policyjnych. Stojący przy jednym z wozów dziennikarz stwierdził:

— To wszystko, co możemy na razie powiedzieć. Dodam, że w szpitalu Rockefellera prowadzone są badania, których celem jest ustalenie, jaka choroba spowodowała śmierć dwóch terrorystów... Dorzucić należy, że Ministerstwo Obrony nie wydało żadnych oświadczeń... Dla NBC News mówił Andrew Strabanski.

— Dziękuję, Andrew — powiedział z właściwym mu promiennym

uśmiechem Jim Studal popularny prezenter NBC News. — Proszę łączyć się z nami, jeśli tylko będzie pan miał coś nowego. — Jim Studal obrócił się w prawo. — Gościmy dzisiaj w studio Ambre Manari...

Kamera pokazała Ambre w zbliżeniu. Dziennikarka ubrana była w czerwoną sukienkę.

— Wydaje się, że seria artykułów opublikowanych przez panią w „New York Daily Chronicles” przed ponad miesiącem ponownie nabrała ogromnej aktualności. Ujawniła pani wówczas badania prowadzone przez Ministerstwo Obrony nad bronią biologiczną... Dla przypomnienia: pani zdaniem badania te dowodziły braku odpowiedzialności i stanowiły zagrożenie dla zdrowia ludności cywilnej. Wykazała to pani na przykładzie sprawy, którą nazywa się obecnie „afereą grypy z Mount Creek”... Dziś stoimy, być może, w obliczu ataku terrorystów będących w posiadaniu broni biologicznej... choć, jak dotąd, żadna substancja zakaźna nie została wykryta przy tych osobnikach. W każdym razie, jak wynika z listu, ich intencją było grać na lęku przed śmiertelnościami mikroorganizmami. Czy sądzi pani, że tego rodzaju działanie jest możliwe w naszym kraju?

— Tak — odrzekła Ambre. — Powiem nawet więcej: w tej chwili mamy z nim właśnie do czynienia. Na przykład krajom trzeciego świata daje to możliwość wejścia małym nakładem kosztów w posiadanie potężnej broni... co najmniej tak potężnej, jak bomba atomowa. Ale za to korzystniejszej... Ta broń może bowiem wyniszczyć lub okaleczyć wrogą społeczność oszczędzając budynki i sprzęt. I ostatnia zaleta — kraj, wobec którego ta broń zostanie użyta, nie jest w stanie dowiedzieć, że dokonano ataku biologicznego, terroryści bowiem będą mieli dość czasu, by bezkarnie opuścić terytorium, jeśli naturalnie nie zarażą się przez nieostrożność, jak stało się prawdopodobnie w tym przypadku. Ci dwaj wpadli we własne sidła...

Jim Studal znów błysnął uśmiechem.

— Czy nie uważa pani, że przypomina to film kategorii B. „Człowiek z walizką” pojawia się, rozsiewa tajemniczą substancję i odchodzi, nikomu nie znany...

Ambre zaprzeczyła ruchem dłoni.

— Niestety nie. W społeczeństwie amerykańskim tego typu napaść może mieć nieobliczalne skutki. Gęstość sieci komunikacyjnej oraz szybkość transportu rozszerzają poważnie zasięg działania pojedynczego człowieka. Gigantyczne rzeźnie, mleczarnie, zakłady rolno-spożywcze, wielkie sklepy czynią dostępnymi wszystkie zapasy żywności. Są także i inne słabe punkty — system klimatyzacji, metra, kina, restauracje. Krótko mówiąc, wszystkie miejsca publiczne.

— To niepokojące — przyznał Jim Studal.

Ambre dodała:

— To bardzo NIEPOKOJĄCE. Proszę pomyśleć, że czterech czy pięciu terrorystów albo sabotażystów — jak pan woli — którzy byliby zaszczepieni przeciwko botulinie...

— Botulinie?

— Tak. Jest to toksyna wytwarzana przez bakterie.. Proszę więc wyobrazić sobie, że pięciu uodpornionych terrorystów przelatuje na pokładzie małych samolotów nad neuralgicznymi punktami USA. O godzinie T zrzucają dawkę botuliny, którą rozsiewa wiatr...

— Wygląda to bardzo niewinnie — przerwał Jim Studal. — Ten wiatr, małe samoloty...

— Muszę wyprowadzić pana z błędu — powiedziała, wyciągając palec wskazujący w jego stronę. Taki atak mógłby spowodować śmierć 80 do 100% populacji na danym terenie... Może pan sobie dopisać dalszy ciąg tego scenariusza. Stany są sparaliżowane, rodzi się chaos. Ponieważ trzeba wskazać sprawcę tej tragedii, pośrednio lub bezpośrednio oskarża się ZSRS. Następuje riposta nuklearna... Wojna, wojna jak za naszych dziadków.

— W jaki jednak sposób botulina mogłaby uśmiercić 200 milionów ludzi w ciągu niespełna doby?

— Botulina jest potwornym jadem. Wystarczy niecały kilogram jej najsilniej toksycznej odmiany, aby życie na kuli ziemskiej zamarło, — Ambre uśmiechnęła się, widząc oszołomienie na twarzy Jima Studala. — Tak, to naprawdę potworne...

— Rzeczywiście — powiedział. — Dziękuję pani. Teraz łączymy się z Andrew Strabanskim znajdującym się w hotelu „Garvey”, gdzie odnaleziono zmarłych w dniu dzisiejszym terrorystów... Czy wiadomo coś nowego, Andrew?

— Tak — odpowiedział Strabanski, stojący tuż obok podenerwowanego sytuacją inspektora Bakera.

Zwrócił się do policjanta, prosząc o przedstawienie telewizjom ostatnich wyników śledztwa.

— Wszystko wskazuje na to — zaczął inspektor ujmując mikrofon — że obaj terroryści należeli do dobrze zorganizowanej grupy. Narodowość i tożsamość przestępców nie są jeszcze znane. Pewne ślady pozwoliły natomiast na ustalenie, iż przybyli do Stanów niedawno, drogą morską i niewątpliwie — nielegalnie. Właściciel statku, który wwiózł ich do USA, najprawdopodobniej zbiegł. To podejrzany numer 1, którego schwytanie pozwoliłoby wyjaśnić sprawę.

Właściciel hotelu „Garvey” utrzymuje, że z terrorystami była jeszcze jedna osoba. Zbiegła przed dwiema godzinami. Policja prowadzi intensywne poszukiwania...

Na ekranie ponownie pojawiła się twarz Jima Studala, który przystąpił do omawiania innego tematu — redukcji podatków w stanie Północna Dakota i Wisconsin.

Pierre wyłączył telewizor. Wpatrywał się w czarny ekran. Nękający go ból karku mącił jego myśli. Odetchnął głęboko, starając się ogarnąć sytuację.

Jedno było pewne: policja poszukiwała niejakiego Pierre'a Tisseranda, którego uważała za terrorystę. Przez chwilę ogarnęła go chęć, by iść wszystko wyjaśnić! To jednak oznaczałoby przyznanie się do współpracy z terrorystami. Równało się więzieniu i utracie „Juliany”. „Tak czy inaczej na pokładzie «Juliany» roi się pewnie od gliniarzy ze spluwami” — myślał ze smutkiem. Nieprędko zobaczy starą łajbę...

Poczuł się słaby i padł na łóżko. Krew pulpowała mu w skroniach. Gorączka powodowała gwałtowne bicie serca. W tym stanie nie był na siłach przeciwstawić się katastrofie, która na niego spadła. Dotknął dłonią czoła. Ten gest przypominał mu, że w ten sposób badał na mostku „Juliany” młodego Libijczyka Teraz on miał takie same objawy. Nagle jasno uświadomił sobie potworną prawdę. Nie było wątpliwości! Jego także dosięgła choroba terrorystów...

Aby zapanować nad przerażeniem, wstał, włożył dżinsy i stary sweter z czerwonej wełny. Mimo wilgotnego sierpniowego upału drżał z zimna. Szczekał zębami. Na głos wypowiadał uspokajające zdania, raz po raz dokonywał obliczeń. Aby mieć pewność... Tego mniejszego gorączka chwyciła trzeciego dnia po wypłynięciu z Benghazi. Zgodnie z protokołem sekcyjnym szpitala Rockefellera, zmarł wczoraj wieczorem, czyli po dziewięciu dniach. Jego brat zaczął uskarżać się mniej więcej dzień później... i umarł po ośmiu dniach. Choroba dawała więc nadzieję na przeżycie ośmiu do dziewięciu dni. Dziewięć razy po dwadzieścia cztery godziny.

Pierre dokonał obliczeń dotyczących jego samego. Miał gorączkę od dwóch dni. Jeżeli przyjąć te same założenia, pozostało mu jeszcze siedem dni, tydzień życia. W najlepszym razie osiem. Osiem dni...

Miotaly nim straszliwe uczucia, jakich doznawać musieli więźniowie skazani na śmierć. Po raz pierwszy od dawna ogarnął go strach, podstępny strach, który zakradł się i nad którym nie potrafił zapanować. Usiadł na skraju łóżka, szczękając zębami z przerażenia i z zimna. Usiłował zebrać myśli. Musi znaleźć jakąś pomoc.

Godzinę później, hotel „Royal Seaport”, pokój Pierre'a

„Royal Seaport”, był oddalony o zaledwie trzy minuty drogi od głównego komisariatu miejskiego przy 240 Ulicy.

— Ten żabojad od terrorystów siedział pod naszym nosem! — jęknął po raz enty inspektor policji Dwight Peggidge, przez podwładnych zwany po cichu Piggy.

Kopnął ze złością walizkę Pierre'a. Podciągając spodni które miały irytującą skłonność do zsuwania się po wydatnym brzuchu. poszedł do łazienki przetrzeć twarz. Letni skwar Nowego Jorku zamieniał go rokrocznie w oślizłą i spływającą potem górę

Podczas gdy siedział na brzegu wanny i rozmyślał nad sytuacją, jego zastępcy uwijali się po pokoju, zdejmując odciski i szukając śladów. Był przekonany, że nic już nie znajdą tego wieczoru. Ten żabojad był za sprytny. Od początku wodził ich za nos. Wyniósł się z hotelu, w którym znaleźli tych dwóch umarlaków, i zainstalował się o dwa kroki od komisariatu... Któż by na to wpadł! Ten typ miał wyjątkowego nosa — zwiął na dziesięć minut przed ich przyjazdem. Fiuu! Rozpłynął się w miejskim tłumie, cholerny żabojad. Zniknął... Będą mieli niezłą zabawę z szukaniem go... Równie dobrze można szukać niebieskookiej mrówki w mrowisku! I jeszcze ta gnida, dziennikarz, który musiał do wieczornego wydania wpakować zdjęcie żabojada. Teraz facet będzie ostrożny w dwójnasób. Polowanie będzie trudne...

— Piggy... hm! Inspektor Peggidge? — zapytał Wozinski, świeży rekrut o różowej cerze i wyblakłych rzęsach.

— Uhu?

— Znaleźliśmy to — powiedział Wozinski, podsuwając mu pod nos garść pełną fiolek po zużytych przez Pierre'a lekach. Te lekarstwa byłyby skuteczne, gdyby szło o zwykły katar...

Peggidge popatrzył na fiołki, jakby nigdy niczego podobnego nie widział.

— No i co, Wozinski? — zagrzemiał. — Co to takiego?

— To były lekarstwa... Podejrzany kurował się. A skoro się leczył, to musiał być chory. Jak tamci. A skoro jest chory, nie mógł zbyt daleko odejść...

Peggidge westchnął, aż zadrżała mu broda. Wstał, wspierając się na wątłym ramieniu Wozinskiego.

— Daj mi to, Wozinski — powiedział biorąc fiołki. — Pokażę to

w laboratorium. Poczekać tu na mnie z Merronem i Brownem. Na wypadek, gdyby facet wrócił po rzeczy...

W głębi ducha jednak inspektor Peggidge wiedział, że trzech policjanci będą na próżno czekać na powrót podejrzanego. Żabojad był na to za cwany.

Empire State Building, godzina 20.30

Pierre poznał ją po czerwonej sukience, którą miała na sobie podczas programu. Odbijała się jaskrawą plamą wśród przesuwanego się pod Empire State Building tłumu. Widział tylko ją. Szła pieszo 34 Ulicą.

— Wsiądę tutaj. Szybko! — rzucił kierowcy taksówki, podając mu pięć dolarów.

Żółta taksówka zjechała na skraj jezdni. Pierre wysiadł pośpiesznie i ruszył za czerwoną plamą, którą widział z daleka w tłumie. Usiłował iść możliwie najszybciej, nie chcąc stracić jej z oczu, ale stopniowo zmęczenie brało górę. Dusił go piekący ból w klatce piersiowej. Pomyślał, że nie da rady. Czerwona sukienka oddalała się zbyt szybko. Tłum unosił ją niczym fala porwaną piłkę. A jemu nogi odmawiały posłuszeństwa. Zrobiło mu się słabo. Ulica, samochody, tłum, wszystko to wirowało

Przywołał następną żółtą taksówkę i kazał kierowcy jechać tuż przy chodniku. Szofer, Portorykańczyk we wciśniętym na oczy słomkowym kapeluszu, żując patyk odwrócił się do Pierre'a:

— Hej, *man!* — powiedział, opluwając go masą skrawków drewna. — Nie jestem gliniarzem. Jak chcesz kogoś śledzić, *man*, ruszaj piechotą. I tak zresztą nie mogę jechać w tym tempie skrajem jezdni...

Pierre zdecydował sięgnąć do kieszeni po zielony banknot, który zachęcił taksówkarza do powolnej jazdy, kiedy zobaczył, że czerwona sukienka również wsiadła do taksówki.

— W porządku. Możemy jechać. Niech pan pilnuje tej taksówki przed nami — powiedział i wsadziwszy Portorykańczykowi w kieszeń 10 dolarów osunął się na wygniecione siedzenie taksówki.

Minęła dłuższa chwila, nim zdołał nabrać tchu. Jego oddech był urywany i płytki. Gorączka nie ustępowała. Zamknął oczy, starając się opanować.

Dziewczyna w czerwonej sukni była jego jedyną szansą. W ciągu pięciominutowego występu w telewizji wzbudziła w nim zaufanie. Nie potrafiłby dokładnie określić tego uczucia. Czerpał je ze wszystkiego.

z jej głosu, sposobu, w jaki patrzyła dziennikarzowi prosto w oczy. Może urzekła go jej skromność? Taka ufność była raczej rzadka u Pierre'a, który nauczył się podejrzliwości wobec podobnych sobie.

Zdawał sobie sprawę, że w Nowym Jorku jest sam. Nie zna nikogo. Jest poszukiwany przez policję jako groźny terrorysta. Któż mu uwierzy?... Kto potrafi mu pomóc?... Zgłoszenie się na posterunek równało się oskarżeniu o współpracę z terrorystami. W tym kraju oznaczało to dożywotnie więzienie. A on zbyt kochał

A poza tym ta dziewczyna zna na pewno biologów zajmujących się podobnymi badaniami. Może oni potrafiliby mu pomóc? A jeśli mu odmówi? Jeżeli go wyda?... Jeżeli pierwsze wrażenie okaże się zawodne?

Pomyślał, że ma czym ją zainteresować. Tylko on wiedział o istnieniu trzeciego terrorysty, tego prawdziwego... Dziewczyna jest dziennikarką. Sensacja na pewno ją znieci. Terrorysta przechadza się po Nowym Jorku w biały dzień, na oczach policji! Trzeba mieć nadzieję, że dzięki opisowi, jaki jej przedstawi, zdoła go znaleźć. A może ten typ, ten „wielki głupol”, zna źródło choroby, która zabiła obu jego współników?

Na próżno wałkował problem na wszystkie strony, za każdym razem dochodził do tego samego wniosku — dziennikarka w czerwonej sukni to dla niego jedyna szansa. Otworzył oczy. Natrafił na spojrzenie szofera, niespokojnie obserwującego go spod słomkowego kapelusza.

— *Are you okay, man?* Dobrze się czujesz?

Pierre uspokoił go ruchem ręki. Taksówka dziennikarki skręciła w Kent Avenue. Wkrótce zatrzymała się przed numerem 202. Znowu pojawiła się czerwona suknia. Dziewczyna wysiadła z taksówki i weszła szybko do budynku.

Pierre trącił ramię taksówkarza. Tym razem mu się nie wymknie. Dziewczyna stała w hallu. Widocznie czekała na windę. Pierre zbliżył się do niej. Byli sami. Przyglądała mu się badawczo przez moment, ale chyba tylko tak mu się zdawało. Dziewczyna przecież nigdy go nie widziała. Może pulower i wełniana czapka zwróciły jej uwagę. Było co najmniej 32°C...

Pierre zawahał się. Jak i kiedy ją zaczepić?! Za nic w świecie nie chciał jej przestraszyć. Była jego ostatnią nadzieją.

Winda otworzyła się z cichym świstem. Pierre przepuścił dziewczynę przodem. W windzie zauważył, że są równego wzrostu. Teraz znowu przyglądała mu się uważnie. Spuścił oczy. Poczł falę dreszczy.

— Które piętro? — zapytała.

Uniósł głowę i zobaczył, że świeci się guzik 45 piętra.

— Czterdzieste piąte — mruknął, spuszczać oczy.

Czuł na sobie jej spojrzenie. Przez całą drogę trzymał się ściany windy. Zmęczenie i gorączka powodowały, że czuł się, jakby ziemia umknęła mu spod stóp.

Dzyń-dzyń. Rozbrzmiał cichy dzwoneczek. Dojechali. Podniósł oczy.

Dziewczyna w czerwonej sukni przysunęła mu do twarzy pojemniczek z gazem obozwardniającym. Zauważył, że winda otworzyła się wprost na ogromne mieszkanie.

— Proszę... proszę czuć się jak u siebie — powiedziała, a jej twarz przybrała lodowaty wygląd.

Pierre wyciągnął do niej rękę. Cofnęła się, gotowa użyć gazu. Usiłował coś powiedzieć, ale przeszkodziła mu fala dreszczy, które przyprawiły go o szcęknięcie

Zaskoczona taką reakcją, opuściła rękę, cofnęła się na środek poddasza i patrzyła, jak idzie niepewnym krokiem, mówiąc przerywanym przez dreszcze głosem:

— Wiem, że jest pani dziennikarką... Widziałem panią przed godziną w NBC... Mogę ujawnić pani informacje o przebywającym nadal na wolności terroryście... Znam tego człowieka...

— Ja też — powiedziała lodowatym tonem.

Patrzył na nią oszołomiony. Nic już nie rozumiał. Nie spuszczał go z oka, wyciągnęła gazetę i rzuciła mu ją z daleka. Była to ranna edycja dziennika „New York Post”, który miał się nazajutrz ukazać.

— Pierwsza strona — rzuciła.

Zdjęcie Pierre'a zajmowało całą stronę. Pod nim widniał tytuł:

TEN CZŁOWIEK ZAGRAŻA BEZPIECZEŃSTWU NOWEGO JORKU.

6.

Robak w owocu

Nie ma ohydniejszej i tchórzliwszej zbrodni niż ta, która ucieka się do trucizny,

F. Serpillon, prawnik z XVIII wieku

Harlem, tego samego wieczoru, krótko przed północą

Powietrze było tak wilgotne i brudne, że niemal nie nadawało się do oddychania. Golbudin szedł 124 Ulicą. W ręce ścisnął plastikową torbę. Wewnątrz, prócz mapy, strzykawki oraz flakonu zawierającego serum, znajdował się materiał wystarczający do uśmiercenia dziesięciu, dwudziestu, stu takich miast jak Nowy Jork.

Gorąca noc w Harlemie. Muzyka, breakdance i rap.

Kolorowy, złożony z przedstawicieli wielu ras tłum wyległ na chodnik. Większość z nagimi torsami. Niektórzy tańczyli na chodniku zawalonym stertami kartonów i przepelnionymi śmietnikami.

HELL IS MY SHELTER! Piekło jest moim schronieniem.

Napis zrobiono żółtą farbą z sprayu na odrapanym murze z szarej cegły. Wokół niego widniała płatanina linii i symboli kabalistycznych, podpisy najpopularniejszych gangów nowojorskich taggersów — Boozów, Boxersów i Saxów, mistrzów graffiti, którzy sygnowali miasto swymi imionami. Rysowano też dziwne i obsceniczne kształty — szereg uszu Myszki Miki ustawionych na ciele kobiety, miotanej przez żądę.

Golbudin nie patrzył na nic. Spuścił głowę. Czuł jeszcze ciosy Abdallaha, w jego głowie dźwięczały słowa rozkazu Najma.

— Kochanie! Jak ci się podobają moje piersi?

Mijał właśnie dziesięć kołyszących się leniwie prostytutek.

— Dziesięć dolarów — szepnęła Metyska, obciśnięta czerwoną skórzaną suknią, uwydatniającą biodra i eksponującą bujne piersi.

W czasach lęku przed AIDS stosunek oralny z użyciem prezerwatywy kosztował dziesięć dolarów, bez prezerwatywy mógł osiągnąć nawet cenę pięćdziesięciu dolarów.

Taka była cena jednego życia.

Golbudin szedł dalej. Nie słyszał krzyków i kpin prostytutek. Posuwał się jak robot. Tylko słowa Najma, JEGO OSTATNIE słowa miały znaczenie. Wryły się płomiennymi literami w mózgu Golbudina: „Mahdi... wirus... jak najwięcej ludzi... w tym rejonie...” Idąc jak somnambulik. wpadł na długą i chudą sylwetkę Murzyna w jaskrawo-żółtych szortach nałożonych na czarne płócienne spodnie, który niezmordowanie ćwiczył rzut do kosza na ścianie.

— Hej, człowieku, czego tu szukasz? Wyjścia? — spytał z zaciekawieniem patrząc na Afgańczyka.

Golbudin nie odpowiedział. Wyciągnął z plastikowej torby dużą mapę stanów Nowy Jork i Pensylwania, którą dostał od Najma, i palcem wskazał na niej punkt. Czarny niedbale rzucił okiem na mapę i zajął się kozłowaniem piłki. Lewą ręką wskazał

— Pójdiesz tędy — wyjaśnił dryblując przed Golbudinem — do Central Station, dworca centralnego na Broadwayu. Tam wsiądziesz w Greyhound Bus. Piechotą to dwadzieścia minut stąd.

* * *

Autokar „Greyhound” mknął przez noc. Opuścił dworzec centralny o godzinie 0.30.

Golbudin spoglądał w prawo: na tysiące niknących w dali świateł miasta, na oświetlone wieże, na tańczące reflektory samochodów, na zielone i żółte światła w górnej części filarów mostu Brooklińskiego. Rzucił okiem na zegarek — 0.55.

Autokar powinien dotrzeć do Albany około czwartej rano. Golbudin popatrzył łakomie na ogromnego hamburgera, którym opychał się jego sąsiad. Zapach mięsa i cebuli unoszący się z big cheese'a uświadomił mu, że od wczorajszego wieczora nie miał nic w ustach. Siedzący obok niego grubas w czerwonej kraciastej koszuli i czapeczce baseballowej na głowie zauważył zainteresowanie Afgańczyka hamburgerem i zmierzył go groźnym spojrzeniem.

Golbudin wołał zamknąć oczy.

Jeszcze w wiele godzin po pospiesznym opuszczeniu hotelu „Garvey” w Harlemie czuł, że serce wali mu jak ściganemu zającowi. Wargi i prawy policzek piekły go od uderzeń Abdallaha. Potwornie bolał go brzuch. Krew pulsowała mu w skroniach.

I ciągle słyszał wryte w pamięć słowa konającego „Lisa”: „Mahdi... wirus... zarazić dużo ludzi... w tej strefie...” Rozkaz Najma powracał niczym fala. Golbudin czuł, że narodził się, aby go wypełnić.

Szybko zapadł w sen.

Atakuj otwarcie, ale zwyciężaj w sekrecie. Biały Dzień i Mrok, Jawność i Sekret, oto istota tej sztuki.

Raz po raz w ciągu podróży sąsiad musiał trącać go łokciem w brzuch. Golbudin spał wyjątkowo niespokojnie. Nękała go wizja czerwonej wydmy, która zasypywała go, doprowadzając niemal do uduszenia.

W tym samym czasie przy Kent Avenue 202

— Dobrze, założmy, że to wszystko pomyłka, kolosalna pomyłka — mówiła Ambre, akcentując słowo „pomyłka” i żywo gestykulując.

W drugiej ręce trzymała nadal pojemnik z gazem, ale nie mierzyła już w Pierre'a. Od ponad pół godziny Francuz usiłował przekonać ją o swej niewinności.

— Przepięknie. Tak, prawda, popełniłem przestępstwo — tłumaczył. — Mimowolnie stałem się współnikiem terrorystów.

Oczy dziewczyny stały się szare. Szare jak niebo przed burzą.

— Zgoda — powiedziała silnym głosem. — Nie jest pan ukrywającym się terrorystą. Czego więc pan chce? Co pan tu robi? Czego oczekuje ode mnie?

— Pomocy. — Stał oparty o ścianę, nie opodal windy. Gorączka nieco mu opadła. Przyniosło mu to chwilową ulgę. Powtórzył: — Pomocy.

Ambre nie rozumiała. Tłumaczył nerwowo widząc jej zaintrygowane spojrzenie:

— Tak, potrzebuję pani. Jestem poszukiwany przez FBI. Są już pewnie w moim hotelu. Jedyną szansą wyplątania się z całej tej afery jest dla mnie ujęcie tego zbiegłego terrorysty. I wydanie go policji. Gdy go odnajdę, uniewinnię mnie... Tyle, że nie ja, ale PANI może go odszukać dzięki rysopisowi, który pani podam.

Ambre spuściła głowę. Zdała sobie właśnie sprawę, że ten człowiek może ją doprowadzić do PRAWDZIWEGO terrorysty, jeśli oczywiście mówił prawdę. To stanowiłoby niewątpliwie decydujący krok w jej dziennikarskiej karierze. Po serii artykułów w „New York Daily Chronicles” otrzymała już wiele telefonicznych propozycji od tak poważnych dzienników, jak „Post” i „Herald Tribune”. Ale nie o to jej chodziło. „New York Daily Chronicles” stał się dla niej czymś więcej niż zwyczajna gazeta, był niemal drugą rodziną.

Spojrzała zatroskana na stojącego przed nią człowieka. Był jej wzrostu, może odrobinę wyższy i przede wszystkim — bardzo barczysty. Szyja i ramiona o sprężystych mięśniach emanowały siłą. Ale spojrzenie mężczyzny nie pasowało do tej wyrzeźbionej w trudach pracy na morzu sylwetki. Jego ocienione długimi czarnymi rzęsami oczy spoglądały jak oczy dziecka. Miały łagodny i niewinny wyraz.

„Zaufaniem nie można obdarzać. Zaufanie każdy musi sobie zdobyć”. Zimny głos ojca wyrwał ją z zadumy. Clive miał rację. Trzeba mieć się na baczności. W każdej sytuacji.

— Dobrze — odpowiedziała wreszcie Pierre'owi. — Ale stawiam pewne warunki. Poda mi pan rysopis tego człowieka... terrorysty. Wtedy zacznę poszukiwania. Jeżeli nie odnajdziemy go w ciągu trzech tygodni, rozstaniemy się. Pomogę panu przedostać się do Kanady, stamtąd zaś wróci pan do Francji, jeśli pan zechce.

Oferując mu pomoc, myślała oczywiście o Clivie i jego prywatnym odrzutowcu Gulf Stream III Grumman.

— Zresztą — ciągnęła — mogę nawet zorganizować pańską ucieczkę przed odnalezieniem tego terrorysty. Za parę dni. Kiedy sprawa trochę ucichnie...

Na twarzy Pierre'a pojawił się smutny uśmiech. Pokręcił głową.

— To nie jest dobre rozwiązanie. Jeżeli już teraz wyjadę, do końca życia będę musiał ukrywać się przed Interpolem i policją wszystkich krajów. Nie wytrzymam tego. — Zamilkł na chwilę i spuścił oczy. Znów wstrząsnęły nim dreszcze. — A poza tym, jest jeszcze jedna sprawa...

Zapadła cisza. Ambre milczała. Milczała i czekała, spodziewając się po Francuzie dosłownie wszystkiego. Od godziny stała się z powodu tego człowieka współniczką jednego z najbardziej poszukiwanych w Stanach Zjednoczonych przestępców.

— Jest coś jeszcze — podjął Pierre. — Nie mam trzech tygodni.

— Co to znaczy?

— Znaczy to, że jestem chory. Występują u mnie te same objawy, co u terrorystów, którzy zmarli zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku. To ta sama choroba. Pozostał mi tydzień. Tydzień życia. Najwyżej.

Wstrząs. Ambre wytrzeszczyła oczy, upuściła pojemniczek z gazem na stół i zaczęła nerwowo biegać po poddaszu. Tego było za wiele. Choroba intruza nałożyła się na zagmatwaną historię prawdziwego i fałszywego terrorysty.

— Nie uważa pan, że tego już za dużo! — wykrzyknęła poirytowana. — Po pierwsze, wpada pan do mnie jak złodziej. Po drugie, ściga pana policja. Po trzecie, informuje mnie pan, że jest pan chory... nie, lepiej — skazany na śmierć.

Pierre szczękał zębami. Czuł, że nadchodzi napad dreszczy. Słabym głosem powiedział:

— Proszę mi pomóc.

— Ale jak?

— Podczas wywiadu w telewizji powiedziała pani, że zna lekarzy zajmujących się podobnymi badaniami. Może oni będą mogli coś dla mnie zrobić.

„Stan! — pomyślała od razu. — Tylko Stan Bradley zdoła pomóc mi w ocaleniu tego człowieka”.

Zastanawiała się przez długą chwilę, spoglądając na latarnie morskie rozświetlające noc. Jedną z owych sierpniowych nocy nowojorskich, wilgotnych i gorących. Zza uchylonych okien dobiegał głuchy, miejski gwar.

Kiedy Ambre odezwała się wreszcie do Pierre'a, ton jej głosu uległ całkowitej zmianie. Teraz nie rozmawiała już z terrorystą, ale z chorym człowiekiem.

— Proszę położyć się na łóżku, o tam. Pomogę panu.

Dopiero około drugiej nad ranem udało jej się dodzwonić do Stana. Pozostało osiem dni na uratowanie Pierre'a.

Moskwa, Teatr Sowremiennik

Ostatni akt sztuki Szatrowa *Dalej, jeszcze dalej*. Scena pusta, prawie pusta — tylko biały, pokryty rdzą bidet stał w jednym z rogów. Siny i odrażający.

Ludmiła weszła na scenę z prawej strony. Grała rolę Niny, prostytutki. Ściągnięte rysy twarzy, bardzo krótko obcięte włosy, prawe oko lekko przymknięte, bo podrażnione dymem z papierosa, który zwisał z kącika ust. Jej mlecznobiałe ciało obciśnięte było amarantową suknią, a przy każdym ruchu bioder ukazywały się podtrzymujące pończochy podwiązki z czarnej sfatygowanej gumy.

Wyszła na środek sceny i zatrzymała się twarzą do publiczności, wulgarna i wyzywająca. Stała tak przez długą chwilę. Za nią rozwinął się cicho biały ekran.

Scenę ogarnęły kompletne ciemności. Lśnił tylko biały ekran, teraz już całkowicie rozwinięty; snop ostrego światła padał na Ludmiłę, która stała bez ruchu, z ustami ułożonymi jakby do pocałunku adresowanego do publiczności.

Nagle płócienny ekran zalał strumień biało-czarnych obrazów, przesuwających się w nierównym, charakterystycznym dla filmów z lat

trzydziestych rytmie. Widzowie dopiero po chwili uświadomili sobie, że są to fragmenty propagandowych filmów z epoki stalinowskiej.

Pokazano dobrodusze wąsy i mordercze spojrzenie „Ojczulka Narodów”, zachęcającego robotników doby stachanowskiej do „wyścigu pracy” czy rzucającego symboliczną garść ziarna, która zapowiadać miała nową erę — erę dostatku, czy też z uśmiechem na ustach tulącego chłopskie dzieci w łapskach, w „paluchach jak tłuste robale”, jak nazywał je Osip Mandelsztam, przyplacając te słowa życiem.

Obrazy przesuujące się na ekranie ukazywały całą hipokryzję stalinizmu — dobrotliwe i jowialne oblicze potwora, który w tym samym czasie siał wokół śmierć i topił kraj we krwi.

W świetle reflektorów, o parę metrów od ekranu, Ludmiła stała cały czas nieruchomo. Ledwie drgnęła, gdy tuż za nią rozległ się odgłos ciężkich kroków, kroków mężczyzny.

Szmer przebiegł wśród publiczności. To była TA scena, ta sławetna scena, która wywołała nie tylko w Związku Sowieckim, ale i na Zachodzie, niezwykle poruszenie.

„Rewolucja seksualna na Wschodzie”, „Czerwony seks”, „Realizm teatru radzieckiego — bezprecedensowa rubasność i okrucieństwo”, takie tytuły pojawiły się w prasie amerykańskiej — od „Los Angeles Times” po „Wall Street Journal”. „Playboy” zwrócił się nawet do aktorki z propozycją, by pozowała nago na rozkładówkę pisma.

Mężczyzna podszedł do Ludmiły. Nie było go widać, słyszano tylko odgłos jego kroków. Stał za nią z twarzą w mroku, ubrany na czarno. Tylko jego dłonie odcinały się jasną plamą. Ogromne, mocne, pokryte ciemnymi włosami dłonie gładziły pończochy Ludmiły, a potem prześliznęły się na mlecznobiałą skórę ud, powyżej podwiązek, na moment wsunęły się pod amarantową suknię, objęły piersi, by zniknąć na chwilę w ciemnościach i wyłonić się znowu. Prawa ręka trzymała teraz dwie dziesięciorublówki, które wsunęła pomiędzy piersi kobiety.

Ludmiła nie odwróciła się. Kiedy ruble niknęły za jej dekoltem, uśmiechnęła się po łajdacku i lekko pochyliła do przodu, patrząc ciągle zimnym wzrokiem na publiczność. Mężczyzna poddał amarantową sukienkę. Można było domyślać się jego okrytych mrokiem ruchów.

Widownia siedziała z zapartym tchem.

Ręce mężczyzny poruszały się, dając wyraz miłosnemu zapamiętaniu. Obmacywały ciało Ludmiły. Jej twarz oświetlona blaskiem reflektora pozostawała obojętna. Nieczuła na cielesne rozkosze, martwa.

Gestem dała wyraz zniecierpliwieniu, kiedy mężczyzna musnął jej

twarz i pogładził po gardle. Próbowala się uwolnić. Ale ręce stały się bardziej nachalne i niczym szal owinęły się wokół jej szyi.

Poderwała się nagle, ogarnięta paniką. Próbowala krzyżeć, ale głos uwiązł jej w krtani. Mężczyzna trzymał ją mocno. Jego dłonie wcisnęły się niczym żywa obręcz w skórę szyi Ludmiły. Słysząc było tylko głośny oddech mężczyzny, który mieszał się z urywaniem, spazmatycznymi krzykami duszącej się aktorki.

Na ekranie pojawiło się oblicze Stalina. Z promieniejącym radością wąsem, wódz pozdrawiał tłum.

Ludmiła dogorywała. Reflektor gasł i zapalał się w rytm jej agonalnych jęków, które stawały się coraz rzadsze. I w końcu ustały. Jeszcze jeden krzyk wydobył się z jej gardła — krzyk gniewu i desperacji. Ciemności skryły Ludmiłę i mężczyznę, wciąż splecionych ze sobą. Na ekranie widniał obsceniczny uśmiech Stalina. Za wszelką cenę Związek Sowiecki chciał pozbyć się swych upiorów.

„Sprostytuowało się całe nasze społeczeństwo” — szepnął ze smutkiem siedzący obok Miki stary człowiek w niebieskim okryciu. Widzowie pozostali przez moment pod wrażeniem ostatnich scen. Potem nastąpiły owacje. Stojąc, cała sala skandowała nazwisko Ludmiły.

— Czestekowa! Czestekowa!

Rozbłysły światła. Ludmiła nadała swemu strojowi skromniejszy wygląd i wyciągnęła rękę do partnera. Ukłonili się razem. Wywoływano ich czterokrotnie. Przy ostatnim wyjściu sam reżyser, Roman Wiktuk, wręczył Ludmile bukiet z mieczyków i róż. Owacje dogasały, publiczność ruszyła ku wyjściu.

Mika z trudem torował sobie drogę, pod prąd zmierzając ku garderobie Ludmiły. Przed drzwiami stał już tłum wielbicieli z naręczami kwiatów.

Mika z niezadowoleniem czekał na swą kolej. Otwierające się bez przerwy drzwi odsłaniały niewielkie pomieszczenie o ścianach wybitych czerwoną tkaniną, udekorowane ogromnym, okrągłym lustrem na wprost wejścia.

Kiedy wreszcie Mika wszedł do środka, Ludmiła siedziała odwrócona plecami. Amarantową suknię przyrzuciła błękitnym szlafrokiem i zmywała makijaż. Na widok odbicia Miki w lustrze z jej twarzy zniknął natychmiast powitalny uśmiech. Spuściła głowę. Stał za nią, skrępowany i sztuczny.

— Doskonale wypadłaś — powiedział wreszcie, usiłując uchwycić jej spojrzenie w lustrze.

Nie odpowiedziała. Uśmiechnął się gorzko.

— Jesteś teraz znana. Cały świat cię wielbi... Zachód bardziej niż Wschód.

Zapanowała długa cisza. Zza drzwi dobiegały głosy, wybuchy śmiechu. Mika nie poruszał się.

— Ludmiło — mruknął. — Powiedz coś.

Podniosła głowę. Zobaczył w lustrze, że z jej oczu płyną łzy, zostawiając na policzkach dwie czarne strugi tuszu do rzęs. Zduszonym przez szloch głosem pow — Wynoś się.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Unikając jej spojrzenia, wyszedł z garderoby. Tej nocy długo włóczył się po ulicach Moskwy, nie mogąc oderwać myśli od zalanej łzami twarzy Ludmiły.

Albany, 1 sierpnia, 5 rano

Albany liczy 115 tysięcy mieszkańców. Usytuowane o 500 kilometrów od Niagara Falls, przeżywa rokrocznie przemarsz turystów jadących z Nowego Jorku, by obejrzeć wodospad Niagara na granicy z Kanadą.

Albany to miasto tradycji i współczesności. 1 sierpnia 1992 roku odbywały się tu między innymi obchody dziesiątej rocznicy założenia sieci sklepów F. Angelo's.

F. Angelo's, sieć mocno wrosnięta w handlowy krajobraz Wschodniego Wybrzeża, chciała, by obchody były ukoronowaniem codziennego wysiłku, jaki wkładano w utrzymanie dominującej pozycji na rynku w ciągu owych dziesięciu lat. Każdy z pięćdziesięciu istniejących sklepów organizował przez tydzień imprezy. W ten sposób dziesięciolecie sieci fetowane będzie przez cały rok. Miejscowe obchody wynikały naturalnie z okrągłej rocznicy, przede wszystkim jednak miały cel reklamowy.

„Trzeba przemienić nasze supermarkety w lunaparki! — powiedział prezes sieci. — Im więcej odwiedzających, tym większa sprzedaż. To zwykła matematyka!”

W tym tygodniu przyszła kolej, by supermarket w Albany dowiódł logiki tego prostego rachunku.

Mike McFarlan, czterdziestodwuletni dyrektor F. Angelo's w Albany, zdecydował iść na całego. Aby podkreślić odświętną atmosferę, kazał wznieść na parkingu przed sklepem prawdziwą ścianę wody nad basenem — miniaturową kopię wodospadu Niagara. To drobne szaleństwo kosztowało 40 tysięcy dolarów, których zwrot dyrektor miał nadzieję osiągnąć dzięki wzrostowi liczby klientów, a więc

również — sprzedanych towarów. Liczył głównie na turystów. Aby ich przyciągnąć, nie wahał się wydać dodatkowych pięciu tysięcy na plakaty i ogłoszenia.

10 ROCZNICA POWSTANIA F. ANGELO'S! PRZYJDŹCIE OBEJRZEC WODOSPAD NIAGARA!

„To matematyka!” Głos prezesa dźwięczał jeszcze w jego uszach, gdy opłacał rachunek za druk ulotek.

„Mam nadzieję, że to rzeczywiście matematyka” — pomyślał w głębi ducha. Na czeku umieścił staranny, zamaszty podpis.

Była czwarta rano i na dworze panowały jeszcze ciemności.

McFarlan wziął się do pracy o trzeciej rano. Wszystko musiało być dopięte na ostatni guzik. Miał z tym wiele roboty i kłopotów, ponieważ prócz wodnej kaskady na parkingu na rozpoczęcie zaplanował także defiladę bohaterów Walta Disneya. Na to wspomnienie McFarlan zmarszczył czoło, zasępiony. Do tej pory nie dostarczono kostiumów Donalda i Gooffy'ego, które zamówił przed trzema tygodniami...

Kiedy tak rozmyślał, na dole rozległy się gwałtowne krzyki. Dobiegały z magazynu. Po ilości i różnorodności przekleństw rozpoznał Jesusa Mingueza, jednego z magazynierów. McFarlan pokręcił głową. Rozbawiony, słuchał przez chwilę litanii

„Wściekły pies! Pieprzony gnojek! Świnia! Nadstaw dupy Kanadyjczykom!”

Tego już było za wiele. McFarlan postanowił przerwać potok obelg. Jego ojciec był z pochodzenia Kanadyjczykiem z Winnipeg.

Wstał i zszedł po żelaznych schodkach do magazynu. W panujących tam ciemnościach dostrzegł tylko stopy nie psujących się towarów, ułożonych na metalowych stelażach w przejściu. Jego podniesiony głos odbił się echem w por — No, Jesus! Co tam się znowu dzieje?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Lekko zniecierpliwiony McFarlan powtórzył pytanie. Naprawdę nie miał dziś chwili do stracenia.

— Jesus?

Usłyszał odgłos kroków i Jesus wynurzył się z ciemności.

— No, co? Co mają znaczyć te wrzaski?

— Niech to szlag, to ten facet, tam...

— O czym ty mówisz?!

— Ten typ kręcił się przy palecie z sokiem Sunjuice. Nigdy go nie widziałem.

— Co ci powiedział?

— Nic! Nie uchylił gęby... O, to ten, tam.

McFarlan zobaczył za uchylonymi drzwiami magazynu niosącego plastikową torbę mężczyznę, który oddał się ciężkim krokiem w stronę parkingu F. Angelo's. Wzruszył ramionami i powiedział:

— Może to jakiś włóczęga. Pewnie chciało mu się pić.

Wyszli obaj na parking.

Świtało. Horyzont rozświetlały purpurowe i czerwone smugi. McFarlan poprosił Jesusa o uruchomienie kaskady wodnej.

W czyste niebo wytrysnęły strumienie wody i spienione opadły do basenu. McFarlan z dumą spoglądał na mieniącą się w promieniach wschodzącego słońca ścianę wody. Po chwili wrócił do biura. Zapowiadał się piękny, upalny dzień. Cieszyło go to.

* * *

Obroty F. Angelo's w Albany wzrosły tego dnia o 50%. Makieta wodospadu Niagara robiła furorę. Gromadka dzieciaków urządziła sobie nawet kąpiel pod kaskadą, wprawiając McFarlana w rozpacz. Nie pomyślał, że na wypadek utonięcia przydaliby się na parking strażacy.

Parada bohaterów Disneya była mniej udana — zabrakło Donalda i Gooffy'ego, których kostiumy przysłano w godzinę po imprezie. To już przyprawiło McFarlana o histerię.

Mimo tego incydentu McFarlan zachował optymizm. W pierwszym dniu obchodów sprzedaż F. Angelo's szła doskonale. 50 tysięcy dolarów, które zainwestowano, prawie się zwróciło. A to głównie dzięki napojom. Piekielny upał przyczynił się do wzrostu sprzedaży napojów o 300%!

I właśnie w związku z napojami wielokrotnie dzwoniło do McFarlana nazajutrz, począwszy od piątej rano. Rozmowa wyglądała za każdym razem tak samo — dzwonili lekarze, najczęściej interniści, których wzywano przez całą noc do chorych dzieci.

Objawy były identyczne — silna gorączka, twarde, wzdęte brzuchy i wymioty. Według zebranych przez McFarlana danych dziesięcioro dzieci trzeba było hospitalizować. Jedno z nich, chore na astmę, zapadło nawet w śpiączkę.

Czemu lekarze dzwonili do niego? Bo pośpiesznie przeprowadzone wywiady prowadziły właśnie do niego — wszystkie chore dzieci odwiedziły tego dnia wraz z rodzicami F. Angelo's.

Systematyczny z natury McFarlan starannie spisywał listę spożytych przez dzieci produktów i szybko stwierdził, że wszystkie piły sok jabłkowy marki Sunjuice w kartonowych pudełkach. Błyskawicznie

skojarzył to z człowiekiem, którego przyłapał Jesus obok palety z sokiem jabłkowym Sunjuice.

Teraz już wiedział, jak dalej działać. I kiedy z kolei zadzwonił około szóstej rano szeryf Albany Sporkin, jego stary przyjaciel, bez trudu doszli do wspólnych wniosków.

Sporkin nie chciał wywoływać skandalu. McFarlanowi tym bardziej na tym nie zależało. Dyrektor F. Angelo's zszedł na parking. Dzień zapowiadał się równie piękny, jak poprzedni. Na zewnątrz, w blasku wczesnego ranka, Jesus uruchomił kaskadę. Podszedł do McFarlana radośnie uśmiechnięty.

— Znowu piekielnie ładny dzień, co? Będzie lepiej niż wczoraj.

McFarlan smętnie pokręcił głową.

— Nie, Jesus. Przerzywamy. Dziś F. Angelo's będzie zamknięty. Aż do odwołania.

Albany, popołudnie 2 sierpnia

Szeryf Sporkin wałkował podwójny podbródek jak plastelinową kulkę. Był wyraźnie zatroskany.

i Wyglądał nawet na bardziej zmartwionego sytuacją niż McFarlan. Porządek stanowił dla niego warunek spokoju. Pięćdziesięciodwuletni szeryf uważał problemy za przeszkody, w — jak to z lubością nazywał — „cieplutkim życiu”.

f Po ojcowsku poklepał McFarlana po ramieniu. Dyrektor F. Angelo's spoglądał przez okno na wyludniony parking, w centrum którego zainstalowano pusty i bezużyteczny basen i metalową makietę Niagary. Wyschniętej Niagary.

— No... — usiłował uspokoić go Sporkin. — Przecież ciebie nikt za to nie wini. Nie masz w tym mieście wrogów. Ja w każdym razie nic o tym nie wiem.

— Nie w tym rzecz. 50 tysięcy dolarów poszło na ten wodospad i te obchody, to nic w porównaniu z...

Policzki Sporkina drgały w rytm skinięć głową. Świetnie rozumiał wyrzuty sumienia, które dręczyły przyjaciela.

— Myślisz o tych dzieciakach, tak? — zapytał.

McFarlan nie odpowiedział. Jego wargi drżały od powstrzymanego szlochu. Sporkin westchnął. Mimo że od wielu lat przyjaźnił się z McFarlanem, nie wiedział, jak mógłby go pocieszyć. Wobec straszliwych wydarzeń, których bilans pogarszał się z godziny na godzinę, niewiele było do powiedzenia. Dla Albany nadszedł czas apokalipsy.

Było to przerażające — od rana zmarło pięcioro dzieci... Padały jak muchy. Symptomy były identyczne: gorączka, potem agonia. Czasami ogólny krwotok przyspieszał zgon.

Dla miasta stanowiło to szok. Niespodziewany nokaut. Albany zmarło, przytłoczone katastrofą. W przeciążonej centrali szpitala słyszało się najdziwniejsze pogłoski: o zatruciu wody, o zabójczych promieniach Słońca, przed którymi nie chroniła uszkodzona powłoka ozonowa, o zakażonych kurzych jajach...

Nikt jak dotąd nie znał prawdy w takim stopniu, jak Sporkin, McFarlan czy szpital centralny. Oni byli niemal pewni, że źródłem bezlitosnej choroby jest jeden z towarów sprzedawanych w F. An-gelo's — sok jabłkowy Sunjuice w kartonikach. Jedyny produkt spożyty przez WSZYSTKIE chore i zmarłe dzieci.

— To nie jest atak na ciebie, Stan — powtórzył Sporkin. — Nikt nie mógłby nienawidzić cię do tego stopnia, żeby...

McFarlan przerwał mu:

— Wczoraj rano w magazynie kręcił się przy paletach z Sunjuice jakiś facet. Mínguez go tam zauważył. Jednak ktoś mnie nienawidzi...

Sporkin potrząsnął głową.

Miał niejasne przeświadczenie, że był to zamach wymierzony w firmę produkującą sok Sunjuice — Dirkmeier's. Ta spółka została przed niespełną miesiącem wykupiona przez światowego potentata tytoniowego, firmę M. J. Harrold's, pragnącego urozmaicić swą produkcję. Wykup wywołał wiele szumu w prasie. Zwłaszcza że bezpośrednio zagrażał obecnemu liderowi na rynku soków owocowych — Tropicanie.

Szeryf Sporkin był zdania, że wszystko należy brać pod uwagę. Przecież w 1985 roku w Japonii Glico, jedna z najpoważniejszych firm rolno-spożywczych, splajtowała, kiedy w jej produktach wykryto cyjanek sodu. Przestępca strzykawką wprowadzał truciznę do opakowań. Dwie tabliczki czekolady naszpikowane silną dawką cyjanku wystarczyły, by padł potężny magnat handlowy.

„Barbarzyński świat!” — Sporkin doznał prawie mdłości. To, że ktoś śmie igrać z ludzkim życiem dla kilku milionów dolarów, nie mieściło mu się w głowie...

Zachował te ponure myśli dla siebie. McFarlan spoglądał na niego pytająco:

— Nie wierzysz mi, co? O czym myślisz? O zepsutych produktach? Mam rację?...

Sporkin skłamał:

— Tak, Mike, masz rację. W pewnym sensie, masz rację... W każdym razie analizy zostaną przeprowadzone w wydziale zdrowia

i u Dirkmeiera, producenta soku Sunjuice. Nie martw się. — Wychodząc poklepał go po ramieniu. — To nie twoja wina, Mike. W żadnym razie.

McFarlan milczał. Przez chwilę siedział zatopiony w smutnych rozmyślaniach. Potem podszedł do okna. Patrzył, jak Sporkin idzie przez pusty, zalany słońcem parking.

Szeryf z wypiętym do przodu brzuchem, w okularach słonecznych na nosie, szedł kaczym krokiem złożyć raport w biurze FBI. Wkrótce do poczciwego Albany powróci spokojnie...

Tego samego wieczora w Fayetteville, Karolina Północna, siedziba Dirkmeiera

W roku 1912 Steve Browneye, założyciel Dirkmeiera, obrał Karolinę Północną na siedzibę swej spółki. „Fiskus jest tu równie łagodny, jak klimat” — powtarzał z lubością każdemu, kto pytał, czym kierował się wybierając ten stan.

„Stary” miał rację. Dirkmeier's zaczął przynosić duże pieniądze. Wzrastające zyski spółki pozwoliły Steve'owi Browneye na wystawienie u schyłku życia prawdziwej katedry ku chwale rozkwitającego kapitalizmu. Budynek wzniesiony został w ogromnym, dwudziestohektarowym parku, tuż nad stawem w kształcie litery D (D jak Dirkmeier's, ma się rozumieć). Łączyły wykwint i funkcjonalność. Bo, o ile „Stary” uległ pięknu architektury, o tyle stał obciema nogami na ziemi, a przed oczyma miał ostatnie linie bilansu spółki. Świadectwem tego była wyryta złotymi literami na frontonie parkowej bramy maksyma mająca nakłonić wszystkich do wprężenia się w kierat i dawania z siebie więcej, ciągle więcej i więcej.

JUST MAKE IT BETTER. Pracuj jeszcze lepiej.

Dochodziła dwudziesta trzecia. Była noc, ciemna i przesycona zapachem ligustru i glicynii letnia noc. W budynku głównym rozświetlone było tylko jedno okno pod czerwono-zielonym neonem — „Dirkmeier's Headquarters”, który odbijał się w tafli

W sali panowała zaskakująca i ciężka cisza. Poblądle, zatroskane oblicza czterech głównych menedżerów Dirkmeiera, zebranych wokół długiego mahoniowego stołu, świadczyły dobitnie o ogromie katastrofy, która spadła na ich barki.

Żaden z nich nie odzywał się. Wszyscy czekali, niczym na Mesjasza, na Cyryla Beamona, dyrektora generalnego Dirkmeiera. Każdy na swój sposób zabijał czas. Czterdziestopięcioletni Henry Mili, dyrektor

czterech fabryk Dirkmeiera, czytał zawzięcie pierwsze strony grubego sprawozdania, które leżało przed nim. W dalszym ciągu miał na sobie biały fartuch, w który był ubrany, kiedy spadła na niego zła wiadomość. Poruszał wargami, nie potrafiąc mimo kilkakrotnej lektury pogodzić się z faktami.

Parę foteli dalej siedział szef logistyki, Neil Gowtree, czterdziestolatek. Ten znowu od pół godziny dokonywał uparcie obliczeń, pokrywając czarnymi cyframi kolejne strony notesu.

Obok niego zajmował miejsce młody dyrektor marketingu, Peter Vaert. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, a w jego uchu tkwił diamentowy kolczyk. Wyraźnie poruszony powagą sytuacji, Vaert wstawał raz po raz i podchodził do okna, przez moment wsłuchiwał się w świst wiatru trącającego ruchome rzeźby Caldera i Nikki de Saint-Phalle'a w parku, potem wracał na miejsce i bębnił palcami w stół.

Ostatnim z czwórki był John Delafon, dyrektor finansowy. Najstarszy, liczył pięćdziesiąt pięć lat. To być może usprawiedliwiało dziwaczną pozę, jaką przybrał. Skrzyżowane na brzuchu ręce, pół-przymknięte oczy spoglądające w pustkę, a do tego usta ułożone w uśmiech — enigmatyczny i dodający otuchy. Uśmiech mędrca, który potrafił godzić się z przeciwnościami losu.

W kłapie jego marynarki widniał, podobnie jak u pozostałej trójki, złożony znaczek w kształcie szybującego orła. Od czasu, gdy przed trzema miesiącami do Dirkmeiera przybył Beamon, usiłował tchnąć w swych menedżerów nowego ducha, ducha braterstwa orłów, których praca wymaga cech władcy przestworzy — szerokich horyzontów, woli ryzyka i surowości.

Trzydziestosześcioletni dyrektor, ściągnięty za góry złota z Pepsi-Coli przez producenta papierosów M. J. Harrolda, miał dwa lata na wygranie zakładu i uczynienie z Dirkmeiera głównego producenta soków owocowych na terenie USA. Wymagało to pogrążenia obecnego lidera — Tropicany. Ale, jak widać, początek wypadł kiepsko...

Drzwi otworzyły się i zgodnie ze swym zwyczajem Beamon wpadł do sali jak burza. Beamon, absolwent uniwersytetu w Wirginii, miał domieszkę krwi chińskiej, a jego wygląd zdradzał podwójne pochodzenie — miał sylwetkę świetnego amerykańskiego futbolisty i nieodgadnione, skośne oczy. Łączył moc i wyrafinowanie.

Niczym cień podążał za nim osobnik wyglądający na ucznia — długowłose, ubrany w pstrokatą koszulkę i za długie dzinsy chłopak, który stanął za fotelem, oparłszy się o ścianę.

Dziwne, ale Beamon wydawał się raczej spokojny, a nawet rozbawiony sytuacją. Mówił. W sali rozbrzmiewał jedynie jego cichy chwilami głos.

Wszystko, co powiedział na wstępie, uspokoić miało czwórkę głównych menedżerów. Poinformował, że zarząd M. J. Harrolda, z którym odbył właśnie spotkanie, pomoże im przezwyciężyć kryzys. Nie porzucą dopiero co przyjętej filii z powodu jakiejś mętnej historii „chuligaństwa spożywczego”.

— Co takiego? — zapytał, jakby właśnie spadł z nieba Delafon.

— Sabotażu spożywczego, jeżeli pan woli. To nowa forma wojny rynkowej. Zdarzało się to już innym spółkom...

Lekkim, prawie wesołym tonem Beamon wyliczył szybko listę „wielkich” zamachów dokonanych na artykułach spożywczych ostatnimi laty. Prócz japońskiego producenta czekolady, którego wyroby zatruto cyjankiem, wymienił holenderski browar Heineken, od którego trzykrotnie od 1981 usiłowano wyłudzać pieniądze, grożąc zatruciem piwa. Rok 1984 przyniósł zatrucie batoników „Mars” w stoiskach angielskich supermarketów. Tym razem jednak wykryto sprawcę. Był nim członek Animal Liberation Front, organizacji walczącej o prawa zwierząt, która w ten sposób protestowała przeciwko „barbarzyństwu przeprowadzanych na królikach testów

W roku 1989 ofiarą sadystycznych zamachów padli dwaj wielcy producenci żywności dla małych dzieci — Heinz i Cow and Gate. Słoiczki z deserem czekoladowym oraz zupkami jarzynowymi nafaszerowane zostały odłamkami szkła, żyłek, szpilek i sodą kaustyczną.

Delafon był wyraźnie przerażony tym okrucieństwem. Świat finansów nie był kryształowo czysty, przynajmniej jednak nie igrał — nie na taką skalę — z ludzkim życiem.

— Jest pan przekonany, że to zrobili chuligani?.. — wybełkotał Delafon.

— Nic nie jest pewne — odrzekł Beamon. — Na kogo spada odpowiedzialność?... Odpowiedzi oczekiwać należy od Henry'ego Milla, dyrektora fabryk.

Mili zdjął okulary w kształcie półksiężyców. Bez nich wydawał się wrażliwszy i chyba smutniejszy.

— Obawiam się, że nie mamy do czynienia z przypadkiem...

— ...chuligaństwa — dokończył Delafon.

— Właśnie. Przeprowadzono kontrolę. Ani procesowi produkcji w zakładach, ani sterylności soku nie można nic zarzucić. Takie rozwiązanie należy wykluczyć. Zresztą wstępne badania soku pobranego w F. Angelo's z Albany wykazały obecność mikroorganizmów wprowadzonych po zakończeniu produkcji.

Vaert, jak przystało na dobrego specjalistę od marketingu, wolałby przyjąć raczej wersję o ustercie towaru aniżeli o nowego rodzaju walce rynkowej, która całkiem go zbiła z tropu. Zwrócił się do Milla:

— Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Być może doszło do przypadkowego zarażenia. Proszę przypomnieć sobie sprawę tego szwajcarskiego sera...

Mówił o pewnych bakteriach, jak *Listeria* czy *Jersinia*, które wystąpiły w kilku gatunkach serów we Francji i Szwajcarii. Nieszkodliwe dla cieszących się dobrym zdrowiem dorosłych, wywoływały choroby groźne dla jednostek o osłabionej odporności immunologicznej. Pamięć Vaerta podsunęła mu jeszcze inne wspomnienie — stu Kalifornijczyków oraz pięćdziesięciu Anglików zmarłych w 1985 roku w wyniku zakażenia bakteriami typu *Listeria*. W każdym przypadku zgony pieczętowały handlowy koniec skażonych produktów. Nie bez dreszczu myślał też o panice, jaką wywołał w 1988 roku w Wielkiej Brytanii komunikat ministra zdrowia, Edwiny Currie, która podała do wiadomości, iż jej zdaniem trzydzieści milionów jaj skażonych jest bakterią *Salmonella enteridis*, wywołującą salmonellozę.

Beamon w zamyśleniu słuchał wypowiedzi Vaerta.

— Hm! — mruknął, gdy dyrektor do spraw marketingu zamilkł. — Trzeba mieć nadzieję, że Vaert ma rację, że „padliśmy jedynie ofiarą przypadkowego rozwoju mikroorganizmów w naszych sokach”.

Mill, dyrektor zakładów, zachował sceptycyzm. Ponownie zabrał głos.

— Jest coś jeszcze. Sto pięćdziesiąt odnalezionych kartonów miało bez wyjątku jedną lub więcej dziurek średnicy cienkiej igły.

— Czy jest pan przekonany, że to dziura po i... — wtrącił się Vaert, uparcie odmawiający przyjęcia do wiadomości katastrofy, która zaciemniała horyzont.

Beamon przerwał mu zdecydowanym gestem.

— To nie jest dziś najważniejszy problem, Peterze.

Ton jego głosu złagodniał równie szybko, jak nabrał surowości. Kiedy zwrócił się do Neila Gowtree, kierującego logistyką, jego oczy stały się jakby bardziej skośne, co oznaczało silną koncentrację.

— Neil, czy wszystko zostało przygotowane do recallu?

Oszczędny w słowach Gowtree skinął głową. Recall jest procedurą alarmową przewidzianą przez wszystkie wielkie spółki rolno-spożywcze, jak General Foods, Coca-Cola, Nestle itd. W razie przestępczego lub przypadkowego zatrucia produktów, pozwala ona na błyskawiczne wycofanie ze sprzedaży detalicznej danego towaru, bez konieczności informowania opinii publicznej za pośrednictwem mass mediów. Operację tę umożliwia specjalny kod, którym opatrzone są produkty fabryki. W przypadku Dirkmeiera było za późno — media wpadły już na trop afery. Jedyny cel operacji stanowiło ograniczenie liczby zakażeń poprzez szybkie i całkowite wycofanie produktu.

W kącikach ust Beamona pojawił się niewyraźny uśmiech.

— Dobrze — powiedział do Gowtreego. — Przystępujemy do recallu.

Nie mówiąc nadal ani słowa, Gowtree wyszedł z sali. Za pośrednictwem telefonu i teleksu miał powiadomić sieć handlową i dystrybutorów na obszarze całego kraju.

Beamon zwrócił się z kolei do Delafona, by zapytać, jak stoją akcje Dirkmeiera. Mina dyrektora finansowego była raczej żalobna.

— Raczej kiepsko. Wiadomość dotarła do maklerów zaledwie na godzinę przed zamknięciem giełdy... całe szczęście, bo Dirkmeier's stracił 25% w ciągu niespełna godziny. Pociągnęło to za sobą nawet spadek akcji M. J. Harrold's, który w tym czasie stracił 12%. Jeżeli wziąć pod uwagę doskonałą kondycję akcji Harrold's... Dzisiejszego wieczora na giełdzie krążyła pogłoska, że Harrold's zamierza sprzedać Dirkmeier's. Obawiam się jak najgorszego rozwoju wydarzeń w ciągu jutrzejszego dnia. Nad plotką nie sposób zapanować.

— Właśnie — powiedział Beamon. — Zwróciłem się o radę do Chrisa Kopfera.

Trzej menedżerowie zupełnie zapomnieli o obecnym na sali młodzieńcu, którego błada twarz zlewała się z beżową ścianą. Beamon kontynuował:

— Chris Kopfer jest prezesem Instytutu Badań i Informacji o Pogłosce. To najlepszy amerykański specjalista. Przeprowadzał konsultacje w niektórych ministerstwach, na przykład Zdrowia, oraz dla administracji Reagana i Busha... — Co

Kopfer zaczął od uspokojenia nastrojów. Rzeczowym, swobodnym tonem wyjaśnił, że nie pierwszy raz roznosi się pogłoska o zatruciu artykułu spożywczego. Nawet taki nietykalny gigant jak Coca-Cola padł ofiarą plotki zwanej „myszą”. Od 1914 roku powtarzały się regularnie procesy wszczynane przez konsumenta, który utrzymywał, że natrafił w ulubionym napoju na kawałek myszy. Kopfer przypisywał tę plotkę o Coca-Coli dwóm czynnikom. Po pierwsze, Coca była napojem wzniesionym do rangi mitu, a więc — najbardziej narażonym. Po wtóre — pilnie strzeżona receptura napoju podsyciała najdziwaczniejsze wyobrażenia.

Innemu gigantowi, McDonaladowi, również przypisano dość odrażające praktyki — powiadano, że do mięsa hamburgerów dodawane są dżdżownice. Kopfer raz jeszcze podkreślił, że hamburgery są produktem powszechnie spożywanym, a więc szczególnie czułym na Plotki.

O głos poprosił wyraźnie znużony Vaert:

— Pańska analiza jest interesująca. Ale przypominam panu, że nasz sok ZABIĘ dzieci. I to nie jest PLOTKA. Gwiżdżę na informacje, że ludzie dają wiarę bzdurnym pogłoskom o myszach w coca-coli i dżdżownicach w hamburgerach.

Kopfer zachował spokój.

— Panie Vaert, ile dzieci zabił ten sok?

— Dziesięcioro. Czemu pan pyta?

— Dziesięcioro, to z pewnością o dziesięcioro za dużo. Ale w wymiarze czysto — i dramatycznie — rachunkowym, to nic w zestawieniu z dziesiątkami tysięcy konsumentów, którzy piją wasze soki owocowe. — Podszedł do tablicy za sobą i napisał jedną przy drugiej dwie liczby 10 i 100 000, po czym podjął: — I jutro, pojutrze i w ciągu następnego dnia będziecie musieli panowie żyć ze świadomością, że śmierć tych dziesięciorga utkwiła w pamięci dziesiątków tysięcy konsumentów. To już domena analizy plotki. Jeżeli nic nie zrobicie, niebezpieczeństwo stanie się poważne. Rozgłos... negatywny rozgłos, wywołany wokół waszych wyrobów, może narosnąć, zdeformować się. Wasze wyroby zostaną uznane za winne wszystkich dziwnych zgonów na przestrzeni lat... Jeżeli nie spróbujecie opanować fenomenu plotki, nastąpi koniec — wasze produkty zostaną pogrzebane.

Kopfer opowiedział im historię o oranżadzie w proszku wyrabianej przez General Foods, Space Dust, która musiała zniknąć z rynku, gdy rozeszła się plotka, iż pewne dziecko „udusiło się” nią. Nikt nigdy nie dowiódł, że faktycznie taki wypadek miał miejsce...

Delafon był załamany. Widział już tragiczny bilans Dirkmeiera, ogromne budynki sprzedane jako posiadłość ziemską i swą zrujnowaną karierę...

— Czyż można walczyć z tymi plo... plotkami? — bąknął słabym głosem.

Kopfer przecząco pokręcił głową.

— Jak... Jak to? Sądziłem, że pan...?

— Niestety, nie — ciągnął Kopfer. — Niewiele można zdziałać. Zaprzeczanie? To spowoduje tylko, że ludzie lepiej zapamiętają sprawę. Przeprowadzone przez nas w związku z dżdżownicami McDonalda badania dowodzą, że dementi dwukrotnie powiększa rozmiary plotki.

— A więc? Nie ma na to rady? — zapytał Delafon.

Kopfer uspokoił go ruchem ręki.

— Nie, możemy próbować jeszcze wielu innych metod. Przede wszystkim proszę zachować zimną krew. Czas poświęcony na przemyślenia nie jest nigdy stracony. — Mówiąc, pisał równocześnie na

tablicy. — Potem należy wyizolować sprawców kryzysu i unikać rozmów z niewłaściwymi ludźmi. Trzeba wyznaczyć rzecznika Dirkmeiera, który jako jedyny odpowiadać będzie na pytania. Przede wszystkim zaś nie starajcie się być wszechobecni... I nie uznawajcie prasy za wroga. Ułatwajcie jej pracę. Podawajcie dziennikarzom bezpośrednio numery telefonów. Potwierdzajcie swą niezachwianą wiarę w doskonałość oferowanych towarów. Wreszcie, zgadzajcie się na wszelkiego rodzaju analizy i ogłaszajcie ich wyniki! Zdecydowanie odradzam politykę niedomówień i milc — Iw końcu — powtórzyli jednocześnie Vaert i Delafon.

Na twarzy Kopfera pojawił się sprytny uśmiech.

— W końcu, trzeba mieć nadzieję... nadzieję, że inne wydarzenia odwrócą uwagę mediów i w ten sposób wasz produkt przestanie budzić emocje.

Zapanowała ciężka cisza. Beamon wstał i bez słowa podał złoconego orła Kopferowi, który z powagą przypiął go do bezkształtnej koszulki. Następnie Beamon poprosił, by pomodlili się wspólnie.

Była trzecia nad ranem. W ciszy letniej nocy rozbrzmiały tchnące nadzieją słowa *Ojciec nasz*.

Nowy Jork, Kent Avenue 202

Stan Bradley podszedł do Ambre śpiącej na podłodze w oddalonym od łóżka Pierre'a kącie pokoju. Nie od razu ją obudził. Długo stał, przyglądając się, jak śpi. Jasne włosy opadały na jej zamknięte oczy.

Potem ujął ją za ramię i delikatnie potrząsając szepnął:

— Ambre, to ja... Stan.

Odwróciła ku niemu twarz. Masa jasnych włosów osunęła się na jej ramię. Ze szparki oczu błysnął błękit.

Uśmiechnął się. Potrząsnął jej przed nosem trzymanym w ręku plikiem papierów.

— Dostałem wyniki analiz.

Ambre usiadła, bacznie mu się przyglądając.

— I co?

— I...

Stan obrzucił spojrzeniem śpiącego na łóżku w drugim końcu poddasza Pierre'a.

— I... — podjął — na razie nie zdołaliśmy niczego ustalić. Wstępne analizy okazały się niewystarczające.

Ambre spuściła głowę. Stan wstał i, mimo woli poirytowany, powiedział głosem, nad którym próbował panować:

— Ależ, Ambre, ten typek to terrorysta! Bandyta! Groźny bandyta! Nie będzie się pani chyba litować nad tym... tym...

Teraz z kolei ona wstała, ujęła go za ramię i pociągnęła do kuchni.

— Ciii! Stan, powtarzam panu, że ten człowiek jest mi potrzebny. Jeżeli mówił prawdę, gdzieś w Stanach przebywa nadal inny terrorysta. A on może go wskazać...

Otworzyła lodówkę i naleła sobie zimnego mleka.

— A poza tym... jest chory, a my musimy, PAN musi go leczyć. Przysięga Hipokratesa, mówi to panu coś? Obowiązek udzielania pomocy ludziom zagrożonym...

Stan zachnął się. Wsunął rękę do skórzanej torby, którą trzymał na ramieniu, i wyciągnął plik gazet i magazynów.

— A to, Ambre?... A to?... — Zdjęcie Pierre'a widniało na pierwszych stronach niemal wszystkich dzienników. — Ukrywa pani faceta poszukiwanego przez policję w całym kraju. Jest pani współniczką zabójcy... Tak, zabójcy. „Herald Tribune” przypisuje mu nawet śmierć dwanaściorga dzieci zmarłych wczoraj w Albany na skutek zatrucia pokarmowego.

— O! — zawołała Ambre, wyciągając ku niemu rękę ze szklanką mleka. — Sam pan widzi, że to gigantyczna pomyłka... Człowiek, który jest tu od wczorajszego wieczora, nie mógł być równocześnie w Albany... On nie kłamie, Stan. Trzeba jak najprędzej odnaleźć prawdziwego terrorystę. Poinformowałam o wszystkim Jeffa Turnera, redaktora naczelnego mojej gazety. Obchodzi właśnie komisariaty i znajomych... — Podeszła do Stana, patrząc mu prosto w oczy. — Trzeba wyleczyć tego człowieka, Stan. Jego życie jest w zagrożeniu.

Stan westchnął. Bezradnie rozłożył ręce.

— Ale my nie wiemy, co mu jest, Ambre. Dotychczasowe badania ujawniły obecność jednego lub kilku wirusów. A właśnie, to dla pani.

Wyjął z torby pudełko gumowych rękawiczek i sterylnych masek.

— Proszę mi obiecać, że od tej chwili będzie to pani ciągle nosiła. Nikt nie wie, na co jest chory ten... terrorysta. Może to być bardzo zakaźna choroba wirusowa. — Zamknął torbę. — Pójdę już. Muszę przeprowadzić dodatkowe analizy...

Ambre ujęła go za rękę.

— Stan?

Wspięła się lekko na palce i delikatnie pocałowała go w usta. Zamknął oczy. Wstrzymał oddech.

— Dziękuję za wszystko, Stan — szepnęła. — Proszę zrobić, co w pańskiej mocy... Pozostało nam jeszcze tylko pięć dni, by go ocalić.

Albany, rankiem 3 sierpnia

Przez mroczny korytarz miejscowej stacji FBI wydatny brzuch szeryfa Sporkina przesunął się przed smukłą sylwetką Iriny Fox, wykładowcy języka arabskiego na uniwersytecie w Albany. Sporkin miał niesłychane szczęście, że zdążył przed jej wyjazdem do siostry, do Madison w stanie Wisconsin.

Pobieżne wyjaśnienia Sporkina szybko wpłynęły na jej decyzję odłożenia wakacji. Chodziło o udzielenie policji pomocy w poszukiwaniu morderców dzieci z Albany. Tym chętniej przyszła szeryfowi z pomocą, iż tragedia i ją pośrednio dotknęła. Jej najbliższa przyjaciółka straciła dziewięcioletnią wnuczkę Sheilę w wyniku tej zbrodni, na którą, jak mówiła, „nie było słów”.

Jedno wszakże ją intrygowało: w czym mogła pomóc policji. Może oczekiwano od niej zeznań?

Brzuch szeryfa cofnął się, aby przepuścić ją do biura przypominającego raczej składzik. Całą przestrzeń zajmował szary metalowy stół, na którym królował wentylator. Zza stołu uważnie przyglądał się jej niski, szeroki w barach człowiek. Prąd powietrza od wentylatora rozwiewał lniane włosy otaczające wyłysiałą czaszkę. ... Natychmiast poczuła się nieswojo. A badawcze spojrzenia czterech rozstawionych wokół niskiego mężczyzny policjantów tylko wzmogły to niemiłe odczucie.

— Inspektor Fielding, z FBI... Irina Fox, wykładowca arabskiego na uniwersytecie... — dokonał prezentacji Sporkin.

Fielding nie wysilił się, by odwzajemnić niepewny uśmiech, którym powitała go Irina Fox. Podał jej zmiętą, noszącą ślady butów kartkę, aa której wypisane były na ukos ciasne, drobne arabskie litery. — Proszę to przetłumaczyć.

O Fieldingu mówiono, że jest człowiekiem czynu w każdym calu. Słów używał mało albo wcale, był tytanem pracy, ale zebrania skracał do dziesięciu minut, a raporty pisał najwyżej jednostronicowe.

Irina Fox była tak onieśmielona miejscem i manierami inspektora, iż minęła chwila, nim doszła do siebie i odszyfrowała pismo.

Czterej policjanci, Fielding i Sporkin wstrzymali oddech. Skrzydła Wentylatora warczały w ciszy.

Po chwili Irina Fox zapytała:

— Gdzie panowie znaleźli ten... papier?

Odpowiedział jej Sporkin.

— Na ziemi, na parkingu przed F. Angelo's.

Z niedowierzaniem pokręciła głową i niepewnym głosem zaczęła czytać:

— „Mahdi. Wirus musi zabijać. Zabijać możliwie najwięcej ludzi. Zabijać i jeszcze raz zabijać. Do tego został stworzony. Mahdi”. Nic z tego nie rozumiem. To...

— ...absurdalne — dokończył Fielding. — Faktycznie absurdalne. Proszę przeczytać jeszcze raz...

Irina Fox usłuchała i powtórzyła tekst. Fielding przerwał, zniecierpliwiony:

— Ależ proszę tłumaczyć! Co ma znaczyć to „Mahdi”?

— Mahdi? — powtórzyła wyraźnie zaskoczona tym brakiem obeznania z kulturą islamu u rozmówców. — Mahdi to termin religijny oznaczający Dobro kierowane przez Allacha. Mahdi interweniuje po Sądzie Ostatecznym, wskazując dobrych i złych.

Fielding milczał. Wpatrywał się w skrzydła wentylatora, wystukując o stół egzotyczny rytm.

— Okay! — powiedział, zaciskając zęby. — Ktoś tu robi sobie z nas kpiny. Jeżeli facet, który dopuścił się zamachu, sądzi, że zdoła zatrzeć za sobą ślady pisząc po arabsku, grubo się myli!

Sporkin zaryzykował uwagę:

— Nie jesteśmy nawet pewni, że to zamach...

Fielding wyjął z szuflady szarą kopertę i rzucił ją na biurko.

— Wszystko jest tu napisane, Sporkin. Dziesięciostronicowy raport. Istota sprawy zawiera się w dwóch zdaniach: Po pierwsze, wirus został wykryty jedynie w stu pięćdziesięciu kartonach soku jabłkowego Sunjuice firmy Dirkmeier's; po drugie, wszystkie spośród tych stu opakowań miały ślady jednego lub kilku nakłuć. Nie ma cienia wątpliwości, to zamach.

W biurze zapadła cisza. Fielding poderwał się, jakby ktoś go pchał, i wybiegł nie żegnając się z Iriną Fox. Zorientowała się, że inspektor miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu.

Zniknął w korytarzu, a w ślad za nim poszło jego czterech współpracowników. Usłyszała jeszcze, jak mówi chropowatym głosem:

— Proszę zwołać jeszcze dziś dyrektorów pięciu największych wytwórni soków owocowych. Ani słowa prasie ani telewizji. Proszę sprowadzić także dyrektora Dirkmeiera. Nigdy nie wiadomo — może to chwyt reklamowy. Wszystko należy brać pod uwagę.

* * *

Golbudin wysiadł z autobusu otoczony gromadką dzieci. Zmrużył oczy oślepiiony przez słońce. Przed nim znajdowało się wejście na basen. Zapach chloru, olejków do opalania, plusk wody, krzyki dzieciarni. Muzyka. W okienku kupił żółty bilet. Tylko na pół dnia. Nie zabawi tu długo.

Zamiast wejść na taras nad głównym basenem, skręcił w prawo i poszedł długim, mrocznym korytarzem. Woń chloru nasiliła się. Warkot maszyn był ogłuszający.

Pchnął żelazne drzwi, które jęknęły cicho, i dokładnie zamknął je za sobą.

Aby stworzyć swoje Królestwo, musisz poznać siebie. Pokonanym można zostać tylko z własnej winy.

Tego samego dnia w Pittsburghu

Wydarzeniem dnia były dziś w Pittsburghu doroczne zawody pływackie dla dzieci do lat dwunastu. Dla rodziców stanowiły one okazję, by pochwalić się postęпами pociech. Dawały także pretekst do odpoczynku w tym pełnym wrażeń, świątecznym upalnym dniu.

Na tę okazję w dużym basenie długości pięćdziesięciu metrów wyznaczono dziesięć torów pływackich za pomocą lin wspartych na kolorowych bojach.

Święto. Z głośników od dziewiątej rano płynęła ogłuszająca muzyka. Powietrze przesycone było zapachem lodów czekoladowych, palonych orzeszków arachidowych, hamburgerów i prażonej kukurydzy.

„Z Raju mówi do was Wuj Sam! Świętujemy! Jest gorąco, bardzo gorąco. Zapowiadają 35° w cieniu. A w moich kąpielówkach jest już 50°.

Siedzący na trybunach widzowie wybuchnęli gromkim śmiechem. W dole, na brzegu basenu, stał z wypiętym brzuchem Wuj Sam i sypał dowcipami. O jedenastej trzydzieści konferansjer spoważniał nieco i zapowiedział pierwszą konkurencję.

„A teraz zawody dla najmłodszych! Najstarszy spośród uczestników ma niespełna osiem lat! Jest o połowę młodszy ode mnie!”

Dzieci rozgrzewały się już od ponad godziny, wysłuchując uważnie wskazówek instruktorów.

„Whaow! Oto i nasi ministrowie!”

Dzieciaki w czepkach i obszernych płaszczach kąpielowych czekały pełne powagi i skupienia. Rozgrzewały mięśnie rąk i nóg, wstrząsając nimi.

Rozległy się trzy gwizdki. Na trybunach wśród sekundujących zawodnikom rodziców przebiegł szmer. Pływacy zajęli pozycje startowe.

Siedmioletni Rick Haig zrzucił szlafrok, który upadł mu pod nogi. Drżał lekko. A przecież odbył tego ranka dwugodzinną rozgrzewkę w basenie. Podszedł do niego wielki Browne, jego instruktor.

— Co się dzieje, Rick? Jesteś blady.

Rick chciał odpowiedzieć, że to nic takiego. Jedynym dźwiękiem, jaki udało mu się wydać, było szczekanie zębów. Na jego ramionach pojawiła się gęsia skóra.

Brownie przykucnął chcąc, aby jego twarz znalazła się na wysokości buzi chłopca.

— No, Rick — powiedział szczypiąc go po przyjacielsku w nos — nie można się tak przejmować. Wiesz przecież, że jesteś najlepszy, co?

Rick był ulubieńcem Browniego. A na pewno jednym z tych, którzy dali mu najwięcej satysfakcji. Chłopiec zaczął uczyć się do niego na treningi przed dwoma laty. Cierpiał wówczas na zanik mięśni prawej nogi po przebyciu polio, którym zaraził się we wczesnym dzieciństwie w Zairze, gdzie pracował jego ojciec.

Po roku nauki pływania pod okiem Browniego Rick, dzięki imponująco silnej jak na dziecko w jego wieku woli, zaczął znów chodzić, lekko tylko utykając. Pływanie stało się jego pasją.

— Udowodnisz im, że jesteś najlepszy, prawda, Rick? — tłumaczył mu Brownie.

Dziecko usiłowało sprawić wrażenie zdrowego, ale na próżno. Brownie dotknął jego czoła. Rick był rozpalony. Brownie odruchowo podniósł szlafrok i otulił nim chłopca.

— Jesteś chory, Rick. Nie możesz płynąć — perswadował.

Głośnik wezwał młodych zawodników do wejścia na słupki.

„Niech zwycięży najlepszy! Whouhou!” — wykrzyknął Wuj Sam.

Mały Rick rzucił okiem na rodziców, zagubionych w tłumie na trybunach. Zaciśnął pięści. Nie podda się po tym roku ciężkiej pracy. Minał wielkiego Browniego, który stał bezradnie.

Wystrzałem z pistoletu dano sygnał do startu. Widzowie poderwali się z miejsc. „Szybciej! Szybciej!” Każdy chciał jak najgłośniej wykrzyknąć imię swego dziecka lub faworyta.

Rick nie słyszał nic, otoczony wzburzoną wodą. Widział tylko ciemnoniebieską smugę falującą na dnie basenu. Czuł tylko dotyk spienionej wody, która otwierała się przed nim. Skupił się bez reszty na pływaniu.

Ramiona... Szybciej, szybciej uderzać ramionami... Silniej prawą nogą... Zmagać się z wodą jak ryba... Dać się unieść, jak mawiał wielki Brownie.

Start Ricka był mierny. Zdobył się na fantastyczne przyspieszenie, gdy pokonywał drugą długość basenu i objął prowadzenie. Wypadek zdarzył się na parę metrów przed metą. Chłopiec poszedł na dno jak kamień.

Wielki Brownie stał w pogotowiu nad basenem. Bez zastanowienia skoczył do wody. Dziecko było nieprzytomne. Woda nie wdarła się do płuc, więc jeszcze oddychało, ale nie odzyskiwało przytomności.

Zawody zostały przerwane na godzinę. I właśnie w tym czasie inne dzieci zaczęły odczuwać dolegliwości. Wszystko przebiegało jak u Ricka — gwałtowna gorączka, zawroty głowy i wymioty. Około trzynastej imprezę zakończono.

Waszyngton, 5.25 rano, 5 sierpnia

National Security Planning Group, Krajowa Rada Bezpieczeństwa, zbierała się już po raz drugi w ciągu dwóch tygodni, co zdarzało się niezmiernie rzadko. Tym razem zwołana została w nocy przez prezydenta. Prezydentowi zależało, by prócz uczestników poprzedniej sesji — sekretarza obrony Henbergera, dyrektora CIA Łaskiego i sekretarza stanu Kluntzmana — obecny był także Daniel Norton, dyrektor FBI, i Jim Landis, odpowiedzialny za zwalczanie terroryzmu sekretarz stanu.

Landis — dawny generał wojsk lądowych, weteran wojny wietnamskiej, absolwent West Point — miał surowy i zdecydowany wygląd człowieka zahartowanego w ogniu walki. Ten czterdziestopięcioletni mężczyzna o rzadkich, siwych włosach kierował poszukiwaniami i rozpracowaniem terrorystów od chwili znalezienia dwóch Arabów w hotelu. Było więc zupełnie naturalne, że prezydent do niego właśnie zwrócił się z prośbą o zreferowanie sprawy. Landis był osobą najdokładniej orientującą się w rozwoju sytuacji i wynikach poszukiwania terrorystów przez ostatnie czterdzieści osiem godzin. Landis podziękował prezydentowi skinieniem głowy i rozpoczął czytanie leżącego przed nim raportu.

— Aktualny stan sytuacji zdrowotnej w Pittsburghu i Albany jest następujący: w dniu dzisiejszym o piątej rano liczba zmarłych dzieci wynosiła sto trzydzieści, hospitalizowanych dwieście czterdzieści siedem, w tym dwadzieścioro pięcioro jest w stanie silnej śpiączki, sto dwadzieścia troje zapadło w stan lekkiej śpiączki, a dziewięćdziesięcioro dziewięcioro miało silną gorączkę oraz gwałtowne krwotoki. Z Albany sygnalizowano również hospitalizację trzydziściora dorosłych, których poddano kwarantannie od wczorajszego wieczora. Spośród tych trzydziściora dorosłych...

Przerwał makabryczną wyliczankę, aby młody żołnierz mógł podać gorącą kawę, a po chwili podjął:

— Spośród tych trzydziściora dorosłych...

Prezydent przerwał gestem, który zdradzał znużenie. Od czasu, gdy zmarła na białaczkę jego śliczna czteroletnia wnuczka Robin, każda wzmianka o śmierci wstrząsała nim do głębi.

— Dziękuję, Landis. Te dane zupełnie nam wystarczą. Uświadamiamy sobie wszyscy powagę sytuacji — zwrócił się z kolei do szefa FBI Daniela Nortona. — Norton, a jakie jest pana zdanie? Czy mamy do czynienia z zamachem?

— Nawet z DWOMA. Pierwszego dokonano w Albany, drugiego w Pittsburghu. Po tej pierwszej tragedii sądziliśmy, że jest to manewr głównego konkurenta soków Dirkmeiera — Tropicany. Szczegółowe analizy przeprowadzone w Center of Disease Control w Atlancie całkowicie wykluczyły tezę o wojnie handlowej. Dwaj odnalezieni w hotelu w Harlemie terroryści zmarli na tę samą chorobę, która wystąpiła w Albany i Pittsburghu. Za każdym razem ten sam wirus atakował ofiary...

— Co to za wirus? — zapytał prezydent.

— Jak dotąd nie udało nam się tego ustalić. Według ekspertów, choroba nosi pewne symptomy szczególnie ciężkiej postaci ospy.

— Ospy? — zdumiał się Henberger. — Sądziłem, że zniknęła z powierzchni Ziemi przed dziesięciu laty!

— Właśnie — powiedział Landis tonem dającym wiele do myślenia. — I stała się idealną bronią dla terrorystów...

Szef FBI Norton zaoponował głośno i zdecydowanie:

— Ostrożnie, hipoteza o ospie to tylko przypuszczenie. I nic ponadto.

Prezydent sprawiał wrażenie ogromnie zatroskanego sytuacją. Zapytał Landisa, jak posuwają się poszukiwania zbiegłego terrorysty. Przy stole zapanowała pełna napięcia cisza. Oczy zebranych zwróciły się na odpowiedzialnego za zwalczanie terroryzmu. Jedynie Norton z FBI, który znał już odpowiedź, nie patrzył na niego.

— Stoimy wciąż w tym samym miejscu — szepnął Landis. — Ten człowiek jakby się rozplątał. To wręcz niesłychane! Stany Nowy Jork i Pensylwania są nieustannie przetrząsane. Nasililiśmy rewizje. Posterunki graniczne otrzymały rysopis człowieka o nazwisku Tisserand. Nakaz aresztowania został przesłany do Interpolu, chodzi o to, żeby go zatrzymać we Francji, gdyby tam przypadkiem zechciał wrócić. W dodatku teraz jego twarz nikomu nie jest obca. Jego portret co chwila pojawia się w prasie i telewizji. Niestety jak dotąd wymyka się z gęsto utkanej przez nas sieci...

— Czy terroryści występowali z jakimiś żądaniem? — zapytał Henberger.

Landis pokręcił głową.

— Właściwie nie. Przy tym, który zmarł w hotelu „Garvey” w Harlemie, znaleźliśmy tylko oświadczenie dla prasy. Napisany po arabsku tekst zawiera żądanie likwidacji baz amerykańskich na Morzu Śródziemnym. Jedyne, co dotąd wiadomo na temat dwóch pierwszych terrorystów, to to, że byli Libijczykami, braćmi, i nazywali się Abdallah i Najm Hawadi. Nasi koledzy z CIA ustalili, że należeli do frakcji ekstremistycznej organizacji terrorystycznej „Malik”, której obóz szkoleniowy znajduje się w Dolinie Śmierci. Według CIA Kadafi nic o tym nie wiedział...

Prezydent, który notował informacje na kartce, podniósł głowę i podsumował zebranie.

— Panowie, sytuacja jest poważna. Zginęły setki naszych dzieci. Na mniej więcej trzydzieści pięć dni przed wyborami zmuszeni jesteśmy przezwyciężyć poważny kryzys, którego demokraci nie omieszkają wykorzystać. Opinia publiczna zaczyna łączyć te dwa zamachy ze zbiegłym terrorystą. Tak przynajmniej stawiają sprawę gubernatorzy stanów Nowy Jork i Pensylwania, z którymi porozumiewałem się telefonicznie. Trzeba za wszelką cenę uspokoić społeczeństwo i zapobiec panice. Żadnej psychozy zamaskowanego zabójcy, który wyrasta spod ziemi i morduje. Proszę gorąco, byście panowie użyli wszelkich środków w celu położenia kresu tej masakrze. Terrorysta musi zostać schwytany w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin!

Była 5.55. Prezydent przywołał sekretarza stanu w chwili, kiedy ten opuszczał właśnie salę.

— Słucham, panie prezydencie.

— Kluntzmann, ja... zastanawiałem się nad tą historią z ospą. Proszę przygotować mi szczegółowy raport na temat możliwości przeprowadzenia szczepień ludności cywilnej oraz żołnierzy. Jest to niezwykle pilne!

Nowy Jork, 7.30

Winda wznosiła się cicho ku 45 piętru. Ambre zdjęła płaszcz i energicznie potrząsnęła włosami. Letni deszcz — ciepły i gwałtowny, przemoczył ją od stóp do głów. Lustro w windzie odbijało postać wysokiej dziewczyny o zapadniętych policzkach i smutnym spojrzeniu.

I lustro nie kłamało. Była wykończona. Wracała po dniu wywiadów i poszukiwań w Albany i Pittsburghu, dokąd pojechała z Jeffem Turnerem. Bez efektu...

Trudności wydały się jej nie do pokonania.

Jak odnaleźć tego człowieka? Gdzie go szukać? Od kilku dni chodziła jej po głowie pewna myśl — podać policji prawdziwą tożsamość terrorysty... To pozwoliłoby być może wygrać wyścig z czasem. Ale Pierre kazał jej przysiąc, że go nie wyda. „Jeśli dowiedzą się, że pomogłem terrorystom, zamkną mnie”. I ta myśl nie dawała jej

40 piętro. Ambre wyciągnęła z torby sterylną maskę. Odrzuciła do tyłu wilgotne włosy i osłoniła białą tkaniną nos i usta.

45 piętro. Starła się przybrać uspokajający wyraz twarzy. Dzyń-dzyń. Drzwi windy rozsunęły się.

Pierre siedział przy stole i jadł cornflakesy z mlekiem. Był nie ogolony. Oczy lśniły mu chorobliwie. Zbyt obszerna, ciemnoniebieska piżama z jedwabiu — niegdyś własność Markusa — podkreślała jego wychudzoną sylwetkę. Na dźwięk dzwonka zwrócił oczy ku windzie. Cień uśmiechu pojawił się na pergaminowych ustach. Kiedy zobaczył wyraz niebieskich oczu nad maską, wszystko stało się dla niego jasne. Wbił spojrzanie w miseczkę z mlekiem. W jego głosie wyraźnie zabrzmiała rezygnacja. Był zmę — Nic pani nie znalazła.

Ambre poczuła, że lży pieką jej oczy. Ze zmęczenia. Ona także wpadła w pułapkę. Rozplakała się cicho, stojąc na środku mieszkania z płaszczem przerzuconym przez ramię. Zawiodły ją nerwy.

Patrzył przez chwilę na płaczącą dziewczynę. Nie potrafił znaleźć właściwych słów. Oddzielała ich podwójna, niewidoczna bariera: choroba oraz niesprawiedliwość, która uznawała go za kryminalistę. Po jednej stronie tej bariery była żywa kobieta, po drugiej człowiek skazany na śmierć. Już miał wstać, by uspokoić ją i podziękować za trud, jaki sobie zadaje, żeby go uratować. Powstrzymała go obawa, że ją zarazi. Dźwignął się z trudem, chcąc się położyć.

— Dziękuję, Ambre, dziękuję... — szepnął.

Lekarstwa przepisane przez Stana przynosiły mu pewną ulgę. Działały jednak coraz krócej. Pomiędzy chwilami poprawy ogarniała go gorączka i majaki. Ambre bezradnie patrzyła, jak zataczając się idzie w stronę łóżka. Podziwiała wytrwałość tego człowieka. Stan powiedział jej, na czym polega choroba Pierre'a, i jak przebiegać będzie prawdopodobnie jego agonia.

„Muszę porozmawiać z nim teraz — pomyślała — bo w przeciwnym razie nie zdobędę się na to już nigdy. Ten człowiek powinien wiedzieć, co go czeka!”

Odetchnęła głęboko.

— Pierre... — zaczęła.

Nie powiedziała nic więcej. Odwróciła głowę. Ich spojrzenia spotkały się. Dojrzała w jego oczach gorączkę, strach przed śmiercią i godność.

— Tak? — zapytał słabym głosem.

— Nie, nic... Przyniosłam coś do picia.

Uciekła do kuchni. Nie mogła, nie była w stanie wyznać mu, powtórzyć mu tego, co powiedział jej Stan.

Laboratorium wyizolowało wirus Pierre'a. Była to heterogeniczna i nieznana postać ospy. Serum mogło zostać wyprodukowane w ciągu dwóch miesięcy... W najlepszym razie, dwóch miesięcy, w najgorszym — roku. Pierre'owi zaś pozostały już tylko cztery dni życia. Cztery dni nadziei. Tylko cztery dni.

Wyrok zapadł.

Kilka godzin później

Odgłos kroków na kamiennej posadzce poddasza. We śnie ten regularny odgłos utożsamiał się z uderzeniami ogromnego, mahoniowego zegara. Tego zegara, który kołysał ją do snu, gdy jako mała dziewczynka nocowała u babki w Chicago.

Kroki zbliżyły się do jej twarzy. Powoli ocknęła się ze snu. Zobaczyła, że stoi przed nią ojciec, arogancki, z rękami w kieszeniach garnituru firmy Gucci. Spoglądała na niego z dołu. Wydał jej się większy niż zwykle. Głową sięgał niemal sufitu. Uśmiechnął się z wymuszoną dobrotliwością. Potrząsał kluczami i kartą magnetyczną.

— Markus zostawił mi klucze na poddasze. Na wszelki wypadek... Nie mówił ci o tym?

Jego głos brzmiał jak zwykle metalicznie. Ambre wstała. Była naga. Odwróciła się pod natręctwem spojrzeniem ojca. Podał jej szlafrok. Patrzył na nią dziwnie.

— To nowy rodzaj maseczki kosmetycznej?

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ma na twarzy maskę ochronną. Ujęła Clive'a pod ramię i pociągnęła do kuchni. Tam czuła się mniej narażona na infekcję. Ściągnęła maskę.

Clive przypatrywał jej się uważnie.

— Wyglądasz na zmęczoną, Ambre. Sypiasz teraz na podłodze? Wzruszyła ramionami.

— A ty? Co tu robisz? Czego chcesz?

Wybuchnął śmiechem.

— Czego chcę? Pogratulować ci.

— Czego?

Clive, wyraźnie zadowolony z wrażenia, jakie na niej wywarł, roześmiał się znowu. Ale jego śmiech był wymuszony. Ambre zadrżała. Naciągnęła szlafrok na ramiona.

— Tak, Ambre. Chciałem pogratulować ci reportażu. Wymarzona sensacja, co? Byłem w Niemczech Wschodnich, kiedy dotarła do mnie ta wiadomość, ale wolałem pogratulować ci osobiście... i przeprosić, że nie dowierzałem twoim dziennikarskim zdolnościom. — Jego głos stał się twardszy. — Odziedziczyłaś to po mnie. Jesteśmy jednej krwi...

Jego komplementy męczyły ją bardziej niż awantura. Usiadła, przeczesała włosy. Sensacja... Jaka sensacja? Ach, tak. Transvia. To było tak dawno... Miała teraz co innego na głowie. Jak przez sen dotarły do niej własne słowa podziękowania.

— To normalne, Ambre. Jesteś moją córką. Clive sięgnął do lodówki i otworzył butelkę szampana. Podeszedł do niej z kieliszkami w obu rękach.

— Wypijmy za twój sukces, córeczko. A właśnie, czy mam nalać trzeci kieliszek? — zapytał mrugając porozumiewawczo okiem.

Trzeci kieliszek? Nie od razu zrozumiała. Potem uświadomiła sobie, jak bardzo jej ojciec się pomylił. Łzy stanęły jej w oczach. Spuściła głowę.

— To nic — mruknął Clive nalewając Dom Perignon. — „Kłótnia z kochankiem kończy się szczęśliwym porankiem”. Tak mawiała twoja babka. Na zdrowie!

Nie wzniosła kieliszka. „Trzeba teraz próbować wszystkiego — powiedziała sobie. — Jeff i Stan są w stałym kontakcie z laboratorium policyjnym. Może on będzie mógł nam pomóc. Ma środki i znajomości”...

Wpatrując się w terakotę, opowiedziała mu o wszystkim. Wbrew sobie. Słowa, które wychodziły z jej ust, miały gorzki smak. Nigdy, nigdy nie zniżyłaby się do tego stopnia, by prosić ojca o pomoc... Ale tu szło o uratowanie czyjegoś życia.

Clive słuchał. Odstawił kieliszek na stół. Opowieść Ambre była krótka. Sprowadzała się do kilku słów: niewinny człowiek, chory na nieznaną chorobę, skazany jest na śmierć. Pozostało mu zaledwie parę dni życia. Mówiła jednym tchem. Był to monolog wygłoszony cichym, zmęczonym głosem. Potem zapadło milczenie. Na długą chwilę. Tam, na łóżku w rogu poddasza, Pierre jęczał przez sen.

Ambre spuściła głowę. Jej duma doznała śmiertelnej rany. Za nic nie spojrzy teraz ojcu w oczy zapewne dumnie błyszczące. Pomyśleć tylko! Córka padła przed nim na kolana. Potrzebowała go!

— Widzę jedno rozwiązanie — odezwał się wreszcie łagodnym głosem Clive. — Jedyne rozwiązanie...

Podniosła na niego oczy. Sądziła, że to sen. Ojciec chce jej pomóc! Ale w jego spojrzeniu dostrzegła zły ogień. Połączenie bezlitosnej wzgardy i zimnego wyrachowania. Cały ojciec. Zastrzelił ją tym, co teraz powiedział:

— Tym rozwiązaniem jest modlitwa. Modlitwa o to, żeby ten kryminalista... ten terrorysta, nie zaraził ciebie.

Droga między Pittsburghiem a Buffalo, 5 sierpnia

HOLLY TRAVEL

Słowa te wypisano żółtymi i pomarańczowymi literami na boku autokaru, który mknął w palącym słońcu. Rozłożone wewnątrz pojazdu foldery głosiły: „Holly Travel. Najlepsze biuro podróży na Wschodnim Wybrzeżu!” Dalej następowały szczegółowe informacje, dotyczące niezrównanych usług proponowanych klientom — wewnętrzny system video, osiem ekranów telewizyjnych, klimatyzacja i oczyszczanie powietrza, trzy poziomy siedzeń, dwie toalety na każdym piętrze, przyciemniane szyby. Pomyślano także o umieszczeniu z tyłu minibaru.

Autokar jechał wzdłuż brzegu połyskującego w słońcu jeziora Erie. Zmierzał w kierunku wodospadu Niagara, który stanowił prawdziwą atrakcję dla turystów bez względu na wiek i spychał miasteczka Disneylandu na pozycję niewybrednej rozrywki. Wodospad stanowił unikalne i fascynujące widowisko — miliony litrów sześciennych opadającej wody powodowały łoskot nasuwający myśl o końcu świata. Był to wielki show Natury.

Trzecie piętro autokaru zajmowała wesoła trzydziestoosobowa grupa dzieciaków z obozu letniego w Jamestron. Skandowały przydomek jednego z wychowawców.

„Pea-nut Butter! Pea-nut Butter! Pea-nut Butter!”

Peanut Butter wstał witany oklaskami. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Pochylił się, żeby nie uderzyć głową w sufit. Przydomek masła arachidowego, czyli Peanut Butter, nadano mu nie ze względu na łakomstwo, ale przekręcając prawdziwe imię i nazwisko — Peter Bunnett. Anagram szedł za nim trop w trop od najmłodszych lat.

„Pea-nut Butter! Pea-nut Butter!”

Zaczęło się. Peanut Butter uniósł rękę, żeby uspokoić dzieci.

— Okay! Zrobię to. Ale to już ostatni raz...

Dał brawurowy pokaz swych umiejętności. Wyciągnął język i wywrócił oczy, przedrzeźniając zakochanego w Jessice Rogera Rabbita.

Stłumiony odgłos śmiechu dzieci dotarł na niższe poziomy. Na pierwszym piętrze panował niezmacony spokój. Siedzieli tu starsi ludzie, w większości podróżujący samotnie. Sąsiad Golbudina ubrany był w ciemny garnitur. Na głowie miał mały, czarny kapelusz z białym piórkiem, a na kolanach trzymał zwiniętą żółtą sztormówkę.

— „Nigdy nic nie wiadomo — wyjaśnił Golbudinowi. — Tyle tam wody”.

Golbudin spoglądał przez okno na jezioro Erie. Na dworze wiał chyba silny wiatr. Tafla wody była pomarszczona i spieniona. Nic nie zaprzętało myśli Afgańczyka. Powtarzał tylko wryty w pamięć rozkaz. Cel misji. Tylko jeden człowiek byłby w stanie inaczej „zaprogramować” jego umysł. Osobą tą był Najm, którego rozkaz Golbudin wykonywał jak robot, choć Libijczyk już nie żył. „Mahdi...”

Wróg nie powinien wiedzieć, gdzie zechcesz wydać mu walkę. Bo jeśli nie będzie tego wiedział, zmuszony będzie przygotować obronę w wielu punktach jednocześnie... A skoro przygotowuje obronę w wielu miejscach, siły jego zostaną rozproszone.

Na 236 kilometrów autobus zatrzymany został przez blokadę policyjną.

— Jestem pewien, że szukają tego terrorysty — powiedział kierowca, parkując na poboczu.

Otworzył drzwi. Wsiadli dwaj policjanci w niebieskich mundurach

— Proszę! — zachęcił kierowca. — Rozejrzyjcie się... ale gdyby wsiadł do mnie, rozpoznałbym go. — Puknął się palcem w czoło. — Twarz tego faceta wryła mi się tu. Widziałem go znowu dziś rano w telewizji.

Policjanci skinęli głowami. Przeszli wzdłuż szeregów foteli. Młodszy patrzył na prawo, tam gdzie siedział Golbudin. Mijając go, zwrócił uwagę na dość potężnego mężczyznę o śniadej cerze, rzadkich, zmierzwionych włosach, ściskającego między nogami plastikową torbę. Obok niego siedział mężczyzna w czarnym kapeluszu z białym piórkiem, który trzymał na kolanach sztormówkę i czytał Biblię.

Poszukiwanego terrorysty, Pierre'a Tisseranda, nie było w autokarze. Żaden z pasażerów nie odpowiadał jego rysopisowi.

Inspekcji dokonano szybko i solidnie. Obaj policjanci wysiedli, żegnani brawami dzieci. Dali kierowcy znak, by ruszał.

Droga do Buffalo stała przed Golbudinem otworem.

7.

Niczym zraniony tygrys

Strzeżcie się, by nie zamknąć drogi wrogowi, który powraca do siebie. (...) Wrogowi okrążonemu pozostawcie zawsze drogę odwrotu. Nie wolno stawiać go w sytuacji bez wyjścia, ponieważ wówczas walczyć będzie do upadłego niczym zraniony tygrys.

Sun Tse, strateg chiński i gracz w go; V wiek przed Chrystusem

Szpital w Buffalo

Potrójna szyba przedzielała mały pokój na pół. Po jednej stronie, w półmroku, znajdowali się Fielding, jego czterech podwładnych oraz lekarz. Inspektor FBI siedział za elektronicznym pulpitem, na którym zainstalowano dwa przyciski — zielony i czerwony — oraz dźwigienkę, której położenie ustawiać można było na dziesięciostopniowej skali. Podwładni oraz lekarz otoczyli ciasnym kręgiem Fieldinga.

Za szybą stało żelazne łóżko. Tę część pokoju zalewało światło silnych neonów. Było rażące i jaskrawe. Na łóżku siedział mężczyzna. Miał na sobie granatowy mundur, białą koszulę i ciemny krawat z wpiętą tuż pod węzłem oznaką — parą srebrnych skrzydeł. Wpatrywał się uparcie w podłogę.

Fielding nacisnął zielony guzik na tablicy przed sobą. W ten sposób włączył mikrofon.

— George Moynihan? — zapytał.

— Tak — odpowiedział tamten i podniósł głowę, wyraźnie zaskoczony rozbrzmiewającym z sufitu głosem.

Z głośników dobiegł gwizd. Fielding ze zniecierpliwieniem ustawił dźwigienkę w pozycji „6”.

— George — podjął. — Mówi inspektor Fielding z FBI. Jestem za szybą, którą ma pan przed sobą. To forma... ochrony.

Moynihan niedostrzegalnie wzruszył ramionami. Za plecami Fieldinga poruszyła się ubrana na biało postać. Lekarz zbliżył się do mikrofonu.

— George, słyszy mnie pan? Nazywam się Cyrus Wallison, jestem lekarzem. Jak pan się czuje?

— Dobrze, to znaczy... normalnie.
— Nie odczuwa pan gorączki? Nadmiernego zmęczenia? Bólu stawów jak przy grypie?...

Na wszystkie pytania Moynihan odpowiadał przecząco kręcąc głową.

— Nie, nie. Czuję się dobrze.

— Hm! — mruknął doktor Wallison. — Za chwilę pana zbadam, George. Ale przedtem inspektor Fielding chciałby zadać panu parę pytań.

W pomieszczeniu rozległ się cierpki głos Fieldinga.

— George, pracuje pan w Eastern Airlines?

— Tak. Zajmuję się odprawą lotów.

— Okay! Proszę nam opowiedzieć, co wydarzyło się dziś rano?

— Cóż... Odprawiałem lot EA 152 do Los Angeles. Była pewnie jedenasta. Nie, raczej za kwadrans jedenasta. Pasażerowie mieli być wprowadzeni na pokład o jedenastej. Trzeba było się spieszyć. W Eastern odloty następują zawsze punktualnie. Punktualność jest zasadą kompanii...

— Okay, George! Co dalej?

— Tak. Dalej... Przeważającą część pasażerów lotu EA 152 stanowiły dzieci... w wieku dziesięciu — trzynastu lat. Przyjechały obejrzeć Niagarę. Towarzyszyła im zaledwie dziesiątka dorosłych opiekunów.

— I? Co stało się dzieciom?

— No cóż, stały w kolejce przy moim okienku. Przypominam sobie, że... prawie wszystkie ubrane były w granatowe koszulki z białym napisem „Niagara Falls”. Pamiętam też, że nie były podobne do innych dzieci. Wydawały mi się zdumiewająco spokojne. Niektóre przycupnęły nawet na walizkach. Mówiły mało i po cichu... A wszystko zaczęło się, kiedy...

Siedzący za szybą słuchacze wstrzymali oddech.

— Miałem... spuszczoną głowę — podjął Moynihan głosem zdławionym przez nagłe wzruszenie. — Liczyłem bilety. Usłyszałem głos człowieka, który szeptał mi coś do ucha. Powtarzał: „Szybko. Szybko”. Ale mówił to cicho, zbyt przerażony, żeby krzyżeć. Podniosłem głowę. To było... potworne. Dziecko... trzymał w ramionach dziecko. Mały miał może z siedem lat, nie więcej. Krew płynęła z...

Potem jego słowa stały się niezrozumiałe, Moynihan zwiesił głowę, jego ramionami wstrząsnął nerwowo szloch.

— Łotry, łotry — warknął przez zęby Fielding.

Rozgniewany, przycisnął czerwony guzik i przerwał łączność pomiędzy obiema częściami pomieszczenia.

— Och, co za lotry, co za lotry! — powtarzał odwracając się.

Pozostali skinęli tylko głowami. Jeden ze współpracowników Fieldinga wydobyl z trzymanej w ręku teczki plan i rozłożył go na pulpicie Fieldinga. Był to plan lotniska pokryty płataniną niebieskich, czarnych i szarych linii.

— A co to takiego? — burknął Fielding. — To nieczytelne!

Zastępca przemilczał tę uwagę. Oparł palec na niebieskiej gwiazdce z numerem 34 i powiedział:

— To tu, szefie. To okienko Eastern Airlines, przy którym siedział Moynihan, w chwili gdy... rozegrał się dramat.

— A więc? — zniecierpliwil się inspektor FBI.

— A więc niebieska gwiazdka, którą pan widzi, oznacza wylot klimatyzacji. Umieszczony jest tuż nad stanowiskiem odpraw. Produkt musiał zostać wprowadzony przez wloty powietrza. Wszystkie stanowiska odpraw zostały skażone... Ale tylko Moynihan odprawiał dzieci w chwili wypadku. Teraz wiadomo, że... działanie tego środka na dzieci było piorunujące.

Fielding skinął głową. Wcisnął zielony guzik i podszedł do mikrofonu:

— George? George?

Upłynęło parę sekund, nim George odpowiedział. Przetarł oczy i uniósł głowę.

Powieki miał obrzmiałe od płaczu. — George — podjął Fielding. — Czy zauważył pan kogoś podobnego do tego osobnika?

Inspektor ujął zdjęcie Pierre'a i przytknął je do szyby. Moynihan zmrużył oczy. Był zbyt daleko, by rozróżnić rysy mężczyzny z fotografii. Wstał i powoli podszedł do szyby. Inni obserwowali, jak się zbliża.

— Nie — powiedział przyjrawszy się dokładnie zdjęciu. — Nie przypominam sobie, abym go kiedykolwiek widział.

— Okay, George — mruknął pośpiesznie Fielding. — Pan...

Ale nie zdążył już skończyć zdania. George przycisnął ręce i twarz do szyby. Był trupio bład. Wokół jego ust powiększał się krąg pary.

— Nie czuję się dobrze — szepnął.

Zza szyby bezradnie przyglądali mu się stojący w cieniu ludzie, których dzieliło od niego zaledwie parę centymetrów.

Doktor Wallison bezzwłocznie opuścił pomieszczenie, by pośpieszyć mu z pomocą.

Nowy Jork, tuż przed 11 rano

Ściany poddasza aż drżały od wydobywającego się z dużej skrzynki hałasu. Pierre nastawił radio jeszcze głośniejsze. Na cały regulator. Brakło mu energii, żeby wstać. Liczył, że nieokielznany rap Fat Boysów doda nieco sił jego wycieńczonemu ciału.

W końcu zaczął iść chwiejnym krokiem. Miał wrażenie, że poddasze nie ma końca. Długi korytarz prowadził do niknącej w gęstej mgle łazienki. Ogarnęła go chęć, by osunąć się na dywan, tam gdzie stoi, obok wypełnionego niebieskawą wodą jacuzzi.

Mówił do siebie głośno, żeby dodać sobie odwagi. No, idź! Jeszcze tylko parę metrów! Idź! Chciał skorzystać z nieobecności Ambre, by się ogolić. Była to ostatnia cząstka godności, której nie zdołała mu jeszcze wydrzeć choroba.

Twarz, która spoglądała na niego z lustra wiszącego nad marmurową umywalką, nie była już twarzą, którą znał. Piętno śmierci coraz silniej zacierało rysy żywego człowieka, tak jak gumka ściera rzędy słów. Zapadnięte policzki pokrywał czarny sztywny zarost. Ale najbardziej obce było jego spojrzenie. Gorączka przydała mu wilgotnego, niezdrowego blasku i otoczyła czarnymi cieniami. Było to jak makijaż kłowna-żałobnika.

Drżącą ręką otworzył małą szafkę przy lustrze. Leżały w niej nadal przybory toaletowe Markusa. Odkręcił kran z ciepłą wodą. Obłok pary zasnuł lustro. Namydliwszy policzki pianą o zapachu piżma i lawendy, Pierre zaczął się golić. Golarka szerokimi pasami zbierała pianę, łaskocząc skórę.

Dotyk chłodnego ostrza dobrze mu zrobił. Zaskoczył go dobiegający z radia poważny głos dziennikarza. Muzyka nagle ucichła, a poddasze wypełnił ów głos. Pierre zamarł z golarką uniesioną w górę.

— Przedstawimy teraz specjalne wydanie wiadomości... Otrzymaliśmy właśnie informację o kolejnym zamachu, którego dopuszczono się na lotnisku w Buffalo, w pełni sezonu turystycznego. Tym razem bilans strat jest ogromny... Dziesięcioro dzieci w wieku poniżej dwunastu lat zmarło, a sto sześćdziesiąt pięć osób uznano za zarażone i umieszczono w szpitalach w Clevelandzie i Buffalo. Służby federalne stwierdziły te same symptomy, które wystąpiły już po dwóch poprzednich akcjach — w Albany i Pittsburghu. Tym razem przestępcy posłużyli się prawdopodobnie systemem klimatyzacji lotniska, pracującej na maksymalnych obrotach... W Buffalo panował 35-stopniowy upał. Substancję rozprowadzono wczesnym rankiem. Przed dziesięcio-

ma minutami lotnisko zostało zamknięte, a loty wstrzymane. Ze względu na możliwość zachorowania, co stanowiłoby zagrożenie bezpieczeństwa w powietrzu, obecne na lotnisku załogi umieszczono rano na obserwacji w szpitalu w Clevelandzie. — Głos spikera z uspokajająco poważnego przeszedł na nieco wyższe tony. — Oficjalne czynniki nie złożyły w związku z tą tragedią żadnych deklaracji. Podano jedynie liczbę ofiar i zakomunikowano, że, cytując oświadczenie FBI, „katastrofa spowoduje najprawdopodobniej w ciągu najbliższych godzin śmierć kolejnych ofiar”. Żądania związane z zamachami, ograniczonymi, jak się wydaje, do stanów Nowy Jork i Pensylwania, nie zostały ujawnione przez FBI. Będziemy informować państwa o rozwoju wydarzeń w specjalnych wydaniach dzienników oraz w naszych codziennych

Znów rozległa się muzyka. Nadawano *Still Crazy After All These Years*, spokojną i nostalgiczną piosenkę Paula Simona. Pierre'owi wydała się potwornie niestosowna. Odłożył golarkę na brzeg marmurowej umywalki. Czuł się wykończony, pusty.

Ten nowy zamach przypominał mu o kresie życia. O kresie JEGO życia, o wydanym na nim wyroku śmierci. Był 5 sierpnia. Pozostały mu trzy dni życia. Trzy dni życia!...

Otarł pianę z twarzy i usiłował dotrzeć do łóżka. Nie udało mu się to — upadł obok jacuzzi.

Waszyngton, Biały Dom, godzina 14

Nad głowami tłumu wznosił się transparent.

America is sick! Ameryka jest chora! Napis wymalowano krwistoczerwonymi literami.

Tłum zgromadził się spontanicznie po informacji o trzecim zamachu, którego dokonano rano w Buffalo. Szedł w kierunku Białego Domu. W pierwszych rzędach trzymając się za ręce szły w milczeniu matki trzydzieścioro dzieci zabitych przez wirus. Oczy miały zaczerwienione od płaczu i z powodu bezsenności. Za nimi maszerowało wznosząc okrzyki około tysiąca osób.

W wyciągniętych rękach niesiono karykatury Busha. Regularną twarz prezydenta pokrywały dzioby. W miejscu oczu miał dwie czarne plamy, ciemne dziury. Wysoka i szczupła sylwetka przywódcy narodu dzierżyła w dłoni amerykańską flagę, gwiazdzisty sztandar. Miejsce gwiazd reprezentujących poszczególne stany zajęły jednak obrzmiałe krusty, z których sączył się płyn koloru zatrutej krwi.

Raz po raz rozbrzmiewały rozpaczliwe okrzyki:

Tell us the truth! Powiedźcie prawdę!

Save our kids! Ratujcie nasze dzieci!

Manifestanci stanęli pod ogrodzeniem Białego Domu, zatrzymani z najwyższym trudem przez podwójny kordon wojska wspomaganego przez posiłki nadesłane przez Pentagon.

Przywódcy manifestacji zorganizowali naprędce służbę porządkową, sami zaś skoncentrowali się na skandowaniu przez głośniki sloganów domagających się od administracji Busha większego zdecydowania i szybkiego aresztowania terrorystów.

Około 14.45 tłum nagle ucichł. Jeden z przywódców zaintonował hymn amerykański. Nie otwierając ust nucił samą melodię bez słów. Zawtórowały mu tysiące manifestantów. Brzmiało to jak mszalne rekwiem. Godziło mocniej niż jakiegokolwiek słowa, które można by wypowiedzieć.

Stojąc w oknie Ovalnego Gabinetu, prezydent słuchał zbiorowego śpiewu. Jego spojrzenie, skupione na wierzchołkach otaczających siedzibę drzew, przeniosło się na rozpiętą tuż przy oknie flagę narodową.

Na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech. Musnął palcem trójkolorowe płótno. „Mają rację — pomyślał. — Ameryka jest chora”. Nieznana choroba draży ją od wewnątrz równie dotkliwie, jak rak; falą, która dziesiątkuje dzieci i godzi ślepo tam, gdzie najmniej się tego spodziewano.

Sytuacja przerastała wszelkiego rodzaju służby państwowe. Terytorium kraju poddano nie stosowanej nigdy dotąd kontroli; Nowy Jork został starannie przeczesany i przetrząśnięty. Nawet mysz nie wymknęłaby się niepostrzeżenie. Ani śladu! Sześćdziesiąt tysięcy policjantów strzegło newralgicznych punktów. I mimo to nadal każdego prawie dnia miał miejsce zamach. Rozmiary tragedii były przytłaczające — zmarło sto osiemdziesięcioro dzieci. Dorosłych wirus uśmiercał po kilkudniowej chorobie. Ostatniej nocy liczba zgonów sięgnęła trzydziestu.

Żałobny hymn tłumy zamilkł. Ponownie rozległy się krzyki. Prezydent zwiesił głowę. Czuł, że jest sam. Władza jest grą dla samotnika. Rozumiał rozpacz manifestantów, ale oni z pewnością nie rozumieli jego goryczy... Nie mógł trzymać narodu na krawędzi wybuchu, w bezradnym oczekiwaniu kolejnego aktu tragedii.

Jak zawsze w takich przypadkach, działanie wydało mu się jedynym wyjściem. Zwołał natychmiastowe posiedzenie Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

W godzinę później

— Dziękuję, Laski, wiem — prezydent wypowiedział te słowa z wyraźnym niecierpliwością.

Zbigniew Laski spojrział na niego zdziwiony. Ledwie zdążył wypowiedzieć trzy słowa. Ale o tym, co zamierzał zakomunikować, prezydent już wiedział — nastąpiły kolejne zgony, a w wielkich metropoliach Stanów Zjednoczonych odbywały się manifestacje, gromadzące za każdym razem ponad tysiąc osób. Jedna z nich miała miejsce przed niespełną godziną, prawie pod oknami Białego Domu.

Prezydent mówił, powściągając wzburzenie:

— Proszę pana raczej o wyjaśnienie, kto jest organizatorem tych demonstracji?

Dyrektor CIA spuścił głowę. Zrozumiał, do czego zmierza prezydent. Zaczął tłumaczyć:

— Moje służby zidentyfikowały dwa typy organizacji — „czyste i twarde”, jak American Legion, który grupuje, przypominam panom, trzy miliony kombatantów, przede wszystkim z Wietnamu, oraz skrajnie prawicowe w rodzaju John Birch Society. Wszystkie są zdecydowanie antykomunistyczne i reprezentują nurty najbardziej konserwatywne i nacjonalistyczne.

Prezydent zmrugał oczami. Zrozumiał. Laski usiadł, a w sali zgromadzeń Narodowej Rady Bezpieczeństwa, w zachodnim skrzydle Białego Domu, zapadła nieprzyjemna cisza.

Vince Kluntzmann, sekretarz stanu, kaszlnął, jakby przepaszając, że zabiera głos. Ze spokojną rozwagą wymówił potworne słowa:

— Panie prezydencie, stanęliśmy wobec jednego z najgroźniejszych kryzysów od czasu... od...

Zastanawiał się nad właściwym porównaniem.

— Od Zatoki Świń.

Wspomnienie tego epizodu z czasu największego napięcia stosunków ze Związkiem Sowieckim wywołało w członkach Rady obraz zagrażającego, gotowego do destrukcji zachodniego imperializmu ZSRS. Dalekiego od pokojowych wysiłków Gorbaczowa...

Kluntzmann ciągnął:

— Wiem, że... po pierwsze, obaj terroryści zmarli na skutek tej samej choroby, co nasi zamordowani obywatele...

Kluntzmann przedłużył głoskę „r” w słowie „zamordowani” i zawiesił głos. Potem podjął:

— Obaj byli Libijczykami i należeli do ekstremistycznej organizacji »Malik», szkolonej przez wschodnioniemieckich doradców...

— Wszyscy wiedzą — przerwał mu prezydent, że ZSRS pośrednio zbroi terrorystów, czy jest to IRA, czy Libijczycy. Ten fakt nie jest nowy.

— Ma pan rację. Naprawdę nowy jest zupełnie inny fakt. Ponieważ pozostaje jeszcze duo i tertio...

Laski zareagował bezwiednym uśmiechem na tę profesorską uwagę, wypowiedzianą w chwili, gdy sytuacja stała się dramatyczna, a dzieci padały jak muchy. Prezydent zachował kamienną twarz. Kluntzmann dał znak operatorowi, niewidocznemu spoza przyciemnionej szyby. Na ścianie za jego plecami rozwinął się ekran, na którym pojawiły się obrazy.

— Po drugie — ciągnął — macie przed oczyma ten obraz. To miasteczko Podorsk w Uzbekistanie, miasteczko, które zostało unicestwione w wyniku świadomie tam przeprowadzanego eksperymentu. Pociągnął on za sobą śmierć co najmniej stu pięćdziesięciu osób. To dowód, że ZSRS nie zarzucił badań, nawet najdrastyczniejszych, nad bronią biologiczną.

Zabłyło światło.

— I wreszcie, po trzecie...

Kluntzmann oparł rękę na cherlawym ramieniu sąsiada.

— Przedstawiam panom Chrisa Kopfera, jednego z najwybitniejszych znawców zagadnienia plotki jako wyrazu opinii publicznej. Wielokrotnie zdarzało mi się pracować z Chrisem. Doskonale zna problem ostatnich zamachów, ponieważ był konsultantem firmy Dirkmeier's, której produkt zakażony został wirusem. Sprowadziłem tu dzisiaj Chrisa, aby wyjaśnił panom, że te trzy zamachy są precyzyjnym, świetnie opracowanym dziełem zdolnego przestępcy.

Chris Kopfer odezwał się spokojnym głosem, nie wstając z miejsca.

— Seria tych trzech zamachów jest oczywistą próbą podburzenia amerykańskiej opinii publicznej. Nosi wszelkie cechy takiej próby. Czyż atak nie został wymierzony w najbardziej czuły punkt naszego społeczeństwa?... Czy nie istnieje u nas prawdziwy kult dziecka? A właśnie najmłodsze dzieci giną jako pierwsze... Czy żywność nie stanowi podstawy egzystencji społeczności amerykańskiej? Soki Sunjuice zakażone zostały chorobotwórczą substancją, wzbudzając nieufność do ogółu krajowych produktów spożywczych... Czy higiena, czystość, zdrowie nie są podstawowymi wartościami, mocno zakorzenionymi w psychice naszych współobywateli? Te trzy wartości zostały zniszczone przez skażenie wody na pływalni w Pittsburghu i powietrza na lotnisku w Buffalo... Ale fakt systematycznego atakowania podstaw naszej społeczności nie jest w żadnym razie najgorszym skutkiem tych działań. Działanie destabilizatorskie polega na czym innym...

Kopfer spojrział po zebranych. Była to jego kabotyńska słabostka. Chciał bez reszty podbić audytorium już w pierwszych słowach swoich wystąpień. Dziś przyszło mu to bez trudu. Ciągnął, zadowolony z siebie:

— Jest coś gorszego. Odkąd zaczęły się te zamachy, czyli od czterech dni, nie otrzymaliśmy ŻADNYCH pogróżek, nie było ŻADNEGO szantażu, ŻADNYCH żądań... Śmierć siana jest bez uprzedzenia. Między trzema zamachami nie istnieje żaden logiczny związek. Trzy różne miejsca, dwa różne stany, trzy sposoby zakażenia. Wszystko to mogłoby być dziełem szaleńca, wariata, tak dalece akt ten jest bezcelowy i sadystyczny... Tylko że wiemy, wszyscy wiedzą, że terrorysta, który opanował technikę posługiwania się bronią biologiczną, jest na wolności. Terrorysta ten stał się niewidzialnym Symbolem bezlitosnej i niespodziewanej śmierci. Robakiem, który draży owoc, można by powiedzieć... W takich okolicznościach rodzi się plotka. A w naszej konkretnej sytuacji ta masa różnorodnych pogłosek jest odbiciem niezadowolenia opinii publicznej. Zanotowałem niektóre zasłyszane w mediach czy na ulicy...

Wyciągnął z kieszeni dzinsowej koszuli złożoną na czworo kartkę.

— O, proszę — mówił dalej — mamy tu ich przegląd od wiarygodnych do najbardziej absurdalnych. Na początek te o największym stopniu prawdopodobieństwa: „Rząd przeprowadza na ludności cywilnej próby broni biologicznej”. Sugeruje się tu ciąg dalszy afery z Mount Creek... Mówi się też o „skażeniach chemicznych”, „ślepych terroryzmie”, a także o „rozgrywkach politycznych”. Przeciwnicy pana prezydenta w najbliższych wyborach, demokraci, „mieliby opłacić usługi grupy terrorystów, aby przypiąć obecnemu rządowi łatkę nieudolności i niezdolności zapewnienia bezpieczeństwa”. O podobny manewr oskarża się też lobby żydowskie. Powodem miałyby być, panie prezydencie, pańska zeszloroczna wizyta w obozie uchodźców palestyńskich... Inne pogłoski krążą na temat wirusa. Wspomina się o „dziecięcym AIDS wywoływanym przez zmutowany wirus AIDS. rozprzestrzeniający się poprzez ślinę”... I wreszcie, doszukiwanie się geograficznych uzasadnień tych zamachów wiedzie prostą drogą do zajadłego okultyzmu lub płynących z ciemnoty lęków przed nad chodzącym rokiem 2000. Sprawcą zamachów miałyby być jedna z sekt satanistycznych: „Liczba liter w nazwie każdego miasta jest liczbą satanistyczną — w Albany 6, w Pittsburghu 10, w Buffalo 7...” A teraz najbardziej zwariowana, ale zarazem najbardziej znacząca teoria: ”Inicjały trzech miast, w których dokonano zamachów — Albany, Pittsburgha i Buffalo — są też inicjałami łacińskiej nazwy choroby *Americanus pestis bacteria*. czyli bakteria dżumy amerykańskiej”. I oto

odezwał się echem lęk przed dżumą, który ogarnął Europę u schyłku poprzedniego tysiąclecia...

Kopfer z komiczną starannością złożył małą kartkę i wsunął ją do kieszeni. Patrząc prezydentowi w oczy dorzucił:

— Mówię to wszystko, panie prezydencie, aby wykazać, że działania te zostały najprawdopodobniej opracowane przez ludzi, którzy przemyśleli je w każdym calu. Jest to praca perfekcjonisty...

Kluntzmann natychmiast skorzystał z okazji. Wstał i powiedział:

— My zaś myślimy, że jest to koordynowana przez ZSRS akcja mająca na celu destabilizację naszego rządu. Wszystko na to wskazuje: uzbrojeni i szkoleni przez Sowieców Libijczycy; brak jakichkolwiek żądań; fakt, iż nasz rząd, przejąwszy inicjatywę w zakresie działań pokojowych i rozbrojenia, posuwa się zbyt daleko zdaniem Gorbaczowa... Wszyscy tu obecni wiedzą, że Związek Sowiecki celował w manipulowaniu opinią publiczną. Proszę pomyśleć o europejskich ruchach pacyfistycznych z lat osiemdziesiątych. Proszę przypomnieć sobie upadek Ceaucescu sterowany z Kremla... Wiemy, że zasadą gorbaczowskiego socjalizmu, inspirowaną przez filozofię Lenina, jest „podbijać świat”. Robi to przy użyciu innych, bardziej subtelnych metod, ale osiąga ten sam rezultat — jest nim wojna, którą rozpetał, PRAW-

Kluntzmann zamilkł i usiadł, poruszony własnymi słowami. Prezydent sprawiał wrażenie zatopionego w modlitwie. Złożone ręce trzymał na wysokości twarzy. Zabrał głos dopiero po chwili, zlecając Kluntzmannowi przeprowadzenie akcji powszechnych szczepień przeciwospowych. Potrzeba będzie do tego 200 milionów dawek szczepionek.

Na tym zakończyło się posiedzenie.

* * *

W pół godziny później z Białego Domu do Moskwy przesłano pismo przy użyciu „US-Soviet hotline”, sławetnego „czerwonego telefonu”, czyli po prostu dalekopisu, łączącego Biały Dom z Kremlm za pośrednictwem satelity amerykańskiego Intelsat i jego radzieckiego odpowiednika Mołnia.

„Czerwony telefon” stworzony został za czasów Kennedy'ego w 1963 roku po międzynarodowym kryzysie spowodowanym instalacją sowieckich rakiet na Kubie. Aby nie dopuścić do powstania, na skutek wadliwego funkcjonowania radarów lub komputerów, konfliktu nuklearnego, sprawdzano go co dwie godziny. Test stwarzał okazję do wymiany tasiemcowej korespondencji, płynącej nieustannie przez satelity.

Rosjanie wytrwale prowadzili indoktrynację. Przy każdej próbie systemu wysyłali dziesiątki i setki stron dzieł autorów, którzy stanowili chlubę literatury rosyjskiej. Tak więc Amerykanie zostali nakarmieni *Mewą* Czechowa czy, o ironio! *Wojną i pokojem* Tolstoja. Osiemset stron przesłano jedną po drugiej. I to po rosyjsku! Danie było zupełnie niestrawne.

Amerykanie odpowiadali na tę inwazję kulturalną, przesyłając radzieckim kolegom pikantne przepisy kulinarne. Również niestrawne...

Tekst podany przez prezydenta Busha dotarł do ośrodka transmisyjnego w Dubnej w trzydzieści sekund po zaszyfrowaniu i nadaniu go przez Pentagon. Władimir Aleksandriew, dyżurny oficer — szyfrant ośrodka, nie wierzył własnym oczom. Zamiast rytualnego już przepisu na tacos z pieprzem tureckim i octem, otrzymał czterostronicowy tekst. Pod nim widniał podpis prezydenta Stanów. Było to ledwie zawołane oskarżenie Związku Sowieckiego o dokonanie serii zamachów, które

W minutę po opuszczeniu Białego Domu pismo trafiło w ręce Michaiła Gorbaczowa. W niespełna kwadrans później Gorbaczow udzielał odpowiedzi prezydentowi Stanów. Zapewniał o „absolutnej niewinności” swego kraju i raz jeszcze składał kondolencje, które miał już okazję przesłać drogą dyplomatyczną, a na dowód dobrej woli obiecywał postawić do jego dyspozycji „grupy specjalistów ze służb Wywiadowczych, by jak najszybciej wyjaśnić tę dramatyczną sytuację”.

Moskwa, siedziba Rady Najwyższej

Przez uchylone okno marszałek Achromiejew spoglądał na zachodzące nad placem Czerwonym słońce. Pora była wprost stworzona do kontemplacji — ostre piski jaskółek rozlegały się wśród jabłoni w sadzie, dzwony cerkwi Świętego Bazylego rozbrzmiały krystalicznym dźwiękiem, a cienie kremlowskiego muru z czerwonej cegły oraz dziesiętnastu wież zdawały się robić coraz dłuższe.

Spojrzenie Achromiejewa zatrzymało się przez dłuższą chwilę na jednej z wież na wprost wejścia na Kreml, na Wieży Tajniczkiej, Wieży Tajemnic.

Oczy marszałka wyrażały bezgraniczne rozczarowanie. Wciągnął duży haust rześkiego wieczornego powietrza i odwrócił się od okna.

— Tajemnica, tajemnica — mrucał, jakby mówił do siebie. — Tajemnica...

Wzniósł oczy. Naprzeciwko jego biurka siedzieli w dwóch rzędach

uczestnicy tego dostojnego zgromadzenia, mającego miejsce 6 marca 1992 i otoczonego najgłębszą tajemnicą. Marszałek Achromiejew w milczeniu lustrował zasępione, zamknięte twarze generała Jewgienija, Iwanowa, Miki i Dożyka, sekretarza generalnego Politbiura.

— Tajemnica... — Achromiejew powtarzał to słowo jak litanię. — Przysięgaliśmy dochować tajemnicy, nie ujawniać nikomu eksperymentu B 01... I oto, do czego doszliśmy po pięciu miesiącach. Cały Pentagon zna najdrobniejsze jego szczegóły!

Achromiejew spuścił głowę. Dłonie oparł o biurko. Ciągnął poirytowanym głosem:

— Z powodu serii błędów... — Zamilkł, by słowo „błąd” nie umknęło uwagi słuchaczy... — Staliśmy się — my i towarzysz Gorbaczow — więźniami Amerykanów. Jedno ich słowo i świat dowie się o eksperymentalnym zarażeniu radzieckiej ludności cywilnej bronią biologiczną... przez rząd radziecki. Słyszeliście: cywilna ludność RADZIECKA zamordowana przez RADZIECKI rząd. Czy zdajecie sobie sprawę, jaki wywoła to szok? Prześladowane widmem głodu, doprowadzone do granic wytrzymałości, poderwą się wówczas wszystkie republiki. To będzie kres naszych nadziei, kres pierestrojki towarzysza Gorbaczowa. Koszmar nowej wojny... wojny

Marszałek zamilkł na długą chwilę. Umilkły dzwony u Świętego Bazylego. Ciszę gabinetu zakłócały już tylko krzyki jaskółek.

Iwanow poprawił się w fotelu, zmierzył groźnym spojrzeniem siedzącego obok niego Mikę i wypuścił kilka ogromnych kłębow dymu z dawidowa.

— Pozostała nam jeszcze jedna, ostatnia szansa... — podjął Achromiejew. — Tę ostatnią szansę dają nam Stany Zjednoczone... Wpadli w podobne tarapaty... Jeżeli im pomożemy, jeżeli odnajdziemy tego terrorystę, który ich wyrzyna, zostanie utrzymane status quo. Jeden — jeden. Wspólny sekret. W przeciwnym razie...

Iwanow skinął głową na znak zrozumienia. Marszałek dostrzegł ten gest i zwrócił się do niego:

— Cieszę się, że to wam odpowiada, towarzyszu Iwanow. Bo od tej chwili wszystkie nasze nadzieje związane są z waszą osobą. — Ogarnął pełnym wyrzutem spojrzeniem generała Jewgienija, zanim zaczął mówić dalej. — Nie będziemy więcej mówić o tej niby to osłabionej wersji B 01, B 02, która miała wywołać jedynie „efekty wtórne”... a która okazała się bardziej zabójcza niż B 01. Wygląda na to, że musimy sporo jeszcze popracować nad techniką posługiwania się tą bronią...

Przesłonięte grzywą siwych włosów oczy generała Jewgienija z dumą zniosły spojrzenie marszałka. Na twarzy generała zagościł zacięty i wrogi wyraz.

— Nie roztrząsajmy już — mówił z odcieniem smutku w głosie marszałek — więcej niż ryzykownej decyzji o nadaniu nieudanemu eksperymentowi pozorów manewrów wojskowych. Pociągnęła ona całą serię zgonów, którym można było zapobiec, ewakuując natychmiast mieszkańców miasteczka...

Mika spuścił oczy. Nagle ogarnęła go wewnętrzna pustka. Utracił zaufanie marszałka. Poczul się tak, jakby opuścił go ojciec.

Iwanow wykorzystał fakt, że Mikę postawiono pod prężerem, i dorzucił:

— Nie należy słuchać wszystkich rad.

Jego zdanie zabrzmiało jak wyrok śmierci. Achromiejew zmrużył oczy i odrzekł sucho:

— Towarzyszu Iwanow, KGB nie ma podstaw udzielać nam lekcji na ten temat... Przykro mi, że wasze służby okazały się niezdolne, całkowicie niezdolne, by podać mi dokładne dane terrorysty należącego do ekstremistycznego ugrupowania, które — w takim czy innym stopniu — pozostaje pod naszą kontrolą. To wprost niewiarygodne...

Marszałek zaczął podkreślać wypowiedziane zdania, uderzając dłońmi w blat biurka. Łup!

— Macie czterdzieści osiem godzin na odnalezienie tego człowieka i poinformowanie o tym Amerykanów! — Łup! — Czterdzieści osiem godzin! — Łup!

To było już ostatnie łup! Przez chwilę marszałek w milczeniu spoglądał na zebranych. Potem odwrócił się od nich i ponownie zatonął w kontemplacji zachodzącego słońca.

Iwanow wstał jako pierwszy. Wypuścił kłęb dymu i poszedł zgasić cygaro w stojącej na biurku marszałka popielnicze. Skoro już mowa o popielnicze, to była ona zrobiona ze skorupy granatu. Taka pamiątka z wyzwolenia Kurska podczas II wojny światowej...

Szef KGB opuścił gabinet, nie spojrzawszy nawet na Mikę. Za nim mszyli generał Jewgienij oraz wysoki, przygarbiony Dołżyk.

Mika przez długą chwilę stał patrząc na odwróconego plecami i jakby wsłuchanego w zapadanie nocy marszałka. Potem wyszedł bezszelestnie.

Moskwa, plac Dzierżyńskiego, siedziba KGB, godzina 4 nad ranem

— W tej sprawie spadną czyjeś głowy. I zapewniam was, że mojej wśród nich nie będzie.

Wskazujący palec Iwanowa wymierzony był groźnie w jajowatą głowę towarzysza Piotra Smukiewicza, wicedyrektora KGB, odpowiedzialnego za 6 Wydział, który przeprowadza wszystkie operacje poza granicami Związku Sowieckiego.

Kariera Smukiewicza związana była nierozzerwalnie z Iwanowem. Był jego konfidentem, pomocnikiem, podporą, znał jego sekrety, a w pewnej mierze był nawet jego — niewolnikiem... Znał go dobrze. Nawet zbyt dobrze. Zawsze jednak wykazywał dozę naiwności czy może — głupiego optymizmu, który pozwalał mu wierzyć, że Iwanow potrafi wziąć go w obronę w razie niepowodzenia. Za dobrą i lojalną służbę.

Dziś uświadomił sobie, że mylnie oceniał morale szefa. Nie dość, że nie miał zamiaru go bronić, Iwanow gotów był go poświęcić i rzucić na żer rozgniewanemu Achromiejewowi. Teraz więc Smukiewicz czuł się jak ufna owca prowadzona pod nóż rzeźnika.

Nadszedł czas ofiary.

— Całe KGB postawiono w stan pogotowia, Smukiewicz! Wy jesteście osobiście odpowiedzialni za tę aferę! Jasne, towarzyszu Smukiewicz?! Osobiście!

Smukiewiczowi nie podobał się ton, jakim szef wypowiedział to słowo. O-so-biś-cie! brzmiało jak seria z kałasznikowa.

Iwanow przez dłuższą chwilę przechadzał się za plecami Smukiewicza. To był jego sposób gnębienia podwładnego. Potem podszedł do biurka, usiadł i z namaszczeniem zapalił dawidowa. Wyglądało na to, że nieco się uspokoił, kiedy wygodnie rozsiadł się w fotelu. Smukiewicz odetchnął odrobinę. Ciągle jednak był podenerwowany. A może burza jeszcze nie ucichła? Nie mylił się — oskarżycielski palec Iwanowa, tym razem przedłużony cygarem, znów w niego wycelował.

— Dwa dni, towarzyszu Smukiewicz! Macie dwa dni na zidentyfikowanie tego terrorysty! Pozostali, którzy zmarli w Nowym Jorku, byli Libijczykami. Amerykanie błyskawicznie powiązali ich z naszą obecnością w Libii. Nie może być mowy, żeby CIA czy FBI położyła na nim łapę przed nami... Musimy go zlikwidować, nim go schwytają i zmuszą do mówienia. W przeciwnym razie całe lata pracy pójdą na marne. Musimy go dopaść przed nimi!

— Ale... — odważył się wtrącić Smukiewicz.

— I przed GRU! — przerwał Iwanow. — 3 Dyrekcja IV Zarządu GRU, która ma za zadanie udzielać militarnego wsparcia zagranicy i międzynarodowym terrorystom, zajmuje się sprawą... Z pewnych przyczyn nie wchodzi w grę, by GRU było przed nami. Nasi informatorzy infiltrujący GRU będą nas na bieżąco powiadamiać o wynikach. Do dzieła!

„Do dzieła”! — powtórzył w duchu Smukiewicz, aby dodać sobie otuchy. Ciągłe pod wrażeniem pogroźek Iwanowa zrobił to, co zwykł robić zawsze przez piętnaście lat oddanej służby — spuścił głowę, zacisnął zęby i odszedł, tuląc do piersi akta sprawy i powtarzając rozkazy. Szef KGB zatrzymał go skinieniem ręki.

— Macie szczęście, towarzyszu Smukiewicz. Z tego, co wiem, CIA poszukuje niewłaściwego człowieka — pewnego Francuza o przeszłości, która nie ma żadnego znaczenia dla sprawy. Jedno jest w każdym razie niewątpliwe — to nie jest terrorysta. Macie więc jeden ruch przewagi nad nimi. Możecie odejść!

Zdecydowanym ruchem cygara odprawił Smukiewicza. Przez dziesięć minut siedział w fotelu, obserwując kłęby ciemnego dymu dawidowa, potem zaś wydobył z sejfu teczkę, w której prawym górnym rogu widniały trzy litery: MSW. Mika Siergiejewicz Wasiljew. Akta zawierały cotygodniowe raporty Tani Komińskiej, składane od chwili podjęcia pogłębionego rozpracowania Miki. Uważnie przeczytał raporty z ostatnich trzech tygodni. Poprzez wysoce profesjonalne słowa tekstu Iwanow widział w najdrobniejszych szczegółach twarz i ciało towarzyszkii Komińskiej. Ileż pieszczot, czułych słów, westchnień i rozkoszy musiało ich połączyć, by udało jej się wydobyć z Wasiljewa wszystkie te informacje? Na moment do zahartowanego przez cynizm i ambicję serca Iwanowa wdarła się niemal zazdrość. Zatopił się w marzeniach o skórze Tani. Miała barwę złota. Jaki mogła mieć smak? Słodki, słodki i zapewne pikantny. Były też piersi, ciężkie i delikatne zarazem, i długie, cudownie wyrzeźbione nogi, dorównujące pięknem greckim kolumnom... Te rozmyślenia przyprawiły go o dreszcz rozkoszy. Jego rozdygotane usta zacisnęły się na dawidowie. Opanował się i podjął lekturę.

Niemal natychmiast innego rodzaju nerwowy tik poruszył jego dolną wargę. Tym razem podnieta nie była natury erotycznej. Było to bardzo silne wewnętrzne uniesienie, a nawet więcej — rozkosz. Mika Siergiejewicz Wasiljew wpadł w pułapkę!

Dziesięć ostatnich wierszy raportu Tani zawierało rewelacyjne informacje na temat przeprowadzonej przez Wasiljewa podczas wojny w Afganistanie akcji antyradzieckiej... Akcji ANTYRADZIECKIEJ!

Na tym szczelbu władzy było to niewybaczalnym błędem. Błędem, który w normalnej sytuacji pociągnąłby za sobą natychmiastowe usunięcie ze stanowiska.

Iwanow nie wahał się ani chwili. Sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer łączący go bezpośrednio z marszałkiem Achromiejewem.

W kilka godzin później

Była godzina piętnasta. Zamykano właśnie restaurację „Moskwa”. Mika i Achromiejew siedzieli na ulubionym miejscu marszałka, pod ikoną Rubłowa. Przez całe dwie godziny wspólnego posiłku Achromiejew zagryzał maczane w soli ogórki, co było u niego oznaką zdenerwowania. Nie tknął niczego innego.

Mice również nie dopisywał apetyt. Zachowanie marszałka niepokoiło go. Nigdy jeszcze nie widział go tak nieufnego, prawie podejrzliwego... I cóż miały znaczyć wszystkie te aluzje do kobiet? Ciężar godzin, które upływały pod groźbą gwałtownego zaostrzenia stosunków międzynarodowych, zasługiwał na poważniejsze uwagi niż te starcze dygresje o wierności, miłości i niestałości kobiet.

Gryząc dużego ogórka, marszałek powiedział:

— Oskar Wilde mawiał: „Im lepiej znam kobiety, tym bardziej kocham mego psa”.

Mika usiłował nadać twarzy wyraz skupienia i głębokiego zainteresowania tą gorzką uwagą sławnego angielskiego szydery. Właściwie spodziewał się najgorszego. Marszałek zbyt niezręcznie krążył wokół sedna sprawy.

— A ta mała, Ko... Kom... jakże ona się nazywa?

— Tania Komińska — odpowiedział sucho Mika.

„No i proszę — pomyślał. — Chodzi mu o Tanię. Ale co Achromiejew może do niej mieć?”

Marszałek skupił się na oględzinach czubka ogórka. Stary wyga czuł się zawsze lepiej na terenie — tak przecież ryzykownym — walki o wpływy i władzę, niż kiedy przychodziło mu borykać się z kobiecą psychiką. „One” napawały go lękiem.

— A tak, Tania Komińska... — podjął. — Często się widujecie?... Chciałem powiedzieć...

Mika skinął głową. Czekał mając się na baczności.

— I... — ciągnął marszałek przesuwając w roztargnieniu palcem po śladach zębów na skórce ogórka — i... i... i wyjeżdżacie do Japonii, do Tokio, jutro rano.

Mika spodziewał się wszystkiego poza tym zaskakującym atakiem. Zaczął się jękać.

— Ale przecież... nic nie rozumiem... Sytuacja międzynarodowa jest napięta. Stany jednoznacznie nas oskarżają. Jeżeli w Ameryce dojdzie do kolejnego zamachu, będę towarzyszywi na pewno potrzebny...

Ogonek ogórka zakreślił elegancki i beztroski krąg w zadymionym powietrzu restauracji. Achromiejew powiedział ze sztuczną wesołością:

— Drobne kłopoty w polityce zagranicznej nie mogą przeszkadzać nam w kontynuacji pracy. Wiecie, Miko, przeżyłem już Zatokę Świń, wojnę Jom Kippur, aneksję Afganistanu... Za każdym razem jest to samo — wydaje się, że stanie się nie wiadomo co, a potem, phi! nic się nie dzieje...

Mika próbował uchwycić spojrzenie Achromiejewa, który ciągle badawczo przyglądał się lśniącej skórce ogórka.

— Trzeba dokończyć rozpoczętą pracę, Miko — ciągnął marszałek. — Jednym z cennych narzędzi naszej militarnej i ekonomicznej przyszłości jest inżynieria genetyczna... Wiecie o tym lepiej ode mnie jako odpowiedzialny za „Graala”...

„Graal” był jednym z najambitniejszych projektów pierestrojki. Miał umożliwić ZSRS wyrównanie opóźnień w dziedzinie inżynierii genetycznej. Opóźnień wynikających prawie wyłącznie z braku nowoczesnego sprzętu informatycznego.

Inżynieria protein stanowiła klucz inżynierii genetycznej i wymagała narzędzi do modelowania struktury przestrzennej białek, osiągalnej dzięki takim technikom analitycznym, jak radiokrytalografia i spektroskopia.

Skąd zainteresowanie Japonią? Kraj Wschodzącego Słońca od ponad dziesięciu lat stawiał na rozwój technik biologicznych. Zakrojony na szeroką skalę projekt „Granic przyszłości” zaowocował technologicznym udoskonaleniem biologii molekularnej i inżynierii protein. I to z naprawdę podziwu godnymi wynikami. W 1983 profesor Ikehara z uniwersytetu w Osace opracował syntezę hormonu w zroście. Jakie płyną z tego korzyści? Wyraźne zwiększenie produkcji mięsa i mleka — fantastyczny wynik handlowy, oceniany na ponad sześć miliardów jenów już w pierwszym roku po wprowadzeniu tej metody. W 1988 przekroczone granicę tego, co dotąd wydawało się nierealne i baśniowe. Krew. W tym właśnie roku profesorowie Ishihara i Tsuchida kończyli badanie nad sztuczną krwią. Również w 1988 przyszła kolej na sztuczną skórę wyhodowaną przez Unitaka Ltd...

Była to gra o najwyższą stawkę, w której Japończycy okazali się absolutnymi mistrzami.

Firma Sony posunęła się aż do wyprodukowania przy zastosowaniu bakterii *Acetobata aceti*, dwudziestomikronowego włókna, którym posłużono się do wyrobu słuchawek audio. Zdaniem inżynierów Sony, pozwalało to uzyskać „nieosiągalną dotąd jakość dźwięku” za jedyne 3000 dolarów sztuka.

Mika zdawał sobie sprawę, jaką rolę odgrywają Japończycy w projekcie „Graal”, ale nie miał nigdy czasu, by poważnie się tym zająć. Pozostawił to swoim agentom w Tokio, zdając się głównie na Nikołaja Guszewa, dyrektora oddziału Aeroflotu, za mało zdaniem Miki operatywnego.

Właściwie plan wyjazdu do Tokio i możliwość uaktywnienia agentów wydały mu się dobre. Na myśl o ponownym udaniu się do Tokio ogamęło go rozczulenie. Pamięć podsunęła mu obraz kościstej, przyjaznej twarzy starego mistrza *go*, mistrza Iwashi. Potęga wspomnień... wydało mu się, że słyszy wysoki, trzeszczący jak grzechotka śmiech starca.

Dwadzieścia dwa lata. Nie słyszał tego śmiechu od dwudziestu dwóch lat. Czy aby nie zamilkł na wieki? Czy mistrz Iwashi grywał jeszcze w *go*, „grę swego życia”, jak zwykł był mawiać?

Achromiejew roześmiał się.

— No, Miko, Japonki nie są takie złe — mrugnął okiem, chcąc sprawić wrażenie konesera. — Parę dni w Tokio szybko minie... Tyle, ile trzeba na nawiązanie kontaktu z osobami mogącymi wyrazić zgodę na transfer oprogramowania grafizmu molekularnego i przede wszystkim — maszyn, które mogą sprostać tego rodzaju obliczeniom.

— A jeżeli...?

Mika nie dokończył zdania. Myślał o najgorszym. Gdyby kolejny zamach wpędził Amerykanów w ślepią uliczkę, byłiby zmuszeni konsekwentnie realizować samobójczą politykę.

„W *go*, jak w życiu — brzmiał mu w uszach dźwięczny głos mistrza Iwashi — pozostawiaj zawsze wrogowi możliwość ucieczki. W przeciwnym razie zachowaj się jak ranny tygrys w pułapce — straci panowanie nad sobą i będzie zabijać bez opamiętania”.

Ojcowska dłoń Achromiejewa spoczęła na jego ramieniu. W głosie marszałka nie brzmiała już owa fałszywa radość.

— Oczywiście, Miko, gdyby cokolwiek się stało, wezwę was do siebie, do Moskwy.

* * *

Piotr Smukiewicz miał zapadnięte policzki. Nie spał od trzydziestu sześciu godzin. Westchnął, potarł delikatnie nasadę nosa i z niepokojącym opanowaniem powtórzył pytanie:

— Mały wysiłek, doktorze Rilke... mały wysiłek pamięci. Jakie stosunki łączyły pana z Najmem Hawadi, „Lisem”?

Rilke unikał spojrzenia Smukiewiczowi w oczy... Doktor czuł, że powinien zyskać na czasie, rozważyć sytuację... Milczał przez chwilę, a potem pocętkowaną rudymi plamkami dłonią odepchnął się od biurka. Kręcony fotel obrócił się. Doktor siedział teraz plecami do Smukiewicza. Wstał powoli, odsunął nieco stopy, rzucił okiem na zewnątrz, potem podszedł do klimatyzatora, który cicho warczał, i kilkakrotnie przesunął dłoń przed jego wylotem.

— Już panu mówiłem — odezwał się w końcu, wciąż odwrócony tyłem do rozmówcy. — „Lis” był jednym z ludzi z obozu... — Miał na myśli obóz w Dolinie Śmierci. — Widziałem go zaledwie parę razy. Wyłącznie podczas seansów som Głos Smukiewicza rozbrzmiał w cichym gabinecie jak wystrzał.

— Kłamie pan, doktorze Rilke!

Rilke zadrzał, ale nie odwrócił się. Smukiewicz ciągnął:

— Jeden z naszych ludzi przesłuchiwał w Madrycie niejakiego „Irlandczyka”, ideologicznego przywódcę „Malika”. Wiemy, że wielokrotnie spotykał się pan z „Lisem” w tym gabinecie. Był mu pan potrzebny i pomógł mu pan!

Doktor odwracał się powoli, stopniowo. W prawej ręce trzymał okrągłe okulary w metalowej oprawce.

— Wie pan — zaczął matowym głosem — to nie moja wina. Jak by to panu wyjaśnić?... To mnie przerasta.

Smukiewicz spojrzał na niego z pogardą. Poderwał się z fotela i podszedł tak blisko lekarza, że widział najdrobniejsze szczegóły jego twarzy — białe nitki wplątane w rude brwi i cieniutką warstwę potu, który zrosił jego czoło.

— To, co pana „przerasta”, doktorze — powiedział, przeciągając „s” w słowie „przerasta” — to fakt, że zabawiał się pan w ucznia czarownika. Ale teraz trzeba powstrzymać tę rzeź. I PAN nam w tym pomoże!

Mówiąc to, Smukiewicz miał na myśli zamachy w Stanach. Myślał też o własnej głowie, nad którą zawisł gniew Iwanowa.

— MUSI nam pan pomóc, doktorze!

Prawa ręka Smukiewicza przesunęła się po marynarce Rilkego i chwyciła krawat. Teraz wędrowała ku węzłowi, tuż pod kołnierzyk, i zaciskała go na tętnicach.

— Niech mi pan powie, doktorze — mówił dalej Smukiewicz — kto jest tym trzecim terrorystą wysłanym z braćmi Hawadi? Jeden z pańskich pacjentów?

Doktor niemal niedostrzegalnie skinął głową. Dusił się.

— Musi pan mieć dokładne dane tego człowieka, prawda?... Kartę, zdjęcie?

Na wszystkie pytania Rilke odpowiadał skinieniem głowy. Rysy jego twarzy stężały.

Smukiewicz jeszcze przez parę sekund utrzymał zacisk, nim puścił krawat. Z wyraźnym obrzydzeniem wytarł dłoń o marynarkę doktora Rilkego, obszedł masywne, mahoniowe biurko, gwałtownie wysunął jedną z szuflad i gestem ręki wskazał ułożone w porządku alfabetycznym karty.

— Proszę wysilić pamięć, doktorze Rilke.

Tego samego dnia, 30 kilometrów od Filadelfii

TEXACO. Biało-czerwona tablica stacji obsługi widoczna była z oddali. Połyskujący w słońcu wóz, stalowe monstrum o wadze 50 ton, zwolnił. Odzianą w skórzaną rękawiczkę dłonią Big Dick wymachiwał przed nosem Golbudina. Wskazywał stację obsługi.

— *Gas!... I need some gas!* Muszę zatankować paliwo.

Big Dick pokazał teraz Golbudinowi ogromnych rozmiarów zdjęcie wiszące tuż nad nim. Była to fotografia kokieteryjnie uśmiechniętej Dolly Parton w śmiało wydekoltowanym stroju. Afgańczyk miał przed oczyma „piersi Ameryki”.

W miejscu sutek Miss Wielkich Piersi Big Dick zainstalował dwie czerwone diody, połączone z żółtą lampką sygnalizującą stan paliwa. System był prosty. Światło ciągle — pełen bak. Światelko migające — uwaga, napełnić bak.

— Ach, ach! / *need some gas!*

Big Dick zatrzymał potężny pojazd wznosząc tumany kurzu. Ciągle zachwycony swoją dowcipną sztuczką z migocącymi diodami, odwrócił głowę w stronę Golbudina i uśmiechnął się głupkowato spod kowbojskiego kapelusza ozdobionego skórą grzechotnika.

Golbudin zachował kamienną obojętność, nieczuły na humor Big Dicka. Zwiesił głowę, wycedził przez zęby „dziękuję” i wysiadł z kabiny, trzymając w ręce plastikową torebkę. Zaskoczony kierowca ściągnął kapelusz i podrapał się po głowie. Ten facet był jakiś dziwny. Kiego diabła szukał na drodze z tą plastikową torbą i głupkowatą miną? Dlaczego cudne jak marzenie cycki Dolly nie robiły na gościu żadnego wrażenia?...

„Cóż — powiedział sobie Big Dick — na drodze spotyka się szaleńców”. Niejednego już widział... zdjął skórzane rękawiczki i również wyskoczył z kabiny.

Ciągle ze spuszczoną głową, Golbudin wszedł do stacji obsługi. Odszukał toaletę, nad której drzwiami umieszczono złoty napis MEN. „E” zwisало, smętnie odwrócone do góry nogami. Wewnątrz zastał około dziesięciu równie osiłkowatych jak Big Dick kierowców, którzy Stali nad pisuarami. Rozlegał się szum uderzających o dna silnych strumieni moczu. Powitały go drwiące spojrzenia. Cuchnęło dezodorantami, potem i dymem papierosowym.

Golbudin nie zwracał na mężczyzn najmniejszej uwagi. Pchnął drzwi jednej z kabin i zamknął się w niej na cztery spusty. Tu usiadł spokojnie na sedesie, wyciągnął z torby mapę, mapę „Lisa”, i ostrożnie rozłożył ją na kolanach. Trzy jej rogi oznaczone były czarnymi krzyżami. Krzyże odpowiadały miastom Albany, Pittsburgh i Buffalo.

Golbudin rozmyślał przez chwilę, siedząc z brodą podpartą dłońmi. Myślami bujał gdzie indziej, wpatrzony w obszary przedstawione na rozłożonej mapie. Nie dotarły do niego pikantne uwagi Big Dicka na - jego temat. Golbudin bardzo urósł w oczach szofera... Big Dick tłumaczył długi pobyt Afgańczyka w zamkniętej kabynie potrzebą ulżenia fizycznej podniecie wywołanej widokiem diod Miss Wielkich Piersi. Och, świetnie wiedział, że nikt nie potrafi oprzeć się Dolly Love...

Golbudin flegmatycznym ruchem wyjął z kieszeni spodni czarny flamaster. Wahał się jeszcze przez moment i w końcu postawił krzyżyk w czwartym rogu mapy. W tym rogu leżała Filadelfia.

Niepokonany w walce jest ten, kto posiadał umiejętność Obrony. Zwyciężyć może ten, kto Atakuje.

Kiedy przyjdzie ci się bić, wykorzystaj swój styl Walki — brawurę, wolę poświęcenia, pogardę zmęczenia i nieustępliwość w długim Boju.

Filadelfia, 5 sierpnia 1992, godzina 15.45

Terry Williams wziął swego syna Brada na barana i poniósł do toyoty pikapu. Linda, jego żona, czekała już w wozie. Uśmiechnęła się do nich.

— Uff! Z dnia na dzień robisz się coraz cięższy — powiedział Terry do jasnowłosego chłopca, stawiając go na tylnej platformie samochodu pomiędzy dwoma kajakami — zielonym i czerwonym.

Toyota ruszyła i łagodnie wjechała w Diamond Street. Ulica biegła przez willową dzielnicę Fairmount Park i łączyła oba końce miasta. Było gorąco, piekielnie gorąco. W domach przy Diamond Street klimatyzacja działała na pełnych obrotach. Szmer słychać było aż na ulicy.

Terry popatrzył na żonę i rzucił okiem w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy Brad nie bawi się w kajakach. Cień uśmiechu czał się w kącikach ust Lindy. „Popołudnie zakochanych, tylko we dwoje” — poprosiła. zaproponował jej, by popływali kajakami w klubie House Boat Row, w Fairmount Park. Tam gdzie spotkali się w dniu podobnym do dzisiejszego, pogodnym i skąpanym w słońcu...

Tut-tut. Terry dwukrotnie wcisnął klakson, dając znak Bradowi. Pogroził mu palcem. Brad przybrał minę niewiniątka. „Przecież nic nie zrobiłem — zdawała się mówić widoczna w lusterku buzia. — Nawet nie tknąłem tych kajaków”...

Terry uśmiechnął się na tę minę syna. Wsunął głowę przez okno.

— Dojeżdżamy, Brad! Jeszcze trochę cierpliwości.

Przed udaniem się do klubu na żeglarskie sam na sam odwozili Brada na „seans burmistrza”, zwyczajowe, doroczne święto filadelfijskich dzieci, organizowane przez władze miasta. Robiono wszystko, by w tym dniu dzieci dobrze się bawiły. Do obchodów włączyło się największe w mieście kino — „Romance Theater”; trwający non stop przez sześć godzin program obejmował ulubione filmy. Bradowi najbardziej podobał się *Man With No Face*, który widział już osiem razy. Dzieciom serwowano ile dusza zapagnie popcornów z karmelem i napojów. A wszystko to za jedyne dwa dolary symbolicznej opłaty.

Terry przyhamował. Dojeżdżali przed „Romance Theater”.

— No, Brad, możesz biec! Baw się dobrze!

Brad zeskoczył z platformy i co sił w siedmioletnich nogach pognał w stronę stojącego przed kinem tłumu kolegów.

— Przyjedziemy po ciebie o siódmej wieczorem! — krzyknęła za nim matka.

Linda z nie tajonym uwielbieniem patrzyła na jasne, prawie białe włosy swego małego chłopca, rozwiane teraz na wietrze. Westchnęła, szczęśliwa, i oparła głowę na ramieniu Terry'ego.

* * *

Była jeszcze ciemna noc. Golbudin czuł pod palcami dwie gładkie, okrągłe butelki — zawierające winis i serum. Wyjął jedną na chybił trafił i postąpił kilka kroków, żeby obejrzyć ją w świetle sączącym się do pomieszczenia klimatyzacyjnego „Romance Theater” przez szpary drzwi.

O tę właśnie mu chodziło, tę z serum, butelkę Życia. Zawrócił, namacał w ciemności otwór plastikowej torby, natrafił na mapę i poczuł zimny metal igły. Potem już jego ruchy następowały po sobie mechanicznie.

Położył się pod drzwiami tak, aby struga światła docierającego z zewnątrz oświetliła jego prawą rękę. Kilka milimetrów serum do strzykawki... odszukać żyłę na prawym ramieniu... — schudł znacznie i jego żyły widać było tuż pod skórą — zdecydowanym ruchem wkluc igłę... wstrzyknąć zawartość strzykawki. To wszystko zajęło mu zaledwie kilka sekund.

Schował flakon zawierający serum, flakon Życia, i zbroczoną krwią igłę do plastikowej torby. Potem wziął drugą butelkę, butelkę Śmierci, i starał się namacać w ciemnościach przewody urządzeń klimatyzacyjnych. W pomieszczeniu panował ogłuszający huk. Można by pomyśleć, że to łoskot maszyn ogromnego statku.

Golbudin wyczuł pod palcami prawej ręki przewody i stalowe złączki. Milimetr po milimetrze jego palce dotarły do ostrej, metalowej kraty. Wlot powietrza... Właśnie tego szukał. Wprawnym ruchem ręki unióś kratę.

Wuum! Prąd powietrza był silny. Golbudin odkorkował butelkę Śmierci i wlał dwie dawki płynu do wlotu. W sumie dziesięć centylitrów. Porwane podmuchem wiatru miliardy mikroskopijnych zabójczych wirusów przedostały się przez nawiewy i błyskawicznie przesyciły powietrze w sali „Romance Theater”. W tej samej chwili na panoramicznym, lekko wypukłym ekranie ukazała się czołówka filmu *Toxic*.

Czterysta sześćdziesięcioro dwoje dzieci, które przybyły na seans, wydało głębokie westchnienie zachwytu.

Wróg znajduje się na oświetlonej scenie. Z otaczających ją Ciemności każdy jego gest, każdy ruch śledzi niewidzialne Oko. Jeżeli chcesz wygrać Walkę, ty musisz być tym okiem.

Benghazi, willa doktora Rilkego

Jeszcze jeden upalny dzień, niewątpliwie najcieplejszy dzień lata. Mimo późnej godziny — minęła już dwudziesta — temperatura sięgała ponad 40°C.

Harun, libijski asystent doktora Rilkego, wyszedł przed willę i przeciągnął się. Zakończył pracę. Rękawem otarł zroszone potem czoło i zrobił parę kroków po rosnącym wokół domu trawniku. Wśród wysokich eukaliptusów, wśród gęstego listowia bугenwilli rozśpiewane, łopoczące skrzydłami ptaki dawały prawdziwy koncert. Po skwaronym dniu nadeszła pora wytchnienia.

Harun powitał skinieniem głowy ubranego w szorty i podkoszulek

khaki oraz słomiany kapelusz z szerokim rondem ogrodnika, który rozstawił na trawniku zraszacz. Ogrodnik odpowiedział na jego powitanie. Harun podszedł do niego. Nadeszła pora na pogawędkę. Codziennie, kiedy ostatni pacjent opuścił gabinet Rilkego, już po zachodzie słońca, Harun z przyjemnością zamieniał parę słów z ogrodnikiem. Rozmawiali o wszystkim i o niczym. O upale, o cenach chleba albo o ptasich

Przez ten czas doktor pozostawał w gabinecie i zabierał się do pisania nowego dzieła: *Wślizgnąć się w życie*, poświęconego porodom pod wodą.

Harun sięgnął do prawej kieszeni białej bluzy po paczkę papierosów, wyjął jednego i, zanim wsunął go do ust, oderwał zębami filtr. Pomarszczona, pobrudzona ziemią dłoń ogrodnika łapczywie chwyciła papieros z podsuniętej paczki.

Gawędzili przeszło godzinę. Drzewa rozległego ogrodu ogarniał zmrok. Odgłosy miasta, stłumione przez ścianę zieleni, docierały tu jak odległy szum morskich fal.

Wreszcie Harun zgniół czubkiem buta kolejny rzucony na trawę niedopałek, przyjaźnie poklepał ogrodnika po ramieniu i wrócił do willi.

W wielkim, zbudowanym w stylu kolonialnym domu, wyłożonym marmurem, ruszył korytarzem wiodącym w prawo i wszedł do łazienki sąsiadującej z gabinetem doktora. Wziął prysznic i założył świeżą koszulę. Dopiero w tym momencie zauważył, że coś jest nie w porządku. W dźwiękach, do których przywykł w tym domu, pojawiło się coś obcego... Coś się zmieniło, ale nie wiedział co...

Zwolnił tempo ruchów, zaczął zapinać guziki koszuli. Natężając słuch, chwycił dobiegające z ogrodu dźwięki. Ptasi świergot, odgłos skrzydeł, szelest poruszanych gałęzi, śmiech ogrodnika, regularne i niezmordowane pyk-pyk-pyk zraszacza.

To wszystko było normalne.

Harun potrząsnął głową i dokończył się ubierać. I nagle wszystko stało się jasne. Klimatyzacja... klimatyzacja w gabinecie Rilkego nie działała. Ale przecież doktor nie znosił upału. Harun skoczył ku drzwiom. Były zamknięte od wewnątrz. Z całych sił uderzył w nie ramieniem, wyważył i wpadł do gabinetu. Stał w progu jak wryty, oszołomiony tym, co zobaczył. Powysuwane szuflady biurka, wszystkie karty porozrzucane, leżanka przesunięta, a taśmy magnetofonowe rozwłócone po całym

Harun wznosił oczy. Jego spojrzenie padło na gołe stopy doktora kołyszące się lekko na wysokości około metra trzydziestu nad ziemią. Przesunąwszy spojrzenie bardziej w górę, Harun spostrzegł, że

doktor ubrany był w beżowy bawełniany garnitur, że nie miał śladów uderzeń ani razów, że jego okulary w okrągłych metalowych oprawkach wystawały z prawej kieszeni marynarki i że musiał zostać uduszony konopną liną, którą umocowano na rurze biegnącej tuż pod sufitem. Na podłodze, pod ciałem, leżał wywrócony fotel doktora. Pod jego oparciem Harun dostrzegł otwarte szare pudełko. Zawierało trzydzieści starannie ułożonych kart. Na pudełku widniała wypisana czerwonym flamastrem litera „K”.

Między „Kaloni” i „Kamei” brak było jednej karty: Kalzai.

Filadelfia, 19.20, William Penn Hospital

Toyota pikap z ostrym piskiem opon zatrzymała się przed pomalowanymi w niebieskie pasy drzwiami szpitala. Terry William wypadł z kabiny i pognał ku wejściu. W ramionach niósł syna Brada. Twarz dziecka była bardzo blada, głowę miało odrzuconą do tyłu. Jego jasne włosy kołysały się na prawo i lewo w rytm szaleńczego biegu ojca — wyścigu ze śmiercią.

Terry, który przyjechał tu ogarnięty paniką, nie zauważył nawet masy karettek i wozów policyjnych, które stały przed szpitalem, rzucając na jego szklaną fasadę blask rozmigotanych świateł. Nie zwrócił też uwagi na biegających w popłochu przez hall sanitariuszy i pielęgniarki.

Linda biegła obok Terry'ego. Zapłakana, usiłowała chusteczką ocierać krew, która sączyła się z uchylonych ust Brada.

— Ostry dyżur! Szybko! — wrzasnął Terry do pielęgniarza.

Ten, nie odwracając się nawet, odpowiedział:

— Pierwsze piętro. Ułóżcie go obok innych.

Nie zastanawiając się, o jakich to „innych” mówił pielęgniarz, Terry i Linda przeskakiwali po cztery stopnie szerokie schody wiodące na pierwsze piętro.

Na górze ledwie zdążyli zorientować się, co się dzieje. Pielęgniarka w rękawiczkach i masce na twarzy wydarła Brada z objęć Terry'ego i położyła go na noszach. W tej samej chwili lekarz przytknął maskę tlenową do ust dziecka i cała trójka zniknęła błyskawicznie w końcu korytarza.

Wszystko to trwało może dwadzieścia sekund. Linda i Terry stali w miejscu, zadyszani, z opuszczonymi rękami, wciąż jeszcze żywo pamiętając twarzyczkę Brada. Ich ubrania poplamione były krwią chłopca, a Terry czuł ciągle w ramionach dotyk ciała, które stawało

się coraz cięższe, potwornie ciężkie. Ich dłonie spłotły się łagodnie. Rozglądali się wokół, niezdolni wymówić słowa.

Po zastawionym noszami korytarzu uwijali się pielęgniarze ubrani w maski i rękawice. Mali pacjenci napływali masowo, jedni po drugich. Natychmiast układano ich na noszach i przenoszono w koniec korytarza. Mimo potwornego zamętu wszystko odbywało się w niemal totalnej ciszy. Krótkie polecenia, czasem skargi dziecka i szloch oszołomionych rodziców.

Linda i Terry dopiero po chwili zorientowali się, że część ściany po prawej stronie korytarza była przeszkłona. Za nią znajdowała się sala reanimacyjna. Ustawiono tam ciasno około trzydziestu par noszy. Na sali panował półmrok. Tylko czerwone światelka i zielone wykresy świadczące o tym, że funkcje życiowe pacjenta nie ustały, błyszcząły jasno na monitorach.

Terry troskliwie objął ramieniem Lindę. Podeszli do szyby. Po prawej stronie otworzyły się drzwi i zobaczyli, jak do sali wnoszą Brada. Dwie przezroczyste rurki wprowadzono mu w nozdrza. Trzecią podłączono do ramienia.

Stali zszokowani. Jeszcze przed dwiema godzinami pływali po jeziorze w parku w Fairmount. W ciągu paru minut z marzeń wtrąceni zostali w koszmarny sen.

Czyjaś mocna dłoń dotknęła ramienia Terry'ego. Odwrócił się. Wysoki, łysiejący lekarz stał za nimi. Na jego twarzy gościł smutny uśmiech. Uśmiech bezradny i jakby przeproszający. Spuścił oczy i wsunął ręce do kieszeni fartucha.

— Jest w stanie śpiączki — powiedział, wzdychając głęboko. Odwrócił się na pięcie i tym samym tonem dodał: — Proszę za mną. Trzeba podać dane dziecka w izbie przyjęć.

Moskwa, plac Dzierżyńskiego

Dowód znajdował się tu, przed jego oczyma. Smukiewicz drwił sobie z niego. Niewolnik się zbuntował.

Iwanow w odruchu wściekłości zmiął teleks swego zastępcy i rzucił go do popielniczki na stos wypalonych cygar. Ta historia była absurdalna! Czystej wody fikcja! Jeśli Smukiewicz przypuszcza, że on, Iwanow, da się nabrać na te bajki o hipnozie, manipulacji na umyśle i wschodnioniemieckim lekarzu wysłanym do Libii, bardzo się myli! Mógł wymyślić inną, bardziej wiarygodną historijkę...

Był pewien, że Smukiewicz chce zyskać na czasie. W tej chwili siedzi już pewnie w samolocie do Stanów Zjednoczonych.

„Będę w Waszyngtonie za osiem godzin — informował Iwanowa w teleksie. — Czekam na rozkazy za pośrednictwem Fiodora Maksimiljewicza, naszego głównego waszyngtońskiego agenta”.

Smukiewicz chciał uciec. Było to oczywiste. Iwanow skamieniał, ogarnięty nagłą myślą. Potworną myślą. A jeśli Smukiewicz, od lat jego wierny cień, był po prostu na żołdzie GRU? Jeśli był człowiekiem podstawionym, żeby go zgubić?

Trzeba czym prędzej wydać rozkaz aresztowania Smukiewicza w Waszyngtonie. Trzeba uprzedzić wysłanego do Stanów Fiodora Maksimiljewicza.

„Zatrzymać Smukiewicza. Pilne”. Nie, Smukiewicz żywy był zbyt groźny. „Zlikwidować” zabrzmiało lepiej. „Zlikwidować Smukiewicza, gdy tylko przyjedzie. To rozkaz”.

Już miał wezwać odpowiedzialnego za komórkę szyfrów, aby polecić wysłanie wiadomości, gdy opadły go wątpliwości. Musi to jeszcze przemyśleć. Nie należy unosić się gniewem. Nie wolno mu popełnić błędu.

Odgarnął niedopałki wypełniające popielniczkę i wydobyl spośród nich usmolony i zwinięty w kulkę teleks Smukiewicza.

Głęboko wciągnięty dym wonnego dawidowa uspokoił go nieco. Rozprostował kartkę, otrzepał ją wierzchem dłoni i wnikliwie przeczytał.

„Mężczyzna opuścił terytorium Libii na pokładzie «Juliany» z dwoma innymi terrorystami 20 lipca 1992 roku. Kapitanem «Juliany» jest poszukiwany przez Amerykanów Francuz. Prawdziwy terrorysta nazywa się Golbudin Kalzai. Doktor...”

Iwanow zaklął ordynarnie i wstał z fotela.

— Kalzai! Kalzai! Ależ ja znam to nazwisko! — wykrzyknął. Gorączkowo otworzył sejf i wydobyl teczkę z raportami Tani Komińskiej dotyczącymi Miki Siergiejewicza Wasiljewa.

Jest... „Kalzai. Golbudin Kalzai”. Tak nazywał się Afgańczyk, któremu Mika Wasiljew pomógł uciec z Afganistanu. Wasiljew wpadł w potrzask. Nie wymknie się z pułapki! Przypadek uczynił zeń wroga ludzkości. Był już skazany na śmierć...

Ale ten nadzwyczajny zbieg okoliczności wypełnił go radością tylko przez krótką chwilę. Problem tkwił w tym, że przypadek załatwił tę sprawę ZBYT DOBRZE...

A jeżeli? A jeżeli Smukiewicz pracował dla GRU? A jeżeli był w zмовie z Tanią? Przecież właśnie Smukiewicz podsunął mu Tanię... A jeżeli wszystko to jest szeroko zakrojoną zмовą, makiaweliczną intrygą, której celem ma być odsunięcie go od władzy?...

Zadrzał z przerażenia. Jego świat się walił. Najbliżsi zdradzili go i sprzymierzyli się z wrogami. Przytłoczony ciężarem tych odkryć wstał i podszedł do okna rzucić okiem na stojący na placu Dzierżyńskiego pomnik Karola Marksa.

Zabrudzony przez gołębie pomnik wydał mu się tak kruchy, że w każdej chwili mógł runąć. Stało się to, czego spodziewał się już od dwóch lat — poplecznicy Gorbaczowa chcieli ograniczyć potęgę KGB.

Po długiej chwili rozmyślenia zdecydował powiadomić marszałka Achromiejewa. Pupil czy nie, towarzysz Wasiljew był podwójnie groźny. Pomógł uciec przedstawicielowi związanej z mudżahedinami rodziny afgańskiej, ten zaś okazał się teraz terrorystą, który zagrażał powodzeniu pokojowych dążeń towarzysza Gorbaczowa.

Waszyngton, Biały Dom, 5 sierpnia, godzina 19.30

Na twarzy prezydenta pojawiły się dwie głębokie zmarszczki. Właśnie przekazano mu wiadomość. W Filadelfii dwadzieścioro pięcioro dzieci zmarło w wyniku zamachu przypominającego dokładnie trzy poprzednie. Liczba ofiar spowodowana przez serię zabójczych zamachów była ogromna — zmarło trzysta dzieci oraz pięćdziesięcioro troje dorosłych; w szpitalach przebywały trzysta dwadzieścia dwie osoby w różnym wieku, a ich stan był krytyczny.

— I nadal żadnych żądań? — zapytał sucho prezydent, zwracając się do Vince'a Kluntzmanna, sekretarza stanu, stojącego z bezradnie zwieszonymi rękami.

Znajdowali się w Owalnym Gabinetce prezydenta. Panował nieznośny upał. Okna otwarte były na oścież. We wnętrzu pachniało świeżo ściętą trawą.

Kluntzmann westchnął. Nie odpowiedział na pytanie prezydenta. Dyrektor CIA w administracji Reagana, Kluntzmann, był zawsze zwolennikiem stanowczej polityki wobec ZSRS. Prezydent wykazywał, jak na jego gust, zbyt dużą elastyczność i ustępliwość. Opinia publiczna otwarcie oskarżała teraz ZSRS o próbę destabilizacji kraju. Był to argument dla zaciętych wrogów gorbiomanii, niechętnych pokojowi ze Związkiem Sowieckim i stojących na stanowisku, że nie wolno ufać państwu socjalistycznemu. To zasada.

Sekretarz stanu pilnie wsłuchiwał się w te głosy. W końcu — mówił sobie — jeszcze nie przegraliśmy wyborów. Kandydaci demokratów, tak aktywni po dwóch pierwszych zamachach, zaprzestali ataków.

Zamilkli, zaszyli się w kącie, zostawiając sprawę rządowi, borykającemu się z nią na oczach wszystkich. Kluntzmann pomyślał z rozgoryczeniem, że media uznały takie zachowanie za dowód „szacunku i woli zawarcia consensusu narodowego”. Bojownicy osła — bo taki jest symbol partii demokratów — konali ze strachu, właśnie tak! Zupełnie nie wiedzieli, jakie posunięcia należy doradzić rządowi...

— Trzeba działać. I to szybko! — powiedział Kluntzmann, ocknąwszy się z zadumy. — Kraj stoi na krawędzi kryzysu. Od dwóch dni nieustannie powtarzają się żądania pańskiej dymisji. Dow Jones spadł wczoraj o 500 punktów, przedwczoraj o 300... Czy mam mówić dalej?

Prezydent ze znużeniem machnął ręką.

— Działać... Nie możemy działać, dopóki nie poznamy winnego. Związek Sowiecki może nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Sowieci utrzymują — mam tę informację od Łaskiego — że pomyliliśmy się co do osoby. Terrorysta według nich to Afgańczyk. Od pięciu dni szukamy niewłaściwego człowieka...

— Nieistotne! — uniósł się Kluntzmann. — Rosjanie mogą kłamać, manipulować nami. — Chciał już dorzucić: „po raz kolejny”, ale ugryzł się w język. — A w każdym razie trzeba dać upust tej niechęci skierowanej przeciwko pańskiej administracji... „Lud uspokaja się, kiedy rzuci mu się wroga na żer”, mawiał już w zeszłym stuleciu cesarz Francuzów, Napoleon. Aby zmniejszyć ryzyko konfliktów wewnętrznych, trzeba dać narodowi właściwego wroga...

Prezydent odwrócił wzrok. Tracąc zupełnie panowanie nad sobą, sekretarz stanu przechylił się przez biurko.

— Niech pan będzie twardy dla Sowietów! — zawołał impulsywnie. — Odwołajmy niezwłocznie naszych dyplomatów z Moskwy! I powinien pan ogłosić to w wystąpieniu telewizyjnym! Nie wolno przecież patrzeć z założonymi rękami, jak kraj drąży gangrena!

Wizja sytuacji była trafna. Prezydenta przebiegł dreszcz. Kraj dotknięty był rodzajem szybko postępującej gangreny. Choroba ogarniała stopniowo wszystkie organy, niszczyła niezłomne, wydawałoby się, przekonania, wiarę w wartości uznawane za niepodważalne, jak dzieci, higiena, bezpieczeństwo. I naiwne przeświadczenie, że ten właśnie naród został wybrany, by stać się najlepszym.

To wielkie zwątpienie podważało fundamentalne wartości amerykańskich mitów. Prezydent widział już takie załamanie poczucia tożsamości przed osiemnastu laty, po wojnie w Wietnamie. Intuicja podpowiadała mu jednak, że ten nowy wstrząs może okazać się jeszcze

cięższy. Stawiał ludzi twarz w twarz z miniaturowym wrogiem, który nie był ani „czerwonym”, ani „żółtkiem”, a czaić się mógł w organizmie każdego współobywatela. Wirus zamieniał wszystkich bez wyjątku w potencjalnych wrogów.

Prezydent zwrócił spojrzenie na Kluntzmanna, który stał w samej koszuli, bez marynarki, oparty o biurko, i zapewnił, że zgodnie z jego radami wskaże na Związek Sowiecki jako na odpowiedzialnego za tragedię.

8.

Polowanie na niedźwiedzia

Stało się, mówi nam Biblia, tej nocy, że Anioł Piekielny dał przyzwolenie na rzeź...

Psalmistą żydowski z Jeruzalem, rok 705 przed Chrystusem

Moskwa, lotnisko Brack, 6 sierpnia 1992, godzina 22.30

Mika starał się rozpoznać z daleka oczekującego na niego przy schodach z samolotu mężczyznę. Był zaskoczony. „Nie znam tego człowieka” — pomyślał.

Spodziewał się ujrzeć Igora Woronkova, swego szofera, którego kazał uprzedzić o nagłym powrocie z Tokio. Mika dopiero w samolocie, czterosilnikowym iljuszynie, poznał szczegóły dotyczące czwartego zamachu, którego dokonano w kinie „Romance Theater” w Filadelfii.

Jednocześnie dowiedział się o powziętych przez rząd amerykański decyzjach: natychmiastowym wycofaniu dyplomatów ze wszystkich republik sowieckich oraz postawieniu w stan pogotowia amerykańskich sił powietrznych i marynarki wojennej. Zarysowywała się groźba konfliktu nuklearnego. W całym imperium sowieckim ogłoszono również pełną gotowość sił zbrojnych. Nad światem zawisła groźba wybuchu wojny pomiędzy supermocarstwami.

Powrotna podróż Miki trwała siedem godzin, miał więc dość czasu, aby przeanalizować sytuację. Marszałek Achromiejew wzywał go do Moskwy. Z pewnością więc potrzebował jego pomocy. Było to zrozumiałe — napięcie w stosunkach międzynarodowych weszło w fazę krytyczną. Było porównywalne z *chubanem*, środkową partią rozgrywki *go*, podczas której jeden ruch może wszystko zmienić. Tylko gracz doświadczony w tego rodzaju walce był w stanie ogarnąć wszystkie jej subtelności. I wykonać trafny ruch we właściwym momencie.

Mimo groźby wojny Mika czuł się pewniej. Achromiejew znowu go potrzebował... Przez kilka dni sądził już, że stary marszałek stracił

do niego zaufanie — ale z jakiego powodu? — i próbował odsunąć go od władzy, wysyłając do Tokio.

Pod tym przynajmniej względem wszystko wróciło do normy. Kryzys, który zawisł nad światem, przywrócił Mice wiarę, że znów stanie się kimś ważnym, że jego umiejętności strategiczne, jakich nie posiadli Amerykanie, znów będą wykorzystane.

Mika wiedział już, co doradzi marszałkowi, by uniknąć najgorszego. Głównost', jawność. Trzeba wyjawic całą prawdę Amerykanom, ustalic tożsamość terrorysty i ujawnić ją.

Mika nie wiedział jeszcze, kim jest ten człowiek. A to z powodu awarii dalekopisu zainstalowanego w iljuszynie, która nastąpiła akurat w chwili przekazywania informacji. Były to słabostki techniki, tak jak i chwilowe przerwanie łączności radiowej z radziecką wieżą kontrolną, do której Mika zwrócił się z prośbą o podanie rysopisu poszukiwanego. Podczas tego lotu zdarzało się dziwnie dużo takich niewytłumaczalnych awarii...

Kim był terrorysta? Czy także Libijczykiem? Człowiekiem zdegenerowanym przez okrucieństwa wojny? „To na pewno jakiś fanatyk — pomyślał Mika schodząc z ostatnich stopni schodów — kamikadze, nawiedzony szaleniec”. Jakie pobudki mogłyby usprawiedliwić tę krwawą łaźnię i pogrążenie w chaosie całego kraju?...

„Żyjemy w bardzo kruchym świecie — pomyślał. — W świecie, który może sparaliżować strach z powodu JEDNEGO człowieka, umiejącego posłużyć się mikroskopijną bronią... Aby nie dopuścić do nieodwracalnych szkód, należy oddać do dyspozycji szpitali amerykańskich całą wiedzę radzieckich biologów. Nasze służby wywiadowcze, zarówno KGB, jak i GRU, muszą połączyć siły, by wspomóc

Mika postawił stopy na płycie lotniska. Zauważył, że oczekujący przy schodach człowiek, oficer KGB, oddał mu honory.

— A gdzie Igor Woronkow? Nie mógł przyjechać? — zapytał Mika.

Twarz oficera nie drgnęła. Chłodny, nocny wiatr rozwiewał obszyte niebieskimi wyłogami poły jego płaszczka.

— Mam rozkaz odwiedzić towarzysza do jego daczy — wycodził przez zaciśnięte wargi.

— Muszę zobaczyć się z marszałkiem Achromiejewem. To pilne. Oficer nawet na niego nie spojrział.

— Czeka na was w daczy.

Mika nic już nie rozumiał. Cóż Achromiejew robił w jego daczy? Czyżby stracił rozum? Czy uciekał przed odpowiedzialnością? Wszystko to było pozbawione sensu. Urządzać sobie polowanie na niedźwiedzie,

kiedy droga jest każda minuta! I kiedy trzeba nieustannie trzymać rękę na pulsie! Mika tłumaczył sobie zachowanie marszałka potrzebą wyjazdu z Moskwy i nabrania dystansu do sprawy. Może potem Achromiejewowi łatwiej będzie działać w sposób bardziej przemyślany. Może kazał zainstalować na dacy nowoczesny sprzęt radionadawczy?

Zdezorientowany ruszył za wciąż milczącym i sztywnym oficerem KGB w stronę małego iljuszyna, który grzał już silniki.

Przez całą podróż do znajdującej się nad Bajkałem na wschodniej Syberii dacy Miki mężczyźni nie zamienili nawet słowa.

Baza wojskowa w Grand Forks, Dakota Północna, godzina 5.30

Rozjaśniający horyzont świt rzucał purpurowe blaski na szare i zielone kadłuby pięciu B1B ustawionych na płycie lotniska.

Siedzący w jednym z bombowców, chlubię amerykańskiego lotnictwa, trzydziestopięcioletni kapitan Kyle Abbatangelo, alias Butcher, czyli Rzeźnik, przeciągnął się. To była ciężka godzina. Schyłek nocy, kiedy wszystkie zmysły zapadają w odrętwienie, kiedy marzy się tylko o jednym — położyć się do łóżka i spać, spać...

Odetchnął głęboko rześkim powietrzem wczesnego poranka i rzucił okiem na prawo, w stronę drugiego pilota. Wyglądało na to, że dwudziestosiemioletni porucznik Jim Hacket, zwany Kondorem, również przysnął. Jego głowa osunęła się na bok i Kyle widział tylko skręcony tułów kolegi i rękaw kombinezону z szarego drelichu z naszywką eskadronu — otoczoną żółtym paskiem niebieską mapą nieba z sylwetką bombowca. W dolnej części żółtej otoczki widniał napis: 946 th BOMB SQUADRON.

Kyle poklepał go energicznie po ramieniu:

— Hej, Jim, obudź się! Nie jesteśmy tu po to, żeby spać!

Ledwie zdążył to powiedzieć, a nad całą bazą rozległ się ostry dźwięk syreny, który rozdarł ciszę jak wstrząs elektryczny.

Jim Kondor wyprostował się natychmiast. Jeszcze zaspany, z odcisniętą na prawym policzku pręgą, zaczął błyskawicznie włączać wszystkie mechanizmy check-listy B1B, szykując się do startu, który miał nastąpić za niespełna dwie minuty. Rozkazy dotyczące zadania otrzymają później, kiedy już osiągną pułap 8000 stóp.

„Znowu te cholerne ćwiczenia!” — zaklął w duchu Kyle, wykonując czynności zgodnie z check-listą. Kyle i Jim należeli do eskadry „Spitting

Dogs”. Ich obowiązkiem było pozostawać w stanie ciągłej gotowości przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. W lukach bombowych BIB znajdowały się trzy rakiety, każda wyposażona w osiem głowic atomowych i mająca moc rażenia 10 000 razy większą niż bomba, która spadła na Hiroszimę.

W minutę i trzydzieści sekund po ogłoszeniu alarmu czynności objęte check-listą zostały wykonane. Przed BIB pojawił się ich kolega z obsługi naziemnej w bluzie koloru khaki. Jim Kondor zauważył, że promienie wschodzącego słońca odbijają się w okularach ochronnych mężczyzny, zamieniając jego oczy w dwie ogromne, czerwone

Jim Kondor nie miał czasu podziwiać tego optycznego zjawiska. Ważące 216 ton cielsko bombowca drgnęło i ruszyło przez pas startowy.

— Dobra, ruszamy — mruknął Kyle Rzeźnik, z wyraźnym akcentem górala z Wirginii Zachodniej i przesunął do końca dźwignię gazu czterech turbin bombowca.

BIB ryczał. Kyle Rzeźnik startował jako pierwszy z eskadry. Ze skrzydłami o zmiennej geometrii rozpostartymi do maksimum, BIB wzniósł się w niebo niczym drapieżny ptak.

W cztery minuty po ogłoszeniu alarmu osiągnął pułap 6000 stóp. Gwizd turbin ucichł nieco. Kyle Rzeźnik odprężył się. Swoim zwyczajem zsunął słuchawki kasku, odsłaniając uszy.

— No, Jim... obudziłeś się już? — rzucił ironiczną uwagę pod adresem kolegi.

Jim nie odpowiedział. Zapatrzył się w przesuwający się po prawej stronie monotony krajobraz Dakoty Północnej. Gdy samolot pochylił się na skrzydło w pierwszym zakręcie, Kondor spostrzegł, że cztery inne BIB również wystartowały i że towarzyszyły im dwa samoloty — cysterny KC 135. Maszyny te umożliwiały pobieranie paliwa co 5000 kilometrów.

Jim Kondor gwizdnął przez zęby.

— Nieźle jak na ćwiczenia! Dwie cysterny!...

Dopiero w dwanaście minut po ogłoszeniu alarmu dowiedzieli się, że tym razem nie odbywają lotu ćwiczebnego, że alarm jest PRAWDZIWY. Na rozkaz Pentagonu.

— Cholera — szepnął z nabożną czcią Jim.

Kyle Rzeźnik milczał. Jego jasne oczy, wokół których długie godziny ćwiczeń w powietrzu wyryły zmarszczki, stały się wąskie jak szparki. Usiłował się uspokoić, myśleć wyłącznie o BIB, o tej wspaniałej zabawce, cudzie technologii i aerodynamiki, który pilotował.

Nie powinien myśleć o drzemiącej tuż pod nim niszczycielskiej potędze nuklearnej, 240 000 razy silniejszej od bomby, która zniszczyła

Hiroszimą. Często zadawał sobie pytanie: „A gdyby? A gdyby do TEGO doszło?” Przeczytał wszystkie książki o Hiroszynie i Nagasaki. Wiedział, że człowiek, który zrzucił bombę jądrową, oszalał. Kyle rozwiązał problem, odpowiadając sobie, że nie istnieje najmniejsza szansa, aby TO się powtórzyło...

Dziś jego serce waliło jak serce zwierzęcia w pułapce. Automatycznie sprawdził, że skrzydła o zmiennej geometrii BIB — swing wings — ustawione są pod kątem ostrym do kadłuba bombowca. Prędkość maksymalna. Zwracając głowę do wnętrza kabiny dostrzegł, że Jim ukradkiem połyka różową pastylkę, dexedrinę — amfetaminę zwiększającą koncentrację, dopuszczoną do użycia w Air Force od 1988. Kyle Rzeźnik również po nią sięgnął.

Przede wszystkim zaś starał się nie patrzeć na TO, na małe, czerwone światełko, nad którym napisane było dużymi białymi literami NUC. Był to przycisk broni nuklearnej. Naciskając go, załoga odpalała rakiety o dwudziestu czterech głowicach atomowych.

Na przycisku widniał czarny rysunek grzyba atomowego. Jim Kondor powiódł palcem po stylizowanym obrazku, wyglądającym jak okrągłe oko zwieńczone gniewną, gęstą brwią.

— Oko diabła — wyszeptał.

Wybrzeże Szkocji

Czarna, owalna sylwetka podwodnego okrętu nuklearnego wyposażonego w wyrzutnię rakiet płynęła trzydzieści metrów pod powierzchnią wody. Ryba z żelaza i stali opuściła wody terytorialne Szkocji około 2.30 czasu miejscowego i wzięła kurs na północny cypel Danii.

Jednostka o długości 200 metrów i ciężarze 19 000 ton wchodziła w skład floty amerykańskiej liczącej 36 okrętów podwodnych z wyrzutniami rakiet nuklearnych. Na drugą część amerykańskiej nuklearnej floty podwodnej składało się 95 jednostek zaczepnych, mniejszych i szybszych.

Ciemny kadłub okrętu podwodnego krył w sobie apokaliptyczną broń — 16 balistycznych rakiet międzykontynentalnych, mogących osiągnąć celu odległego o 5000 kilometrów z dokładnością 200 metrów. Było czym zetrzeć z mapy dziesięć największych miast sowieckich. Albo zamienić w zwęglone kamienie 15 milionów żywych istot...

We wnętrzu podwodnej „katedry” życie płynęło spokojnie i regularnie. Twarz stojącego u steru na głównym stanowisku operacyjno-nawigacyjnym oficera oświetlał czerwony blask. Siedzący w fotelu

„dentystycznym” mężczyzna skoncentrowany był na instrumentach i doppler-logu — sonarze pozwalającym oszacować prędkość maszyny.

Okręt podwodny płynął poprzez zielone wody Morza Północnego z szybkością 15 węzłów. O czwartej rano oficer odpowiedzialny za łączność z powierzchnią odebrał zawierającą dwadzieścia słów wiadomość dla kapitana jednostki — Henry'ego Clarka.

Pięćdziesięciodwuletni Clark, o prezencji angielskiego lorda, świeżej cerze i długich, wywinętych wąsach, był w kajucie i zajmował się utrzymaniem formy fizycznej, na co pozwalał mu ruchomy chodnik. Kapitan postanowił przebiegać po nim dziesięć kilometrów dziennie.

Kiedy odczytał wiadomość, jego czerwona od wysiłku twarz pobladła. Stało się to, czego obawiał się od dwudziestu lat podwodnej służby. Wspomnił siwe włosy i fiołkowe oczy Suzy, żony, którą pozostawił na lądzie, w domu w Topeka, w Kansas. Dławiący strach' chwycił go za gardło. Skinieniem głowy podziękował oficerowi, który przyniósł mu wiadomość. Gdy został sam, usiadł na łóżku i wyjął z portfela zdjęcie żony. Dziesięć minut później przekazał wiadomość drugiemu oficerowi, Samowi Godfeldowi.

Dokładnie o 10.12 kapitan i Sam weszli do przedziału raketowego. Na twarzach mieli obowiązkowe maski tlenowe, a pod pachami nieśli niegroźnie wyglądające dyski magnetyczne o średnicy 50 centymetrów każdy. Była to lista rozkazów dla 16 rakiet okrętu. Jednocześnie podłączyli oba dyski do indywidualnej pamięci każdej z rakiet.

Z brzucha okrętu wystrzeli wkrótce ogień broni nuklearnej, ogarnie całe miasto, zmiecie je, wywołując podmuch o sile 250 kilometrów na godzinę.

Ludzie przebywający na pokładzie okrętu podwodnego nic nie poczują. Aż do chwili, gdy minie czas ich samowystarczalności, szacowany na dziewięćdziesiąt pięć dni, i zmuszeni będą wyjść na powierzchnię.

Clarka ogarnęła nieprzeparta chęć zawiadomienia Suzy. Musi schronić się w bezpiecznym miejscu. Ale kapitan szybko przewyciężył ten odruch. Powrócił do rzeczywistości — okręt podwodny nie przekazuje wiadomości. Jego przetrwanie zależne jest od milczenia.

Wszystkie strategiczne siły nuklearne Stanów Zjednoczonych — pociski MX, umieszczone w silosach, bombowce B1B ze Strategie Air Command i flota złożona ze 131 nuklearnych okrętów podwodnych postawione zostały w stan pełnej gotowości bojowej o godzinie 10.45.

Statek leżał na boku, w odległości dziesięciu metrów od niego. Jak przystało na dobrego historyka żeglugi, Pierre na pierwszy rzut oka rozpoznał holenderski galeon z XVIII wieku.

Morze było chłodne i spokojne, na statek padała czysta poświata. Galeon osiadł na różowej rafie koralowej.

Pierre ostrożnie zbliżył się do niego. Dostrzegł wypisane wyciętymi w brązie literami, przeżartymi przez sól i oblepionymi algami, nazwisko G.Idermal.n.

I wtedy przypomniał sobie, że kapitan von Uitengaart często mu mówił o tym zatopionym w Morzu Chińskim statku, który wiozł prawdopodobnie sto sześćdziesiąt tysięcy porcelanowych naczyń... Fortunę wartą dwadzieścia milionów dolarów!

Nie od razu wszedł do wnętrza galeonu. Przez długie chwile napawał się widokiem zatopionego wraku, porośniętego lasem falujących alg, wśród których uwijały się ławice bajechnie kolorowych ryb żyjących wokół rafy koralowej.

Czuł wewnętrzny spokój. Poruszał się pewnie i spokojnie, bez śladu rozgorączkowania. A przecież z drewnianego brzucha Geldermalsena można było wydobyć fortunę gwarantującą bogactwo do końca życia...

Zaczął płynąć kilka centymetrów pod pokładem ku tylnej części galeonu, ku gigantycznemu drewnianemu maszтови, który wznosił się w mroku niczym duch.

O maszt wsparta była biała sylwetka. Pierre uniósł latarkę. Jej światło położyło się żółtym blaskiem na dziwnym kształcie.

Był to całun. Odarte z mięśni ramię wystawało spodniego, wspierając się o maszt. Pierre rozpoznał pod całunem opuchniętą, zniekształconą długim pobytem w wodzie twarz kapitana van Uitengaarta. Jej lewa część wyszarpnięta została szczękami kolenia.

Zabrakło mu powietrza. Chciał odskoczyć, uciec jak najdalej. W panice wyrwał przewody łączące go z butlami tlenowymi. Usiłował oddychać, ale tylko natykał się morskiej wody. Dusił się. Chciał krzyczeć, ale morze stłumiło jego głos i zamknęło się nad nim niczym płynny grób...

Głowa Pierre'a opadła na bok. Ambre delikatnie cofnęła rękę i wstała. Nad maską widać było oczy, zaczerwienione po bezsennych nocach. Był z nią Jeff. On również osłonił twarz maską, która uwydatniała rozmiary jego uszu. Podeszedł do Ambre i powiedział zmęczonym głosem:

— Uda nam się, staruszko. Głowa do góry!... Znajdziemy tego faceta.

Pokręciła głową. Przystała już w to wierzyć. Nawet gdyby wszystkie policje świata wpadły na trop PRAWDZIWEGO terrorysty, było już niestety za późno. Mogła bez trudu przewidzieć, co się stanie. Terrorysta zostanie zabity lub uwięziony i poddany przesłuchaniom. I nawet gdyby miał serum, nie pozwolią im podać go Pierre'owi, nie dadzą mu szansy ocalenia. A w każdym razie nie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Najpierw trzeba będzie dokonać serii analiz wirusa, który wyniszcza Amerykę. To zajmie całe tygodnie, całe miesiące...

A Pierre'owi pozostało zaledwie kilka godzin życia. Stan utrzymywał, że ta hipertoksyczna postać ospy doprowadza na kilka godzin przed śmiercią do stanu głębokiej komy.

Stan siedział u wezłowania Pierre'a. Badał go unosząc powieki, sprawdzając ciśnienie i tętno.

Podszedł do Ambre.

— Chciałbym cię przeprosić — powiedział.

Spojrzała na niego pytająco.

— Podejrzewałem, że ten człowiek jest terrorystą.

Ambre spuściła oczy. Zdawała sobie sprawę, że 270 milionów Amerykanów myśli tak jak on, że nie on jeden jest w błędzie...

Teraz z kolei Stan spuścił wzrok, a to, co powiedział, zabrzmiało jak dzwon żałobny:

— Ambre, on zapadł w komę.

Wschodnia Syberia, niedaleko Bajkału

Niedźwiedzica ważyła trzysta — czterysta kilo. Obok niej biegały dwa niedźwiadki, liczące pewnie niespełna miesiąc. Znalazłszy się na skraju polanki, stanęła na tylne łapy, węsząc powietrze. Chłodny i wilgotny wiatr poranka niósł nęcącą woń padliny i nadgniętych trzewi, leżących w słońcu.

Ale przez ten zapach przebijał inny, subtelniejszy — zapach człowieka. Jej sierść zjeżyła się instynktownie. Biegała w tę i z powrotem wśród drzew, pomrukując niepewnie, a za nią podążało beztrioskie potomstwo.

Ale głód był silniejszy. Karmienie dwójki małych zwiększało potrzebę pokarmu, a przede wszystkim białka. Nie mogła dłużej zadowalać się jeżynami i dzikimi jagodami leśnymi.

Zaryzykowała wyjście na polanę. Złocistobrązowa sierść lśniła w letnim słońcu. Padlina, baranie trzewia, była o zaledwie kilka metrów od niej. Skręcający kiszki głód kazał zapomnieć o ostrożności. Przyspieszyła kroku.

Nagle śpiew ptaków na polance ucichł. Zrozumiała natychmiast. To była zasadzka. Zawróciła mrużąc desperacko. Chciała osłonić nadbiegające maluchy.

Seria z kałasznikowa roztrzaskała jej czaszkę i smugą czerwonych plam rozszarpała prawy bok.

Padła martwa. Niedźwiadki, zaskoczone jej zachowaniem, podbiegły do leżącej bezwładnie na środku polany skrwawionej masy. Wtedy rozległy się jeszcze dwa wystrzały.

Polowanie dobiegło końca. Ciała trzech martwych zwierząt leżały zwalone jedno na drugie w kałuży krwi.

* * *

Mika aż podskoczył na odgłos serii karabinowej. Szedł obok oficera KGB wąską ścieżką wiodącą z dacy do myśliwskiej chaty. Staął.

— Kto to strzelał? — zapytał zachowującego ciągle kamienny spokój oficera.

Mężczyzna szedł dalej. Mika wzruszył ramionami i podążył za nim aż do chaty. Pilno mu było spotkać się z Achromiejewem i odbyć z nim rozmowę. Cóż miało oznaczać to polowanie o świcie? Czemu kazał wyjść po niego oficerowi KGB? I czemu ten oficer nie odpowiadał na jego pytania?

Oficer wyprzedził go i pchnął drzwi chaty.

Mika nie dostrzegł żadnej znajomej twarzy. Zobaczył około dziesięciu żołnierzy, siedzących z kałasznikowami na kolanach i stakanami pijących wódkę. Powietrze było aż gęste od machorki. Jeden z żołdatów wznosił właśnie toast w imieniu tych kumpli od kieliszka, którzy zwalili się już pod stół:

— Piję za waszych wrogów, żeby mieli wielkie mieszkania, wspaniałe meble, żeby za ich oknami roztaczał się cudowny widok, żeby mieli kolorowe telewizory i po wołdze, i najdroższą lodówkę, i żeby mieli po dwa albo lepiej trzy telefony — niebieski, czarny i czerwony... I żeby dzwonili tylko pod 01, 02 i 03!

Były to numery straży pożarnej, milicji i pogotowia ratunkowego. Ogólny wybuch śmiechu odpowiedział na tę pijacką tyradę. Mika zamarł z otwartymi ustami, zaskoczony tym widokiem. Odwrócił się do oficera KGB i chwycił go za kłapy munduru.

— Gdzie marszałek?! Gdzie marszałek Achromiejew?! — wrzasnął.
Oficer uwolnił się zdecydowanym szarpnięciem.
— Marszałek Achromiejew zlecił mi przywieźć was tutaj. — Podał mu kopertę zaadresowaną okrągłym, eleganckim charakterem marszałka. — Na razie będziecie musieli pozostać w daczce.
— Co znaczy „na razie”?! — zawołał wytrącony z równowagi Mika.
— Wszystko jest napisane w liście — powiedział oficer niewzruszonym tonem.
Tam, na środku polany, kilku żołnierzy ciągnęło za tylne łapy niedźwiedzia. Śmiali się.

Nowy Jork, przy rogu 69 Ulicy i Piątej Avenue

Twarz Clive'a pojawiła się w małym telewizorku przy windzie.
— Czego pan chce? — Ton jego głosu brzmiał nieprzyjemnie.
Mac Milian spojrział na zegarek. Była 6.35. Przed chwilą otrzymał wyniki ekspertyz genetycznych z laboratorium New Scotland Yardu. Wybąkał:
— Nazywam się Mac Milian... Inspektor Mac Milian z brygady kryminalnej. Pamięta mnie pan? Pogrzeb Markusa Roneya...
— Inspektor Mac Milian?! A co pan tu robi?
— Przyszedłem w sprawie Roneya...
Zapadła cisza. Wychudła twarz Clive'a zniknęła z ekranu. Jego głos rozbrzmiał, gdy przed Mac Milianem otworzyły się drzwi windy.
— Proszę wejść!
Clive czekał w „dżungli”. Pił wodę Perrier, w której pływał plasterek cytryny. Lekko skinął głową, kiedy inspektor wszedł do pokoju.
Mac Milian stał przez moment obok kamiennej kanapy, nie odzywając się. Zaczął już sływać potem.
— Chodzi mi o Markusa Roneya — powtórzył.
Clive ciągle milczał. Przyglądał się Mac Milianowi poprzez szklanę.
Inspektor kaszlnął, żeby pokryć zmieszanie.
— Hm! hm!... Wysłałem do ekspertyzy do Anglii — stosują tam najnowocześniejszą aparaturę badawczą — okruchy szkła z zegarka Roneya.
Twarz Clive'a nawet nie drgnęła.
— Hm!... — odezwał się znowu Mac Milian. — Na okruchach znaleziono ślady krwi. Zwróciłem się więc do New Scotland Yardu o dokonanie analizy tych mikroskopijnych śladów...

— Nie rozumiem, inspektorze — przerwał mu oschle Clive. — Stwierdził pan samobójstwo, tak czy nie?

— Zgadza się, ale od tego czasu wznowiłem śledztwo. Pewne ślady wskazywały bowiem, że śmierć Markusa Roneya nie była zupełnie dobrowolna...

Clive dopijał wodę Perrier. Jego ręka zatrzymała się w pół ruchu.

— Morderstwo!... Pańskie oskarżenia są poważne, inspektorze! — zawołał.

Mac Milian skinął głową.

— Bardzo poważne... Ale ekspertyza jest jednoznaczna. Wykryto ślady dwóch grup krwi: Markusa Roneya i innej osoby! Mogę nawet powiedzieć panu, że morderstwa dokonali wytrawni fachowcy. W mieszkaniu nie było żadnych śladów walki, żadnych odcisków. A morderca zniknął bez wieści...

Inspektor wyrzucił z siebie te słowa jednym tchem. Było to starannie wyreżyserowane i, logicznie rzecz biorąc, powinno doprowadzić zabójcę do zdemaskowania się. Clive zmierzył go wzrokiem i wybuchnął drwiącym śmiechem.

— Daleko się pan posuwa w swoich stwierdzeniach, inspektorze! Wpada pan do mnie o świcie bez uprzedzenia po to, żeby oskarżyć mnie o morderstwo!... Czy naprawdę uważa pan, że zabiłem Markusa?

Inspektor usiłował wytrzymać zimne i potwornie onieśmielające spojrzenie starego człowieka.

— Proszę mnie zrozumieć. Miał pan bliskie kontakty z Markusem Roneyem... Żył z pańską córką i był pana zaufanym współpracownikiem. Wiedział wszystko o pana interesach. Może stał się niewygodnym świadkiem jakiejś kompromitującej sprawy?... Może padł pan ofiarą szantażu?...

Clive zwiesił głowę. Jego wysoka, chuda sylwetka przesunęła się pod okna, przez które wpadało świeże powietrze wczesnego ranka. Odetchnął głęboko, jakby nigdy nic, jakby obecność inspektora nie była w żadnej mierze ważniejsza niż obecność egzotycznych roślin „dżungli”.

— Przykro mi, inspektorze — powiedział między jednym a drugim łykiem powietrza. — Nie chciałbym pana rozczarować. Pański scenariusz jest niestety nazbyt klasyczny... jak by to panu powiedzieć? Za dużo w nim Hitchcocka, prawda? Człowiek interesu likwidujący młodego i obiecującego kochanka córki z powodu banalnego szantażu...

Mac Milian zaczął wyjaśniać. Clive uciszył go gestem i powiedział niemal pogardliwie:

— Thomas Lehmann, mój doradca, dostarczy panu jeszcze dziś przed południem mój rozkład zajęć w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, i to z dokładnością do pół godziny. To wszystko!

Zamaszystym gestem, przy którym rozwinął się rękaw jego jedwabnego szlafroka, wskazał Mac Milianowi drzwi. Ledwie za inspektorem zamknęła się winda, zachowanie Clive'a uległo zmianie. Jego policzki zapadły się. Zmarszczki pojawiły się w jednej chwili. Szok...

Szedł powoli do „dżungli”. Drżał. To spadło jak grom z jasnego nieba... Wierzył w samobójstwo Markusa. Sądził, że młodzieniec przegrał w tym pojedynku, że uścisk jego zbyt potężnej dłoni zmiażdżył go. Przyjął to samobójstwo za rodzaj ugody krwi między sobą a Markusem...

„Urząd ośmielił się — powtarzał po cichu. — Ośmielił się zabić go za drobny szantaż!”

Urząd był bezlitosny.

Clive próbował przez chwilę go usprawiedliwić. Nowa polityka nie dopuszczała najmniejszego uchybienia, najdrobniejszej pomyłki. A Clive wiedział, jak istotna mogła być dla kierujących Urzędem...

Zbierało mu się na wymioty, serce podeszło do gardła. Zamordowali jego duchowego syna, jego młodszego o pięćdziesiąt lat alter ego. Zabili tego, kto miał kontynuować jego dzieło.

Nagle zaciążyła mu starość, jakby czyhająca na pierwsze załamanie, na obudzenie ludzkich uczuć w suchym, szorstkim starcu. Ostry jak dźgnięcie sztyletem ból ugodził go w serce i usztywnił lewą rękę aż po dłoni.

Zachwiał się i oparł o ścianę akwarium. Okrutne, żarłoczne oczy muren, które rzuciły się ku szybie, wpiły się w niego pożądliwie. Dopiero w tym momencie pojął, czym dla nich był. Ofiarą, jak wszystko inne.

* * *

Drogi Miko!

Przeznaczenie, które nas niegdyś zbliżyło, dziś znów nas rozdziela. Musiałem rzucić wszystkie karty, użyć wszelkich wpływów starego człowieka, uzyskanych dzięki wieloletnim kompromisom i bezwzględnej walce na czele Partii, abyś w tej chwili był tam, gdzie jesteś. Skończyło się na zesłaniu do twojej daczki nad Bajkałem. Ale jeżeli Stany Zjednoczone dokonają ataku, którego nie zdołamy odeprzeć, to ty będziesz górą, daleko od promieniowania i nuklearnej zagłady, w małym modrzewiowym domku w sercu Syberii...

Domyślam się, że nie rozumiesz powodu tej brutalnej decyzji. Raz jeszcze powtarzam, że musiałem użyć wszystkich moich wpływów, aby zapobiec uwięzieniu cię. Gorzej — śmierci.

Nie chcę, byś mnie źle zrozumiał: nasi «przyjaciele» z KGB po dokładnym rozgrzebaniu twojego życia, twojej przeszłości, ujawnili bliskie stosunki, jakie łączyły cię w Afganistanie z rodziną pewnego członka ruchu oporu. Musiałem więc na pewien czas usunąć cię z Moskwy. To było głównym powodem podróży do Tokio.

Potem sprawy potoczyły się błyskawicznie. W kilka godzin po twoim odlocie do Japonii KGB zdołało zidentyfikować terrorystę odpowiedzialnego za zamachy przeprowadzane w Stanach. Chodzi o niejakiego Golbudina Kalzai, tego samego, któremu pomogłeś uciec z Afganistanu do Libii w 1986.

Nie sprzyja ci szczęście, drogi Miko. Stałeś się całkiem bezwiednie współnikiem terrorysty, który zagroził pokojowi na świecie. Iwanow żądał twojej głowy. Zrobiłem, jak to się mówi w imperialistycznych westernach «osłonę z własnego ciała», aby ci ofiarować chociaż tę namiastkę wolności, jaką masz obecnie. Ale najważniejsze, że żyjesz...

Nim skończę, muszę powiedzieć ci jeszcze o jednym — twoja przyjaciółka Tania Komińska była na żołądź Iwanowa. Człowiekowi jest ciężko na sercu, gdy odkryje kłamstwo i sprzedajność pod maską najpiękniejszych uczuć. Dla mnie jest to równie bolesne, jak dla ciebie.

Może jeszcze się spotkamy, Miko... Wierz mi w każdym razie, że jestem po twojej stronie.
Aleksiej Dimitrjewicz Achromiejew

PS 1: Miejmy nadzieję, że identyfikacja prawdziwego terrorysty pozwoli na szybkie odnalezienie go... aby świat mógł uniknąć zagłady.

PS 2: Po przeczytaniu spał ten dokument, Miko. Nie leży w interesie żadnego z nas, żebym podzielił twój los...

List marszałka wypadł Mice z rąk. Golbudin! Golbudin Kalzai był mordercą, który pogrążył w żałobie Stany Zjednoczone!

Aż trudno uwierzyć! Golbudin! Nie mieściło mu się to w głowie. Jakim cudem można aż tak się zmienić w ciągu siedmiu lat? Jak pacyfista o łagodnym, marzycielskim spojrzeniu, pochłonięty przez swą pasję *go*, może stać się nagle bezlitosnym mordercą?

Oparł się plecami o krzesło. Wszystko się zawaliło. Przyszło mu na myśl pewne zdanie Sartre'a: „Zdarza się, że dekoracja runie”. I to zdarzyło się jemu. Nagle opadły maski. Wartości, na których się opierał, zawaliły się. Iluzje...

Tania, to królewskie ciało, to jego bóstwo? Szpieg? Golbudin, jego bratnia dusza, jego uczeń i pacyfista pieszczący genialne pomysły, żądny krwi kryminalista? Achromiejew, jego protektor, jego duchowy ojciec... jakby już dla niego nie istniał. Zupełnie tak, jak jego jedyna prawdziwa miłość — Ludmiła.

Mika wstał, zmiażdżył list i przyglądał się, jak pochłaniają go migoczące płomienie ognia w kominku.

Nad lasem zapadała noc. Z oddali dobiegały krzyki bandy żołdatów, którzy pilnowali Miki. Silna woń mięsa i krwi przesączyła poszycie leśne wokół daczy. W ciągu jednego dnia te bestie zmasakrowały piętnaście niedźwiedzi.

Mika otworzył szufladę małej komody, gdzie trzymał książki, do których lubił wracać w chwilach wytchnienia. Autorzy tak różni, jak Kafka, Philip Roth, Sartre czy Albert Camus pomieszani byli ze starymi opowieściami traperów, bajkami o babie-jadze, o syberyjskich czarownicach.

Ze zwojów map wyszukał Wschodnie Wybrzeże Stanów. Czerwonym ołówkiem nakreślił cztery krzyżyki przy każdym mieście, w którym dokonano ataku: Albany, Pittsburgh, Buffalo i Filadelfia. Potem zaczął się zastanawiać, według jakiego klucza działał Golbudin.

Jaki związek mógł istnieć między tymi czterema aglomeracjami? Czemu nie Los Angeles, Dallas, Vancouver czy nawet Nowy Jork, miasta o wiele ważniejsze od tamtych? Dlaczego ograniczał się do obszaru pomiędzy jeziorem Erie i Atlantykiem? Golbudin nie był przecież poszukiwany przez FBI, gdy dokonywał tych czterech zamachów. Miał swobodę ruchu... Czemu więc działał tylko w tym rejonie?

Z głową wspartą na dłoniach Mika przez długie minuty rozmyślał nad mapą. Rozważał, jakie mogły być tego przyczyny.

Pieniądze?

Może faktycznie Golbudin kierował się względami finansowymi. Bez pieniędzy zmuszony był ograniczyć się do środków transportu naziemnego. Samolot nie wchodził w grę. Mógł więc pokonywać te odległości samochodem lub autobusem.

Inna przyczyna: choroba i zmęczenie. Mika pamiętał, że już jako młody, nieco ociężały chłopak, Golbudin był słabego zdrowia. Może teraz był wyczerpany, chory...

Tak mijały godziny. Mika rozważał problem na wszystkie strony. Zrezygnował około północy. Nie widział rozwiązania. To wszystko przerastało go. Podszedł do komody i wyjął cienki zeszyt, w którym spisał sto partii *go* — te, które rozgrywał z mistrzem Iwashi, z Golbudinem, z utalentowanymi przeciwnikami, oraz sławne partie, a wśród nich najstarsza, podana mu przez samego mistrza Iwashi. Pochodziła z 1603 roku.

Była to partia, która skłóciła Tokugawę Iesayn, założyciela akademii gry *go* w Japonii, z jednym z jego najlepszych uczniów.

Mika zadumał się nad partią sprzed czterech wieków. Mimo zmartwień, mimo lęków, które go gnębiły, szybko pochłonęła go magia gry. Z taką samą fascynacją, jaka towarzyszyła pierwszej lekturze zapisków, prześledził ruchy mistrza i ucznia.

Przed jego oczyma zarysowywały się stopniowo charaktery graczy. Uczeń pełen pychy, posuwający czarne pionki ku prawej stronie *go-banu*, jak ogień, który trawi zarośla, wyzywający mistrza na pojedynek, wysyłający swe pionki coraz dalej za linię wroga. Ryzyko i brawura. To była prawdziwa guerilla.

Mistrz Iesayn podczas *fuseki*, wstępnej fazy gry, pobłażliwie spoglądał na zapalczywość ucznia. Ograniczał się do oszczędnego powstrzymywania młodzieńczych zapałów. Każdy ustawiony przez niego kamień był istotny i zdradzał fantastyczny plan rozgrywki.

Krew połała się mniej więcej w trzech czwartych gry. Mistrz Iesayn nie mógł zapobiec powstaniu wylomu na prawej flance *go-banu*. Wówczas walka stała się zacięta, bezlitosna. Mistrz Iesayn musiał użyć całego swego doświadczenia i umiejętności właściwego rozłożenia sił, aby odwrócić sytuację. Było to fantastyczne. Uderzenia następowały po sobie, dając dowód niezwykłym zdolnościom. Przejął inicjatywę pod koniec partii, a pobił ucznia o dwa punkty — 62 do 60.

Mika zamknął zeszyt, zgasił światło i położył się. Ściany daczy skrzypiały miarowo jak stary statek. Żołnierze odsypiali pewnie sownicie zalaną wódką orgię przy niedźwiedzim mięsie.

Letnia noc syberyjska. Komary i zaby.

Usiłował zasnąć, ale nie udało mu się to. Leżąc w ciemnościach z otwartymi oczyma, wyraźnie widział mapę Stanów, na której pojawiły się cztery ogniste krzyże, oznaczające cztery miasta — Albany, Pittsburgh, Buffalo i Filadelfia.

Cztery miasta, cztery zamachy. Wiele setek ofiar śmiertelnych. Jaką logiką kierował się terrorysta?

Sieć dróg tworzyła na mapie gigantyczną płataninę linii, które tańczyły przed szeroko otwartymi oczyma Miki. Nie wiadomo, kiedy zapadł w sen.

Objawienie przyszło później, około piątej rano.

To było oczywiste! Mapa stanowiła gigantyczny *go-ban*, na którym Golbudin rozgrywał swoją partię.

Mika zerwał się na równe nogi i zapalił światło.

* * *

Inspektor Fielding z FBI był spięty. Nie spał od czterech dni. A terrorysta pozostawał wciąż na wolności pomimo oblawy policyjnej, zakrojonej na bardzo szeroką skalę... Postanowił zrobić sobie chwilę przerwy i spędzić ją na ulubionej rozrywce — opowiadaniu ośmieszających cały system sowiecki dowcipów o Rosjanach.

— Działo się to w Moskwie. Pewien amerykański dziennikarz z „Time'u”, mówiący po rosyjsku, uzyskuje pozwolenie na wywiad z autentycznymi robotnikami rosyjskimi. Członek Partii prowadzi go do fabryki. Tam dziennikarz spotyka robotnika i prosi: „Niech mi pan opisz swoje mieszkanie”. A tamten mówi na to: „Dobra. Ale mam tylko jedną izbę...” W tej samej chwili widzi, że za dziennikarzem stoi partyjny towarzysz i groźnie wymachuje zza jego pleców rękami. Dodaje więc: „Jedną izbę, której okna wychodzą na południe, ale i trzy inne od zachodu i duży, szeroki na dwa metry balkon”. „Świetnie się panu żyje!” — zawołał amerykański dziennikarz. „A ile pan zarabia?” — 80 rubli, odpowiedział robotnik. Członek Partii znów zaczął się ciskać. „80 rubli... tygodniowo”, dodał robotnik. „Świetnie, świetnie, jeszcze jedno pytanie: jakie jest pańskie hobby?” Robotnik zmieszał się — nie miał bladego pojęcia, co to jest hobby. Próbował jednak odpowiedzieć: „Moje hobby? Moje hobby?... Och! ma przynajmniej 15 centymetrów”. Widząc szamocącego się towarzysza, poprawił się natychmiast: „15 centymetrów... średnicy”.

Fielding był pierwszym i jedynym, którego ten kawał rozśmieszył. Jego zastępcy, z oczyma podpuchniętymi z niewyspania, z najwyższym trudem zmagali się z sennością, skuleni w niewygodnych fotelach.

Inspektor naburmuszył się. Lubił, kiedy śmiano się z jego dowcipów. Nie miał czasu na dalsze próby rozbawienia ich. Wartownik przyniósł mu przesyłkę, którą Fielding czym prędzej rozpakował. Wyjął z niej fotografię i pismo na papierze teleksowym. Były to dostarczone przez KGB dane Golbudina.

Fielding odłożył fotografię i odrzucił na wyłysiałą czaszkę długi kosmyk włosów, który opadł mu na oczy.

— Dlatego pisał po arabsku! — zawołał. — To Arab.

Wobec przenikliwości szefa czterej zastępcy skłonili głowy, szepcząc słowa podziwu. Ale Fieldinga nie poruszyły te oznaki uwielbienia i rozkazał charakterystycznym dla siebie szczekającym głosem:

— Ten facet!... Chcę mieć jego zdjęcie na wszystkich murach w całym Stanach. Daję wam dwie godziny: jego twarz musi wryć się każdemu w pamięć... Wiem, wyjdziemy na durniów, którzy uganiaли się za jakimś Francuzem, ale gwizdzą na to! Trzeba położyć kres masakrze. Telewizja, gazety, radio, wszyscy muszą mówić o tym typie... Jasne?...

W biurze inspektora zapadło milczenie. Wreszcie jeden z zastępców ośmielił się rzucić uwagę:

— A jeśli to tylko błąd, szefie? Jeżeli Sowietci wysyłają nas w pogoń za facetem, który w ogóle nie istnieje?...

Ta sugestia przytłoczyła Fieldinga. On, którego współpracownicy

nie widzieli od tygodnia siedzącego, miał teraz chwilę słabości i przysiadł na chwilę na biurku. A jeśli naprawdę Rosjanie manipulowali nimi w tej sprawie? Jego wrodzona nieufność wobec „czerwonych” skłaniała go raczej ku tej pesymistycznej hipotezie. Z drugiej strony, poza francuskim marynarzem, był to jedyny trop. Zirytował się.

— A jeśli? A jeśli? A może któryś z was ma lepszy pomysł? Przerwywamy poszukiwania? Przecież musimy szukać CZEGOŚ!... A poza tym ten typ doskonale przystaje do charakterystyki psychicznej i fizycznej terrorysty.

Fielding sięgnął po akta Golbudina i przeczytał: „Afgańczyk, 34 lata, 1 m 69 cm wzrostu, czarne oczy. Od lat cierpi na zaburzenia psychiczne. Wykładowca biologii na uniwersytecie w Benghazi. w Libii.” Świetnie pasuje — specjalista w dziedzinie biologii, kompletnie szurnięty na punkcie mikroba, który wywołuje chorobę.

— Ale przecież... — nie ustępował sceptyczny zastępca.

Fielding z trudem powstrzymał się od wybuchu, zeskoczył na podłogę i krzyknął:

— Do roboty! W ciągu dwudziestu czterech godzin chcę mieć tego Araba. Ale Francuza szukajcie dalej. Nigdy nic nie wiadomo...

* * *

Mika był rozgorączkowany. Przetrzęsł szuflady komody. Wreszcie odnalazł w niej linijkę i połączył kreskami cztery miasta, w których dopuszczono się zamachów. Jego przypuszczenie było słuszne — cztery miasta tworzyły prawie kwadrat. Doskonale równoległobok. Teraz miał już pewność — Golbudin rozgrywał na mapie Stanów Zjednoczonych partię *go*.

„Najtrudniejsze jest jeszcze do zrobienia — powiedział do siebie. — Jak odgadnąć, przewidzieć, wpaść na to, gdzie Golbudin zagra przy następnym ruchu, przy następnym zamachu?”

Rzut oka na mapę uświadomił Mice złożoność problemu. Na wytyczonym liniami obszarze znajdowało się przynajmniej 1500 miast i miasteczek, z których każde stać się mogło pionkiem na topograficznym *go-banie*, jaki wybrał sobie Golbudin.

Było to niemożliwe do przewidzenia. Mika westchnął i usiadł na łóżku. Ponad 1000 możliwych ruchów! Próbował przypomnieć sobie nawyki i manie Golbudina. Jak rozegrałby taką partię w czasach ich przyjaźni? Czy dążyłby do umocnienia zdobyczy — czterech rogów mapy — grając możliwie najbliżej jednego z nich? Czy może spróbowałby ruchu, który pozwoliłby mu przejąć inicjatywę? Jak to odgadnąć?

— Jak przewidzieć coś, co ma być dla wszystkich zaskoczeniem?! — powiedział półgłosem sam do siebie. Pamiętał właściwe grze Golbudina cechy — połączenie wyobraźni i umiejętności zaskakiwania z dużą dyscypliną w podejmowaniu ataków. Zaskoczenie...

Jak ma odgadnąć? *Haratsuke*... Ta myśl nasunęła się Mice niemal automatycznie. Wydawała się prostym wnioskiem — Golbudin znajdował się na terytorium wroga. Musiał czuć się zagrożony, niepewny. Mika przypomniał sobie, że kiedy Afgańczyk nie czuł się bezpieczny, wykazywał tendencję do wykonywania szczególnych posunięć.

Haratsuke — ugodzić przeciwnika w brzuch. Była to taktyka polegająca na tym, by najpierw zdobyć cztery rogi *go-banu* (nie zaś skupić się na jednym, z którego, po umocnieniu pozycji, kontynuuje się podbój), potem zaś wykonać skuteczny atak w centrum planszy, aby destabilizować działania wroga.

W centrum. Tuż przy przecięciu przekątnych, które łączyłyby jednocześnie znajdujące się w przeciwległych rogach równoległoboku miasta, znajdowały się trzy małe miejscowości — Roaring Branch, Ralston i March Hill.

Haratsuke. Następny cios przeciwnika ugodzi w środek *go-banu*. W jedno z trzech miasteczek, o ile jego hipoteza jest słuszna...

Trzeba możliwie najprędzej uprzedzić marszałka. Mika odruchowo sięgnął po słuchawkę nie istniejącego telefonu. Wrócił na ziemię — był odsunięty od władzy. O dwa tysiące kilometrów od Moskwy, bez żadnej łączności. Stojący pod drzwiami strażnik miał rozkaz nie wypuszczać go.

Mogła mu pomóc tylko jedna osoba. Kobieta... Tylko Ludmiła wydała mu się godna zaufania. Mika wstał i starając się nie robić hałasu, sięgnął po purdy, wiszącą na gwoździu za drzwiami.

Musiał dostać się do Moskwy.

* * *

Monotonne uderzenia kropel wody kapiącej z zardzewiałej rury kanalizacyjnej odbijały się echem od ścian piwnicy. Smuga światła przedostającego się przez małe okienko padała na prawy policzek Golbudina.

Promień słońca odbity od prawego szkła dwuogniskowych okularów tworzył na podłodze tęcze widmo. Rozszczepione światło oświetlało właśnie ten róg piwnicznej izby, w którym Golbudin wyrysował na piachu trzysta sześćdziesiąt jeden pól *go-banu*. Na przecięciach linii umieścił dziesięć białych i czarnych kamyków.

Golbudin wychudł. Jego twarz otaczała przetykana siwizną broda.

Przykucnął na piętach tuż przed *go-banem* i głośno mówił. Jego słowa wplatały się w monotonny szum wody.

Gdzie się znajdował? Gdzieś w pobliżu Scranton, w Pensylwanii. Która była godzina? Sam nie wiedział. Musiał być środek dnia, sądząc po kącie padania światła przedostającego się przez okienko. Zatracił rachubę czasu. Był już tylko robotem posłusznym rozkazowi, który wrył się w jego umysł, rozkazowi Najma: „Zabić, zabić jak najwięcej za pomocą wirusa”. Wydobył ze stojącej na zakurzonej podłodze plastikowej torby otrzymaną od Najma mapę. Cztery postawione czarnym flamastrem krzyże przekreślały naróżne miasta: Albany, Pittsburgh, Buffalo i Filadelfię. Oznaczające drogi i szlaki kolejowe linie tworzyły na mapie gęstą sieć.

To był jego *go-ban* — szachownica na terytorium kraju, którego miasta stały się po prostu punktami przecięcia linii, a zamachy — ruchami skierowanymi przeciwko wymagowanemu przeciwnikowi.

Dziś jednak instynkt tropionego zwierzęcia, wyostrzony dodatkowo przez głód i szaleństwo, nakazywał zachować ostrożność.

Przeciwnik przypuści kontratak. Czuł to. Wróg spotęguje uderzenia. Trzeba go zmylić, zdezorientować, obudzić wątpliwości. Przyszły mu na myśl lekcje udzielane przez Mikę. Powtarzał głośno ich treść. Dialogi z przeszłości, z okresu przyjaźni i pokoju, rozległy się w małej piwnicznej izbie wypowiedane jednym tylko głosem.

— *Kiedy twoje siły zagrożone są przez Przeciwnika, myśl tylko o jednym — o własnym Bezpieczeństwie. I to błyskawicznie.*

— *Jak to, Miko? Czy mam zapewnić sobie łączność z resztą moich sił?*

— *Tak. Albo dobrze zorganizować „Życie na miejscu”.*

— *To znaczy?*

— *Umocnij najpewniejsze pozycje. Stwórz fortece nie do zdobycia. Możesz zrobić jeszcze jedno: zapewnić sobie wyjście, Oko wiodące ku Wolności... Cokolwiek by się działo, kiedy Wróg cię atakuje, odpowiedz raczej kontratakiem niż bierną Obroną. I gwałtem odpowiedz na gwałt...*

Golbudin posępnie zwiesił głowę. Trwał w tej pozycji bardzo długo — może przez godzinę — i kołysząc się na piętach rozważał słowa Miki. Potem podniósł z ziemi mały czarny kamień i umieścił go na wyrysowanym patykiem *go-banie*.

Postanowił zawierzyć swej intuicji.

W tym samym czasie, nad Bajkałem

Ukryty za drzwiami Mika wrzasnął przeraźliwie tylko raz, potem zamilkł...

Drzwi uchyliły się ostrożnie i pojawiła się w nich najpierw furazerka, potem niebieskie naramienniki żołnierza. Mika czekał z zapartym tchem i lufą strzelby w — Co to?... — zaczął żołnierz, ale nie zdążył już dokończyć zdania. Drewniana kolba purdy spadła na jego kark tuż pod furazerką.

Leżąc na ziemi żołnierz jęknął i uniósł rękę, obmacując kark. Nie był ogłuszony, a tylko lekko oszołomiony.

Mika patrzył z przerażeniem, jak przykuca i stara się dźwignąć. Uderzenie było za słabe. Po tych wszystkich emocjach brakło mu sił. Nie dawał już rady.

Kolba raz jeszcze zakreśliła łuk w powietrzu i uderzyła tym razem tuż nad czołem. Żołnierz jęknął jak ranione zwierzę i zwałił się bezwładnie, z szeroko otwartymi oczyma. Miał nie więcej niż osiemnaście lat.

Mika ostrożnie wymknął się z daczy. W ciemnościach dostrzegł światło sączące się z chaty myśliwskiej. Szybki rzut oka potwierdził jego przypuszczenie — żołnierze spali, pijani jak beły.

Wojskowa niwa stała przed daczą. Mika niemal bezszelestnie zepchnął ją na drogę i uruchomił silnik dopiero pod wzgórzem. Miał nad żołnierzami kilka godzin przewagi. Jedyne radio, którym mogliby się posłużyć, znajdowało się w niwie, a najbliższa osada — o pięć godzin marszu z daczy.

Na lotnisku w Irkucku oczekiwał na odlatujący o szóstej rano samolot wojskowy, który wracał do Moskwy. Był spokojny. Jego zdaniem żołnierze nie zdołają wszczać alarmu przed dziesiątą rano. Do tego czasu pozostawał w oczach innych wojskowych wysokiej rangi oficerem.

Ale po dziesiątej...

Godzina 9.25, aleja Niegorodska 13, obok ptasiego targu

W mieszkaniu Ludmiły panowała cisza. Mika przytknął jeszcze ucho do drzwi — nikt się nie ruszał.

Był w potrzasku. Nie mogąc znaleźć Ludmiły tracił jedyną nadzieję na przekazanie informacji Achromiejewowi. W tych godzinach grozy,

które przeżywał Związek Sowiecki, marszałek był z pewnością z Iwanowem i członkami Rady Wojennej na Kremlu.

Za jego plecami cicho skrzyknęły drzwi. Pomarszczona twarz drobnej staruszki wysunęła się przez szparę. Siwe włosy, chustka w czerwone grochy i wilgotny niedopałek papierosa w kąciu ust...

— Czy jest Ludmiła? — zapytał Mika.

— Czeszekowa?

— Tak. Szukam jej. To ważne.

— Nie mieszka tu od trzech miesięcy.

Mika walnął pięścią w ścianę. To był początek końca.

— Jest u matki — ciągnęła mała babina.

— U matki?

— Tak. Biedna mała, ona...

Mika nie słuchał dalej. Pędził po schodach. Przypomniał sobie, że raz czy dwa odwoził Ludmiłę do matki. Mieszkała na północnym przedmieściu, 40 kilometrów oddalonym od centrum.

W trzy kwadransy potem Mika znalazł się przed niskim dwupiętrowym domem. Zawołał:

— Ludmiło! Ludmiło!

Jego okrzyki przyciągnęły do okna na drugim piętrze ciemną, przygarbioną sylwetkę matki Ludmiły.

— Ludmiła! Szybko! Gdzie ona jest? Muszę z nią pomówić!

Stara kobieta zawahała się przez moment, nim zniknęła w głębi mieszkania. Okno było otwarte przez dobre pięć minut. Wreszcie pojawiła się w nim twarz Ludmiły, oświetlona łagodnym blaskiem porannego słońca. Dziewczyna nosiła ciemne okulary. Stała tak przy oknie, nie mówiąc ani słowa.

Mika próbował wytłumaczyć jej. Nie mógł jednak tego zrobić z takiej odległości. Zleciałyby się cała ulica. I tak już w oknach domów uchylały się firanki i wścibskie twarze wyłaniały się w półmroku. Ludmiła nadal milczała. Nie wytrzymał dłużej.

— Ludmiło, wpuść mnie! Są pewne sprawy, o których nie mogę krzyknąć na głos na środku ulicy...

Twąz Ludmiły cofnęła się. Zaraz potem zamknęło się za nią okno.

Nowy Jork, świt ostatniego dnia

Część poddasza przerobiona została na prowizoryczny szpital. W prawe ramię Pierre'a wkluta była igła, a przezroczysta rurka łączyła je z wypełnioną płynem pękatą butelką. Maską tlenową zakrywała jego twarz.

Przy łóżku ustawiono ekran oscyloskopowy umożliwiający kontrolę pracy serca chorego. Przy każdym uderzeniu po ekranie przebiegał sygnał i rozlegał się ostry dźwięk. Był to dowód, że życie powoli wymyka się z ciała Pierre'a.

Stan, nadal w masce i rękawiczkach, leżał wyciągnięty na dywanie przy jacuzzi. Jego chrapanie zlewało się z żalosnym, regularnym popiskiwaniem monitora.

Ambre, także w masce i rękawiczkach, siedziała wsparta plecami o ścianę, skrywszy głowę między rękami. Zdawała się spać.

Nagle sygnał monitora stał się rzadszy. Ambre drgnęła i podniosła głowę. Stan nie zareagował. Padał ze zmęczenia. Nie próbowała nawet go obudzić. I tak by nic nie poradził.

Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w zielone linie, które stawały się coraz bardziej płaskie. Bezradna, słuchała cichnącego bi-bip. Jakby wyczerpał się akumulator.

Życie ulatywało z ciała, które leżało bezwładnie w białej pościeli, o kilka metrów od niej. Był świt dziewiątego dnia.

Obliczenia Stana okazały się dokładne i potwierdzały przewidywania Pierre'a co do własnego losu. Dziewięć dni. Nie więcej.

To był już koniec. Nic nie można było zrobić.

Moskwa, plac Czerwony, za 2 minuty i 45 sekund 10 rano

Dopełniając rytuału starego jak sama rewolucja październikowa, kapral i dwaj żołnierze wyszli z Wieży Spasskiej, kremlowskiej Wieży Zbawiciela, wspierając kolby karabinów na otwartej dłoni. Szli zmienić dwóch ludzi stojących na warcie u wykutych w brązie wrót do mauzoleum Lenina.

Dzyń. Dzyń. Dzyń... Dziesięć uderzeń dzwonu rozbrzmiało nad placem Czerwonym, narzucając rytm ich krokom.

Dziś silniej niż zwykle patos, jaki przydawano rytuałowi, wydał się Ludmile pozbawiony sensu, śmieszny i niesmaczny. „Wysuszony Lenin” albo „Wowka-Suchy Banan” — oto jak nowa generacja nazywała zakonserwowane szczątki tego, który był ojcem nowoczesnej Rosji i, niczym Chrystus, zdołał do niedawna ściany każdej daczy.

Przyszła epoka nowych wartości. Tego ranka odwieczny rytuał zmiany warty nabrał dla Ludmiły charakteru swoistego i odrażającego symbolu. Podczas gdy nad jej krajem zawisł gniew Ameryki, która gotowa była rozpętać wojnę nuklearną, ten oddziałlik maszerował, by zgodnie z zamulą tradycją strzec zakonserwowanego trupa, którym nikt już się nie interesował.

Oto, kim stali się spadkobiercy Marksa — dotkniętymi uwiędłym starcami, których puste, pozbawione sensu słowa ginęły, porywane przez wiatr Historii.

„Szybko, Ludmiło. Uprzedź Achromiejewa. I strzeż się Iwanowa”. Mika zdołał przekonać ją, by dostarczyła list marszałkowi Achromiejewowi. Zgodziła się, nie dla Miki, bo w jej oczach nie był tego wart, lecz by uchronić ludzi przed wojną...

Ruszyła szybko w kierunku wielkiego Pałacu Kremłowskiego, siedziby Rady Najwyższej ZSRS, wiedząc, że tam będzie mogła osobiście mówić z marszałkiem Achromiejewem. Tam nie musieli obawiać się podsłuchów KGB.

* * *

W dwie godziny później z kolei Mika przekroczył bramę Wieży Spasskiej. Gdy spiesząc ku siedzibie Rady Najwyższej przechodził przez zacienione jabłoniami trawniki, nie zdołał powstrzymać się od wspomnienia tamtego zebrania sprzed pięciu miesięcy, podczas którego zapadła decyzja o dokonaniu eksperymentu z osłabioną postacią B 01 — B02.

Po panującym na zewnątrz skwarze chłód korytarzy pałacowych stanowił przyjemną odmianę. Gabinet marszałka Achromiejewa mieścił się na trzecim piętrze. Mika zapukał nerwowo i wszedł, nie czekając na pozwolenie — nie czas było na zachowywanie form.

W gabinecie siedzieli twarzą w twarz marszałek Achromiejew i Iwanow, zwrócony plecami do drzwi. Milczeli. Marszałek prawie podskoczył z radości na widok Miki. Ta radość rozjaśniła jego oblicze. Nie uśmiechnął się jednak, tylko wskazując Mice fotel, powiedział poważnym, niemal uroczystym tonem:

— Usiądźcie, towarzyszu Wasiljew...

Iwanow nie oponował. Spoglądał prosto przed siebie. Mimo upału ubrany był w ciemnoszary garnitur, nieskazitelnie białą koszulę i czarny krawat.

„Chciałoby się powiedzieć, że jest w żałobie”, pomyślał Mika, obserwując go kątem oka. Szerokie, czarne cienie otaczały oczy szefa KGB. Mika stwierdził ze zdumieniem, że nie czuje do tego człowieka, który chciał zniszczyć jego życie, cienia nienawiści.

Iwanow wydał mu się załamany, prawie martwy.

— Towarzyszu Wasiljew — odezwał się tym samym podniosłym tonem Achromiejew — dowiedzieliśmy się właśnie, że wiecie, gdzie przebywa ten...

— ...ten morderca — dodał świszczącym głosem Iwanow, patrząc ciągle prosto przed siebie. — Ten człowiek, który jest pańskim przyjacielem, jest również tym, który wystawia nas na niebezpieczeństwo pogrążenia się w... w...

— W wojnie, Miko — zakończył marszałek. — Po prostu w wojnie.

— Wiem — Mika powiedział to prawie szeptem. — Znam go dobrze. I wydaje mi się, że wiem, gdzie teraz jest i gdzie dokona następnego zamachu. Myślę... o jednym z trzech miasteczek na Wschodnim Wybrzeżu Stanów — Roaring Branch, Ralston i March Hill. Ale zważywszy na to, jak wyglądały poprzednie zamachy, wybierze tę miejscowość, w której będzie największe skupisko ludzkie...

Marszałek poprosił Mikę o powtórzenie nazw trzech miasteczek, chcąc je zanotować.

— Roaring Branch, Ralston i March Hill.

Iwanow prychnął drwiąco.

— Uciekać się do przepowiedni i jasnowidzenia, żeby odnaleźć kryminalistę! Nisko upadliśmy, towarzyszu Achromiejew.

— To nie przepowiednie, ale *go*, towarzyszu Iwanow — odpowiedział nie patrząc na niego Mika.

— Co takiego?! — zawołał Iwanow. — A tak... *gol* Ta gra, którą rozgrywa się małymi pionkami na szachownicy. Toż to prawdziwe panaceum, to wasze *go*... To cudowne! Jeszcze lepsze od marksizmu!

Mika poczuł, że jego pięści zacisnęły się mimowolnie. Miał ogromną chęć rzucić się na tego drapieżnego ptaka i skrócić mu kark. Próbując zachować spokój, powiedział drżącym mimo wszystko głosem:

— Sądzę, towarzyszu Iwanow, że człowiek ten rozgrywa na terytorium Stanów Zjednoczonych partię *go*. Z nie znanych mi powodów ograniczył się do tego obszaru...

Mika wstał i podszedł do rozpiętej na tablicy z korka mapy, na lewo od biurka marszałka. Palcem wskazał cztery miasta, te, w których dokonano aktów terrorystycznych — Albany, Pittsburgh, Buffalo i Filadelfię.

— Otóż — zaczął wyjaśniać — człowiek, który wybrał miejsce zamachów, kieruje się niewątpliwie pewnym układem odniesienia, pewną, jeśli towarzysze wolą, wizją przestrzeni, która ogranicza się do terytorium leżącego pomiędzy tymi czterema miastami. Zakładam, że posługuje się mapą odpowiadającą dokładnie temu obszarowi. Pole jego gry to ten teren... — Palec Miki przejechał wzdłuż czterech linii łączących miasta.

Mika zwrócił wzrok na Iwanowa, chcąc upewnić się, czy jego wywód jest dość jasny. Szef KGB spuścił głowę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po cygarnicę, z której wydobyl dawidowa.

— Jeżeli przyjąć hipotezę strefy geograficznej — ciągnął Mika — staje się jasne, że ten człowiek gra w go... Każdy z zamachów to jeden ruch. Zgodnie z regułami, grał jak dotąd doskonale, zajmując cztery rogi pola. Zapanował nad przestrzenią, wykonując ruchy, które mogą zapewnić mu jednocześnie bezpieczeństwo i oszczędność sił...

Iwanow zmarszczył brwi.

— To proste — rzucił Mika widząc jego minę. — Celem *go* jest zajęcie terytoriów, utworzenie łańcuchów kamieni, które stanowiąc będą rodzaj murów. A więc w rogu dwa mury już istnieją — tworzą je linie zamykające planszę, a w tym przypadku — linie wytyczające granice interesującego nas obszaru. Gra w rogach, tuż przy skraju *go-banu*, pozwala więc stworzyć punkty strategiczne przed przy stąpieniem do gry na większym polu. „Co na brzegach, to na szachownicy” — to jedna z reguł... A nasz gracz prowadzi świetną rozgrywkę...

Mika powiedział to z odcieniem dumy za dawnego ucznia. Zwrócił twarz ku Iwanowowi. Ten wpatrywał się w gęste, aromatyczne kłęby dymu z dawidowa, które wznosiły się pod sklepienie pokryte malowidłami z XV wieku.

— Świetna rozgrywka! — wykrzyknął szef KGB głosem pełnym potępienia. — Świetna rozgrywka! Zginęła masa ludzi, wiśi nad nami groźba wojny. A towarzyszu Wasiljew zachwyca się grą...

Zapadła cisza. Mika odwrócił się do Achromiejewa. Niebieskie oczy marszałka spoglądały na niego z podziwem, niewolnym jednak od smutku.

— Miejmy nadzieję, że się nie mylicie, towarzyszu Wasiljew. Miejmy nadzieję... — Zwrócił się do Iwanowa. — Trzeba powiadomić Piotra Smukiewicza, który powinien być w Waszyngtonie. Niech zbierze cały oddział Specnazu, oczywiście po cywilnemu. Za wszelką cenę trzeba odnaleźć tego człowieka.

— ZABIĆ tego człowieka — sprecyzował Iwanow.

Szef KGB zwrócił twarz w stronę Miki i wpatrywał się teraz w niego uparcie. Mika poczuł się nieswojo pod ogniem czarnych oczu, w których płonęła żądza krwi. Akcentując każde słowo Iwanow powiedział:

— Ten człowiek musi zginąć. To wróg Związku Sowieckiego. Ma powiązania z „Malikiem”, organizacją, którą finansujemy. Może stać się więc żywym dowodem naszego udziału w tej sprawie, choć nie byliśmy w nią bezpośrednio zamieszani. Trzeba go zgładzić! ZGŁADZIĆ!

Przez pamięć Miki przesunęła się seria obrazów. Usiłował odsunąć

je, ale były silniejsze niż jego wola. Golbudin pobierający pierwsze lekcje go... pasja, uczucie, skupienie...

Mika podniósł wzrok. Marszałek Achromiejew i Iwanow spoglądali na niego w milczeniu. Zły uśmiech wykrzywił twarz szefa KGB. Patrząc mu prosto w oczy, Mika powiedział pewnym głosem:

- Trzeba zabić tego człowieka.
- Dobrze — marszałek skinął głową.

Marrakesz, w pałacu Dżemma

Budził się dzień po zabawie. Batystowe firanki kołysały się w dwóch oknach dużego błękitnego pokoju, muskane przez wiejący z ogrodu wiatr. Na zewnątrz rozbrzmiewał rześki i jednostajny szum fontanny tryskającej z basenu z nenufarami i śpiew ptaków przekomarzających się z pokrzykującym ogrodnikiem, który czyścił trawniki i zbierał resztki po balu. A właściwie po orgii.

Można by pomyśleć, że goście, ogarnięci nagłym przeczuciem starcia dwóch potęg, postanowili bez żadnych hamulców oddać się uciechom erotycznym i obżarstwu, nacieszyć się iluzją własnej potęgi. Pijaństwo i rozkosze cielesne pozwoliły im zapomnieć na tę jedną szaloną noc o niepewnym jutrze.

Smagła dłoń zsunęła delikatnie prześcieradło z turkusowego jedwabiu, pod którym leżał Clive. Musnęła siwe włosy, zatrzymała się na suchym, pomarszczonym karku starca i przesunęła się na ramiona.

Clive ocknął się.

- O co chodzi, Jusufie?

Młody sługa w bufiastych spodniach i białej bluzie delikatnie położył palec na pomarszczonych wargach Clive'a.

- Ciii! To znowu on. Mówi, że nie mógł przyjść wczoraj wieczorem.

Clive przycesał się szybkim gestem i wziął szlafrok z malinowego jedwabiu, który podał mu służący.

- Odczekaj chwilę, nim go wpuścisz.

Clive poczuł, że znów wzbiera w nim gniew. Miał stanąć twarzą w twarz z człowiekiem z Urzędu, z tym, który wydał rozkaz. Rozkaz zamordowania Markusa! Przez chwilę powtarzał sobie, że udusi go własnymi rękami. Ale i on, mimo swej potęgi, mimo milionów dolarów, był więźniem za ręce i za nogi zakutym w kierat Urzędu. A Urząd nie zawaha się, jeśli trzeba będzie pozbyć się jednego z członków, choćby był miliarderem...

Mężczyzna o twarzy bez wyrazu wszedł powoli do pokoju. Ubrany był w kremowe spodnie i błękitną lnianą koszulę. Clive po raz pierwszy ujrzał jego twarz w dziennym świetle. Był brunetem o bardzo krótko obciętych włosach i bladej cerze. Jego spojrzenie nie zatrzymywało się nigdy na określonym punkcie.

„Rozgląda się jak kot” — zauważył Clive. Wypukła szrama przecinała część jego policzka. Głos mężczyzny nie zmienił się. Miał chropowate i głucho brzmiące. Mężczyzna wymawiał przedniojęzykowe „r”.

— Nie mogłem przybyć wczoraj wieczorem na pańską kolację. Sytuacja jest szczególnie napięta... Jak pan się orientuje, przedstawiciele dyplomatyczni obu potęg zostali odwołani z placówek. I to nie stan alarmu...

Clive stał po drugiej stronie łóżka. Próbował uchwycić spojrzenie mężczyzny, wciąż mu umykające. Kiedy się uśmiechnął, szrama na policzku przybrała formę dziwnego daszka. Ciągnął:

— Ale wpadliśmy na pewien trop. Wszystko powinno wrócić do normy. — Mężczyzna podszedł do okna i spoglądając na park, powiedział: — W każdym razie trzeba mieć taką nadzieję. Jeżeli nie...

Clive'owi zrobiło się niedobrze. Nie wiedział, czy przypisać to nocy spędzonej na pijaństwie, czy odrazie, jaką budził w nim ten człowiek. Całkowicie panując nad sobą przeprowadził z nim rozmowę dotyczącą bieżących spraw: pewnej joint-venture, operacji prowadzonej wspólnie przez jedną z jego spółek, Forest Linę Company, specjalizującą się w produkcji obrabiarek wieloosiowych, i wschodniemiecką

Następnie Clive zaprosił mężczyznę na obfite śniadanie, podczas którego zaprezentował swoje oddanie dla Urzędu. Pomiedzy jajkiem na miękko a owocem mango gawędzili lekkim tonem o „tropie”, który mógł rozładować sytuację międzynarodową. Ich spotkanie trwało nie dłużej niż pół godziny. Kiedy się rozstali, Clive ubrał się w jasny lniany garnitur i kazał zawieźć się na prywatne lotnisko, gdzie czekał gotów do startu Gulf Stream III Grumann.

Dwusilnikowy odrzutowiec dotarł do Nowego Jorku o 8.10 czasu miejscowego. Mniej więcej w tej samej chwili Clive podjął decyzję.

W pobliżu Roaring Branch, 8.30

Ogromne koło lśniło w słońcu. Zdecydowanie dominowało nad dachami domów małego miasteczka. Sierpniowe święto ściągało tłumy ludzi z okolicy — z March Hill, Canton, New Albany, Ralston i Trout

Run. Rokrocznie w środku lata odbywał się w Roaring Branch dwutygodniowy jarmark. Pod znakiem wody i świeżego powietrza.

Golbudin otarł czoło. Od ponad trzech godzin szedł przez pola. Jak magnes przyciągał go ogromny świąteczny krąg. W miarę jak zbliżał się do Roaring Branch, nasilało się brzmienie muzyki, krzyki i śmiechy.

Nie miał najmniejszych wątpliwości. To tu powstanie największe skupisko ludzkie w okolicy. Przysiadł w cieniu zarośli i wyjął z plastikowej torby mapę. Czarnym krzyżem przekreślił nazwę Roaring Branch. Potem wstał i ruszył w dalszą drogę. Za jakąś godzinę będzie na miejscu.

Go pozwala organizować Ciemności.

Prawdziwy Wojownik nie wie, co to trudności w Walce o zdobycie Królestwa.

Postępuje tak, aby wygrać Bitwę, i uderzając ogromną wagę przykładu do skuteczności.

Zwycięstwo jest tylko logicznym następstwem Wiedzy.

Nowy Jork, 9 rano

Ambre odebrała po piątym dzwonku. Jej głos wydawał się zduszony i przygaszony.

— Halo! Halo!

Clive nie odezwał się od razu.

— Ambre... — Chyba nie poznała go po głosie. — To ja, twój ojciec.

Tembr głosu Clive'a także się zmienił, nabrał niezwyklej łagodności.

— Nie mogę teraz z tobą rozmawiać — powiedziała Ambre. — Tu umiera człowiek.

— Właśnie — odrzekł Clive. — Wiem, gdzie przebywa ten, który rozprzestrzenia wirus. Może ma i serum. A zresztą, to tylko domysły...

— Ale skąd ty to możesz wiedzieć!?

W słuchawce zapadła cisza. Głos Clive'a zabrzmiał jak zza grobu.

— Otrzymałem poufne informacje. Ja... — zdawał się wahać, ale po chwili rzucił, rozgoryczony i cyniczny: — A zresztą, teraz to już i tak bez znaczenia. Już od trzydziestu lat pracuję dla Urzędu...

— Dla kogo?

— Prawda... Nie znasz tej nazwy. Urząd to tajne służby sowieckie zajmujące się szpiegostwem przemysłowym. Inaczej GRU. — Clive zaśmiał się. — Piękna przykrywka, prawda? Miliarder, raider, kapitalista dokonujący transferu technologii do państw wschodnich!

— Nie pytasz, czemu to zrobiłem — podjął Clive. — Musisz jednak wiedzieć. Jestem... a raczej oboje jesteśmy Rosjanami, Ambre — Clive wyrzucił to z siebie jednym tchem. — Mój dziadek ze strony matki należał do otoczenia cara. Nazywał się Artur Paweł Władimirjew, hrabia Lorenzo, ambasador imperatora Wszechrosji w Chinach, a potem w Waszyngtonie. Podczas rewolucji mój ojciec, pierwszy sekretarz ambasady w Kopenhadze, uciekł z Sankt Petersburga. Przez dwadzieścia lat żyliśmy urojeniami rosyjskich emigrantów. Mój ojciec roztrwoniał wszystko, podróżując od Chin po Grecję... Zapomniałem ci powiedzieć, że matka zmarła przy moim narodzeniu, a ojciec w Neapolu w 1936. Miałem dziewiętnaście lat. Wiesz, co było potem...

— To wszystko nie usprawiedliwia przemytu technologii na Wschód — sucho ucięła Ambre.

— Działalem najpierw dla zysku. Dzięki moim szczególnym powiązaniom mogłem dokonywać wyjątkowych przedsięwzięć. Potem nałożyła się na to ideologia... Był to rodzaj duchowego posłannictwa na rzecz rewolucji marksistowskiej. Wierzyłem w to, Ambre... Wierzyłem w każde słowo, że przyszłość to człowiek, a nie ten śmieszny Bóg, że stworzymy świat ludzi równych, świat bez nędzy.

Ambre zaśmiała się gorzko.

— A teraz już w to nie wierzysz. Tak?

— Tak, już w to nie wierzę — szepnął. — Oni... to znaczy Urząd, zabili Markusa, wiesz? Poza tym jest coś jeszcze: mam tyle lat co rewolucja komunistyczna i czuję się równie zużyty, jak jej ideały.

— Powiedz mi, gdzie jest ten terrorysta — przerwała mu Ambre.

Clive westchnął. Ambre odniosła wrażenie, że zawahał się przez moment, nim powiedział:

— Roaring Branch, pod Wolliamsport. 150 kilometrów od Nowego Jorku... Ambre, słyszysz mnie?

— Słuchaj, spieszę się.

— Chciałem ci powiedzieć...

— Co? Szybciej!

— Ja... Kocham cię.

Odpowiedział mu suchy trzask. Ambre odłożyła słuchawkę. Dla Clive'a to odrzucenie jego miłości przez córkę było potwornym ciosem. W ciągu kilku godzin postarzał się o całe lata. Zatracił wiarę w życie.

Cóż mu pozostało. Cierpienie i hańba. Co go teraz czeka? Jeżeli odmówi dalszej współpracy, zabiją go bez litości. Mógł jeszcze

próbować gdzieś się ukryć, wiedział jednak, że Urząd jest wszędzie. Któregoś dnia znajdą go powieszzonego czy wypchniętego przez okno. Jak Markusa...

Zdać się na ochronę policji amerykańskiej? To oznaczało publiczne ujawnienie historii jego życia. Równało się przyznaniu, że korzystał z pomocy finansowej. Stałby się pośmiewiskiem wszystkich tych raidersów, których pobił. A tego by nie zniósł. W jego wieku rany zadane duszy sprawiały o wiele silniejszy ból niż rany na ciele.

Drżącą ręką sięgnął po leżący na niskim granitowym stoliku przy kamiennej kanapie manuskrypt i podpisał go: „Clive Aleksiejewicz Lorenzo, hrabia Lorenzo”.

Wstał, przygarbiony i słaby. Był już tylko zmęczonym starcem. Nie patrząc na Central Park budzący się w słońcu letniego poranka zrzucił ubranie, które upadło na podłogę u jego stóp.

Był nagi. Akwarium połyskiwało wśród „dżungli” jak szlachetny kamień czarujący swym pięknem. Za szklanymi ścianami smukłe, niespokojne cienie wygłodzonych muren miały się jak dzikie zwierzęta w klatce.

Clive wybrał sobie śmierć. Kiedy zanurzył się w mieniącej się barwami złota i turkus w wodzie, poruszenie trwało zaledwie kilka minut.

* * *

— Roaring Branch! — wykrzyknęła Ambre. — Szybko!

Stan pospiesznie owinął ciało Pierre'a w białe prześcieradło i ściągnął winę.

— Głowa, niech pan zakryje mu głowę, Stan. Nikt nie może go rozpoznać.

Naciągnął prześcieradło na twarz Pierre'a. Kiedy to robił, pamięć podsunęła mu na ułamek sekundy obraz białego płótna, które uniósł odsłaniając nieruchomą, zastygłą w tajemniczym uśmiechu twarz swego pierwszego zmarłego. Działo się to przed dwudziestu laty podczas zajęć z anatomii na Uniwersytecie Johna Hopkinsa w Balt— Nogi, Ambre. Trzeba wziąć go za nogi.

Uchwyciła przez prześcieradło bezwładne, wychudłe nogi Pierre'a. Stan ujął ciało pod pachy. Przytrzymał wsuniętą między siebie a tułów Pierre'a kropłówkę. Ambre i Stan mieli na twarzach białe maski, a na rękach przezroczyste rękawice.

Z trudem wcisnęli się do windy. Zbliżająca się śmierć uczyniła ciało Pierre'a ciężkim i trudnym do niesienia.

Przez całą drogę nie odezwali się do siebie ani słowem. Zadyszani, wpatrywali się w górę, w czerwone cyferki, które sygnalizowały mijane piętra.

34, 33, 32... Prześcieradło zsunęło się, odsłaniając głowę Pierre'a, która opadła do tyłu. Nos umierającego wyostrzył się, oczy były zamknięte, policzki pokryte czarnym, zmierzwionym zarostem.

25, 24... Winda zwolniła nagle i dzwoniąc cicho zatrzymała się na 23 piętrze.

Zamarli, nie wiedząc, jak ukryć ciężące im ciało Pierre'a. Wpatrywali się w chromowane drzwi, które rozsunęły się niemal bezszelestnie.

Oczekujący na windę młodzieniec miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Ubrany był w koszulę w cienkie niebieskie prążki, spodnie z szarego płótna, parę złotobrazowych pantofli i szerokie, skórzane szelki. Sądząc po aparycji, czarnych zaczesanych do tyłu włosach i skórzanej dyplomatce, którą trzymał w prawej ręce, był pewnie maklerem z Wall Street, jednym z owych młodych talentów finansjery.

Kiedy drzwi windy rozsunęły się, chłopak doznał szoku. Mężczyzna i młoda kobieta utkwili w niego wzrok. Mieli maski i rękawice jak chirurdzy. Z ich oczu wyczytał popłoch. W ramionach trzymali wychudłego mężczyznę o trupio bladej twarzy, owiniętego w białe płótno. Jego ramiona zwisały bezwładnie, a lekko ugięte nogi były złączone. Ciało Chrystusa zdjętego z krzyża.

Młodzieniec cofnął się powoli. Winda zamknęła się, zasłaniając jego twarz. Nad drzwiami znów pojawiały się coraz niższe cyfry.

22, 21, 20...

* * *

Powietrze przesycone było wonią kiełbasek na gorąco i popcornów. Muzyka stała się ogłuszająca. Rozbrzmiewała nieprzerwaną kakofonią dźwięków. Każde stoisko bowiem puszczało własne melodie. I to na cały regulator.

Rozpasany heavy metal Bona Jovi, pogodny rock Billy Joela i chrapliwy głos Tiny Turner radośnie plątały się z pełnymi przerażenia krzykami pasażerów diabelskiego młyna.

Przy wejściu na teren imprezy wzniesiono ogromny fronton zwieńczony łukiem. Na ciemnoniebieskim tle zapalał się i gasł błyszczący napis: CIRCUS! CIRCUS! Pod nim wyświetlały się na elektronicznym zegarze żółte cyfry. Była 10.25.

Fielding spojrział na fronton i bezwiednie zerknął na zegarek.

— U mnie jest 10.27 — zrzędził. — To szwajcarski zegarek, więc...

Fielding miał dwojakie powody do niezadowolenia. Po pierwsze właśnie on i jego grupa mieli wyjść na spotkanie oddziałowi strzelców wyborowych Piotra Smukiewicza. Jak dotąd, nie widział śladu Rosjan na jarmarcznym święcie. A poza tym musiał przedzierzgnąć się na tę okazję w urlopowicza wystrojonego w długie szorty koloru khaki, malinową koszulkę i czerwoną czapkę z daszkiem. A Fielding nie cierpiał wakacji i wszystkiego, co miało z nimi cokolwiek wspólnego... Naburmuszony, zwrócił się do otaczających go zastępców. I oni także udawali turystów.

— Dobra, rozejrzemy się wewnątrz. Może już tam są...

Na jarmarku roiło się od agentów FBI. Przysłano ich aż dwustu. Wszyscy ubrani byli po cywilnemu — w bawełnianych koszulkach i pstrokatych szortach. Mijając ogromne trzydziestometrowe koło, które powoli wirowało pod niebem, Fielding mrugnął porozumiewawczo do jednego z agentów pełniącego straż w kolejce przed

Mężczyzna podszedł do niego. Zsunął ciemne okulary. Nos miał już mocno przypieczony.

— Powinieneś używać kremu do opalania, Morrison — skarcił go Fielding. — Jeszcze trochę, a ludzie będą cię brali za hot-doga.

— Tak, szefie — szepnął Morrison, obmacując czubek nosa.

— I jak? Wciąż cisza?

— Na razie tak, szefie. Nie zauważyłem żadnego z tych dwóch — powiedział, wyciągając z tylnej kieszeni bermudów zdjęcie Golbudina Kalzai i Pierre'a Tisseranda.

Fielding kilkakrotnie skinął głową i mruknął:

— Hm! W porządku! Wracaj na stanowisko, Morrison.

Ruszył na dalszy obchód, wciąż w towarzystwie zastępców.

CAESAR'S BOAT. Rzymska galera.

Jedną z głównych atrakcji jarmarku była ta rekonstrukcja rzymskiej galery zawieszona na wysokości dziesięciu metrów nad ziemią i obracająca się wokół własnej osi. Gwarantowany dreszczyk emocji. Za jedyne trzy dolary od osoby galera wykonywała dziesięć pełnych obrotów. Z pasażerami „na pokładzie”!

Jakiś mężczyzna wysunął się z cienia filarów wspierających galere i ruszył w stronę Fieldinga. Podobnie jak dwaj czy trzej obsługujący „okręt” ludzie, ubrany był w rzymski kostium — krótką spódniczkę z nabijanych metalem pasów skóry, białą togę i zakrywający klatkę piersiową i ramiona półpancerz z brązu, w którym wyrzeźbiono zarysy piersi i brzucha.

Fielding aż gwizdnął z podziwu, rozpoznając jednego ze swych agentów.

— Perley! — zawołał stłumionym głosem. — Skąd wytrzasnąłeś tę... kamizelkę kuloodporną?

Perley mrugnął okiem.

— Niech się pan nie przejmuj, szefie... Nikomu nie przyjdzie do głowy, że w takim stroju może paradować agent FBI.

Fielding najwyraźniej był tego samego zdania. Postukał palcem w wypukłą metalową skorupę oblepiającą tors Perleya.

— O, to jest solidniejsze niż nasze kamizelki kuloodporne! — rzucił przed odejściem tonem konesera.

Potem mała grupka przemaszerowała przed basenem z różowymi flamingami, ulokowanym pośrodku terenu, na którym odbywał się jarmark. Następnie przyjrzeni się kolejno wszystkim sprzedawcom hot-dogów, hamburgerów i lodów.

Wciąż nic. Rezultat ich inspekcji był negatywny. Nie natrafili na żaden ślad Rosjan. Fieldingowi wydawało się już nawet, że wypatrzył jednego przed maszyną do gry, nad którą migotał bez przerwy różowo-zielony neon.

CASINO PARADE

Mężczyzna w ciemnoniebieskim garniturze stał odwrócony do niego plecami. Na czubku głowy miał łysinę. Gorączkowo manipulował dźwigienkami maszyny.

Zgodnie z wyobrażeniem Fieldinga, człowiek ten MUSIAŁ być Rosjaninem. Po pierwsze, ten garnitur... Tylko Rosjanin mógł wystroić się tak w środku sierpnia i przyjść na jarmark. A poza tym Fielding przekonany był, że świeżo przybyły do Stanów Sowiec w pierwszym odruchu rzucił się właśnie na maszyny do gier. Wygrane w dolarach nęciły...

„Pieniądz nie zna granic” — drwił w duchu, stając przy sąsiednim automacie.

— Nazywam się Fielding. Czy to pan jest... Smukiewicz?

Mężczyzna spojrział ze zdumieniem na Fieldinga. Okazało się, że jest to pan van Dine, że jest handlowcem w firmie wytwarzającej wodę mineralną i właśnie przyszedł rozerwać się pomiędzy dwoma spotkaniami z klientami.

Rozwścieczony Fielding zawrócił do wejścia na teren jarmarku, za nim pognali zastępcy. Doszedłszy do frontonu, spojrział gniewnie na elektroniczny zegar.

Była 10.33.

— A to łajdacy! Nie ma ich tu! A przecież było powiedziane 10.15! Daliśmy się nabić w butelkę! Zdajecie sobie sprawę — rzucił pod adresem zastępców. — Ruscy, właśnie Ruscy nas wykiwali!

Właśnie w tym momencie dostrzegł go Smukiewicz. Zaufany człowiek Iwanowa siedział w szarym volvo mniej więcej czterdzieści metrów od wejścia. Odłożył lornetkę, zerknął na kolorową fotografię, którą trzymał w ręku, ponownie sięgnął po lornetkę i spojrzął w stronę małej grupki, po czym spokojnie powiedział:

— To oni, ruszamy!

Wysiadł z volva wraz z dwoma mężczyznami w spodniach z beżowego płótna i dzinsowych koszulach. Smukiewicz ubrany był również w letni strój, a na głowie miał biały kowbojski kapelusz.

Za volvem Smukiewicza parkowało dziesięć samochodów. Zaczęły otwierać się drzwiczki. Z wozów wysiadło dwudziestu pięciu ludzi w cywilu. Był to cały oddział Specnazu, doborowych jednostek GRU. Pozostając parę metrów za Smukiewiczem, zmierzali zdecydowanym krokiem ku wejściu.

* * *

Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment. Stan natychmiast spuścił oczy. W lusterku wstecznym zobaczył oczy Ambre. I wyczytał przesłanie z poszarzałych ze zmęczenia i wyczerpania nerwowego oczu.

— Szybciej! Szybciej!

„Oczywiście, że trzeba działać szybko, odpowiedział w duchu. Byleby się to na coś zdało”.

Znając diagnozę, wiedział, że sprawa jest zakończona. Człowiek, który leżał na tylnym siedzeniu, umrze, pokonany przez mikroskopijnego wroga, który z niezmaconą konsekwencją niszczy kolejne komórki jego narządów. Mimo to jednak jakiś cichutki głos nie dawał Stanowi spokoju. Instynkt szeptał mu, że zawsze pozostaje odrobina nadziei. Mimo diagnozy. Dopóki ciało zмага się ze śmiercią...

Stary ford przejeżdżał z dużą prędkością przez miasteczko Cocumscussoc i mijał właśnie mały anglikański kościół z ośmiokątną wieżą. Drewniana budowla skąpana była w słońcu.

Stanowi przemknęły przez myśl urywki modlitwy:

„Teraz i w godzinę śmierci naszej... Opuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... Bądź wola Twoja...”

Przy wyjeździe z miasteczka dostrzegł drogowskaz:

ROARING BRANCH. 10 MIL.

„Bądź wola Twoja jako w Niebie, tak i na Ziemi”.

Roaring Branek, godzina 10.35

Po raz pierwszy w życiu Fielding uściśnił dłoń istoty pozaziemskiej. Oczekiwał olśnienia albo przynajmniej uczucia ogarniającego go żaru, opisywanego tak plastycznie przez ludzi, którym zdarzyło się spotkać istoty z „innego wymiaru”. Ale nic takiego nie nastąpiło.

Piotr Smukiewicz łagodnie uwolnił dłoń, tyleż zaskoczony, co zażenowany tym niezwykle serdecznym powitaniem zgotowanym przez inspektora FBI.

— Dobrze — odezwał się Fielding, wciąż pod wrażeniem całkiem normalnego wyglądu Rosjan. — Tym razem trzeba dopaść tego typka. W przeciwnym razie...

Smukiewicz doskonale wiedział, co będzie „w przeciwnym razie”: administracja Busha, pod silną presją opinii publicznej, którą manipuluje radykalna prawica, będzie zmuszona wszcząć potężny atak na Związek Sowiecki.

Tak jak raniony tygrys.

Dalszego ciągu Smukiewicz wołał już sobie nie wyobrażać...

Biorąc pod uwagę wysoką stawkę, Iwanow i Achromiejew zlecili mu kierowanie operacją prowadzoną przez ludzi z KGB i osławionego Specnazu.

Przy każdej cysternie z wodą, obok każdego lodziarza, każdej jarmarcznej budy stał teraz sowiecki agent, czasem nawet kilku. Nie licząc już dwustu ludzi Fieldinga.

Na imprezie roiło się od policji i tajnych agentów rosyjskich i amerykańskich poprzebieranych za urlopowiczów. Jednak pod kolorowymi koszulkami uwypuklały się nie tyle zwały tłuszczu, co kolby magnum 357 i kałasznikowów.

Fielding błagał w duchu Pana Boga, by rosyjskie informacje okazały się prawdziwe. Porozumiał się za pomocą walkie-talkie z jednym z zastępców, który pilnował wejścia.

— Rick do Big Bossa. Rick do Big Bossa.

Zgłosił się Rick.

— Rick... — szeptał Fielding, nie chcąc, by usłyszał go Smukiewicz. — Nie zapomnij o Francuzie. Może to on się pojawi. Ktokolwiek by to był, próbuj schwytać go żywcem. Ma pewnie sporo do powiedzenia...

Rick pospiesznie wymamrotał schrypniętym głosem „Okay”. Fielding zerknął na zegarek — była 10.50. Trzeba było czekać.

Roaring Branch, 11.15

Stary ford zatrzymał się, wzbijając kłęby kurzu. Wsparłszy łokcie o kierownicę, Stan spoglądał ku wejściu na jarmark. Zadanie wydało mu się ponad siły. Czy można przewidzieć, jaki obiekt wybierze terrorysta?

Basen pod wielkim kołem? Lodziarzy? Cysterny?

W dodatku miał mgliste pojęcie o wyglądzie tego szaleńca. „Niski, raczej gruby mężczyzna o smagłej cerze i podkrążonych oczach” — opisał mu go Pierre kilka dni temu, nim jeszcze zapadł w śpiączkę.

— Stan... — szepnęła błagalnie Ambre.

Rzut oka na tylne siedzenie wystarczył mu, by zrozumieć, że nie pora na rozmyślania. Z kącika ust Pierre'a spływała stróżka krwi, którą Ambre usiłowała ocierać. Drugą ręką trzymała w powietrzu kropłówkę, która miała podtrzymać więź konającego z życiem.

Stan unikał spojrzenia Ambre, aby nie spostrzegła jego zwątpienia. Nie zauważył nawet manewrów mężczyzny w czerwonych szortach, który kręcił się wokół samochodu i natrętnie przyglądał Pierre'owi.

* * *

— Big Boss! Big Boss do... do Ricka!

Po zniecierpliwieniu w głosie zastępcy Fielding zorientował się, o co chodzi. Wreszcie dopadli tego bydlaka, który dokonał masakry w Ameryce.

— Gdzie on jest? — zapytał niemal szeptem.

— Tam...

— Gdzie „tam”!

— Przy wejściu. W fordzie. Wygląda na...

Fielding nie czekał nawet, aż rozmówca dokończy zdania. Wpatrywała się w niego setka oczu. Dał znak.

Jego czerwona czapeczka uniosła się dwukrotnie w górę.

* * *

— Stan! Trzeba coś zrobić!

Z głową wspartą o kierownicę powiedział znękanym głosem:

— Ambre, to już koniec. Już nic nie można zrobić.

— Ale TRZEBA, Stan! Niech pan próbuje wszystkiego! Może przypadkiem natrafi pan na tego terrorystę! Proszę iść!

Głos Ambre nabrzmiały był łzami. Stan westchnął. Nie odwracając

się, wyciągnął rękę do tyłu, chwytając bezwładnie zwisające przedramię Pierre'a.

Puls był prawie niewyczuwalny. Stan z podziwem pomyślał o instynkcie walki o życie. Walki, którą organizm toczył do ostatniego tchu, a która zawsze wzruszała Stana.

— Stan — jęknęła bliska płaczu Ambre.

— Już idę — odrzekł.

I otworzył drzwi. Nie zdążył nawet postawić nogi na ziemi. Chwyliła go dziesiątka rąk. Odwrócono go i przyparto z rozstawionymi nogami i rękami do gorącej maski wozu.

W tej chwili otwarto tylne drzwi i lufy dwóch magnum 357 wycelowały w skronie Ambre i Pierre'a. Kiedy Ambre wywleczono z wozu, wrzeszczała rwącym się głosem:

— To nie on. Nie dotykajcie go! On umiera. Jest chory!

* * *

Golbudin nawet nie zauważył zbiegowiska, które zrobiło się przy wejściu. Dla niego liczył się tylko rozkaz Najma.

Wszystko wokół sprzyjało wykonaniu misji. Spozrzegł trzy cysterny zaopatrujące świętujących w wodę, a także okrągły basen o średnicy dziesięciu metrów u stóp wielkiego koła.

Jego wybór padł na sprzedawcę lodów, którego interesy, sądząc po rozmiarach stoiska, szły świetnie. Musiał mieć wielu klientów...

Długie na dziesięć metrów, ozdobione zielonymi i białymi taśmami stoisko najwyraźniej ścigało wszystkie obecne na jarmarku dzieci. Dorośli również chętnie jadaliby lody, zwłaszcza z rodzaju „lights”.

Golbudin zauważył zaparkowaną za stoiskiem półciężarówkę w biało-zielone pasy. Podeszedł do niej i ostrożnie nacisnął klamkę tylnych drzwi. Nie mylił się. Rzeczywiście była to chłodnia, w której spoczywały zapasy lodów i mleka. Wewnątrz panowała temperatura około 2°. Ten chłód po długim marszu w słońcu sprawił Golbudinowi cudowną ulgę. W mroku rozpoznał kształt ustawionych starannie po obu stronach kabiny metrowych brył lodu. Pośrodku stały na podłodze cztery duże pojemniki z mlekiem. Nad bryłami lodu, na małych wiszących półkach, ustawiono rozmaite dodatki i narzędzia — można tu było znaleźć zarówno buteleczki z barwnikami, olejkami zapachowymi i innymi środkami do wyrobu lodów, jak i wszystko, co jest potrzebne do mycia pojemników.

Golbudin postawił plastikową torbę tuż przy drzwiach i ostrożnie wydobył obie butelki. Postawił je na jednej z półek. Następnie sięgnął po strzykawkę, by wziąć dawkę serum. Po raz piąty dokonywał tego

rytuału. Pojemniki z mlekiem świetnie się do tego nadawały. „Zabić jak najwięcej osób”.

Wziął do ręki jedną z butelek, by przyjrzeć jej się w półmroku i rozpoznać. Wirus czy serum. Śmierć czy życie. Aż podskoczył, gdy rozległ się głos:

— Który pojemnik? Truskawka?

Boczne drzwi samochodu otworzyły się i Golbudin ujrzał przez szparę nogi i biały fartuch mężczyzny. Mężczyzna odezwał się znowu:

— Nie ten? To który?

Golbudin przykucnął ostrożnie za jednym z pojemników z butelką w rękę. Mężczyzna wszedł do ciężarówki. Drzwi od strony stoiska pozostały otwarte. Wesoło pogwizdując podszedł do półki, wybrał garść flakoników z różnymi smakami i zbliżył się do pojemnika, za którym ukrył się Golbudin.

Ponownie ktoś go wołał.

— Tak?...

Mężczyzna odwrócił się. Golbudin skorzystał z okazji, by po cichu przesunąć się ku tylnym drzwiom.

— Co mówisz?

Mężczyzna poszedł w przednią część wozu, by lepiej usłyszeć, co krzyczano ze stoiska. Golbudin prześliznął się ku drzwiom, pospiesznie chwycił torbę, wrzucił do niej butelkę, którą trzymał w rękę, i wyszedł na ostre słońce.

Pierwszy spostrzegł go Piotr Smukiewicz.

Golbudin był o kilka metrów od ciężarówki. W rękę niósł plastikową torbę. Czekał na odpowiednie warunki do spełnienia swej „misji”.

Pierwsza kula trafiła go w łydkę. Nie rozumiał, co się dzieje. W ustach poczuł smak krwi. Widział tylko czerwoną wydmnę ze swych koszmarów. Próbował biec, Smukiewicz nie mógł wycelować po raz drugi, gdyż uniemożliwiała mu to grupa dzieci, które ściągnął odgłos wystrzału.

Ale Golbudin nie odszedł daleko. Seria dziesięciu pocisków, wystrzelonych z małej odległości przez strzelców ze Specnazu, prawie przecięła go na pół.

Czerwona wydma pochłonęła go.

* * *

Kiedy Stan usłyszał strzały, zerwał z twarzy maskę, krzycząc na całe gardło:

— Nie strzelać! On wie, jak leczyć tę przeklętą chorobę!

Wykorzystując chwilę zamierania wśród trzymających go ludzi Fieldinga, uwolnił się i co sił w nogach pognął w stronę, z której dobiegły odgłosy strzelaniny. Jako jeden z pierwszych znalazł się na miejscu. Golbudinem wstrząsały jeszcze ostatnie spazmy. Stan potrząsnął ciałem Afgańczyka z desperacką energią.

— Powiedz! Mów, do cholery! — krzyknął.

Ale Golbudin już nie żył. W skrwawionych rękach zaciskał plastikową torbę. Stan wyrwał mu ją i pobiegł do samochodu.

Ambre stała obok forda. Wciąż w masce, wstrząsana nerwowym szlochem, oparła się o drzwi.

Stan gorączkowo przeszukał torbę. Mapa regionu upadła na ziemię. Znalazł butelkę. Wyjął ją ostrożnie i obejrzał w świetle. W jednej czwartej wypełniał ją mlecznobiały płyn. Stan wyobraził sobie wrzenie miliardów wirusów w ruchliwym środowisku wodnym.

Ręka Ambre sięgnęła po butelkę.

— Musimy mu to wstrzyknąć — powiedziała.

Stan usiłował wyperswadować jej to. To na pewno flakon z wirusem. Trzeba przeprowadzić analizy. To zbyt groźne...

— Groźne?! — zawołała, bliska wybuchu hysterii. — Groźne? Przecież on i tak już nie żyje.

Stan podszedł do Pierre'a. Nie wyczuł tętna: Francuz był martwy. Dwa razy uderzył mocno w żebra Pierre'a, łamiąc je. Kilka minut masażu serca przywróciło jego słabiutką pracę. Wówczas rzucił wszystko na jedną szalę: wstrzyknął Pierre'owi całą zawartość butelki.

Epilog

Wiatr. Wiatr i słońce.

Odetchnął pełną piersią i z trudem powstrzymał okrzyk bólu. Ciągłe czuł złamane żebra.

Szedł spokojnie aż do skraju drogi. W dole wiła się długa, lśniąca wstęga rzeki. Porośnięte winoroślą zbocza winnic falowały i szumiały łagodnie muskane przez wiatr znad Atlantyku. Winorośl nuciła swą pieśń.

Zamknął oczy i wsłuchał się z ulgą w tę melodię, którą grały razem słońce i winogrona.

Na wprost, po stronie Żyrondy, wznosił się zagubiony wśród wzgórz mały, niski domek o spadzistym dachu. Dom jego dzieciństwa.

Stał tak, chwiejąc się chwilami pod wpływem przelotnej słabości. Nie tak dawno niemal go już pochowano. Życie wydało mu się łagodne, harmonijne i wonne niczym dobre wino. Długie palce Ambre splotły się z jego palcami.

Waszyngton, Biały Dom

Kiedy prezydent wszedł do sali konferencyjnej, powitała go burza oklasków. Niektórzy spośród dziennikarzy i członków rządu dawali nawet wyraz uwielbienia okrzykami.

„Oto prawdziwy consensus narodowy” — pomyślał z goryczą. Ostatnie przejścia dodały mu lat. W jego ruchach nie widać już było tej lekkości beztróskiego studenta. Zatraciły swą pewność, jakby wydarzenia poprzedniego tygodnia złamały w nim zaufanie i entuzjizm. Gdy zbliżał się do estrady sali konferencyjnej, za mównicą rozbłysnął

ogromny ekran i pojawiło się sławetne „krwawe znamię” prezydenta ZSRS. Uśmiechał się szeroko. Uśmiechał się pokojowo.

Obaj Superwielcy tego świata postanowili złożyć tę deklarację wspólnie, dwugłosem — Gorbaczow w Moskwie, Bush w Waszyngtonie.

Prezydent wszedł na mównicę. Brawa wzmożyły się. Rozłożył wyciągnięte ramiona w znak „V”, potem czule pogładził siwe włosy Barbary, swej żony, i złożył na nich pocałunek.

Ze ściany promiennie uśmiechał się Michaił Gorbaczow.

Prezydent poprosił o ciszę i złożył deklarację. Następnie to samo uczynił Gorbaczow. Głos tłumacza rozbrzmiewał w chwilę po głosie prezydenta.

Obie przemowy pozostawały w doskonałej zgodzie. Wymieniono gratulacje za „obopólne zaufanie”, którego dowiedziono w chwilach tych „ciężkich przejść”, i zapowiedziano międzynarodową konferencję na temat broni biologicznej, która odbędzie się w grudniu w New Delhi i zgromadzi przedstawicieli 150 państw.

Na zewnątrz, wokół Białego Domu, barwny i wesoły letni tłum, szczęśliwy tłum, hałaśliwie manifestował swą radość.

Moskwa, ulica Czajkowskiego 19/23, Ambasada Stanów Zjednoczonych

Główny salon ambasady przekształcony został w studio telewizyjne. Z boku, kilka kroków za plecami kamerzysty, który filmował wystąpienie Michaiła Gorbaczowa, stał splótszy ręce marszałek Achromiejew. Zdobiąca jego tors kolekcja medali podzwaniała w rytm potakujących skinięć głowy. Mika stał przy nim. Bawił go zapał widoczny w jasnoniebieskich oczach starego człowieka. „...W imię pokoju na świecie i w imię ocalenia ludzkości!” Przemówienie przywódcy Związku Sowieckiego zakończyło się tymi uspokajającymi i dodającymi pewności słowami. Wypowiedź akcentowała szczególnie mocno niebezpieczeństwo wynikające z prowadzenia eksperymentów genetycznych oraz ryzyko wymknięcia się tej rewolucji w nauce o żywych organizmach spod kontroli. „Odtąd człowiek ma moc dawania i przekształcania Życia. Trzeba ograniczyć się do tego i nie czynić z tej cudownej Nauki narzędzia śmierci, które zagroziłoby całej ludzkości... Wszystkie wysiłki, których dokonano w ciągu ostatnich pięciu lat, chcąc ograniczyć rozwój zbrojeń nuklearnych, powinny teraz skupić się wokół kwestii ścisłej kontroli badań biologicznych. To nowe doświadczenie, które nas czeka... Poradzimy sobie i z tą sprawą, działając razem!”

Gorbaczow uśmiechnął się, słysząc owację, jaką zgotowano mu w sali konferencyjnej Białego Domu. Opiekuńczym gestem przytulił swą żonę Raisę i rzucił z niemal oksfordzkim akcentem: „*See you soon in Moscow, Barbara and George!*” pod adresem prezydenta USA i jego żony.

Nim ekran, na którym ukazywał się obraz z Nowego Jorku, zgasł, przez chwilę pojawiły się na nim pasy. Skończyło się. Mika przemknął ku wyjściu z ambasady, zanim tłum runął na zaimprovizowany plan telewizyjny. Na zewnątrz czekał czarny żółt z białymi zasłonkami w oknach.

Żółt ruszył wolno przez ulice Moskwy. Mika przyglądał się w zadumie przesuwanym się światłom miasta.

Limuzyna zatrzymała się na Arbacie przed domem Miki. Nie wysiadł. Siedział z tyłu, nie poruszając się. Nie spał. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w półmrok. Zastanawiał się.

Igor Woronkow, kierowca Miki, czekał przez dłuższą chwilę, nim odwrócił się i spojrział pytająco na Wasiljewa. Nie poruszając głową Mika powiedział wahając się jeszcze:

— Teatr Sowriemiennik, bulwar Czystoprudny.

Tam właśnie Ludmiła dawała ostatnie przedstawienie *Dalej, jeszcze dalej*.

Szosa między Toledo a Chicago

Półciężarówka chłodnicza w biało-zielone pasy mknie autostradą. Trwa sezon letni. Z Chicago pojedzie do Clevelandu, a potem do Kansas City. Śladem największych jarmarków.

We wnętrzu wozu, na jednej z półek, wśród butelek ze środkami do wyrobu lodów, podskakuje w rytm jazdy flakon, w którym drzemie spokojnie sto dwadzieścia centylitrów wirusa.

* * *

„Albowiem wiedział, o czym ten radosny tłum nie miał pojęcia, a co przeczytać można w książkach, że bakcyl dżumy nigdy nie umiera ani nie znika, że może całymi latami drzemać w szafach i w bieliznie, cierpliwie czeka w sypialniach, piwnicach, skrzyniach, chusteczkach do nosa i stertach papierów, i że być może przyjdzie dzień, gdy na nieszczęście i ku przestrodze człowieka dżuma obudzi swe szczury; wysłe je, by umierały w szczęśliwym mieście”.

Albert Camus, *Dżuma*

Posłowie

Powieść ta jest naturalnie fikcją. Powstała jednak na podstawie realnych faktów. Za punkt wyjścia obraliśmy zresztą sytuację w pełni realną — większość państw zrezygnowała ze szczepień ludności cywilnej przeciwko ospie. To normalne, mawiają, ospa zniknęła przecież z powierzchni Ziemi przed ponad dziesięciu laty! Szybko zapomnieli, że te same nauki o organizmach żywych, które pozwoliły na fantastyczne zwycięstwo w tej batalii, umożliwiają również użycie mikroorganizmów do zabijania... Wyjątkowo duży wirus ospy łatwo poddałby się manipulacjom genetyków i mógłby stać się potworną bronią. Na Ziemi zapanowałby chaos. Wystarczy przyjrzeć się, z jakim mozołem lekarze usiłują opracować szczepionkę przeciwko AIDS...

Czytelnikom, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej o problemach poruszanych w tej książce, pragniemy polecić trzy dzieła, zarazem proste, jasne i wyczerpujące, do których i my sięgaliśmy: *Le temps des virus*, Nicolas et Pacaud (Ed. Philippe Lebaud) i *La guerre chimique et biologique*, Riche (Ed. Belfond). Na temat *go*: *Le jeu de go*, Aroutcheff (Ed. Hatier).

Pragniemy także podziękować najbliższym za cierpliwość i wyrozumiałość.

Składamy podziękowania również panom Yannowi Albrand, Danielowi Radford i Alainowi Carriere za ich entuzjazm, wsparcie i rady. Bez nich ta książka nie przybrałaby obecnego kształtu.

Rueil-Malmaison, marzec 1990

Spis treści

1. Nadiąga burza.....	9
2. Broń pierestrojki.....	25
3. Malik, Anioł Piekielny.....	79
4. „Peste, fame, bello”	131
5. Pierre.....	177
6. Robak w owocu.....	205
7. Niczym zraniony tygrys.....	239
8. Polowanie na niedźwiedzia.....	271
9. Epilog.....	313
Posłowie.....	318